

WYDZIAŁ  
KULTURY

ENIGMA

POWIEŚĆ

NEW YORK TIMES  
BESTSELLING AUTHORS

SENSACJA

HEATHER GRAHAM  
WYSPA

HEATHER  
GRAHAM

Ciekawa historia kryminalna

WYSPA

# Graham Heather

## Wyspa

### PROLOG

- Znowu będziesz ich karmić?

Słyszając głos męża, Molly Monoco uniosła głowę znad koszyka, do którego pakowała jedzenie. Zaszyla się pod pokładem dość dawno temu, więc pewnie Ted, który robił coś na górze, domyślił się, że znów gotuje.

Molly od razu wyczuła, że mąż jest zły.

Jak zwykle z łatwością przejrzał jej plany.

Nie miała do niego żalu, że się na nią złości. Przez całe życie ciężko pracował i uczciwie zdobył pieniądze, które teraz, po jego przejściu na emeryturę, zapewniają im wygodne i dostatnie życie.

Wreszcie mogą zafundować sobie przyjemności, na które wcześniej nie było czasu. Oboje pochodzili z rodzin kubańskich emigrantów, którzy przybyli do Stanów na długo przed tym, jak z wyspy zaczęli masowo uciekać zdesperowani uchodźcy. Molly, z domu Rodriguez, nosiła swoje imię od dnia narodzin, podobnie jak Ted od początku był Theodorem. Ich rodzice całe życie wierzyli w amerykańskie marzenie i przez lata konsekwentnie wpajali dzieciom szacunek do pracy, dzięki której owo marzenie miało się spełnić.

Ted zaczynał karierę jako perkusista w nocnych klubach Miami. Prócz tego pracował jako pomocnik kelnera, a potem kelner, konferansjer i tancerz. W klubach zetknął się z salsą i zakochał się w tym tańcu; i właśnie z tej miłości dotąd grał na perkusji, tańczył, obsługiwał stoliki i stał za barem, aż uzbierał pieniądze na swoją pierwszą szkołę. Z czasem stał się właścicielem kilku szkół salsy, które w końcu sprzedał za okrągłą sumę.

Praca. Ted znalazł się na niej jak mało kto. I nie miał ani odrobiny wyrozumiałości dla ludzi, którzy nie chcieli albo nie umieli poradzić sobie w życiu.

Molly go rozumiała.

Lecz ona również miała swoje cele i w przeciwieństwie do męża lubiła pomagać nawet tym, którzy być może na tę pomoc nie zasługiwali. Molly wolała jednak wierzyć, że przy odrobinie wsparcia zdołają wyjść na prostą.

Jak przystało na zamożnego emeryta, Ted miał kosztowne hobby - pasjonowały go nowoczesne urządzenia nawigacyjne, sonary oraz inne gadżety, w które wyposażył swoją łódź i przy których mógł siedzieć bez końca. Gdyby od godziny nie ślęczał przy jednym z komputerów, pewnie dużo wcześniej zainteresowałby się, co porabia żona!

Molly uśmiechnęła się do siebie. Ted podobał jej się nawet wtedy, gdy się na nią złościł i gderał. Dla niej wciąż był tym samym młodym chłopakiem, w którym zakochała się czterdzieści dwa lata temu. Upływający czas obszedł się z jej mężem łaskawie; Ted zdołał zachować dobrą sylwetkę i sprawność, nie przygarbił się, nie stetryczał. Wprawdzie włosy już mu posiwiały, a niegdyś gęsta czupryna mocno się przerzedziła, ale Molly to nie przeszkadzało. Choć byli ze sobą od wielu lat i mieli na koncie niejeden małżeński kryzys, wciąż kochała go tak samo gorąco; z tej miłości wybaczyła mu nawet to, że nadał ich jachtowi nazwę *Emeryt*. Molly miała o wiele ciekawsze propozycje, ale Ted uparł się przy emerycie.

Wiedziała, że mąż nie będzie się na nią długo gniewał. Nie był pamiętliwy. Zresztą i tak nie było dla niej żadną tajemnicą, że po cichu cieszy się, iż jego żona tak bardzo przejmuje się losem bliźnich.

- Ted, a co ja mam do roboty? - pytała go łagodnie.
- Skaranie boskie z tym twoim instynktem macierzyńskim. Ja ci radzę, kobieto, ty się lepiej opanuj -zrzędził, wymownie wznosząc oczy do nieba. - Skąd wiesz, czy to nie są jacyś kryminaliści? Tam do diabła, założę się, że to niezłe ziółka.
- Nie żadne ziółka, tylko zagubieni młodzi ludzie, do których trzeba wyciągnąć pomocną dłoń - przekonywała.

Przez całe życie działała na rzecz innych. Na początku, już jako młoda i szczęśliwa mężatka, pracowała razem z Tedem w klubach. Gdy z czasem okazało się, że nie będą mogli mieć dzieci, o których tak marzyła, zajęła się w pracą społeczną. Udzielała się w kościele, wspierała schronisko dla bezdomnych oraz liczne organizacje dobroczynne; zbierała fundusze, a gdy było trzeba, gotowała zupę w darmowych jadłodajniach. Mogła sobie na to pozwolić, Ted zarabiał niezłe pieniądze.

Czas płynął, a ona wciąż czuła się spełniona i szczęśliwa. Przy swoich sześćdziesięciu pięciu latach nadal cieszyła się dobrym zdrowiem, była sprawna i pogodna. Jej uroda nie całkiem zbladła, o czym świadczyły liczne komplementy, które bardziej cieszyły ją niż męża.

- Daj spokój, Ted. Przecież to tylko jedzenie - zawołała, próbując go udobruchać. - Zaraz i tak wypływamy w rejs, więc siłą rzeczy skończy się dokarmianie.

Ted westchnął, lecz na jego twarzy zagościł przelotny uśmiech. Podeszedłszy do żony, objął ją i przytulił.

- Czym ja sobie zasłużyłem na takie szczęście? - mruknął.

- Może to przypadek?

Klepnął ją w pupę, a ona zachichotała jak nastolatka. Flirtowanie wciąż sprawiało im radość, ponieważ jednak oboje mieli już swoje lata, klaps nie stał się wstępem do miłosnej sesji w kajucie kapitana. O viag-rze mogli zapomnieć. Ted miał problemy z sercem, więc nie pozwoliłaby mu łykać tych tabletek. Gdy po długich latach życia we dwoje ludzie nadal potrafią okazywać sobie czułość, naprawdę nie muszą się do niczego więcej zmuszać.

Wtulona w ramiona męża, ze zdumieniem i radością myślała o ich szczęśliwym wspólnym życiu. Jak dobrze, że wciąż mają siebie - i *Emeryta*. Mogli na nim płynąć, gdzie ich oczy poniosą, realizować swe marzenia, poznawać świat - a wszystko to w luksusowych warunkach.

- No dobra, kobieto! Zaraz odpływamy, więc idź i zabaw się w miłosierną damę. Niedługo stawiamy żagle.

- Zaraz wracam - obiecała i nucąc coś pod nosem, zaczęła wspinać się po drabince prowadzącej na pokład.

Gdy stanęła na rozgrzanych deskach, w pierwszej chwili ogarnęło ją zdumienie. Nie spodziewała się ujrzeć czegoś takiego. Po paru sekundach zaczęła się uśmiechać. Nagle melodia, którą nuciła, urwała się i uleciała z wiatrem.

4

Poruszyła ustami, lecz z jej gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Ted usłyszał dziwny odgłos. Zdawało mu się, że coś stuknęło o pokład.

- Molly? Cisza.

- Molly? - zawołał nieco głośniej.

Od razu poczuł tępy ból w klatce piersiowej. Przestraszył się, że żona straciła równowagę, schodząc z jachtu do łódki, i upadła. Potłukła się, albo jeszcze gorzej. W końcu nie są już młodzi. A jeśli dostała jakiegoś ataku? Straciła przytomność i wpadła do wody?

Poderwał się z miejsca, instynktownie wyczuwając zagrożenie.

Błyskawicznie wydostał się na pokład. I zamarł. Po głowie kołatały mu się dwie myśli. Jak mógł być takim idiotą! I jeszcze... Molly, och, Molly, Molly...

- Pora pogadać, Ted - oznajmił gniewny głos.

- Nie mogę wam powiedzieć tego, co chcielibyście usłyszeć.

- A ja myślę, że jednak możesz.

- Nie mogę! Klnę się na Boga, że gdybym tylko mógł, wszystko bym powiedział.

- Lepiej się skup, Ted, i zacznij główkować. Boja ci zaręczam, bracie, że wszystko mi wyśpiewasz. Gadaj, co znalazłeś!

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

To czaszka. Beth Anderson była tego pewna już po dwóch sekundach ostrożnego rozgarniania piasku i suchych palmowych liści.

- No i? - ponagliła ją Amber.

- Co to jest? - dopytywała się stojąca za nią Kimberly.

Zaintrygowane dziewczyny przepychały się, usiłując zajrzeć jej przez ramię. Beth zerknęła na swoją czternastoletnią bratanicę i jej przyjaciółkę. Jeszcze dwie minuty temu obmawiały koleżankę ze szkoły, która w ich zgodnej opinii była okropną jędzą.

- To straszne, jak ona traktuje tę biedną Aubrey.

- No właśnie. A ta najpierw się jej podlizuje, a potem przychodzi do nas po łaskę, bo Tammy się na nią obraziła.

- Bo my to się na nikogo nie obrażamy - zapewniały Beth. - I nie obmawiamy za plecami, Nie mówimy przecież niczego, czego nie powiedziałybyśmy Tammy prosto w oczy.

Beth bardzo je lubiła. Pochlebiało jej, że w pewnym sensie zastępuje Amber matkę, którą ta straciła, będąc

10

niemowlęciem. Spędzała z dziewczynami sporo czasu, więc przywykła do wysłuchiwania niekończących się rozmów o tym, co właśnie jest na topie i który film warto obejrzeć. Ostatnimi czasy czołowe miejsce na liście gorących tematów zajęli chłopcy; dziewczyny mogły o nich paplać godzinami.

Teraz jednak ich trajkotanie zupełnie ucichło.

To Kimberly niechcący kopnęła jakiś dziwny przedmiot wystający z piachu, Amber zaś pierwsza przyklękła, żeby mu się przyjrzeć. To ona zawołała Beth.

- I co? - naciskała Kim. - Wykop to.

- Mmm... Nie wiem, czy powinnam - mruknęła Beth.

Czaszka nie była całkowicie oczyszczona. Tkwiła w piasku, przykryta kępami trawy, więc Beth nie mogła się dokładnie przyjrzeć, ale wydawało jej się, że widzi włosy. I resztki ciała. Nie chciała, by dziewczyny przyglądały się temu z bliska, gdyż widok był wstrząsający nawet dla osoby dorosłej. Beth aż się wzdrygnęła; czuła się tak, jakby w żyłach zamiast krwi miała kryształki lodu. Nie ośmieliła się dotknąć szczątków; ostrożnie przykryła je suchymi liśćmi. Chciała w ten sposób zaznaczyć miejsce, by móc je odnaleźć, gdy wróci tu bez dziewczyn. Przy nich nie zamierzała niczego odgrzebywać.

Otrzeпаła dłonie z piasku i szybko wstała. Chciała jak najszybciej wrócić po brata, który został na plaży, by rozbić namioty. Wymyśliła sobie, że razem sprawdzą, co to jest, a potem drogą radiową wezwą policję; był to jedyny sposób łączności ze światem, gdyż komórki nie miały tu zasięgu. Nagle drgnęła, czując, jak po plecach przebiegają zimny dreszcz. Z pamięci wypłynął fragment informacji podawanej jakiś czas temu w wiadomościach: „Małżonkowie Molly i Ted



Monocowie, doświadczeni żeglarze, przepadli gdzieś bez wieści".

Podobno po raz ostatni widziano ich w okolicach Calliope Key, czyli właśnie tu.

-- Chodźcie, dziewczyny, wracamy do Bena - powiedziała, starając się nadać głosowi lekki ton.

- To czaszka, prawda? - dopytywała się Amber.

Była śliczna, wysoka i smukła. Miała duże piwne oczy i długie ciemne włosy. W dwuczęściowym kostiumie kąpielowym, o wiele bardziej nobliwym niż miniaturowe bikini, wyglądała tak, że na jej widok chłopcom śmiały się oczy. Nawet tym, którzy zdaniem Beth byli dla niej o wiele za starzy. Pod względem urody bardzo różniła się od swojej przyjaciółki Kim, która była śliczną, filigranową, błękitnooką blondynką.

Czasem opieka nad dwoma tak atrakcyjnymi i podatnymi na wpływy nastolatkami była dla Beth wyjątkowo niewdzięcznym obowiązkiem. Wprawdzie miała świadomość, że jej lęki i obawy są przesadne, jednak myśl, że dziewczyny mogłoby spotkać coś złego...

W porządku! To ona jest dorosła, i ona ustala reguły. Najwyższy czas stawić czoło sytuacji.

Problem w tym, że są na wyspie sami, bez telefonu, samochodu czy innych zdobyczy cywilizacji, nie mówiąc już o luksusach. Wprawdzie miejscowi żeglarze często tu zaglądają, jednak wyspa jest odludna i odcięta od świata.

Płynąc na silniku, w dwie, trzy godziny docierało się do Miami. Nieco krócej płynęło się do Fort Lauderdale lub wysp Bahama, oddalonych zaledwie o godzinę drogi.

Beth zaczerpnęła powietrza i zrobiła głęboki wdech i wydech. Bardzo powoli.

12

Niesamowite, jak szybko człowiek zmienia zdanie, pomyślała. Dopiero co cieszyła się, że wysepka jest oddalona od popularnych szlaków, że nie ma na niej budek z jedzeniem, samochodów i całego tego zgiełku, bez którego współczesny turysta nie może się obejść. Teraz zaś...

- To coś rzeczywiście przypomina ludzką czaszkę - przyznała, siląc się na uśmiech - ale wcale nie jestem pewna, czy naprawdę nią jest - skłamała. - Amber, przecież wiesz, że tata nie byłby zachwycony, gdyby coś zepsuło mu wymarzone wakacje. Mimo to...

Urwała w pół słowa. Nie słyszała odgłosu kroków ani szelestu liści, a tu nagle na polanę wszedł jakiś mężczyzna. Pojawił się u wylotu wąskiej ścieżki, która wiła się pośród palm i sosen porastających środek wyspy, łącząc go z plażą.

Właśnie wszechobecna bujna zieleń przyciąga ludzi na Calliope, Beth nie powinna więc się dziwić, że spotyka tu innego turystę. A jednak na widok nieznanego poczuła irracjonalny lęk. Jej reakcja była naprawdę dziwna, gdyż w powierzchowności mężczyzny nie było niczego, co mogłoby wzbudzać niepokój. Nieznajomy wyglądał bowiem tak, jak każdy inny żeglarz. Może tylko był mocniej opalony niż przeciętny bywalec wyspy. Jego jasne, spłowiałe od słońca włosy kontrastowały z ogorzałą twarzą. Beth uznała, że słowo „opalenizna” nie oddaje w pełni głębokiego odcienia brązu, na jaki zabarwia się skóra prawdziwych wilków morskich.

Mężczyzna był dobrze zbudowany i sprawiał wrażenie wysportowanego. Miał na sobie sprane dzinsy z obciętymi nogawkami i specjalne buty dla windsur-fingowców albo żeglarzy. Nosił je na gołe stopy, które były tak samo brązowe jak reszta ciała. Co znaczy, że

rzadko wkłada buty, więc raczej nie jest mieszcuchem na urlopie, tylko prawdziwym żeglarzem, który żyje na swej łodzi i zapuszcza się na niej w rejon najodleglejszych wysp. Tacy ludzie doskonale znają się na żeglowaniu, a kiedy trzeba, śpią pod gołym niebem.

Nieznajomy skrywał oczy za ciemnymi okularami.

Nic w tym dziwnego, przyznała uczciwie. Sama ma okulary przeciwsłoneczne, dziewczyny też.

Dlaczego więc akurat on wydał jej się mroczny, tajemniczy i podejrzany?

Czuła, że powinna ochłonąć i zacząć logicznie myśleć. Niewytłumaczalny lęk na pewno jest związany z tym, co się przed chwilą wydarzyło. Gdyby nie makabryczne odkrycie, którego właśnie dokonała, spotkanie z nieznajomym nie wywarłoby na niej większego wrażenia.

Niestety, widziała to, co widziała, i pewnie dlatego nie umie teraz zachować się normalnie. Nie mogła też zapomnieć o zaginionych małżonkach Monoco. Oni tu byli, powtarzała, a potem... Odpłynęli w stronę dal?

Zaginięcie zgłosił ich bliski znajomy, z którym wbrew swym zwyczajom nie skontaktowali się drogą radiową. A ona znalazła czaszkę w miejscu, gdzie widziano ich po raz ostatni.

Zastygła w bezruchu i czujnie obserwowała mężczyznę.

Tymczasem w czternastoletniej głowie Amber nawet nie zakiełkowała myśl, że mogą być w niebezpieczeństwie. Jako córka zapalonego żeglarza przywykła do przypadkowych spotkań z innymi miłośnikami tego sportu i wiedziała, jak się zachować wobec nieznajomych. Była dla nich miła, co wcale nie świadczyło o jej głupocie czy naiwności. Amber potrafiła sobie radzić w życiu - w końcu chodziła do publicznej

14

szkoły w centrum Miami, gdzie szybko nauczyła się ulicznego sprytu. Intuicyjnie wyczuwała, kiedy i wobec kogo należy być ostrożną.

Widocznie nieznajomy nie wzbudził w niej podejrzeń.

- Cześć - rzekła, uśmiechając się przyjaźnie.

- Cześć - odpowiedział.

- Cześć - dołączyła Kim.

Amber dyskretnie trąciła Beth łokciem.

- Aaa... Cześć!

- Keith Henson - przedstawił się mężczyzna. Beth nie widziała jego oczu, ale była pewna, że na nią patrzy.

Miał wyraziste rysy twarzy, mocną szczękę i ostro zarysowane kości policzkowe. Ze swoim głębokim i melodyjnym głosem śmiało mógłby czytać teksty reklam. Albo w nich występować. Kto wie, czy tego nie robi, pomyślała drwiąco.

- Ja jestem Amber Anderson - mówiła tymczasem jej bratanica - a to moja koleżanka Kim Smith i moja ciocia Beth. Niedawno przyплыliśmy na wyspę i mamy zamiar zostać tu do niedzieli. - Widać było, że nieznajomy wywarł na niej spore wrażenie.

- To jeszcze nic pewnego - zastrzegła szybko Beth.

- No co ty?! - oburzyła się dziewczyna. - Tylko dlatego, że...

- Miło pana poznać, panie Henson. - Beth energicznie podeszła do mężczyzny. Chciała jak najszybciej oddalić się od nieszczęsnego znaleziska. - Wybrał się pan tu na wakacje? Skąd pan jest, jeśli wolno spytać?

Boże, co ja wygaduję! - pomyślała ze zgrozą. Jak można brać człowieka na spytki po paru sekundach znajomości?

Można powiedzieć, że jestem nowy w tych stronach. Prawdę mówiąc, straszny ze mnie włóczyki. Dziś tu, jutro tam... - Z uśmiechem podał jej dłoń. Bardzo piękną, smukłą, z zadbanymi paznokciami. I odciskami, które zdradzały, że jego dłonie nie próżnują.

Gdy podawała mu rękę, przyszła jej do głowy nedorzeczna myśl; wyobraziła sobie, że mężczyzna rzuca się na nią, przewraca na ziemię i zaczyna dusić. Wizja była tak sugestywna, że Beth ledwie się powstrzymała, by nie krzyknąć do dziewczyn: „uciekajcie!”.

Keith Henson nie miał jednak żadnych wrogich zamiarów. Uścisnął jej dłoń krótko i pewnie, ale nie za mocno.

- Jesteście stąd? - zapytał, przywitawszy się z dziewczynkami.

Beth odniosła wrażenie, że ją ignoruje. Pewnie ją skreślił, uznawszy za ekscentryczkę. Czujna jak stróżujący pies, stanęła między Amber i Kim, i położyła ręce na ich ramionach.

- Jesteśmy stąd - przyznała Amber.

- No niezupełnie... - wtrąciła Kim.

- Ojej, przecież wiadomo, że tu nie mieszkamy. Ale niedaleko - uściśliła Amber.

Keith Henson uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Beth starała się uspokoić oddech; zdaje się, że oglądam za dużo kryminałów, pomyślała ze złością, świadoma, że nie istnieje żaden racjonalny powód, którym można by wytłumaczyć jej przekonanie, że ten człowiek może być niebezpieczny, więc powinna chronić dziewczynki.

Musiła jednak przyznać, że nie ma też powodu, by mu ufać.

16

- Będzie pan biwakował na wyspie? - zapytała.

- Jeszcze nie wiem - odparł, skinąwszy ręką w stronę morza. - Jestem tu z kolegami... Mamy zamiar ponurkować, połowić ryby. Sami jeszcze nie wiemy, czy rozbijemy obóz.

- A gdzie są ci pańscy koledzy? - dopytywała. Czuła, że zachowuje się nerwowo, i to ją dodatkowo peszyło.

- Nie ma ich. Przyszedłem tu sam.
  - Dziwne, ale nie zauważyłam waszej łódki - stwierdziła. -Nie przypominam sobie, żebym widziała jakiś inny jacht.
  - Może nas pani przeoczyła. Nasza łódź nazywa się *Wąż morski*. - Uśmiechnął się ironicznie. - Jacht należy do mojego kolegi, który ma o sobie wysokie mniemanie. Lubi myśleć, że jest bardzo odważny. A wy? Przyplłynęłyście tu same?
- Pytanie, które w każdej innej sytuacji byłoby zupełnie naturalne, od razu wydało się Beth podejrzane. Od dawna zarzekała się, że zapisze się na kung-fu albo karate. Skończyło się na obietnicach. W torebce zawsze miała gaz łzawiący. Tylko kto zabiera ze sobą torebkę na przechadzkę po bezludnej wyspie? Kostium i sandały to był cały jej strój.
- Jesteście tu same? - powtórzył Keith Henson uprzejmie.
- Uprzejmie? Czy złowrogo?
- O nie! Przyplłynęliśmy z moim bratem. I tłumem ludzi - powiedziała szybko.
  - Z tłumem ludzi... - zdziwiła się Amber. Beth uszczypnęła ją w ramię.
  - Auć!
  - Mój brat umówił się tu ze swoimi przyjaciółmi. To zapaleni żeglarze, chłopcy jak dęby. Otworzyć piwo

zębami to dla nich pestka. Zna pan ten typ... - paplała Ueth wesoło.

Amber i Kim patrzyły na nią jak na wariatkę.

- No jasne. Wszyscy kumple mojego taty to osiłki, które otwierają piwo zębami - burknęła Amber z przekąsem i spojrzała na nią tak, jakby chciała powiedzieć: „ciociu, odbiło ci?”.

- Poważnie? - spytała zdezorientowana Kim.

- Tak czy owak, będziemy tu ze sporą ekipą. Są wśród nas nawet policjanci - dodała Beth z naciskiem, wiedząc, że gada straszne bzdury.

Pora zniknąć!

- Miło było pana poznać. - Dyskretnie popchnęła dziewczyny do przodu. - Musimy wracać, bo mój brat już się pewnie niepokoi. Obiecałyśmy, że pomożemy mu urządzić obozowisko.

- Na pewno jeszcze się spotkamy - powiedziała Kim.

- Na pewno! - powtórzyła Amber.

- A więc do zobaczenia - odparł ich nowy znajomy.

Beth znowu szturchnęła dziewczyny i z uśmiechem przyklejonym do twarzy ruszyła w stronę miejsca, gdzie zeszli na ląd. I gdzie za moment spotkają Bena. Bała się myśleć, że brat mógłby gdzieś się wybrać.

- Ciociu - szepnęła Amber, łapiąc ją za rękę - co ci się stało? Strasznie dziwnie się zachowywałaś.

- Byłaś trochę niemiała - dodała nieśmiało Kim.

- Facet był sam, przylazł nie wiadomo skąd, a my parę minut wcześniej znalazłyśmy czaszkę. - Beth zerknęła za siebie. Chciała się upewnić, że mężczyzna ich nie usłyszy.

- Dopiero co mówiłaś, że wcale nie wiadomo, czy to naprawdę była czaszka - przypomniała Kim.

18

- Bo nie byłam pewna. Nadal nie jestem!

- Ale ten facet dopiero tu przyplłynął, tak samo jak my - zauważyła Amber. - A czaszka musi już jakiś czas leżeć.

- Mordercy często wracają na miejsce zbrodni. -Beth bez zastanowienia wyrecytowała oklepaną formułkę i przyspieszyła kroku.

Amber parsknęła śmiechem.

- Dobra, ciociu. Przyznaj się, że spanikowałaś. Ale wyluzuj! Widziałaś, żeby koleś miał spluwę?

- Nawet nie miałyby gdzie jej wetknąć - zachichotała Kim.

Beth musiała przyznać, że uwagi jej podopiecznych nie są pozbawione sensu.

- Faktycznie, nie widziałam u niego żadnej broni - przyznała.

- Więc dlaczego byłaś taka niemila? - naciskała Amber.

- Sama nie wiem - syknęła. - Podejrzewam, że jak człowiek znajdzie ludzką czaszkę, zaczyna poważniej myśleć o własnym bezpieczeństwie, okej?

- Okej - odparła Amber po zastanowieniu. - Ale mnie on wyglądał na porządnego faceta.

- Bo pewnie taki jest.

Kim znów zaczęła chichotać.

- Niezły towarek - mruknęła z uznaniem.

- Co z tego, skoro dla was o wiele za stary? -skwitowała Beth. Wiedziała, że niepotrzebnie mówi do nich tak ostrym tonem.

- No to co? Brad Pitt też jest stary, ale i tak nam się podoba - oznajmiła Amber, kręcąc głową. Miała taką minę, jakby chciała powiedzieć, że dorośli czasem wygadują straszne brednie.

- Niech ci będzie - burknęła Beth pojednawczo.



Nagle za ich plecami coś głucho stuknęło. Beth aż podskoczyła; była gotowa zasłonić dziewczyny własnym ciałem.

- Ciociu, to tylko palmowy liść! - uspokoiła ją Amber.

Ze świstem wypuściła powietrze.

- Jasne - mruknęła pod nosem.

Dziewczyny wymieniły znaczące spojrzenia. Wyglądało to tak, jakby dawały sobie znak, że trzeba na nią uważać.

Jak na osobę niespełna rozumu.

- Chodźcie - ponagliła je. - Musimy znaleźć twojego tatę, Amber.

Keith patrzył, jak odchodzą, i myślał o tym, że nie spotkał równie dziwnej kobiety. Zachowywała się tak, jakby chciała coś przed nim ukryć. Jakby... miała nieczyste sumienie.

Potrząsnął głową. Nie, to niedorzeczne. Przecież miała pod opieką dwie małolaty, więc nie mogła niczego przeszkrobać. Dziewczyny wydały mu się miłe i niewinne, więc wątpił, by coś knuły. Keith znał się na ludziach i polegał na swojej intuicji. A ta mówiła mu, że panienki są poza wszelkimi podejrzeniami; po prostu dwie nastolatki, wesołe i ciekawe świata, po którym spodziewają się wyłącznie dobrych rzeczy. Za to ta kobieta...

Beth Anderson. Musi być spokrewniona z jedną z dziewczyn, tą wysoką, gdyż obydwie miały wyjątkowo lśniące ciemne włosy. Bardzo piękne, gęste i lekko falujące. Oczy kobiety też były niezwykle; tajemnicze i trochę egzotyczne, o trudnym do określenia kolorze, który zmieniał się w zależności od światła. Keith od razu zauważył jej świetną figurę

20

i zgrabne długie nogi. I to, że jest wysportowana. Jeśli chodzi o wiek, na pewno jest przed trzydziestką. Może mieć jakieś dwadzieścia pięć, dwadzieścia osiem lat. Emanowała naturalną zmysłowością i seksapilem pozbawionym ostentacji.

Wydała mu się wyjątkowo atrakcyjna.

I lekko stuknięta. Nie. Wystraszona. To jego się tak przestraszyła? Był tu pierwszy raz w życiu, ale dołożył starań, by wyglądać jak stali bywalcy. Czemu więc wzbudził w niej lęk? Gdyby przeczuwała, że na wyspie czyha niebezpieczeństwo, na pewno by się tu nie pchała, zwłaszcza z dwoma niepełnoletnimi panienkami. Więc...?

Coś musiało ją przestraszyć.

Może coś zobaczyła albo znalazła.

Rozejrzał się dookoła, lecz nie dostrzegł niczego, czego można by się bać. Jeśli rzeczywiście na coś się natknęły, to pewnie blisko miejsca, w którym stały, gdy je zobaczył.

Keith poczuł, jak każdy jego mięsień i nerw tężeje. Ogarnął go gniew graniczący z dziką furją. Z całej siły zacisnął zęby. Do szału doprowadzała go myśl, że świat jest, był i będzie niesprawiedliwy, a on jest wobec tego faktu bezsilny.

Właśnie gniew, który płonął w nim jak pochodnia, przygnał go na tę wyspę. Nie był to jedyny powód, lecz swoje prawdziwe motywy wołał zachować dla siebie. Powtarzał sobie, że musi myśleć o obiecanej nagrodzie. I pamiętać, że ma tylko jeden cel. Musi znaleźć to, czego szukają. W dodatku tak, by nikt niczego nie zauważył. Reszta sama się ułoży. W każdym razie taką miał nadzieję.

Usłyszał swoje imię, więc odwrócił się. Wołał go Lee, jeden z kolegów. Odetchnął głęboko. Sytuacja

wymaga żelaznej samokontroli. Musi panować nad emocjami.

- Tu jestem! - odkrzyknął.

Po chwili ścieżką od strony plaży nadeszli Lee Gomez i Matt Albright.

- Co jest? - zapytał Lee. Półkrwi Ekwadorczyk, pół Amerykanin miał intensywnie niebieskie oczy, kruczoczarne włosy i smagłą karnację, której nie mogło zaszkodzić najostrzejsze słońce.

- Nic. Spotkałem jakąś kobietę i dwie dziewczyny. Są tu z bratem tej kobiety i grupą znajomych. Będą nocować na wyspie.

Matt pokręcił głową i zaklął ze złości. Jak każdy rudzielec łatwo wpadał w gniew, ale i pierwszy wyciągał rękę do zgody.

- A to jeszcze nie koniec - zżymał się. - Dwa duże jachty zakotwiczyły niedaleko naszej łajby. Widziałem parę osób w łódce. Płynęli na wyspę.

- Nic na to nie poradzisz. - Keith wzruszył obojętnie ramionami. - Ludzie przyplływają tu od..., a cholera wie odkąd. Pewnie od zarania dziejów.

- A co mnie to, kurde, obchodzi! Dla nas byłoby lepiej, żeby ich tu nie było - mrucał Matt, którego byle co potrafiło wyprowadzić z równowagi.

- Stary, wyluzuj! Przecież od początku wiedzieliśmy, że będziemy pracowali na oczach innych - przypomniał mu Keith. - Zamiast się bezsensownie wkurzać, wykorzystajmy fakt, że nie jesteśmy sami. Jest weekend. Ludzie chcą się zabawić i odpocząć.

- Czyli odpada pomysł, żebyśmy przebrali się za Pigmejów i przepędzili stąd tę zgraję? - rzucił Lee.

- Za jakich znowu Pigmejów? - skrzywił się Matt.

- No wiesz, za dzikusów. Kanibali czy coś w tym stylu - ironizował Lee.

22

- Superpomysł! - roześmiał się Keith. - Wtedy na pewno nie wzbudzimy żadnych podejrzeń. A chociaż przyszło wam do głowy, że dopóki ludzie z tych jachtów siedzą na wyspie, mamy święty spokój, bo przynajmniej nie będą się szwendali koło raf? Najlepiej zrobmy to, co wszyscy robią w

weekend. Udawajmy turystów. Poznamy się z sąsiadami, a przy okazji zorientujemy się, co wiedzą i co sądzą. - I czego się boją, dodał w myślach, lecz nie powiedział tego głośno. Podobnie jak nie podzielił się z kolegami przypuszczeniem, że oni sami mogą wydać się komuś podejrzani.

Lee wzruszył ramionami.

- Może i racja - rzekł bez przekonania.

- No dobra. W takim razie rozbijamy namioty, wyciągamy turystyczną lodówkę i udajemy paczkę imprezowych chłopaków - podchwycił ochoczo Matt. Nagle zarechotał. - W sumie to fajny pomysł. Na jednym z jachtów widziałem niezłą laskę. Ale uprzedzam, że dobrze się nie przyjrzałem, bo byli za daleko.

Żałuj, że nie widziałeś tej, która parę minut temu stała dokładnie tu, gdzie ty, pomyślał Keith. Obejrzałem ją sobie od stóp do głów, bo byłem blisko.

- Nawet gdyby ta twoja laska była piękna jak miss świata, lepiej trzymaj się od niej z daleka. Nie wolno nam z nikim się spoufalać. W każdym razie nie dziś w nocy - przypomniał Mattowi Lee.

- Spokojna głowa, bracie. Będę potulny jak baranek. Zobaczycie, jaki ze mnie rozrywkowy chłopak, który przypląnął tu, żeby się zabawić - obiecywał Matt.

- Zabawisz się później. A teraz bierz się do roboty, bo nie będę sam targał wszystkich gratów - gderał Lee. - Jak mamy się bawić w harcerzyków i rozbijać obóz, musicie mi pomóc.

- Może to i niezła myśl, żeby się tu rozlokować zastanawiał się głośno Keith.
  - Pewnie że tak. Zawsze warto przyjrzeć się z bliska ludziom, którzy się tu kręcą - poparł go Lee.
  - Dobra, chłopaki, ja będę właścicielem jachtu - oznajmił z chytrym uśmiechem.
  - Hola! - Mattowi pomysł kolegi nie przypadł do gustu.
  - No co? Przecież łajba musi być czyjaś. Mam rację?
  - Masz. Może być twoja - zgodził się Keith.
  - Ale następnym razem będzie moja - zastrzegł Matt.
  - Jeśli nam się poszczęści, nie będzie następnego razu - westchnął Keith. Patrzył na swoich kompanów i czuł, jak rodzi się w nim podejrliwość.
- Lee również mu się przyglądał, lecz jego oczy miały nieodgadniony wyraz.
- Wieczny optymista, co? - mruknął.
  - Po prostu znam swoją robotę - odparł Keith. Lee wciąż mierzył go czujnym spojrzeniem, a jemu zdawało się, że trwa to wieczność.
  - Mam nadzieję, że znasz - odezwał się w końcu Lee. - Mam cholerną nadzieję, że koncentrujesz się na tym, co mamy do zrobienia.
  - Niedługo się o tym przekonasz - zapewnił Keith, wiedząc, że zabrzmiało to dość ponuro.
  - W porządku. Chodźmy bawić się w turystów - rzucił Lee.
  - Dobra. Zaraz do was dołączę.
  - Tylko pamiętaj, że razem pchamy ten wózek -przypomniał mu Matt.
  - Jasne.

Rzeczywiście, to był ich wspólny biznes. Tyle że ci

20

dwaj nie mieli pojęcia, iż ktoś życzliwy przestrzegł Keitha, by cały czas miał ich na oku.

- Keith, do jasnej cholery, coś dziwnie się zachowujesz - wybuchnął Lee, mierząc go ostrym wzrokiem. -Przypomnij sobie, jak było. Koncentracja jest najważniejsza.

Ważniejsza niż ludzkie życie? - zapytał w myślach Keith.

- Zaraz do was dojdę.

- Nasz szanowny kolega kieruje się instynktem, który, jak wiadomo, nigdy go nie zawodzi.

Uszanujmy to - zadrwił Matt. - Chodź, Lee, bierzmy się do roboty. A cudowny chłopiec przyjdzie za chwilę.

Keith nie zareagował na zaczepkę. Spokojnie odczekał, aż kumple ruszą w stronę północnego krańca wyspy. I dopiero gdy znikli z pola widzenia, zaczął przeszukiwać polanę.

O tak. Był skoncentrowany.

Są obrazy, które pamięta się do końca życia. Zwłoki. Martwi koledzy. Ludzie, którzy byli na progu życia, a świat stał przed nimi otworem. Młodzi. Najlepsi z najlepszych.

Znieruchomiał i zaczął nadśłuchiwać. Ktoś nadchodzi. Na wyspie robi się tłoczno. Zaklął cicho.

- Czołem! - powiedział gardłowy męski głos.

Od strony lasu szedł sześćdziesięcioletni mężczyzna, a tuż za nim podążała ładna filigranowa blondynka w towarzystwie dwóch mężczyzn.

- Czołem! - Keith uśmiechnął się na powitanie. Faktycznie, na wyspę zwały się tłumy. Keith nie potrafił wytłumaczyć, skąd w nim nagła pewność, że on i jego kompani nie są jedynymi, którzy przybyli tu incognito.

Wyszły z zielonego gąszczu porastającego środek wyspy i ruszyły w stronę plaży, dziewiczej i wyjątkowo pięknej. Swego czasu na Calliope Key mieściła się mała baza marynarki wojennej i ośrodek badawczy. Dziś z opuszczonych budynków zostały ruiny dające schronienie żeglarzom, których zaskoczyła burza. Tego dnia załamanie pogody na pewno nie groziło. Na niebie nie było ani jednej chmurki, wiał lekki wiaterek, a morze było wyjątkowo spokojne.

Ben kręcił się po plaży. Bez butów, w obciętych džinsach i ciemnych okularach wyglądał jak mężczyzna, który tak bardzo przestraszył Beth.

- Tak szybko? - zdziwił się na ich widok. - Miałycie zbadać teren i sprawdzić, czy oprócz nas jeszcze ktoś tu jest.

Beth popatrzyła na brata, który sprawnie rozbijał namioty, i pomyślała sobie, że mając trzydzieści cztery lata, jest teraz w kwiecie wieku, lecz w ogóle z tego nie korzysta. Odkąd został wdowcem, całkowicie poświęcił się wychowaniu Amber. I choć od śmierci żony minęło już wiele lat, nadal wolał spędzać wieczory w domu. Rzadko pojawiał się na imprezach w klubie żeglarskim Rock Reef, do którego należał, a w którym Beth pracowała jako szefowa PR. Zdecydowanie wolałaby, żeby brat częściej przebywał w towarzystwie kobiet, a nawet by od czasu do czasu z którąś z nich zgrzeszył. Jednak problem polegał na tym, że żadna z pięknych dam nie wytrzymała konkurencji z Amber, która była dla Bena wszystkim.

Beth martwiła się, że brat w ogóle nie myśli o przyszłości. W głębi serca pozostawał wierny zmarłej żonie, swojej szkolnej miłości. Poza tym uważał, że musi zadbać o to, by Amber niczego nie zabrakło. Starał się więc zapewnić jej wszystko, łącznie z włas-

26

nym towarzystwem, choć dorastająca córka zapewne wolała spędzać wieczory z koleżankami w centrum handlowym niż z tatą w domu. Nie znaczyło to, że Amber go nie kochała. Wręcz przeciwnie, ubóstwiała ojca, była jednak normalną nastolatką i zaczynała mieć swój własny świat.

- Zbadałyśmy teren. Bardzo dokładnie - oznajmiła Beth.

- I spotkałyśmy fajnego faceta - poinformowała ojca Amber.
  - Zabójczo przystojnego - dodała Kimberly. Beth jęknęła.
  - A ten przystojniak był miody czy stary? - Ben spojrział na nią z szelmowskim błyskiem w oku.
  - A taki mniej więcej w twoim wieku. Albo w wieku cioci. Nie wiem, w każdym razie na pewno dorosły facet - plątała się Amber.
  - Oho... Czy mi się zdaje, czy próbują cię swatać? - Ben puścił do niej oko.
  - Oby nie!
  - A co? Nie spodobał ci się? - drażył Ben.
  - Nie, dlaczego? Rzeczywiście był przystojny.
  - Więc...?
  - Po prostu nie w moim typie. Amber ostentacyjnie westchnęła.
  - Wiecie co? Jesteście beznadziejni - orzekła.
  - Przecież to obcy człowiek! A wobec obcych zawsze stosuje się zasadę ograniczonego zaufania - warknęła Beth.
- Ben uniósł brwi i zerknął na nią z ukosa. Ileż to razy słyszał od niej, że powinien być bardziej cierpliwy i wyrozumiały dla Amber.
- Dziewczyny, rozstawcie grill, dobra? - poprosiła Beth.



- Ciocia zaraz powie ci o czaszce - uprzedziła Amber.
- O jakiej znowu czaszce? - Ben, który właśnie ustawiał maszt, przerwał swoje zajęcie i spojrzał na siostrę pytająco.
- Kim nadepnęła na coś i... to była chyba ludzka czaszka.
- Brałyście... to do ręki? - zaniepokoił się.
- Nie, niczego nie dotykałyśmy. Powinniśmy pójść tam razem i sprawdzić, co to jest. Jeśli się okaże, że mam rację, wezwiemy policję. Nie odgrzebywałam jej, bo nie chciałam tego robić przy dziewczynkach - wyjaśniła. Nagle spojrzała na brata z wyrazem niepewności w oczach. - Słuchaj, może nie powinniśmy ich tu zostawiać samych...
- Nie przesadzaj! Ta wyspa to raj dla żeglarzy. Od lat.
- Oj, wiem.
- Baza marynarki od dawna nie istnieje, a ludzie i tak tu przyplływają. I to nie jakieś przybłędy, tylko prawdziwi żeglarze.
- Przecież wiem!
- Więc w czym widzisz problem? Chrząknęła i spojrzała na dziewczyny, które ani myślały odejść.
- Cholera, Ben! Pamiętasz to zaginione małżeństwo? Teda i Molly Monoców?
- A co oni mają z tym wspólnego?
- Ostatnio widziano ich właśnie tutaj, na wyspie. Ben westchnął i pokręcił głową.
- I co z tego? O ile wiem, ci ludzie mieli wspaniały jacht i zamierzali opłynąć nim świat.
- Ale przepadli jak kamień w wodę. Słyszałam, jak parę miesięcy temu mówili o tym w wiadomościach.

28

- Jesteś przewrażliwiona - stwierdził Ben, wyraźnie zirytowany jej uporem. - Znajomy tych ludzi zadzwonił na policję, bo się o nich zaniepokoił. A przecież oni mogą być teraz w dowolnym miejscu

świata. Media z byle czego robią sensację - stwierdził z przekonaniem. Nagle podchwycił spojrzenie córki i dodał: - Nie uważacie, dziewczyny, że nasza ciocia nie powinna spotykać na plaży przystojnych brunetów?

- Ben!

- On wcale nie był brunetem, tylko blondynem - roześmiała się Amber.

- Okej, dziewczyny. Wy zostajecie tutaj i rozkładacie manatki, a ja i ciocia idziemy sprawdzić, co z tą czaszką.

- Jeszcze raz ci mówię, że nie powinniśmy zostawiać ich samych. - Beth nie dawała za wygraną.

- Ciocia strasznie się boi tego faceta - wyjaśniła Amber.

- Wcale nie!

- Już dobrze, dajcie spokój - uciął dyskusję Ben. - Niedawno widziałem tu Hanka i Amandę Masonów. Był z nimi jej ojciec i jakiś kuzyn. Na pewno nie odeszli daleko, więc dziewczyny, jakby ktoś was zaczepiał, drzyjcie się na całe gardło, dobra?

Amanda Mason. Świetnie. Tylko jej tu brakowało. W normalnej sytuacji już sama myśl, że Amanda - której Beth szczerze nie znosiła - spędza weekend na tej samej wyspie, popsułaby Beth humor. O dziwo, tym razem ucieszyła się, że Masonowie są w pobliżu.

I w razie czego usłyszą krzyk.

- Będziemy się darły jak opętane - obiecała Kim.

- Chyba że przyjdzie tu jakiś fajny chłopak i przyniesie piwo.

25

Ben skoczył jak oparzony i spojrzał na córkę karcącym wzrokiem.

- Co, pożartować nie można? - broniła się Amber. - Tato, wyluzuj! Ciociu, powiedz mu coś!

- Braciszku, ona się z ciebie nabija. Wyluzuj. Ben wznosił oczy do nieba i ruszył naprzód.

- Dlaczego ona mi to robi? - żalił się po drodze.

- Bo zachowujesz się jak paranoik i tropisz tę biedną dziewczynę jak myśliwski pies - tłumaczyła mu Beth, brnąc za nim przez zieloną gęstwinię.

- Za to ty w ogóle nie masz paranoi, tak? - odciął się.

- Ben, przysięgam, to była ludzka głowa. A wracając do naszej rozmowy, to jeśli nadal będziesz się tak zachowywał, Amber się wkurzy i da ci tak popalić, że wymiękniesz. I dopiero wtedy będziesz miał powody do zmartwienia.

- Zaczekaj, aż sama będziesz miała dzieci - rzucił ponuro, odwracając się w jej stronę. - Amber jest dla mnie wszystkim - wyznał cicho.

- Więc daj jej trochę swobody.

- Na miłość boską! Przecież ona ma dopiero czternaście lat!

- Powiedziałam: trochę. Jak jej poluzujesz smycz, sama do ciebie przyjdzie i zacznie opowiadać o swoich sprawach. Pozwól jej żyć własnym życiem.

Z powagą skinął głową. Po chwili dotarli na polanę.

- Nie widzę żadnego faceta.

- A co? Myślałeś, że będzie tu stał i na nas czekał?

- Bardzo śmieszne! Niby gdzie jest ta czaszka?

- Tutaj. Przykryłam ją liściem palmy. Podeszła do miejsca, w którym niedawno stała z dziewczynkami, przyklęka i ostrożnie rozgarnęła suche liście.

Nic pod nimi nie znalazła. Zupełnie nic. Na piachu nie było żadnych śladów.

- Ja... - Uniosła głowę i spojrzała bezradnie na brata, który przyglądał się jej sceptycznie. - Jasna cholera! Przecież dziewczyny też to widziały!

- Więc co się z tym stało?

- Nie mam pojęcia! - Rozejrzała się wokół. Każdy skrawek ziemi zasłany był suchymi liśćmi palm i sosnowym igliwem.

Zaczęła szukać; zaglądała pod każdy palmowy liść i każdą suchą gałąź. I nic. Nigdzie ani śladu czegoś, co mogłoby przypominać czaszkę. Wtem...

- Aha! - zawołała i zaczęła szybko rozgarniać ściółkę; po chwili z piachu wyłoniła się wielka muszla.

- Masz swoją czaszkę! - prychnął Ben.

- Przestań! Przysięgam, że tu była. Brzydziłam się jej dotknąć i nie chciałam tego robić przy dziewczynach, bo były na niej resztki włosów i gnijącego mięsa.

- Wiesz co, Beth? Daj już spokój. Na twoim miejscu przystopowałbym z oglądaniem kryminałów.

Wracam na plażę.

- Ben!

- Co znowu?

- Mówię ci, że widziałam tu czaszkę! A potem przyplątał się ten facet...

- Posłuchaj mnie, Beth. Jestem prawnikiem. Owszem, bywam przewrażliwiony, ale to tylko dlatego, że codziennie widuję typy spod ciemnej gwiazdy. Do cholery, przecież wiesz, że mam broń i umiem strzelać. Proszę cię, zastanów się nad tym, co wygadujesz. Niedawno widziałaś tu jakiegoś faceta. I ludzką czaszkę, która, o ile mamy uznać ją za czaszkę, powinna być oczyszczona do nagiej kości.

Ale nie była - bąknęła, czując, że zbiera jej się na wymioty.

- Beth - tłumaczył cierpliwie - pomyśl, jaki może być związek między facetem, który dopiero co przyplłynął na wyspę, a czaszką, co do której nie ma pewności, czy rzeczywiście tu leżała? Naprawdę nie chciałbym psuć sobie weekendu, na który tak długo czekałem, więc...

Wstała z kolan i energicznie otrzepała ręce. Bez słowa skinęła głową.

- Wiem, że to twój upragniony weekend. Wiem, że chcesz poświęcić ten czas Amber. Obiecuję, że będziemy się dobrze bawili. Masz moje słowo.

Ben ruszył ścieżką w stronę plaży.

Ona jeszcze się wahała. Czuła nadciągającą noc. I szept wiatru we włosach. Czy możliwe, że jej się przywidziało?

Nie! A niech to wszystko jasny szlag! Przecież nie jest stuknięta! Widziała ludzką czaszkę. Więc, do diabła, gdzie ona się podziała? Zrobiło jej się zimno.

Ten facet ją stąd zabrał?

Czy po to przyplłynął na wyspę?

Wysoko nad jej głową, pomiędzy pióropuszcami palm, rozległy się jakieś szepty.

- Ben?!

Cisza. Rozejrzała się nerwowo i ponownie zawołała:

- Ben! Zaczekaj!!!

„Mam broń i potrafię się nią posłużyć”. Tylko czyją ze sobą zabrał? I co zrobi, jeśli się okaże, że ten drugi też ma broń i też umie pociągnąć za spust?

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Masz swojego znajomego - powiedział Ben, gdy stanęli na skraju plaży.

Spojrzała w stronę, którą jej wskazał. Rzeczywiście, to był mężczyzna, którego spotkała na polanie. Tym razem nie był sam; towarzyszyli mu dwaj kompani, brunet o wyglądzie Latynosa i rudzielec, który właśnie wbijał w piach wysoki maszt od namiotu. Wszyscy, którzy biwakowali na wyspie, przestrzegali niepisanej zasady, w myśl której należało rozbijać namioty na tyle daleko od innych, by nie naruszać niczyjej prywatności.

Rudzielec pierwszy ich zauważył. Trącił łokciem Keitha, a potem do nich zamachał. Ben odpowiedział mu tym samym.

- Nie pomachasz swojemu przystojniakowi? - zażartował.

- On nie jest mój!

- Dziewczynki były pod wrażeniem.

- Bo są młode i można im zaimponować byle czym - burknęła.

- Co się z tobą dzieje?

- Nic. Mów sobie, co chcesz, ale ja jestem pewna, że widziałam czaszkę.
- Która nagle wyparowała.
- Owszem - przyznała niechętnie. - Ja i tak wiem swoje. Na polanie leżała czaszka. I był tam ten facet. Teraz czaszki nie ma, za to koleś kręci się po plaży!
- Mogę zaraz do niego podejść i zapytać, czy ją wykopał - zaproponował Ben.
- I myślisz, że on się przyzna? - Spojrzała na niego z wyrzutem.
- Wobec tego powiedz, czego ode mnie oczekujesz?
- Tylko tego, żebyś był ostrożny.
- W porządku, będę się bał razem z tobą. A nawet bardziej niż ty.
- Ben...
- Beth, naprawdę nie lekceważę tego, co mówisz. Ale w zamian proszę, żebyś ty nie lekceważyła moich słów. Potrafię zadbać o bezpieczeństwo swojej rodziny. Nie zapominam, że mam pod opieką dwie nastolatki. Dobra, rozumiem, wystraszyłaś się i przypomniała ci się historia o zaginionym małżeństwie. Ja też o nich czytałem. I pamiętam, że ci ludzie chcieli wyruszyć w podróż dookoła świata. Sami.
- Ale zniknęli... - powtórzyła z uporem.
- Moja kochana, dorośli mają prawo zniknąć, jeśli takie jest ich życzenie.
- Ich przyjaciele byli zaniepokojeni.
- A może oni chcieli uciec od przyjaciół.
- Kto normalny robi takie rzeczy? - oburzyła się.
- Beth, proszę cię. Jest weekend, chcemy odpocząć, miło spędzić czas. Odpuść sobie, dobrze? Syknęła ze złością i obróciwszy się na pięcie, poszła do dziewczynek. Te zaś przeglądały plotkarskie pisem-

ko i zdawały się w ogóle nie pamiętać, że niedawno natknęły się na ludzkie szczątki. Ledwie jednak weszła do przedsionka, Amber uniosła głowę znad kolorowych zdjęć.

- I co z tą czaszką?

- Nie wiem. Już jej tam nie było. Dziewczyna spojrzała na nią z dziwnym wyrazem oczu.

- Myślisz, że to on ją stamtąd zabrał? - zapytała Kim.

- Ciii - uciszyła ją Amber. - On tu jest!

Beth skoczyła na równe nogi i wyjrzała na zewnątrz. Człowiek, który przedstawił się jako Keith Henson, stał obok Bena, który właśnie rozpałał ognisko.

Dwaj pozostali też przyszli: wysoki chudy rudzielec i dobrze zbudowany brunet.

Beth usłyszała, jak przedstawiają się jej bratu; a on, zamiast trzymać język za zębami, mówi im, że siostra wspominała o spotkaniu z Keithem.

Natychmiast postanowiła działać i pospiesznie wyszła spod tropiku. Dziewczyny cisnęły się za nią. Po chwili znów wymieniali nazwiska i uprzejmości.

Keith wciąż chował oczy za ciemnymi okularami, broniąc tym samym dostępu do swoich myśli.

Patrząc na jego uśmiechniętą twarz, Beth musiała przyznać, że jest niebywale przystojny i pięknie zbudowany. Lee Gomez ze swą południową urodą był również bardzo atrakcyjny, a piegowaty Mart wyglądał na fajnego chłopaka z sąsiedztwa.

- Keith mówi, że mają grill i tyle świeżych ryb, że mogliby wykarmić armię - powiedział Ben.

Posłała mu znaczące spojrzenie. Czy on naprawdę chce przyjąć zaproszenie od obcych facetów?

- Zrobiliśmy sałatkę ziemniaczaną - dorzucił Lee.



- My chyba też coś mamy? - zapytał ją Ben.
- Sałatkę - odpowiedziała za nią Amber. - Poza tym chipsy, napoje i piwo.
- Super. Rozbiliśmy się zaraz obok. Mam nadzieję, że zwabią was smakowite zapachy - zachęcał Matt.
- I co wy na to? - Ben spojrzał na nią pytająco.
- Czemu nie... - bąknęła, nie widząc innego wyjścia z kłopotliwej sytuacji.
- Na plaży po drugiej stronie wyspy spotkaliśmy kilka osób - oznajmił Keith. - Podobno was znają. Mają do nas przyjść.
- A, to pewnie Masonowie.
- Pewnie tak - mruknęła Beth. Widziała jacht należący do Hanka, noszący imię *Światło Południa*. Był piękny i efektowny. Wprawdzie wiekowy, bo liczył sobie już ponad czterdzieści lat, ale po generalnym remoncie silnika i kabiny wyglądał tak wspaniale, że w klubie często nazywaną go „wielką damą”.
- Przedstawili się, ale prawdę mówiąc, nie zapamiętałem imion. Poza Amandą - powiedział Keith. Jasne, kto by jej nie zapamiętał. Metr sześćdziesiąt wzrostu, seksowna figura w kształcie klepsydry, oczy niebieskie, włosy blond. Mało który facet mija ją obojętnie.
- Razem z nią był jakiś starszy pan i jeszcze jeden facet - dodał Lee.
- Roger Mason, jej ojciec - domyśliła się Beth.
- I pewnie Hank, ich kuzyn, właściciel jachtu - dorzucił Ben.
- Możliwe. A ten trzeci gość? Wiecie, kto to jest? - dopytywał Lee.
- Pewnie Gerald, też kuzyn - powiedziała Beth.
- Aha, więc to wszystko kuzyni? - upewnił się Matt z nadzieją w głosie.

36

- Tak - wyjaśnił Ben.

Nawet nie wychwycił podtekstu; dla niego to było normalne, niewinne pytanie, westchnęła Beth. Jej brat jak zwykle jest zbyt pochłonięty pełnieniem roli ojca.

- Niedaleko Masonów ulokowała się para młodych ludzi - ciągnął Keith. Beth znów miała wrażenie, że zwraca się bezpośrednio do niej. - Może to też wasi znajomi? On nazywa się Brad Shaw, a ona Sandy Allison.

Pokręciła głową.

- Nie, te nazwiska nic mi nie mówią - odparła, patrząc w stronę jachtów kołyszących się na lekkiej fali. Wcześniej nie zauważyła czwartego z nich, bo kotwiczył tuż za jachtem Masonów. Była to niewielka łódka klasy turystycznej, dość stara i zaniedbana; nawet z daleka widać było, że przydałoby jej się malowanie.

- Cztery łodzie - mruknęła.

- Tak czy owak, zaprosiliśmy na imprezę wszystkich bez wyjątku - oznajmił Keith.

- Fajnie - ucieszył się Ben.

- Przyjdźcie, kiedy wam pasuje - zachęcał Keith.

- Może trzeba wam w czymś pomóc? - zapytała go Amber.

Beth miała ochotę złapać ją za rękę i mocno potrząsnąć.

- Dzięki, ale mamy wszystko pod kontrolą - odparł z uśmiechem. - Ale jakbyście potrzebowali kogoś do niesienia chipsów i sałatki, dajcie nam znać.

Kiedy się uśmiechał, robiły mu się dołeczki. Beth spodobał się jego stosunek do dziewczyn. Był dla nich miły, ale nie próbował ich podrywać, jak niektórzy mężczyźni w jego wieku. Po prostu odnosił się do nich

z sympatią. I nic więcej. Powinien wydać jej się świetnym facetem. A wydawał się podejrzany.

- To co, niedługo się zobaczymy? - upewnił się Lee. - Musimy już iść, bo mamy jeszcze trochę roboty.

- Uspokoilaś się? - zagadnął ją Ben, gdy mężczyźni odeszli w stronę swoich namiotów.

Bez słowa pokręciła głową.

- Nie żartuj! Wciąż masz pietra? Beth, obiecuję ci, że nic się nie stanie. Przecież nie jesteśmy tu sami.

Będą z nami ludzie, których znamy z klubu - tłumaczył.

Masonowie rzeczywiście są ich znajomymi. Beth lubiła ich tak jak innych członków jachtklubu, którzy z reguły są miłymi i życzliwymi ludźmi.

Na ich tle Amanda Mason stanowiła niechlubny wyjątek. Całe szczęście nie bywała w klubie zbyt często. Prawdziwym miłośnikiem żeglarstwa był jej kuzyn Hank, który odziedziczył tę pasję po ojcu, pierwszym z Masonów w klubie założonym w 1907 roku. Jak głosi legenda, wszystko zaczęło się od tego, że dwaj emerytowani kapitanowie lubili spotkać się przy szklaneczce trunku. Na początku lat dwudziestych klub liczył dziesięciu członków, by w przededniu drugiej wojny światowej mieć ich niemal stu. W latach pięćdziesiątych wzrosło zainteresowanie żeglarstwem, a co za tym idzie, klubowi przybyło członków. W konsekwencji w latach siedemdziesiątych stracił swój elitarny charakter i stał się dostępny dla wszystkich. Jednak gdy w latach dziewięćdziesiątych niegdysiejsi hippisi dorobili się fortun i włożyli eleganckie garnitury, wpisowe znacznie wzrosło i jachtklub znów stał się miejscem elitarnym.

Ben odziedziczył kartę członkowską po ojcu, admirale w stanie spoczynku. Z kolei Beth, która studiowała public relations, znalazła w klubie pracę.

34

Gdyby wiedziała, że będzie miała do czynienia z osobami pokroju Amandy, pewnie zastanowiłaby się dwa razy nad przyjęciem tej posady. Amanda należała bowiem do tych aroganckich istot, które rzucają papiery na biurko i nie spojrzawszy na rozmówcę, oznajmiają, że chcą mieć to skserowane. Natychmiast. Poza tym nieustannie skarżyła się na pracowników, wytykając im najdrobniejsze

uchybień. Potrafiła być tak podła, że kiedyś dwie kelnerki, które ją obsługiwały, uciekły z płaczem i więcej nie wróciły.

Ben nigdy nie nadskakiwał Amandzie; co więcej, zdawał się być odporny na jej zaczepny, zmysłowy urok. Niestety, był równie obojętny na jej chamskie wyskoki.

Beth doskonale wiedziała, że nie ma sensu skarżyć się na Amandę. Gdyby zaczęła ją krytykować, Ben na pewno uznałby to za przejaw kobiecej zazdrości.

- Cieszę się, że spotkamy się z Masonami - powiedziała bez przekonania.

- Akurat! Zwłaszcza z Amandą - prychnęła Amber, strojąc miny.

- A czego ty znów od niej chcesz? - Ben znacząco wzniósł oczy ku niebu.

- Tato, przecież to straszna suka.

- Amber! Czy ty się nie zapominasz?

- No co? Przecież nie użyłam żadnego brzydkiego słowa.

- Na przykład takiego na k... albo jeszcze gorszego - przysła jej w sukurs Kimberly.

- Beth, dlaczego nic nie mówisz? - zirytował się Ben.

- A co mam mówić? Dziewczyny nazywają rzeczy po imieniu - odparła, wzruszając ramionami.

- Nie podoba mi się taki język - oznajmił Ben karcącym tonem.

- Amber, twojemu ojcu nie podoba się taki język. Więc go nie używaj - wyrecytowała Beth.
  - Nie ma sprawy. Panna Mason to chamska, wyrachowana żmija i manipulantka. Tak jest lepiej? - zapytała słodko Amber.
  - Z cyckami jak balony - dodała Kimberly.
  - Kim... - zawołał oburzony Ben.
  - Przepraszam - bąknęła, ale nikt nie miał wątpliwości, że ani trochę nie żałuje swoich słów.
  - Macie się zachowywać przyzwoicie - nakazał, i dla wzmocnienia efektu podniósł do góry palec.
  - A jakżeby inaczej - mruknęła Beth. - W końcu Amanda jest dla mnie zawsze taka miła...
- Ben zgrzytnął zębami, a potem z rezygnacją machnął ręką i wszedł do swojego namiotu.
- Może nowe towarzystwo przypadnie ci bardziej do gustu - burknął na odchodnym.

Na to akurat bym nie liczyła, pomyślała Beth.

Co prawda wybierali się tylko na ognisko, ale Beth postanowiła narzucić na kostium plażową sukienkę. Dziewczyny zrobiły to samo. Potem wyładowali turystyczne lodówki z napojami i piwem, i wspólnymi siłami zataszczyli je na miejsce spotkania. Nie byli pierwszymi gośćmi; tuż przed nimi przyszli Sandy Allison i Brad Shaw. Masonów jeszcze nie było.

Sandy była popielatą blondynką o pięknych bursztynowych oczach. Była sporo niższa od swojego towarzysza, dość wysokiego blondyna, który nie zdążył jeszcze przebrać się z kąpielowych bokserek i koszulki do surfingu. Obydwoje sprawiali wrażenie otwartych i sympatycznych młodych ludzi z Kalifornii.

- Pochodzimy z zachodniego wybrzeża, ale bardzo nam się tu podoba - zapewniał Brad. - Zwłaszcza

40  
kiedy nurkujemy. Chwilami żałuję, że nie możemy zostać tu na zawsze.

- Jest cudownie! - westchnęła błogo Sandy, obejmując Brada w pasie. - Widzieliśmy miejsca, gdzie rafa sięga prawie do samej plaży.

- Co stanowi ogromne zagrożenie dla statków. W każdym razie kiedyś stanowiło - zauważył Keith, podając Bradowi piwo. - Na szczęście mamy dziś świetne mapy.
  - Cóż, od lądowania pierwszych Europejczyków minęło parę ładnych lat - zauważyła Beth półgłosem. Keith rzucił jej ostre spojrzenie. Wreszcie zdjął ciemne okulary, mogła więc w końcu zobaczyć jego oczy. Powinna się była domyślić, że będą właśnie takie. Tak ciemne, że niemal czarne, a przy tym aksamitne, obrysowane gęstymi czarnymi rzęsami, które podkreślały kontrast pomiędzy nimi a płową czupryną.
  - Niewielu statkom udało się te rafy wyminąć - mruknął i wrócił do przerwanej rozmowy: - Na szczęście jacht Lee jest wyposażony w świetny sprzęt do nawigacji, więc nie musimy się niczego obawiać.
  - Czy dobrze rozumiem, panie Henson, że nie jest pan doświadczonym żeglarzem? - To miało być neutralne pytanie, jednak Beth zdała sobie sprawę, że zabrzmiało jak początek przesłuchania.
  - Wręcz przeciwnie. Sporo pływam. To przypadek, że tym razem przy płynęliśmy łodzią Lee. Ciekawe skąd? - pomyślała i zanim zdążyła zastanowić się, czy wypada być tak dociekliwą, zapytała:
    - A tak w ogóle to skąd jesteście?
- Lee spojrzał na Matta, potem na Bena. Wreszcie wzruszył ramionami i powiedział:
- Każdy z innego miejsca na mapie. Ja na przykład urodziłem się tutaj.

- Na tej wyspie?
  - W Vero Beach.
  - A ja jestem rodowitym jankesem z Bostonu -powiedział Matt.
  - Fajne miasto - pochwaliła Beth, po czym spojrzała wyczekująco na Keitha.
  - Wirginia - rzucił lakonicznie.
  - A jednak musicie dobrze znać ten rejon, skoro tu przyплыnęliście - stwierdziła. - Popularne przewodniki nie wspominają o Calliope Key.
  - Mówiłem przecież, że pochodzę z Vero Beach - przypomniał Lee. - Tubylcy bardzo dobrze znają to miejsce.
  - Ale my biwakujemy tu pierwszy raz - zaznaczył Keith.
  - A skąd się znacie? - Beth nie mogła powściągnąć ciekawości, która kazała jej sondować dalej. - Pracujecie razem?
  - Nurkujemy razem - wyjaśnił Keith. - O, proszę. Są wasi znajomi.
- Bez względu na swoją opinię o Amandzie, Beth musiała przyznać, że Masonowie stanowią atrakcyjną grupę. Roger, któremu dawno już stuknęła pięćdziesiątka, wciąż miał sylwetkę atlety i, jak głosiła plotka, w nocnych klubach bez kompleksów rywalizował z chłopakami, dla których mógłby być ojcem. Hank i Gerald, obaj jasnowłosi i błękitnoocy, również byli atrakcyjnymi mężczyznami.
- Ben! - Amanda włożyła w swój okrzyk tyle uczucia, jakby witała się z dawno niewidzianym członkiem najbliższej rodziny. Oczywiście nie przyszło jej do głowy, by czymkolwiek się okryć; nadal paradowała w skąpym bikini. Ze stringami. Rozpuszczone blond włosy opadały jej na ramiona perfekcyjną złotą kaskadą.
- 38
- Ta baba jest amoralna - syknęła Amber.
  - Delikatnie mówiąc! - wtórowała jej Kim.
  - Ale przyznacie, że jest w tym dobra - szepnęła Beth.

Podczas gdy Amanda wylewnie witała się z Benem, Hank uśmiechnął się ponad jej głową do Beth i dziewczyn.

- Cześć! - zawołał, i widać było, że naprawdę cieszy się ze spotkania.

- Cześć, Beth. Pamiętasz naszego kuzyna Geralda? - Amanda w końcu zaszczyciła ją swoją uwagą.

- Oczywiście - odparła, nadstawiając policzek do powitalnego całusa od Hanka.

- Ależ ten świat jest mały! - rzucił mało oryginalnie Gerald, wymieniając z nią uścisk dłoni.

- Czyja wiem? W końcu nie jesteśmy zbyt daleko od domu - przypomniała.

- Racja! - odparł ze śmiechem. - Amber, dziewczyno, ty rośniesz jak na drożdżach! Jak mnie przerośniesz, wpadnę w kompleksy. A to... No nie! Nie mówcie mi, że to Kimmy?!

- Kim - poprawiła go.

- Oczywiście, Kim - powtórzył z powagą

- Wszyscy chcą rybę? - dopytywał się tymczasem Keith. - Bo jak nie, to mamy jeszcze hot dogi i hamburgery, w specjalnej ofercie dla szczerów lądowych.

- Dla mnie hot dog! - zastrzegła Kim i pierwsza podeszła do grilla, znad którego roznosiły się smakowite zapachy.

Amber dołączyła do koleżanki, zostawiając Beth w towarzystwie dorosłych.

- Miło cię widzieć, Beth. - Amanda posiała jej sztuczny uśmiech. - Masz wolny weekend? - zapytała, udając zaskoczoną.



- Tak, wyobraź sobie, że mam.

Na twarzy Amandy pojawił się wyraz dezaprobaty.

- No wiesz?! Tak w pełni sezonu? Wydawałoby się, że powinnaś mieć teraz mnóstwo pracy.

Widocznie klub to już samograj, ale i tak jestem zaskoczona, że komandor cię puścił. W końcu miło mieć w zasięgu wzroku taką ładną buzię.

- Komandor da sobie radę - odparła Beth jak najmiłszym tonem. - Poznałaś już Sandy i Brada?

- Tak, ale jeszcze z nimi nie rozmawiałam. Beth uznała, że ma dość, i postanowiła dyskretnie się wycofać. Co było o tyle trudne, że jedyna droga odwrotu wiodła obok grilla. Gdyby chciała go obejść, musiałaby pójść przez las. Już prawie udało jej się przemknąć, gdy dostrzegła ją Amber.

- Ciociu, zobacz, co oni tu mają. Pycha, mówię ci! - zawołała, łapiąc ją za rękę.

Zatrzymała się więc i z wątlym uśmiechem na ustach patrzyła, jak Keith z wprawą przerzuca na ruszcie kawałek ryby.

- Ale super! - zawołała Amber, lecz słysząc było, że jej entuzjazm jest trochę naciągany.

- Może jednak wolisz hot doga? - zapytał Keith.

- Widzę, panowie, że jesteście przygotowani na wszelkie okoliczności - podsumowała Beth, wskazując mrożonego hot doga. Czowała, że jest w potrzasku, uwięziona między nim a bratanicą. W dodatku Keith był tak blisko, że prawie się dotykali.

- Tylko nie myśl, że nie potrafię, to znaczy, że nie potrafimy przetrwać w spartańskich warunkach. Chyba jednak przyznasz, że odrobina wygody jeszcze nikomu nie zaszkodziła - stwierdził lekko, podnosząc wzrok znad grilla. Zachodzące słońce prawie dotykało linii horyzontu i w gęstniejącym mroku jego oczy

44

wydawały się niemal czarne. W ich wyrazie było coś, co nasunęło jej przypuszczenie, że Keith odnosi się do niej tak samo nieufnie, jak ona do niego.

- A ja i Kim mamy namiot z dwoma sypialniami! - pochwalila się Amber.

- Nie nazwałabym tych klitek sypialnią - zauważyła Beth z przekąsem.
  - Ja mam najprostszą jedynekę, ale kiedy leje i wieje, to prawdziwy luksus - zauważył Keith. - Zresztą i tak najbardziej lubię spać pod gołym niebem i gapić się w gwiazdy.
  - Super! - westchnęła Amber.
  - Hej, wiesz, że ojciec nigdy się nie zgodzi, żebyś nocowała na plaży! Siusiu, paciorek, namiot i własny śpiworek, jasne?! - Beth natychmiast ostudziła jej zapał.
- Zauważyła, że Keith ściąga usta, próbując ukryć uśmiech. Przeraziła się, że przestaje panować nad emocjami. I to się rzuca w oczy.
- Amber?! - zawołał Ben.
  - Już idę, tato! - odkrzyknęła i pobiegła do niego.
  - Jak to jest z tymi waszymi namiotami? Zamykacie je na noc na kłódkę? - zagadnął uszczypliwie Keith.
- Zaczerwieniła się, ale spojrzała mu zaczepnie w oczy.
- Nie znamy was - rzuciła oskarżycielsko. Uśmiech, który próbował stłumić, przerodził się w sarkastyczny grymas, pogłębiając dołeczki na jego policzkach.
  - A Sandy i Brada znacie?
  - Nie, ale to nie są trzej obcy faceci.
  - A nie boisz się, że dosypałem do jedzenia trutki na szczury?

- O tym nie pomyślałam. Błąd. Może powinnam - odparowała ze złośliwym uśmiechem.

- Auć! To był cios poniżej pasa. Jeśli chcesz, mogę zjeść kawałek twojej porcji.

- Dzięki. Lubię ryzyko.

Najpierw spojrział przed siebie, potem na nią.

- Często tu bywasz?

- Tak. Ale tak się jakoś złożyło, że w tym roku jesteśmy tu pierwszy raz.

Nie miała pojęcia, dlaczego tak się płacze ani po co się tłumaczy. A jednak nie potrafiła przestać.

- W tym roku spędziliśmy wakacje na Bahamach. Zwykle przyrywamy tu na ostatni weekend przed rozpoczęciem roku szkolnego, ale tym razem jakoś nam nie wyszło. A ty, jak się tu znalazłeś?

- Setki razy nurkowałem w tym rejonie - odparł, wracając do grillowania - ale nigdy nie byłem na tej wyspie.

- Myślałam, że to twój kolega pochodzi z tych stron - zauważyła czujnie.

- Zgadza się. Lee zna te wody najlepiej, aleja też tu nieraz byłem. Tyle że nie na wyspie.

- I co się takiego stało, że akurat teraz tu jesteś? Uniósł brwi. Pomyślała, że nie spieszy się z odpowiedzią. Wręcz z nią zwleka.

- Czy ja wiem? - Roześmiał się, żeby zyskać na czasie. - Wyspa tak się jakoś nam napatoczyła.

- Przyplłynęliście tutaj, żeby nurkować, tak? Czy żeby łowić ryby?

- Przecież widzisz, że nie próżnowaliśmy - zażartował, skinąwszy głową w stronę grilla.

- Ale generalnie macie zamiar nurkować?

- A co? Czyżby to było nielegalne? - Błysk w jego oczach zdradzał rozbawienie.

42

- Nie żartuj!

- Uwielbiam nurkowanie - wyznał, a ona wyczuła, że tym razem jest z nią szczerzy i pierwszy raz niczego nie udaje.

Nagle przemknęło jej przez myśl, że niesłusznie go podejrzewa. Może Ben miał rację, mówiąc, że czaszka znaleziona w lesie to jeszcze nie powód, by odsądzać od czci i wiary człowieka, który akurat tamtędy przechodził. Mimo tych racjonalnych argumentów nie potrafiła jednak pozbyć się nieufności. Czowała przez skórę, że Keith stanowi zagrożenie. Z co najmniej kilku powodów.

- Przepraszam, wezmę, sobie piwo - bąknęła, szukając pretekstu do zakończenia rozmowy.

Ogarnęła ją przemożna chęć ucieczki. Chciała go ominąć, ale ze zdenerwowania wykonała niezdarny ruch i niewiele brakowało, a byłaby na niego wpadła. Na szczęście utrzymała równowagę, ale musiała się lekko o niego oprzeć. Ze zdumieniem poczuła, jak pod jej dotykiem Keith spina się, prężąc mięśnie jak przed ciosem.

- Przepraszam - mruknęła i czym prędzej odeszła. Była jednak tak skonsternowana, że zapomniała o swojej wymówce i minęła lodówkę z napojami. Na szczęście w porę się zreflektowała i jak niepyszna wróciła po piwo.

Z butelką w dłoni dołączyła do Bena, który rozmawiał z nowo poznaną parą. Sandy i Brad z przejęciem opowiadali o nurkowaniu na Wielkiej Rafie Koralowej. Beth z żalem musiała przyznać, że nigdy tam nie była.

Za to Amanda chętnie dorzuciła swoje trzy grosze, rozwodząc się nad urodą tego niezwykłego miejsca.

- Szkoda tylko, że lot trwa tak długo. To bardzo męczące - westchnęła Sandy.

- Och, ja przeżyłam niezapomnianą podróż -szczebiotała Amanda. - Wraz z kilkoma partnerami biznesowymi ojca wypłynęliśmy w kilkumiesięczny rejs i odwiedziliśmy tryliony wysp i wysepek. Na koniec przyплыliśmy do Australii. Mnie najbardziej podobało się na Fidżi, chociaż muszę przyznać, że na Tahiti też było cudownie. Mieszkaliśmy w ślicznej małej chatce na plaży i podziwialiśmy przepiękne wschody i zachody słońca.

- Wystarczy, że jutro bladym świtem wypełniemy z namiotów i też zobaczymy podobne cuda - wtrącił Keith, podchodząc do nich z talerzem pieczonej ryby. - W tych stronach słońce też pięknie wschodzi - dodał, uśmiechając się do Amandy. Uwodzicielsko? A może pojednawczo, by nie poczuła się urażona sugestią, że nie docenia urody swego kraju.

- Aleja też uważam, że tu jest pięknie. - Amanda uśmiechnęła się znacząco do Beth. - Trzeba umieć się tym cieszyć, zwłaszcza gdy nie można wybrać się gdzieś dalej.

Beth odpowiedziała słodkim uśmiechem, który nijak miał się do jej rzeczywistych pragnień; miała bowiem ochotę wywalić na głowę blond Wenus topniejący lód z turystycznej lodówki.

- Podano do stołu! - zawołał Matt, wskazując rozkładane krzeselka i koce rozłożone na piasku. Ci, dla których nie starczyło miejsca, mieli do dyspozycji wykrzywione pnie palmy. Beth wybrała właśnie takie naturalne siedzisko. Po chwili przysiadł się do niej Hank, ale nie zagrzał długo miejsca; wezwany przez Amandę, posłusznie poszedł po coś do picia. Jego miejsce zaraz zajął Keith.

Beth zastanawiała się, czy przypadkiem nie czekał na dogodny moment, by się do niej zbliżyć. Trochę ją

48

dziwiło, że szukał jej towarzystwa, mając pod ręką Amandę. Nie miała kompleksów, jednak...

Amanda Mason jest mistrzynią flirtu. I wyjątkowo uwodzicielską kobietą.

- Więc pracujesz w klubie żeglarskim, tak? - zagadnął.

- Tak. - Zrobiła nieokreślony gest ręką. - Ja w nim pracuję. Oni do niego należą.

- Czyżbyś była jedną z tych biednych bogatych dziewczynek, która z nudów znalazła sobie zajęcie?

Pokręciła głową.

- Lubię tę pracę. Nie nudzę się tam. - Zawahała się, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego czuje się zobligowana do wyjaśnień. - Mój brat należy do klubu, więc gdyby nie to, że jestem tam zatrudniona, mogłabym korzystać ze wszystkich przywilejów związanych z członkostwem. Ale i tak nie narzekam. Dobrze zarabiam i mam darmowe miejsce na przystani, a ponieważ nie mam własnej łodzi, korzysta z niego Ben. Poza tym mogę obejrzeć z bliska najpiękniejsze i najbardziej luksusowe jachty. I poznać przemiłych ludzi, bo żeglarze zwykle tacy są. Oczywiście nie wszyscy.

- Nie wszyscy? - Uśmiechnął się domyślnie.

- Nie - powtórzyła, ucinając temat. Martwiło ją, że jej niechęć do Amandy stała się tak widoczna, iż dostrzega ją nawet obcy człowiek.

- Wierzę, że praca związana z żeglarstwem jest ciekawa i przyjemna - powiedział. - Niektórzy właściciele jachtów to prawdziwi krezusi, ale nikt o tym nie wie, bo nie obnoszą się ze swoim bogactwem. Z kolei inni są biedni jak myszy kościelne, a i tak każdy grosz wydają na swoją pasję. Ci oczywiście też są miłymi ludźmi. Ale nie miej złudzeń. Morze budzi w ludziach demony.

Spojrzała na niego zaskoczona, ale on już wstawał, by dołączyć do grupy zebranej przy ognisku.

Próbuje ją przed czymś ostrzec? Może przed samym sobą.

Zgasły ostatnie promienie słońca, a wraz z nimi znikła wspaniała feeria barw; intensywne szafiry i przetykane złotem fioleły zbladły. Zapadł zmierzch.

W oddali pojawiła się delikatna luna bijąca od światła gęsto zaludnionego południowego wybrzeża Florydy. Za to wyspa tonęła w gęstym mroku; ich ognisko było jedynym jasnym punktem w absolutnej ciemności. Zarośla rysowały się smoliście czarną kreską na tle granatowego nieba, w wysokich koronach sosen i pióropuszcach palm szumiał wiatr.

- Hej, Keith, dziewczyny chcą usłyszeć jakąś historię o duchach! - zawołał Lee.

- Nie o duchach, tylko o piratach - sprostowała Amber.

- Piraci od dawna są duchami - zauważył Ben.

- Przynajmniej większość z nich - dodał Keith, zbliżając się do ogniska. - Współcześni piraci mają się całkiem dobrze i można ich spotkać w wielu zakątkach świata.

- Niestety - westchnęła Amanda, drżąc z zimna. Jej miniaturowe bikini nie chroniło jej przed wiatrem, który nawet na tropikalnej wyspie bywa nocą dość chłodny. Keith zauważył, że zmarzła, zdjął więc koszulę i zarzucił jej na ramiona. Podziękowała mu pięknym uśmiechem.

Odwzajemnił się tym samym.

Jego zachowanie wynikało ze zwykłej uprzejmości, a jednak zirytowało Beth. Czowała, że przesadza, lecz najbardziej denerwowało ją, że pozwala, by ktoś tak beznadziejny jak Amanda psuł jej humor. Na wszelki wypadek schyliła głowę, by na nią nie patrzeć.

46

- No to jak? Chcecie usłyszeć starą legendę o piratach? - zapytał Keith.

Nie został obok Amandy, tylko wysunął się na środek i usiadł w kucki przy ognisku. Beth nurtowało pytanie, czy przypadkiem nie zrobił tego specjalnie; może wie, że w ciepłym blasku ognia jego klasyczne rysy prezentują się jeszcze lepiej.

- Opowiem wam o dwóch wspaniałych żaglowcach, z których jeden nazywał się *Sea Star* i był statkiem brytyjskim, a drugi nosił imię *La Doña* i pływał pod hiszpańską banderą. *Sea Star* wypłynął z Londynu w roku pańskim tysiąc siedemset dwudziestym piątym i udał się w rejs pod dowództwem dzielnego kapitana, który był wiernym poddanym jego królewskiej mości. Anglia i Hiszpania nie żyły wówczas w przyjaźni i rywalizowały o dominację na morzu. Kapitan Pierce, bo tak nazywał się dowódca Anglików, postanowił przejąć hiszpańską fregatę wyładowaną złotem z Nowego Świata. Kapitan Pierce nie płynął sam. Miał na pokładzie grupę szlachetnie urodzonych pasażerów, wśród których była lady Marianne Howe, córka gubernatora jednej z małych wysp. Kapitan nie wiedział jednak o tym, że gdy rok wcześniej statek, którym płynęła lady Marianne, osiadł na mieliźnie, rozbitków podjął hiszpański żaglowiec dowodzony przez przystojnego kapitana Alonza Jimeneza. I choć nikomu włos nie spadł z głowy, a młody Hiszpan przekazał rozbitków gubernatorowi Wirginii, nie żądając w zamian żadnej nagrody, spotkanie Marianne i Alonza nie mogło zakończyć się szczęśliwie. Nie dość bowiem, że kapitan był Hiszpanem, to jeszcze w jego żyłach nie płynęła ani kropla błękitnej krwi.

Marianne się tym nie zrażała i przez rok potajemnie



utrzymywała kontakt z ukochanym, wymieniając z nim miłosne listy. Była gotowa zrezygnować dla niego ze swego tytułu, zrzec się majątku i zerwać wszelkie rodzinne więzi. Zakochani umówili się, że Alonzo będzie czekał na Mariannę u wybrzeży Calliope Key. Tu właśnie, w jednej z zatok, miał ukryć swój statek...

- Na Calliope Key? Na naszej wyspie? - odezwała się przejęta Kim.

- A gdzież by indziej?! Co by to była za historia o duchach, gdyby rzecz nie działa się właśnie tutaj? - odparł Keith, uśmiechając się lekko.

Jego głęboki, miły dla ucha głos był wprost stworzony do snucia gawęd przy ognisku. Beth musiała przyznać, że oczarował ją i urzekł w takim samym stopniu jak pozostali słuchacze.

- Ale jazda! - szepnęła przejęta Amber.

Beth zerknęła ukradkiem na bratanicę. Odkąd pamiętała, dziewczyna bez mrugnięcia okiem wytrzymywała na najstraszniejszych horrorach. A teraz wpatrywała się w Keitha szeroko otwartymi oczami. A on, trzeba mu to uczciwie przyznać, umiał zajmująco opowiadać. Oświetlony czerwoną poświatą ognia, chwilę milczał, podsycając ciekawość słuchaczy.

- Mów dalej! - ponaglił go Ben.

- Cóż, młodzi kochankowie nie chcieli narażać nikogo na niebezpieczeństwo. Mariannę, która była świetną pływaczką, postanowiła więc wyczekać na moment, aż *Sea Star* znajdzie się możliwie blisko wyspy i wtedy wskoczyć do morza. Chciała dopłynąć do brzegu i tam zaczekać na swego ukochanego. Miała nadzieję, że zanim ktoś zorientuje się, że nie ma jej na pokładzie, żaglowiec będzie daleko.

Pech chciał, że gdy Mariannę realizowała swój

48

śmiały plan, kapitan Pierce postanowił wysłać swych ludzi na zwiady. Mariannę właśnie dopływała do brzegu, gdy szpiedzy, którzy poruszali się małymi łódkami, donieśli kapitanowi, iż widzieli w pobliżu wyspy hiszpański statek. Kapitan kazał załadować działa. W tym czasie Alonzo wiosłował w stronę brzegu, tego samego, na którym płonie nasze ognisko. I dokładnie w chwili, gdy spotkał się z

Marianne, huknęły brytyjskie armaty. Rozpętała się zacięta bitwa, a nieszczęsny Alonzo ze złamanym sercem patrzył, jak jego druhowie mężnie walczą... i giną. Jego statek, *La Doña*, poszedł na dno. Wielu członków załogi usiłowało schronić się na wyspie, lecz Anglicy wybili ich, nim zdążyli tam dopłynąć. Mariannę błagała Alonza, żeby się gdzieś skrył, ale on był nieustraszony. Ledwie kapitan Pierce postawił nogę na wyspie, wyzwiał go na pojedynek. Skrzyżowali szpady z takim impetem, że aż poleciały skry. Po chwili broń Anglika poszybowała w powietrze. Kapitan Pierce został pokonany, jednak Alonzo darował mu życie. W zamian poprosił o łódź, którą chciał z Marianną odpłynąć. Niestety, kapitan Pierce nie okazał wdzięczności wobec Hiszpana, który wspaniałomyślnie odstąpił od zadania ostatniego ciosu. Kazał swym ludziom schwytać go i powiesić. Mariannę wpadła w rozpacz; nie pojmowała, jak jej rodak może być człowiekiem całkowicie pozbawionym honoru. Na jej oczach marynarze zaciągnęli Alonza do lasu, kapitan zaś zaczął ją pocieszać. Oznajmił, że niebawem zapomni o Hiszpanie, gdyż odtąd to on, kapitan Pierce, będzie jej kochankiem i mężem. Mariannę zdecydowanym ruchem otarła łzy, a potem ruszyła w jego stronę. Pierce był pewien, że za chwilę rzuci mu się w ramiona, ona jednak błyskawicznie wyciągnęła mu zza pasa pistolet

i powaliła go jednym strzałem. Niestety, dla jej ukochanego nie było już ratunku. Zawisł w chwili, gdy na plaży huknął strzał. Przed śmiercią zdążył jeszcze wyszeptać jej imię. A ona, gdy zobaczyła, co się stało, strzeliła sobie prosto w serce.

I wtedy nastąpiło coś niezwykłego. Legenda głosi, że statek Anglików zakołysał się i zaczął odpływać w stronę otwartego morza. Marynarze byli tak zdumieni i przerażeni, że nim się opamiętali i wsiedli do swych łodzi, minęło sporo czasu. Ruszyli w pogoń za *Sea Star*, jednak nikt nigdy więcej nie widział ani żaglowca, ani jego załogi. Powiadają, że czasem nocą ukazuje się statek widmo i na pełnych żaglach pruje fale. A potem niknie wśród chmur lub rozplywa się we mgle.

- Ojej... - jęknęła Sandy.

- A co z Mariannę, Alonzem i kapitanem Pier-ce'em? - dopytywała Amber.

- Jak to co? Straszą na wyspie! - odparł Keith. - Nocą, kiedy słyszysz, jak wiatr wyje i szumi wśród palm, tak naprawdę słyszysz ich głosy. Bo to nie wiatr tak jęczy, tylko ich nieszczęsne dusze, które zostaną tu na wieczność.

- Jezu! - wykrztusiła Kim.

Skruszony Keith spojrział przeproszająco na Bena. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że chyba trochę przesadził.

- Boisz się? - zapytała Kim.

- No co ty? Żartujesz?! - obruszyła się Amber, ale jej głośny śmiech zabrzmiał trochę sztucznie. - Sandy, a ty się boisz?

- Nocować na wyspie nawiedzanej przez duchy? Nie. Przecież rozbiliśmy się blisko siebie. Chociaż przyznam, że wolałabym, żeby nasz namiot stał gdzieś w środku, a nie na końcu.

54

- Nie ma się czego obawiać - zapewniła ją Amanda.

- A ja to się nawet cieszę, że tu straszy - oznajmił Brad. - Jestem pewien, że Sandy będzie się dziś do mnie mocno przytulała.

- O Boże! - jęknęła nagle Amber.
  - Co się stało? - zaniepokoił się Ben.
  - Tato... przecież mogliśmy dziś znaleźć jedno z nich. No wiesz, tego ducha!
  - Spokojnie, to tylko legenda - uspokajał Keith. -Chciałyście historię o duchach...
  - Nie, nie... my naprawdę widziałyśmy dziś ludzką czaszkę. W każdym razie tak nam się zdawało - tłumaczyła zaaferowana Amber.
  - Dziewczyny, przestańcie wygadywać głupstwa!
  - zirytował się Ben. - To nie była żadna czaszka, tylko duża muszla. Proponuję, żeby skończyć na dziś z duchami, dobrze?
- Beth z całej siły zacisnęła zęby; przez jej twarz przebiegł grymas. Nie chodzi o to, że Ben się ciągle złości. Nagle ogarnął ją lęk, jakiego nigdy dotąd nie czuła. Dotarło do niej bowiem, że dziewczyny wygadały się przy wszystkich.
- A przecież wśród tych ludzi może być ktoś, kto z sobie tylko znanych powodów zabrał czaszkę z lasu. Z pewnością zrobił to w jakimś celu. Miał motywy, których nie wolno ignorować.
- Łatwo dać się ponieść wyobraźni, zwłaszcza tutaj
  - powiedział Mart lekkim tonem. - Zareczam, że nie ma tu żadnych duchów.
  - Podobno w każdej legendzie jest odrobina prawdy. Poza tym wszyscy wiedzą, że akurat w tych wodach zatoneło wiele statków. Założę się, że to wszystko wydarzyło się naprawdę. A Keithowi opowiedział o tym jakiś duch - wtrąciła Amber.

- Teraz dopiero zaczynam się bać - przyznała Sandy i lekko się wzdrygnęła.  
- Dzięki, dziewczyny, robicie mi wielką przysługę! Tak trzymać. Powiedzcie coś jeszcze! - zawołał wesoło Brad. Chciał obrócić wszystko w żart, bo zauważył, że dziewczyny naprawdę się boją.  
- Zdaje się, że nasza wyspa leży w Trójkącie Bermudzkim - rzekła Amanda, wstając. - Na szczęście nie jestem przesadna i nie wierzę w żadne duchy.  
- Przeciągnęła się, pozwalając, by koszula Keitha zsunęła się z niej na piasek. Podniosła ją bez pośpiechu, po czym podeszła do Keitha, zmysłowo kołysząc biodrami. - I wy się też niczego nie bójcie - odezwała się słodko. - Przecież jest z nami tylu przystojnych, dobrze zbudowanych mężczyzn. Jak będzie trzeba, na pewno nas obronią. A teraz dobranoc, śpijcie dobrze.  
Jej ojciec i kuzyni również wstali i zaczęli się żegnać. Pozostali zrobili to samo. Śmiejąc się i żartując, życzyli sobie spokojnej nocy i umawiali się na rano.  
Beth milczała przez całą drogę powrotną.  
- Ciociu, boisz się duchów? - zagadnęła ją Amber.  
- Nie.  
- No to czego się boisz? - drażyla.  
- Żywych - odparła cicho, patrząc znacząco na brata.  
Ten zaś westchnął i pokręcił głową.  
- Nie tylko kapitan Pierce wiedział, do czego służy broń. Jak będzie trzeba, nie zawaham się po nią sięgnąć. I nie pozwolę, żeby ktoś zrobił nam krzywdę  
- zapewnił.  
Parę minut później byli już w namiotach. Ustawili je tak, żeby dwójka dziewczyn stała pomiędzy ich jedynekami.

52

Amber i Kim tak długo nie wyłączały latarki, aż Beth w końcu zaczęła się martwić, czy do końca pobytu starczy im baterii. Słyszała ich śmiechy i domyśliła się, że pewnie straszą się nawzajem.

Leżała w ciemności, myśląc o tym, że lęk przed mrokiem, cieniem, odgłosami nocy i wiatru jest wpisany w ludzką naturę.

Ona też odczuwała niepokój, który nie miał nic wspólnego z legendą, którą opowiedział Keith. Musiała przyznać, że mówił wyjątkowo ciekawie, idealnie trafiając w nastrój chwili. Słuchała go z przyjemnością, ale wcale się nie bała. Bez przesady! Kto by się bał głupiej - choć smutnej - historyjki o duchach? A jednak... dręczył ją lęk.

W końcu zdołała zasnąć, i nawet coś jej się śniło. W tym śnie przeplatały się różne niewyraźne wizje, przemieszane z fragmentami rozmów. Właściwie tylko jeden z tych obrazów był bardzo realny - ujrzała w nim piękną dziewczynę w osiemnastowiecznej sukni, a obok niej przystojnego Hiszpana i kapitana królewskiej marynarki ze szpadą w dłoni...

Kapitan - bardzo męski, uderzająco przystojny, intrygujący, miał dziwnie znajomą twarz... Keitha Hensona. Jak na złość, nawet we śnie piękna lady wyglądała jak Amanda.

Śniąc o tragicznych bohaterach, Beth kręciła się niespokojnie, a w jej głowie, jak w kostiumowej sztuce, rozwijały się kolejne sceny, zupełnie jakby niewidzialny reżyser co chwila krzyczał: „cięcie!”. Nagle usłyszała, że wzmaga się wiatr i bujna roślinność zaczyna głośno szeleścić. Obudziła się przerażona. Z dłońmi lepкими od potu, choć zimnymi jak lód.

To tylko sen, odetchnęła.

Po chwili przekonała się, że nie tylko.

Gdzieś blisko coś zaszurało. Ktoś się skrada, przedziera po omacku przez gęste zarośla. Piraci rzeczywiście upodobali sobie kiedyś tę wyspę. Hiszpańskie galeony naprawdę były wyładowane złotem. A zatem czy to, co usłyszeli od Keitha, to była tylko legenda? Przecież ludzka natura jest niezmienna. Piraci nadal rabują. Beth nie bała się przeszłości. Po co miała jej się bać, skoro teraźniejszość bywa o wiele groźniejsza? Ten, kto się teraz skrada, na pewno nie jest duchem. Tylko żywym człowiekiem. Z krwi i kości.

## **ROZDZIAŁ TRZECI**

Nocne podchody.

Ktoś na tej wyspie urządza sobie jakieś zabawy. Niewinne i niegroźne? Jak na przykład tropienie śladów legendy?

Czy o wiele bardziej niebezpieczne? Takie, w których stawką jest życie lub śmierć?

Keith bezszelestnie uniósł się i wsparty na łokciu, uważnie nasłuchiwał, próbując ustalić, skąd dobiega hałas. Wiał dość silny wiatr, więc dominującym dźwiękiem był szum drzew, jednak on potrafił wyłowić z naturalnych odgłosów nocy te, które wydały mu się podejrzane.

Ten, kto wybrał się na nocną wycieczkę, nadszedł od strony plaży. Chrzęst ściółki i szelest rozgarnianych gałęzi zdradziły, że wszedł do lasu. Po to, żeby szukać czaszki?

Czy po coś zupełnie innego? Keith nie był pewien, czy dobrze zrobił, opowiadając historię o duchach. Miał w tym jednak swój cel; chciał zobaczyć, jak zareagują słuchacze. Niestety, eksperyment się nie powiódł. Dowiedział się jedynie, że wszyscy dali się łatwo wystraszyć.

Czy możliwe, żeby stał się mimowolnym sprawcą tych nocnych manewrów?

Ostrożnie wyczołgał się z namiotu i spojrzął na jasną plamę plaży. Gdzieś przed nim znów zaszeleściły liście. A potem w ciemności błysnęła latarka; widocznie nocny wędrowiec - lub wędrowcy - uznał, że odszedł wystarczająco daleko, by nie zostać zauważonym.

Keith był mu głęboko wdzięczny, że postanowił trochę sobie poświecić. Przynajmniej miał pewność, że nie tropi nocnego zwierzęcia, które wyruszyło na Iowy. Podążył za światłem, instynktownie przyspieszając kroku.

Plaża zostawała coraz dalej w tyle.

Przez kilka nieskończenie długich sekund paraliżujący strach nie pozwalał Beth wykonać najmniejszego ruchu. Jednak instynkt nakazujący chronić dziewczynki okazał się silniejszy niż fizyczna niemoc. Zapominając o ostrożności, wyskoczyła z namiotu i...

Nic. Ani żywego ducha. Tylko cichy szum fal łagodnie uderzających o brzeg i szelest palm. Zastygła w bezruchu i wyętzając słuch, uważnie rozejrzała się dokoła.

Znów nic. Weź się w garść, dziewczyno, pomyślała cierpko. Nigdy nie była bojaźliwa, nie dostawała gęziej skórki, słuchając mrocznych opowieści, które uważała za bajki dla dorosłych. Jeśli coś budziło w niej lęk, to tylko realne zagrożenia, których nie brakuje w codziennym życiu. Dotąd potrafiła unikać tych zagrożeń. Przede wszystkim wiedziała, czego nie robić, by nie kusić losu; nie zapuszczała się więc do dzielnic uważanych za niebezpieczne, nosiła przy sobie gaz pieprzowy w sprayu i wiedziała, jak go użyć. Umiała

60

nawet strzelać; znajomi policjanci dopilnowali, by się tego nauczyła. Wzięli ją kilka razy na strzelnicę i pokazali, jak bezpiecznie obchodzić się z bronią. Mimo to nie zdecydowała się na zakup pistoletu.

Uznała, że wystarczy system alarmowy w domu.

Dlaczego więc teraz panikuje?



Dlatego, że bez względu na to, co mówili inni, ona była święcie przekonana, że widziała w lesie ludzką czaszkę. I na pewno nie były to szczątki kogoś z dawno zmarłych piratów. Jak okiem sięgnąć, nie było nikogo. Żaden niepokojący dźwięk nie mącił ciszy nocy. Mimo to postanowiła zajrzeć do namiotu dziewczyn, a potem jeszcze raz rozejrzała się po plaży. Nic. Pustka i cisza. Nie paliło się już żadne ognisko. Wszyscy od dawna śpią. W obozowisku Keitha i jego kolegów kołysał się samotny hamak, poruszany bryzą. Przy namiotach Masonów też nie było żywej duszy. U Sandy i Brada, którzy spali w dużym namiocie na końcu, też cisza. Podeszła do namiotu dziewczyn i zajrzała do środka. Choć chwaliły się, że mają dwie sypialnie, spały razem w jednej. Nawet nie wyłączyły latarki, dzięki czemu niewielka przestrzeń zmieniła się w jasną, przytulną oazę wśród gęstego mroku. Widząc, że nic im nie zagraża, odetchnęła z ulgą i zaczęła się wycofywać. Ledwie jednak zrobiła krok, wpadła na coś twardego i masywnego. Ogarnięta nagłą paniką, zaczęła wrzeszczeć na całe gardło. Keith usłyszał krzyk i zamarł. Był to bowiem krzyk tak przeraźliwy, że w żyłach ścięła mu się krew. Odrętwienie nie trwało jednak długo. W ułamku sekundy znów był gotów do działania.

Krzyk rozległ się na plaży. Beth!

Światło latarki zgasło, ale i tak nie zamierzał dłużej go tropić. Nie tracąc ani chwili, zawrócił i zaczął przedzierać się przez zarośla. Byle prędej! Byle jak najszybciej do niej dotrzeć.

Beth wydała z siebie jeszcze jeden ogłuszający wrzask, a potem obróciła się jak fryga, zamierzając zasłonić dziewczynki własnym ciałem. Była gotowa oddać za nie życie.

Na szczęście jej poświęcenie było zbędne.

- Do jasnej cholery, Beth! - odezwał się z wściekłością męski głos. - Co ty wyprawiasz?

Zbita z tropu, cofnęła się. W ostatniej chwili, bo jeszcze sekunda, a podbiłaby oko rodzonemu bratu.

- Ben?

- A ty myślałaś, że kto?

- Masz pojęcie, jak mnie przestraszyłeś?

- Co się dzieje? - wymamrotała Amber, i trąc zaspane oczy, wypełzła na czworakach do przedsionka. W ślad za nią ruszyła zaniepokojona Kim i po chwili wszyscy czworo spotkali się na niewielkiej przestrzeni, co rusz wpadając na siebie i depcząc sobie po nogach.

- Spokojnie, nic się nie stało - syknął wściekły Ben.

Ledwie to powiedział, Amber, która próbowała się wyprostować, przewróciła główny maszt i namiot runął im na głowy. Ben starał się nie przeklinać przy córce, lecz tym razem sytuacja wyraźnie go przerosła. Zaplątany w ortalion, plujący piaskiem, który dostał mu się do ust, złamał swoją zasadę i zaklął pod nosem jak szewc.

- Uspokójcie się i przestańcie miotać! Namiot się przewrócił, ale zaraz go podniesiemy. - Beth miała nadzieję, że jej spokój udzieli się pozostałym i wspólnie zapanują nad sytuacją.

Okazało się to jednak wcale niełatwe. Pierwsza próba wydostania się spod tropiku skończyła się tym, że jeszcze bardziej zaplątała się w linki. Nagle jakaś nieznana siła ściągnęła z niej szeleszczący materiał. Zaskoczona uniosła głowę i ujrzała nad sobą twarz Keitha Hensona.

- Co wy tu wyprawiacie? - rzucił ostro, z trudem panując nad nerwami.

- Nic! - prychnęła.

- Słyszałem twój krzyk.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż Ben, który wreszcie wyczołgał się spod bezkształtnej masy ortalionu, fragmentów masztów i poplątanych linek, podniósł się i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Bardzo was wszystkich przepraszam - powiedział w końcu, otrzepując się z piasku.

Beth odchyliła głowę i spojrzała za siebie. Od razu zrozumiała, dlaczego jej brat przeprosza „wszystkich”. Okazało się, że nikt nie został w namiocie. Przybiegli tu w komplecie i teraz celowali w nich światłem swych latarek.

Czy możliwe, by swoim krzykiem postawiła wszystkich na nogi? Naprawdę darła się tak głośno?

Oczywiście, że tak!

Nie dość, że ich obudziła, to jeszcze wystawia się teraz na pośmiewisko, leżąc przed nimi na plecach w zadartym do góry wielkim T-shircie, który służył jej za nocny strój. Ledwie zdała sobie sprawę z sytuacji, Keith schylił się i wyciągnął do niej rękę. Tym razem nie zastanawiała się, czy przyjąć pomoc.

- Co się tu dzieje? - zapytała Amanda, odrzucając do tyłu pasemko włosów.

Ta to nawet w środku nocy wygląda nienagannie, zirytowała się Beth, porównując swoją antypatię do gwiazdy tasiemcowego serialu, która budzi się w perfekcyjnym makijażu i na dzień dobry błyska czystymi zębami.

- Nic wam się nie stało? - zainteresował się Hank, który nigdy nie zapominał o uprzejmości.

Tymczasem Roger Mason objął córkę i wyraźnie rozbawiony sytuacją, zwrócił się do Beth:

- Chyba nie powinnaś słuchać bajek na dobranoc. Zwłaszcza tych o duchach.

Próbowała się uśmiechnąć, ale z mizernym skutkiem. Czuła się winna, nie pozostało jej więc nic innego, jak tylko wszystkich przeprosić.

- Bardzo mi przykro, że was obudziłam - powiedziała, po czym w paru słowach wyjaśniła, jak doszło do pechowego zdarzenia. - Jeszcze raz przepraszam, że wyrwałam was ze snu - powtórzyła.

Tyle że nie wszystkim należą się przeprosiny. Przecież ktoś z nich, zamiast spać, włóczył się po wyspie. Tylko kto?

Nie ma sposobu, by się tego dowiedzieć, gdyż stawili się tu w komplecie. A teraz się na nią gapią.

Naraz Amber zaczęła chichotać. Beth spojrzała na nią, unosząc lekko brwi.

- Nie gniewaj się, ciociu, ale to takie śmieszne.

- Faktycznie, tylko boki zrywać - burknął Ben.

- Wiecie co, postawmy najpierw ten namiot - zaproponował Keith.

Kim posłała mu pełne uwielbienia spojrzenie.

- Dzięki - szepnęła.

- Myślę, że damy sobie radę bez... - zaczęła Beth.

- Daj spokój, skarbie. Nie odrzucaj pomocy, gdy ci ją proponują. - Amanda gładko weszła jej w słowo.

64

I bodaj pierwszy raz oszczędziła sobie złośliwości. W jej głosie pojawiła się nawet żartobliwa nuta.

- Faktycznie, Keith, jeśli mi pomożesz, uporamy się z tym w dwie minuty - stwierdził Ben, i

chrząknąwszy cicho, trącił Beth łokciem: - Przeszkadzasz nam. Mogłabyś się trochę przesunąć?

- Jasne. Przepraszam.

- Ja również - zaszczębiotała Amanda. - Wracam do namiotu. Tato, odprowadzisz mnie? Hank? Gerald? Idziecie?

- Jeśli sami dacie sobie radę, to ja też pójdę spać - odezwała się Sandy.

- Tak, tak, wracajcie do siebie. Na pewno sobie poradzimy. Dzięki za wszystko - powiedział Ben.

Po raz drugi tej nocy towarzystwo się rozeszło, tyle że do rana zostało już niewiele czasu. Dochodziła czwarta.

Namiot dziewczyn w mgnieniu oka stanął na dawnym miejscu, a one ponownie zaczęły szykować się do snu.

- Ciociu, skoro się tak bardzo o nas boisz, możesz spać z nami - zaproponowała Amber.

- Dziękuję, nie skorzystam. Nie chcę zakłócać waszej prywatności - odparła ze śmiechem.

Zauważyła, że Keith przygląda jej się z uwagą, jakby próbował wyczytać coś z jej miny. Po chwili uśmiechnął się lekko, bez podejrzliwości.

- Wszystko w porządku?

- Tak.

- Przykro mi, że tak cię przestraszyłem tą legendą.

- Nie bądź śmieszny! Chyba nie sądzisz, że boję się duchów! - Spojrzała na niego, mimo woli mrużąc oczy. Ciekawe, czy domyślił się, że tak naprawdę to nie duchów się boi, ale jego.

60

- No to dobranoc. - Skinął ręką i ruszył w stronę swojego obozowiska.
  - Dziewczyny, kładźcie się spać - nakazał Ben.
  - Dobranoc! - zawołały i po chwili rozległ się charakterystyczny świst zasuwanych zamków.
  - Beth uśmiechnęła się, słysząc zduszone śmiechy dobiegające z namiotu.
  - Powiesz mi wreszcie, co za diabeł cię tu przyniósł? - zapytał zniecierpliwiony Ben.
  - Westchnęła ciężko.
  - Usłyszałam jakiś hałas, więc postanowiłam zajrzeć do dziewczynek.
  - Co się z tobą dzieje? Nigdy nie byłaś paranoiczką.
  - I nie jestem.
  - Posłuchaj, przecież nie jesteśmy na bezludnej wyspie. Dokoła nas są ludzie, część osób dobrze znamy. Nic nie ma prawa nam się stać.
  - Przestraszyłeś mnie! - rzuciła oskarżycielsko. - Co ci przyszło do głowy, żeby się za mną skradać?
  - Mogłeś mnie uprzedzić, że idziesz.
  - A skąd miałem wiedzieć, że to ty?
  - Widzisz! - zawołała z satysfakcją. - Więc jednak ty też się denerwowałeś. Przyznaj się!
  - Nic nam się nie stanie! - powtórzył. - Zaufaj mi.
  - Ufam ci.
  - Więc nie zachowuj się tak, jakby było odwrotnie.
  - Dobra.
  - Czy możemy wreszcie pójść spać? - zapytał.
  - Jasne.
  - Dobranoc.
  - Spij dobrze.
- Zorientowała się, że brat czeka, aż ona wejdzie do namiotu. Uśmiechnęła się do niego, i skinąwszy głową,

wsunęła się do środka. Weszła do śpiwora, ale nawet nie próbowała zasnąć. Leżała na plecach, wpatrując się w materiał rozpięty nad głową, i myślała o tym, że czerń nocy jeszcze nigdy nie była tak nieprzenikniona.

Po chwili obróciła się na bok. Od razu poczuła się lepiej - przynajmniej widziała światło w namiocie dziewczyn.

Przymknęła oczy. Była pewna, że nie narobiła alarmu bez powodu. Wyraźnie coś słyszała.

A jeśli tylko jej się zdawało? Może to był wiatr? Albo coś sobie ubzdurała? Może naprawdę dostała paranoi?

Albo wręcz przeciwnie, postąpiła mądrze?

„Zaufaj mi...”. Ufała bratu jak sobie samej. Nie wątpiła, że gdyby zaszła konieczność, bez wahania oddałby życie za Amber. I za nią pewnie też. I za Kim.

Oby los nigdy nie poddał go takiej próbie.

Przewróciła się na drugi bok, z utęsknieniem czekając na sen, który długo nie nadchodził.

Amanda Mason była okropną kokietką. Postawiła sobie za punkt honoru wpadać na któregoś z chłopaków po każdym odbiciu piłki. Czym sobie zasłużyłem, że najczęściej ląduje na mnie? - pomyślał kpiarsko Keith. Nie brał sobie jednak do serca tych awansów, widział bowiem, że Amanda z równym zapalem kokietuje Lee - którego uważała za właściciela efektownego jachtu. Nie miała też żadnych oporów, by co jakiś czas otrzeć się o Brada i nie przeszkadzało jej, że patrzy na to jego dziewczyna. Póki co, nikt nie traktował meczu plażowej siatkówki ze śmiertelną powagą. Na razie wszyscy dobrze się bawili.

Keith, Amanda, Brad, Lee i Kim grali w jednej

drużynie, a Sandy, Amber, Hank, Matt i Ben w drugiej. Sędziował Roger Mason.

Beth nie zaszczyciła ich dotąd swoją obecnością.

- Aut! - krzyknął Matt, który miał odebrać zagrywkę Keitha.

- Akurat! Przyznaj się, że dałeś plamę - odkrzyknął Keith.

- A gdzie sędzia? - denerwował się Matt.

- Zasnął - odparła Amanda, i uśmiechając się czule, skinęła głową w stronę hamaku, w którym jej ojciec rzeczywiście uciał sobie drzemkę.

- To był aut. Widziałam! - oznajmił kobiecy głos. Keith natychmiast się odwrócił. Nareszcie przyszła. Ciągle zaspana, mimo późnej pory. W rękę trzymała kubek kawy, na nosie miała ciemne okulary, a na sobie górę od kostiumu i postrzępione levisy do kolan.

Keith dałby sobie głowę uciąć, że piłka nie wyszła na aut. Skoro Beth od jakiegoś czasu obserwuje mecz, musiała to widzieć. Nie pojmował, dlaczego już po pierwszym spotkaniu uznała go za swojego wroga.

Jedynym logicznym wytłumaczeniem, jakie przychodziło mu do głowy, było to, że próbowała ukryć przed nim swoje znalezisko. Ale nie miał czasu, by teraz to roztrząsać.

- Matt, pani twierdzi, że masz rację! - zawołał.

- Beth, ty chyba ślepa jesteś! - zaperzyła się Amanda.

- Przecież to tylko zabawa - broniła się Beth.

- I co z tego? Już ja porozmawiam z komandorem i dopilnuję, żeby nie pozwolił ci sędziować żadnego meczu w klubie - zapowiedziała Amanda, starając się żartem zatuszować swoją ewidentną niechęć do Beth.

- Trzymam cię za słowo, Amando - powiedziała, posyłając jej lodowaty uśmiech.

63

- Ciociu, zagraj z nami - poprosiła Amber.

- Wolę taki sport, jaki uprawia Roger - odparła.



- Jasne. Najpierw robisz nam pobudkę w środku nocy, a potem myślisz, że pozwolimy ci przespać cały dzień? - ironizował Matt. - Nic z tych rzeczy.
- Pewnie że nie - poparł go Hank. - Poza tym niedoczekanie, żebyś ci pozwolił sędziować swój mecz.
- Nie daj się prosić, zagraj z nami - namawiał ją Ben.
- W którejś drużynie będzie za dużo graczy.
- Nic się nie bój - odezwał się niespodziewanie Roger, wstając z hamaka. - Ja zagram po drugiej stronie i będzie po równo. Mam pięćdziesiąt osiem lat, ale uprzedzam was, dzieciaki, nie macie ze mną żadnych szans - chełpił się, stając naprzeciw Beth.

Keith z zainteresowaniem śledził dynamikę grupy. Wszyscy świetnie się dogadywali, z wyjątkiem Amandy i Beth.

Czyżby Beth była zazdrosna? Albo na odwrót? Amanda jest drobna, bardzo kobieca. Za to Beth... Jest elegancka, orzekł, zaskoczony tym określeniem. Trudno bowiem mówić o elegancji w przypadku kobiety ubranej w swobodny strój plażowy, a jednak żaden inny przymiotnik nie przychodził mu do głowy.

Gracze zmienili miejsca. Beth serwowała.

To była mordercza, mocno podkręcona piłka. Keith ledwie ją odebrał. Ben zdołał ją przebić z powrotem na ich stronę, ale Roger, niech Bóg ma go w swojej opiece, był czujny; wybił się mocno i wykonał efektowną ścinę. O dziwo, Beth zdołała odebrać piłkę tuż nad ziemią i wystawiła ją bratu, który precyzyjnie zadał ostateczny cios.

- Punkt - ogłosiła Beth, wyciągając ręce po piłkę.

Od tej chwili skończyły się żarty, a zaczęła ostra gra. Obie drużyny szły łeb w łeb. Najślabszym ogniwem była Sandy, ale nie poddawała się i nie traciła humoru.

Za to Beth grała wyśmienicie. Była w doskonałej formie i miała wymarzone warunki fizyczne do tego sportu. Była nie tylko zgrabna, lecz przede wszystkim proporcjonalnie i harmonijnie zbudowana. Na jej smukłym ciele nie było grama zbędnego tłuszczu. Od razu rzucało się w oczy, że nie gra po to, by wygrać, lecz dla samej przyjemności płynącej z dynamicznej gry. Była w niej żywiołowość, radość życia, potrzeba ruchu, niekłamana pasja; wszystko to przejawiało się w każdym jej słowie i ruchu. I w płomiennym blasku oczu, gdy spoglądała na niego poprzez siatkę. Nie było wątpliwości, że ta kobieta uwielbia wyzwania.

Keith miał przeczucie, że nie tylko je lubi, lecz także mężnie stawia im czoła i nigdy się nie poddaje. Kiedy drużyna Beth zdobyła zwycięski punkt, rozbawieni gracze padli na piasek.

- Co teraz robimy? - wysapał Hank. Lee spojrzał na Keitha.

- Może połowimy ryby? - zaproponował.

- Jasne, czemu nie. Pewnie, pora zarzucić sieci.

- Jak ryby, to beze mnie, chłopcy - oznajmiła Amanda. - Wolę poleniuchować na plaży - dodała, prostując się z bezwstydnym kocim wdziękiem.

- Zapraszasz nas na pokład? - zapytał Ben, wskazując głową jacht Lee kołyszący się na fali.

- A chciałbyś go obejrzeć? - podchwycił Lee. - Jeśli tak, chętnie ci go pokażę.

Keith popatrzył na kolegę. Bez trudu odgadł jego intencje. Chodzi o to, by zorganizować tym ludziom, 70

jakieś zajęcie, a jednocześnie cały czas mieć ich na oku i przy okazji zorientować się, czego tak naprawdę szukają na wyspie.

Niech łowią ryby, byle tylko nie nurkowali.

Nie odezwał się. Przecież nie mogą zabronić ludziom nurkowania. Z drugiej strony, gdyby to, czego zazdrośnie strzeże morze, było w zasięgu byle amatora, wtedy... No cóż, wtedy oni nie mieliby tu czego szukać.

- Pewnie, że chciałbym go zobaczyć! - Ben od razu zapalił się do pomysłu. - Coś mi się zdaje, że jest wyposażony we wszystkie możliwe bajery.

- Lubię fajne zabawki - przyznał Lee, kwitując swoje słowa lekkim wzruszeniem ramion.

- Ja też - ucieszył się Ben.

- Chętnie się z wami wybiorę - powiedział Hank.

- I ja - wtrącił Gerald, który przed chwilą do nich dołączył.

- Oj, chłopaki, jesteście jak dzieci - podsumowała Amanda. - Tyle że im jesteście starsi, tym macie większe i droższe zabawki.

- Jeśli o mnie chodzi, to zdecydowanie wolę przyjrzeć się z bliska hamakowi - roześmiał się Roger.

, - Sandy i ja mamy ochotę się przejść - powiedział Brad - ale dziękujemy za zaproszenie.

- A ty, Beth? No i wy, dziewczyny? - zapytał Lee.

- Ja chcę obejrzeć łódkę - odparła Amber bez namysłu.

- Jacht, dziecino - mruknęła pod nosem Beth.

- Tylko że... - bąknęła jej bratanica z zakłopotaniem - nie znoszę łowić ryb.

- Nie ma sprawy, nie musisz z nami płynąć. Na pewno się nie obrazimy - uspokoił ją Lee.

- A ty, Beth?

- Zostanę na plaży z dziewczynami.
- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy popłynął? - upewnił się Ben.
- Jasne, że nie!

Skłamała. Miała coś przeciwko. I to jak!

- Może ja też się skuszę. - Amanda wydała z siebie coś, co miało przypominać koci pomruk. - Na wodzie słońce szybciej opala. A jak zaczniesz mi przeszkadzać nadmiar testosteronu, zawsze mogę schować się pod pokład. Zaczekajcie na mnie, pójdę po rzeczy - powiedziała, ale po paru krokach odwróciła się. - Uprzedzam, że nie będę skrobała ryb - oświadczyła.

Keith chwilę patrzył, jak kręcąc pupą, idzie do namiotu.

Potem odwrócił się do Beth. Przyglądała mu się. Wyraz jej oczu sprawił, że Keith poczuł lekkie ukłucie żalu.

Nie ufa mu. Odnosi się do niego podejrzliwie. Ma do tego prawo.

Dla niego jej reakcja też nie była zaskoczeniem. Często prowadził taką grę. I doskonale znał zasady. Wiedział cholernie dobrze, że nie może pozwolić, by w jakikolwiek sposób weszła mu w drogę.

Obrzuciła go czujnym spojrzeniem. Chłodnym. Taksującym.

Potem się odwróciła. Może spadać.

Była wściekła na brata, ale on chyba tego nie zauważył. Nie chciała robić mu wymówek przy ludziach - zwłaszcza tych, z którymi teraz przebywali. Ben zawsze był bardzo wyczulony na punkcie bezpieczeństwa swoich bliskich, a jednak wystarczyło, że jakiś koleś zaprosił go na swój naszprycowany nowoczesną techniką jacht, by zapomniał o bożym świecie.

72

Swoją drogą, jej brat nigdy nie krył, że uważa jej obawy za przesadne. Posądzał ją nawet o paranoję i przekonywał, że nic im nie zagraża. Może więc nie powinna mieć do niego pretensji. Zwłaszcza że sama była coraz bardziej zdezorientowana i nie do końca wiedziała, co myśleć o zdarzeniach ostatniej doby. Ostatecznie ona i Ben nie znaleźli żadnej czaszki, a nocą narobiła wrzasku, bo przestraszyła się

własnego brata. Nie mogła wykluczyć, że to, co widziała w czasie spaceru z dziewczynkami, było dużą muszlą. A że się przestraszyła, wyobraźnia zaczęła pracować i wydawało się jej, że dostrzega resztki ciała i włosów. A to przecież mogły być wodorosty.

Łatwo jest podawać w wątpliwość własne lęki, zwłaszcza w jasnym świetle dnia, który zresztą z wolna przechodził w późne popołudnie.

Beth spojrzała na morze. Łódki, którymi wypłynęli amatorzy wędkowania, dawno zniknęły z pola widzenia. Roger drzemał w hamaku, a Brad i Sandy pluskali się w wodzie, ze śmiechem przeskakując fale. Zachowywali się jak wszyscy zakochani, którzy są najszczęśliwsi, kiedy mogą być razem.

Szczęściarze. Dziwne, że w tak dużej grupie nie ma innych par. A jeszcze dziwniejsze, że Amanda zdecydowała się spędzić weekend w rodzinnym gronie. Może zresztą Beth była dla niej niesprawiedliwa. Po prostu nie lubi jej, i stąd ten negatywny stosunek do wszystkiego, co robiła.

Roger i Hank są w porządku; Geralda znała słabo, ale sprawiał wrażenie miłego faceta. Za to Amanda... Czy możliwe, by jej niechęć do tej kobiety brała się z zazdrości? Beth przez chwilę zadumała się nad swoimi odczuciami.

I doszła do wniosku, że zazdrość nie ma tu nic do rzeczy. Brutalna prawda jest taka, że z całego serca

nie

cierpi Amandy. Co było o tyle dziwne, że z reguły lubiła ludzi.

Skoro więc jej jednej tak szczerze nie znosi, to znaczy, że z Amandy naprawdę jest wredna suka.

- Ciociu, dlaczego tak dziwnie się uśmiechasz? - zainteresowała się Amber.

- Wcale nie dziwnie, tylko normalnie - zaprotestowała. - A uśmiecham się, bo... mamy taki fajny dzień.

- Prawda - podchwyciła Kim, unosząc głowę znad plotkarskiego pisemka. - W ogóle udał nam się weekend. A ja się bałam, że będzie nudno. Super, że poznaliśmy tych chłopaków. Są odjazdowi.

- Hej, to nie są żadne chłopaki, tylko dorośli mężczyźni. O wiele dla was za starzy - strofowała je Beth.

- Oj, ciociu, przecież wiemy. I co, jak są starsi, to już nie mogą być fajni? - jęknęła Amber.

- Przede wszystkim w ogóle ich nie znamy.

- Gadasz jak nauczycielka.

- I bardzo dobrze. Nauczyciele mówią wam o rzeczach, które musicie wiedzieć - wyrecytowała, wstając z piasku.

Przeciągnęła się i jeszcze raz spojrzała na morze. Jacht Lee był małą plamką nieopodal linii horyzontu.

Brad i Sandy wciąż figlowali wśród fal. Roger spał jak dziecko.

Zerknęła w stronę dziewczynek, i po chwili wahania poszła do swojego namiotu. Wróciwszy, rzuciła na ręcznik pojemnik z gazem pieprzowym.

- Gdyby ktoś was zaczepiał, wiecie, co macie zrobić.

Amber spojrzała na gaz, a potem na nią.

- Ciociu, wyluzuj - jęknęła, wywracając oczami. - Naprawdę myślisz, że ktoś nas tu będzie napastował?

74

- Nie bądź taka mądralka sralka. To znaczy, mąd-ralińska - poprawiła się od razu, ale dziewczyny zaczęły skrecać się ze śmiechu.

- Amber, Kim, janieżartuję-powiedziałasurowo. Jej bratanica starała się zachować powagę, ale widać było, że ma z tym spore problemy.
- Wiemy, ciociu. I traktujemy cię całkiem serio. Beth uśmiechnęła się z przekąsem, a potem odwróciła się i ruszyła przed siebie.
- Dokąd idziesz? - zawołała zaskoczona Amber.
- Na spacer.
- Wracasz na polanę, żeby poszukać czaszki?
- Nie. - Beth zawróciła i syknęła: - Przestańcie trąbić o tej czaszce na prawo i lewo. Jasne?!
- Nie, ciociu - odparła Amber, wzdychając teatralnie. - To znaczy, tak. Obiecuję, że więcej nie piśniemy słówka. Zadowolona?
- Tak. Gdyby coś się stało, krzyczcie.
- Jak ty dziś w nocy?
- Zachowuj się albo powiem ojcu, że nie wszyscy chłopcy w dziale kinowym to geje.
- Miley przechadzki, Beth. Będziemy grzeczne jak aniołki. I będziemy cały czas tu siedziały. Z gazem łożącym pod ręką - obiecała Kim całkiem serio.

Beth pokręciła tylko głową i ponownie ruszyła w stronę lasu.

To taki dziwny raj, pomyślała, wchodząc na ścieżkę, która zaczynała się tuż za ich obozowiskiem i prowadziła w głąb wyspy. Z jednej strony żeglarzy wabi przepiękna plaża i cudownie turkusowa przejrzysta woda, z drugiej zaś czyhają na nich niebezpieczne rafy. Oczywiście ci, którzy znają te wody i tajniki nawigacji, potrafią bezpiecznie dotrzeć do zielonego edenu. Jednak w miarę jak wędrowiec oddala się od

plaży, poznaje całkiem odmienne oblicze wyspy. Jej środek wypełnia bujny gąszcz, pełen zakamarków i chłodnego cienia.

Beth kochała ten rajski zakątek.

Aż do dziś.

Dziś bowiem wyspa wyraźnie była przeciw niej. Zaczęło się od tego, że Beth pomyliła ścieżki. Zorientowała się, że idzie w złą stronę dopiero wtedy, gdy już dochodziła do przeciwległego krańca. Musiała więc zawrócić, i klnąc pod nosem, jeszcze raz przedzierać się przez zarośla. Potem ugryzł ją wyjątkowo wielki i żarłoczny moskit. Zabiła go i ze zdumieniem odkryła, że sprawiło jej to dziwną przyjemność.

W końcu trafiła na polanę.

Najpierw uważnie się rozejrzała. Zaskoczyło ją, że na ziemi leży mnóstwo suchych palmowych liści. Nie pamiętała, by poprzedniego dnia było ich tak dużo. Następnie próbowała rozpoznać miejsce, w którym wczoraj stała.

I ustalić, skąd nadszedł Keith Henson.

Sprawa nie jest prosta, ale nie brakowało jej determinacji. Postanowiła zajrzeć pod każdy liść z osobna.

Bardzo uważała, by żadnego nie przeoczyć. Właśnie podnosiła czwarty z kolei, gdy usłyszała dziwny szmer.

Kroki. Ktoś idzie w stronę polany.

Zastygła w bezruchu, i zmuszając się do zachowania spokoju, zaczęła nasłuchiwać, skąd dobiegają odgłosy.

Gdy już wiedziała, z której strony nadchodzi intruz, uciekła między drzewa. Na wszelki wypadek spojrziała za siebie, by sprawdzić, czy nie została zauważona.



Pomiędzy drzewami coś błysnęło. Przymrużyła oczy i gwałtownie przełknęła ślinę. Ten, kto nadchodzi, ma przy sobie nóż. Bardzo duży. Maczetę.

Nie odrywając wzroku od złowrogich błysków ostrza, zaczęła cofać się głębiej w zarośla.

Nagle ktoś załapał ją wpół i wciągnął w zielony gąszcz.

Drętwiejąc ze strachu, nabrała powietrza, żeby wydać z siebie krzyk. Nie zdążyła nawet pisnąć.

Napastnik okazał się szybszy i zasłonił jej usta.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Amber wyciągnęła się na piasku i obserwowała oddalającą się Beth. A gdy tylko ciotka zniknęła wśród drzew, odwróciła się do Kimberly, i westchnąwszy z troską, oznajmiła:

- Musimy się za nią wziąć!
- Za kogo?
- Jak to, za kogo? Za Beth.
- Mówisz o niej po imieniu? - zdziwiła się Kim.
- Oj, nie. Musisz się czepiać takich drobiazgów, kiedy chodzi o to, że powinniśmy coś z nią zrobić.
- Fajna jest.
- On też.
- Który on? - zapytała Kim, marszcząc brwi.
- No ten fajny.
- Nawet twój tata jest fajny - stwierdziła Kim.
- Faj! Pogięło cię? - zgorszyła się Amber. - Ojcowie nie są fajni.
- Twój jest. Założę się, że mnóstwo ludzi tak uważa.
- Wiem, ale... fuj! Nie mieszajmy do tego mojego ojca. Ja mówię o nim. I dobrze wiem, że ty wiesz, kogo mam na myśli.

78

- Keitha Hensona.
- Musimy coś zrobić, żeby on i ciotka zaczęli się spotykać.
- Amber, przecież jesteśmy na wyspie. Tu nie można się nie spotkać. Jeśli tylko będą chcieli, nic nie stoi na przeszkodzie - śmiała się Kim. - Są dorośli, więc chyba mają swój rozum, no nie?
- Myślisz, że on ma żonę? Albo dziewczynę? -zapytała Amber z niepokojem.
- Chyba nie - pocieszyła ją przyjaciółka.

- Lepiej, żeby miał stałą pracę. No wiesz, coś porządnego i dobrze płatnego. Nie chcę, żeby ciotka musiała utrzymywać jakiegoś lenia, który całe dni wyleguje się na plaży.
- Co ty wygadujesz?! Przecież nie biorą jutro ślubu - obruszyła się Kim.
- Oj, wiem. Ale musimy się postarać, żeby między nimi zaiskrzyło - oznajmiła Amber. - Poważnie mówię. Ciocia jest taka ładna, ale z nikim się nie umawia. Trzeba jej znaleźć faceta.
- No co ty? - Kim lekko się zarumieniła. - Chcesz powiedzieć, że ona w ogóle... No wiesz, co... - Urwała i parsknęła śmiechem.
- Kim! - Amber przyłożyła jej łokciem w bok.
- Co?
- Trzeba ciotkę wyswatać. Tylko najpierw musimy sprawdzić, co to za jeden ten Keith.
- Niby jak chcesz to zrobić?
- Jeszcze nie wiem. Pomyślimy o tym po powrocie. Tata zna mnóstwo gliniarzy. Możemy któregoś poprosić, żeby nam pomógł.
- Słuchaj, przecież jak stąd wyjedziemy, możemy już więcej nie spotkać Keitha i jego kumpli - zauważyła Kim.

Amber usiadła, a potem uśmiechnęła się chytrze i parodiując sposób mówienia Alfreda Hitchcocka, zapytała:

- Wiesz, co to przeczucie?

- Niech ci będzie! - zgodziła się rozbawiona Kim.

- Po powrocie do domu przeprowadzimy prawdziwe śledztwo. A póki co, spróbuję dowiedzieć się o nim tego i owego?

- Ciekawe, jak to zrobisz.

- Nie bądź tępa. Po prostu go zapytam.

Jacht był istnym dziełem sztuki. Ben zakochał się w nim od pierwszego wejrzenia.

- O rany! - mruknął, patrząc z uznaniem na Lee. Jako adwokat pracował ciężko, ale za godziwe pieniądze; zawsze był dumny ze swojej łodzi, jednak w porównaniu z tym cudem jego *Time Out* był małą łajbą.

W dodatku skromnie wyposażoną.

Co ten facet robi, że ma taką kasę? Zastanawiał się nad tym w duchu, ale był zbyt kulturalny, by zapytać o to wprost. Ani Lee, ani żaden z jego kumpli nie wyglądają na handlarzy narkotyków.

Widocznie należą do grupy farciarzy, którzy po prostu mają szmal. A tych w Miami nie brakuje.

Hank Mason nie miał takich skrupułów jak on.

- Stary, skąd wzięłeś forszę na takie cudo? - zapytał bez ogródek.

- Od rodziny - odparł Lee i uśmiechnął się w sposób, który zdradzał, że jego próżność została miłe połechtana. - Niezła, co? To hatteras, najdroższy model - pochwalił się, z dumą wymieniając typ łodzi.

- Ponieważ te damulki nie są przystosowane do połowów, kazałem ją zrobić na zamówienie.

80

Specjalne zamówienie, pomyślał z zazdrością Ben. Jacht rzeczywiście był dopracowany. Miał takielunek, dzięki któremu pełnomorskie połowy stanowią prawdziwą frajdę. Na mostku kapitańskim znalazły się wszystkie zdobycze nowoczesnej techniki, od satelitarnego systemu nawigacji

począwszy, po sonar i radar. A oprócz tego sprzęt stereo i rzeczy tak prozaiczne, jak specjalne półki na jedzenie i picie.

Na górnym pokładzie, wyłożonym ekskluzywnymi tekowymi deskami, było wszystko, co mogło zapewnić żeglarzom pełen komfort. Nie zabrakło nawet małej lodówki. Na rufie umieszczono co najmniej dwanaście wieszaków na butle do nurkowania, a na skrzyni z podnoszonym siedziskiem widać było małą plakietkę z napisem: sprzęt nurkowy.

- Chodźcie obejrzeć kabinę. Tam dopiero wam się spodoba - zachęcał Lee.

- Ja i tak już jestem pod wrażeniem - mruknęła Amanda, i biorąc Bena pod rękę, westchnęła: - To jest łódź!

Znali się od kilku lat, lecz w żadnym razie nie była to bliska znajomość. Ben uważał ją za piękną kobietę i nie był obojętny na jej wdzięki, lecz nie czuł się przy niej swobodnie. Wiele lat temu przekonał się, że gdy umiera ukochana osoba, człowiek traci bezpowrotnie jakąś część siebie. I musi z tym dalej żyć. Ben żył więc, i jak każdy zdrowy mężczyzna miał swoje potrzeby. Amanda zaś swym zachowaniem sugerowała, że potrafi zaspokoić je w sposób, o jakim nie śniło mu się w najdzikszych erotycznych snach. Ben skłamałby, mówiąc, że potrafi przejść obok niej obojętnie. Problem w tym, że Amanda traktowała wszystkich mężczyzn jednakowo. On z kolei nie umiałby zaufać kobiecie, na którą wystarczy skinać, by ją mieć. Wielu

mężczyzn uznaloby to za układ idealny, zwłaszcza jeśli sami poszukują łatwych przygód. Ben z pewnością nie należał do łowców takich okazji.

Zastanawiało go wszakże, dlaczego Amanda wyraźnie go faworyzuje. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że jest przystojny, zadbany i dość zamożny, więc może uchodzić za niezłą partię.

Tyle że, jak sama zauważyła, wyspa mało nie eksplodowała od nadmiaru testosteronu. Lee, Matt i Keith z pewnością są interesującymi mężczyznami. Wszyscy trzej obdarzeni byli typem szorstkiej urody, która podoba się prawie każdej kobiecie. Dobrze zbudowani, wysocy, wysportowani, emanowali aurą stuprocentowej męskości. Wyglądali przy tym na obieżyświatów i poszukiwaczy mocnych wrażeń. Kobiety ciągnie do takich facetów jak ćmy do płomienia świecy.

Czemu więc Amanda uczepliła się właśnie jego?

Nigdy nie był podrywaczem. Nie szukał tanich emocji. Skoncentrował się, być może w sposób nadmierny, na wychowaniu córki. Odnosił sukcesy zawodowe. Wolał więc nie afiszować się ze swoim życiem towarzyskim. A miał je całkiem bujne, czym pewnie zaskoczyłyby swoją siostrę. Zresztą nie tylko tym. Beth nie miała pojęcia o wielu sprawach.

- Nieźle, co? - mruknęła Amanda, przytulając się do niego trochę mocniej. Pachniała słodko i kusząco, a poza tym wiedziała, jak przylgnąć do faceta swą bujną anatomią.

- Bajka - odparł, uśmiechając się do niej.

- Zaczekaj, aż zejdziemy pod pokład - kusił Lee, szerokim gestem zapraszając ich na dół.

Lee pełnił honory gospodarza do spółki z Mattem, gdyż Keith postanowił zostać na wyspie. Ben musiał przyznać, że nie jest zachwycony takim obrotem

82

spraw. Co prawda wciąż zżymał się na Beth, że niepotrzebnie narobiła krzyku, ale fakt, że Keith z nimi nie popłynął, trochę go zaniepokoił. Na szczęście dziewczyny nie zostały same; w pobliżu są Sandy, Brad i Roger, więc gdyby coś się działo, mają do kogo zwrócić się o pomoc. Dziwne, ale Ben czuł przez skórę, że Keith nie ma żadnych złych intencji. Co prawda jako człowiek racjonalny

odrzucał wiarę w intuicję - po latach pracy w biurze prokuratora okręgowego przekonał się, że bywa ona, delikatnie mówiąc, omylna. A jednak w głębi duszy wiedział, że ani jego córce, ani siostrze nic nie grozi ze strony Keitha.

- Ojej! - zawołała Amanda, tuląc się do jego ramienia. - Ale luksusy!

Przestrzeń pod pokładem, z konieczności dość ograniczona, urządzona była z wyszukaną elegancją. Na lewo od schodków znajdowała się kabina rufowa, na wprost zaś kambuz, który, to Ben musiał uczciwie przyznać, był nie gorzej wyposażony niż kuchnia w jego własnym domu. Z części kuchennej przechodziło się do saloniku, gdzie stał stół dla co najmniej ośmiu osób, i biurko, a na nim komputer, radio i urządzenia elektroniczne, których nazw nawet nie potrafiłby wymienić. Dalej widać było korytarzyk prowadzący do kabiny dziobowej. Gdzie nie spojrzeć, wszędzie skóra, tekowe drewno i chrom.

- Czego się napijecie? - zapytał Lee.

- Piwa - odparł Ben.

- A ty, Amando? - Lee już krzątał się przy lodówce.

- Macie białe wino?

- Jasne. Hank? Gerald? Co dla was?

- Piwo - odparli zgodnie..

Lee podał im to, o co prosili - Amanda dostała wino

w specjalnej malej butelce - a potem pokazał im kabinę w części rufowej. Mieściła się tu główna sypialnia wyposażona w duże, wygodne łóżko.

- Można wysunąć spod niego materac, więc naprawdę jest gdzie spać. A tu, za tymi drzwiami, jest łazienka i prysznic. Ale co ja was tu będę trzymał pod pokładem. Przecież mamy łowić ryby.

Chodźcie, wracamy na górę.

Ben, który był pewny, że Matt już tam poszedł, żeby uruchomić silnik, bardzo się zdziwił, widząc go w saloniku, przy komputerze. Nie wiedzieć czemu przyszło mu do głowy, że Matt został na dole, by mieć ich na oku.

Amanda chyba odniosła podobne wrażenie. Wprawdzie ich gospodarze zachowywali się tak, jakby mówili: „czujcie się jak u siebie w domu”, jednak było jasne, że nie wszędzie wolno im wejść.

Dlaczego?

Intuicja znów dała o sobie znać. Coś tu się nie klei. Tylko co? Naraz w głowie zaświtała mu szalona myśl, że ci skądinąd sympatyczni panowie są współczesnymi piratami, a ten wypasiony jacht po prostu został ukradziony. Chociaż gdyby komuś zginęła tak luksusowa łódź, Ben na pewno by o tym słyszał. Członkowie klubu kontaktują się z żeglarzami z całego świata, więc kradzież takiej jednostki na pewno nie przeszłaby bez echa.

To tyle, jeśli chodzi o intuicję. I jak na niej polegać, skoro z jednej strony Ben był przekonany, że Keifh nie wyrządzi krzywdy Beth i dziewczynkom, z drugiej zaś...

- Chodźcie, pokażę wam sonar do wykrywania ryb - ponaglał Lee. - Dzięki niemu nałapiemy ich w ekspresowym tempie.

84

Amanda w końcu odsunęła się od Bena.

- Szczerze mówiąc, mam ochotę się zdrzemnąć - oznajmiła, ziewnawszy przeciągle. - Mieliśmy niezbyt spokojną noc - przypomniała, strzelając do niego roześmianymi oczami.

- Zapomnij o spaniu! - odparł Lee. - Zaraz wypływamy w morze. Wszyscy na pokład!



Amanda z wdziękiem wydeła usta. Ben tylko czekał, aż zacznie się wyklócać o swoje. Niestety, nie zdążyła. Lee podszedł do nich i otoczył ich ramieniem, dając znak, by szli na górę. Zachowywał się jak przyjazny pies pasterski, który pilnuje, żeby żadna owca nie odłączyła się od stada.

Ben zaniepokoił się, że zaczynają mu się udzielać urojenia Beth, która zresztą była niemożliwa ze swoim bezustannym lękiem o Amber, o niego. I z tym, że ciągle siedzi w pracy. Większość młodych kobiet, pracując w jachtklubie, czułaby się szczęśliwa, mogąc do woli przebierać w przystojnych, opalonych, dobrze zbudowanych facetach, którzy na co dzień tyrają w korporacjach i mają wypchane portfele. Beth w ogóle nie zwracała na nich uwagi, gdyż wyznawała zasadę, iż nie należy łączyć pracy z przyjemnością.

Wysoka, zadbana, wysportowana, a przy tym bardzo kobieca i obdarzona oryginalną urodą, bez wątpienia jest najbardziej łakomym kąskiem na wyspie. Lecz nawet-tutaj, w czasie urlopu, woli trzymać się na dystans.

Z zamyślenia wyrwał go głos Amandy.

- Jesteś okrutny - dąsała się, biorąc Lee za rękę.

- Przygotuję ci wygodne miejsce do spania na pokładzie. Będziesz zachwycona - obiecywał, ciągnąc ją w stronę schodków.

Dla Bena był to dowód, że jego podejrzenia nie są

bezpodstawne. Z jakiegoś powodu nikt nie może zostać sam w kabinie. Ciekawe, dlaczego?

- Cii!!!

Beth od razu poczuła się spokojniejsza, choć w jej sytuacji taka reakcja była po prostu absurdalna. Choć nie widziała mężczyzny, który ją schwytał, i tak miała pewność, że to Keith. Wyczuła go? Zadziałała jakaś chemia? Nieważne. Po prostu wiedziała, że to on. Nie szarpała się, więc nieco rozluźnił uścisk, a po chwili odsłonił jej usta. Beth opierała się o niego plecami, czuła więc, jak im obojgu biją serca.

Gdy tak stali przyklejeni jedno do drugiego, nie ruszając się ani nie mówiąc słowa, na polanę weszli Sandy i Brad, który energicznie wywijał maczetą.

Broń wyglądała groźnie, lecz nie powinno nikogo dziwić, że ktoś wziął ją na biwak. Żeglarze, którzy w czasie rejsu zatrzymują się na wyspach, z reguły mają maczety. Zresztą Brad nie robił niczego zdrożnego; torował sobie drogę wśród zielonej gęstwiny, czyli używał maczety zgodnie z jej przeznaczeniem.

- To chyba tutaj. - Sandy, zmęczona marszem, rozejrzała się dokoła.

- To twoje „tutaj” oznacza cholernie duży kawał terenu - wysapał poirytowany Brad.

- No co ty, nie żartuj! Przecież to mała wysepka.

- Powiedziałbym nawet, że za mała. Ale cóż, można się było spodziewać tego najazdu. W końcu jest weekend.

- Możesz przestać jęczeć i zacząć szukać?

Beth ostrożnie przestąpiła z nogi na nogę. Stojący za nią Keith również zmienił pozycję. Zrozumiała, że nie zamierza jej puścić ani pokazać się Sandy i Bradowi.

81

Wyczuwała jego napięcie i domyślała się, że uważnie nasłuchuje. Sama też miała wyostrzone zmysły. Czyżby tych dwoje przyszło szukać czaszki?

Keith podobno nie miał pojęcia, że na polanie leżą ludzkie szczątki. Czemu tak go niepokoi, że chłopak z dziewczyną przyszli obejrzeć sobie leśną polanę?

Obróciła się i spojrzała na niego pytająco. Pokręcił głową, dając do zrozumienia, by nie zdradzała, że tu są.

Mucha zabzyczała jej koło nosa. Ciekawe, jak długo tak wytrzymam, pomyślała ponuro, ale musiała przyznać, że jej też zachowanie Brada i Sandy wydało się podejrzane. Z emocji serce tłukło jej się głucho. Czuła się jak zwierzę, które zwietrywszy zagrożenie, przyczajone czeka, co będzie dalej.

- Słyszę jakiś hałas - zaniepokoiła się Sandy.

- Daj spokój!

- Sam daj spokój! Przecież ci mówię, że coś słyszę. Jakies odgłosy na plaży.

- Wszyscy popłynęli na ryby.

- Nie wszyscy.

- No i co z tego? W końcu nie robimy nic złego. Nie wolno przejść się po wyspie?

- Nie podoba mi się to. Lepiej wracajmy.

- Strach cię obleciał?

- Żebyś wiedział! Dajmy sobie z tym spokój, dobrze? - poprosiła przymilnie. - Weekend zaraz się skończy i oni wszyscy stąd wyjadą, bo muszą wrócić do pracy. Wyspa znów będzie tylko dla nas.

Chodźmy stąd!

Brad westchnął przeciągle i przygarnął ją do siebie. Maczeta, którą trzymał w ręku, zawisała pomiędzy nimi.

- Fajny mieczyk - mruknęła żartobliwie.

- Żebyś wiedziała, maleńka - odparł ze śmiechem.

Niespodziewanie zaczął ją całować. I pieścić wolną ręką.

Beth wstrzymała oddech. Z każdą chwilą czuła się bardziej zażenowana. Keith wciąż ją obejmował, a tych dwoje poczynało sobie coraz śmieiej...

Zdesperowana, miała ochotę krzyknąć: „Sandy, dopiero co mówiłaś, że się boisz!”

- Naprawdę chcesz się pobawić moim mieczykiem? - kusił Brad.

- Może...

- I nie będziesz się bała, że nas złapią?

- Trochę, ale to takie podniecające... - szepnęła, wędrując dłonią po jego piersi. Coraz niżej. I niżej.

Beth czuła, że pieką ją policzki.

- Właściwie to powinnam cię ukarać - szepnęła Sandy. - Strasznie się dziś kleiłeś do tej blondyny.

- To ona kleiła się do mnie - zaprotestował Brad.

- Nie zauważyłam, żeby ci to przeszkadzało.

- No, ona postawiła sobie za punkt honoru, żeby mi pokazać, że wszystko ma na swoim miejscu.

- Nie tylko tobie. Innym też - zauważyła uszczypliwie.

- Fakt. Tak czy owak, niech cię o nią głowa nie boli.

- Nie będzie. Jeśli już miałabym być zazdrosna, to raczej o tę drugą. Gapiłeś się na nią. Widziałam.

- Ja się na nią gapiłem?

- Ty. Pożerałeś ją wzrokiem.

- Bo też jest na co popatrzeć. Cholernie seksowna laska. I te nogi do samej szyi! Masz pojęcie, co taka może zrobić tymi nogami?!

Policzki piekły Beth żywym ogniem. Samopoczucia nie poprawiała jej świadomość, że Keith na pewno domyśla się jej katuszy. Nie była w stanie tego znieść.

88

Do tej pory siedziała cicho, bo tak nakazywał instynkt samozachowawczy, ale wszystko ma swoje granice. Bała się, że za chwilę nie wytrzyma i zrobi coś, co ich zdekonspiruje.

- No, uspokój się - fuknęła Sandy.
- Co, już cię nie podniecam?
- Nie bądź błaznem. Ja naprawdę słyszę jakieś hałasy.
- A może dać się przyłapać na uprawianiu gorącego seksu?
- Te dwie panienki są niepełnoletnie.
- I co z tego?
- To, że tego tylko nam brakuje, żeby nas przymknęli za deprawowanie nieletnich.
- Słuszna uwaga. - Brad natychmiast spowaźniał, lecz nie na długo. - Słuchaj, w namiocie też jest egzotycznie i parno. Co ty na to?
- Wracajmy na plażę. Błagam! Za dwa dni zostaniemy tu sami i wtedy spokojnie się wszystkim zajmiemy.

Argumenty Sandy przekonały Brada i po chwili odeszli tą samą ścieżką, którą przyszła Beth. Mimo iż szybko znikli wśród zarośli, Keith ani drgnął. Dla Beth każda mijająca sekunda trwała wieki. Wiedziała, że Keith postępuje rozsądnie; rzeczywiście lepiej jest zaczekać, aż Sandy i Brad się oddalą. W końcu jednak uznała, że nie wytrzyma tej wymuszonej bliskości ani chwili dłużej. Odsunęła się od niego, stanęła naprzeciw i spojrzała mu twardo w oczy.

- Można wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć? Wyraz jego ciemnych oczu pozostał nieodgadniony. Nie sposób było z nich wyczytać, jakie myśli snują mu się po głowie.
- Cii - syknął.

- Przecież już sobie poszli.
- Nie szkodzi. Drzewa mają uszy - ostrzegł ją.
- Czego tu szukali? - zapytała, zniżając głos.
- Nie mam pojęcia.
- Dlaczego ich nie zapytałeś?
- Uważasz, że to dobry pomysł zadawać wścibskie pytania facetowi, który wymachuje maczetą?
- Ale... przez to nigdy się nie dowiemy, czego chcieli.
- Może tak, może nie. Cofnęła się parę kroków.
- A ty co tu robisz? - zapytała, marszcząc brwi.
- Szukam.
- Czego?

Oparł się o drzewo i skrzyżował ręce na piersiach.

- Tego, co przede mną chowałaś, kiedy się tu widzieliśmy pierwszy raz.

Zaskoczył ją tak bardzo, że poczuła kompletną pustkę w głowie.

- Nie bądź śmieszny! Niczego nie chowałam - odparła, świadoma, że spóźnia się ze swym świętym oburzeniem o ładnych parę sekund.
- Skoro tak, to ja niczego nie szukałem.

Syknęła zirytowana i bez słowa ruszyła przed siebie. Jednak po paru krokach odwróciła się i z całym impetem wpadła prosto na niego. By się nie przewrócić, musiała oprzeć się o niego dłońmi. Zaraz jednak odskoczyła jak oparzona.

- Dlaczego nie popłynąłeś na ryby? - zapytała podejrzliwie. - Byłam pewna, że jesteś teraz na jachcie.
- Jak widać, nie jestem.
- Bo?
- Mieli komplet.

- Wymknąłeś się ukradkiem, żeby tu wrócić - rzuciła oskarżycielsko.
- Nic podobnego.
- Tak? To dlaczego nic nie wiem o tym, że nie popłynąłeś z innymi?
- Pewnie dlatego, że nie zwróciłaś na to uwagi. Nie robiłem tajemnicy, że zostaję na lądzie. I wbrew temu, o co mnie podejrzewasz, nie wyskoczyłem po kryjomu z łodzi, żeby tu przyplłynąć wpław. Obrzuciła go znaczącym spojrzeniem, a potem pokręciła głową.
- Coś mi się w tobie nie podoba - oznajmiła. Uśmiechnął się z przekąsem.
- Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć, ale... musisz przyznać, że dla ciebie byłoby lepiej, żebym okazał się zwykłym porządnym facetem. W końcu jesteśmy tu sami, na szybką pomoc nie ma co liczyć.

Ostrożnie zaczęła się cofać. Westchnął zrezygnowany i wyciągnął do niej rękę. Odskokczyła gwałtownie; opuścił więc ramię i pokręcił głową.

- Chcesz czy nie, i tak dam ci dobrą radę. Trzymaj się z dala od tego miejsca. Nie wiadomo dlaczego, ktoś bardzo się nim interesuje. I nie mów nikomu, że widzieliśmy tu Brada i Sandy. A jeśli ktoś wyda ci się podejrzany, nie daj tego po sobie poznać.

Zmrużyła oczy i przez chwilę badała go czujnym, przenikliwym wzrokiem.

- Niewykluczone, że ktoś został tu zabity - powiedziała w końcu.
- Chcesz podzielić jego smutny los?
- Grozisz mi?
- Na miłość boską, kobieto! Ja cię ostrzegam!
- Jasne. A ja mam ci tak po prostu zaufać?
- Obawiam się, że nie masz innego wyjścia.

Zmierzyła go wzrokiem od stóp do głów. Był mężczyzną w sile wieku, sprawnym i silnym. Była pewna, że gdyby tylko zechciał, bez trudu wyrwałby Bradowi maczetę. Zresztą sama dopiero co przekonała się na własnej skórze, czym jest jego żelazny uścisk.

Obróciła się na pięcie i ruszyła w stronę ścieżki.

Keith nie miał zamiaru pozwolić jej odejść. Chwycił ją za rękę i obrócił w swoją stronę. Z jej zaciśniętych ust nie padło słowo protestu, jednak sroga mina była wystarczającym ostrzeżeniem. Beth przymrużyła oczy i uniósłszy do góry brwi na znak zdziwienia graniczącego z irytacją, wolno przeniosła wzrok z jego twarzy na dłoń, którą ją przytrzymał.

- Ja nie żartuję, Beth. Dla własnego dobra trzymaj język za zębami.

- A mnie się zdaje, że wiesz o czymś, o czym ja nie mam pojęcia. Więc przygotuj się na rozmowę z policją.

- Gdybym rzeczywiście coś wiedział, nie musiałbym chować się po krzakach, żeby podsłuchiwać.

- Tak czy owak, powinniśmy zawiadomić policję.

- I co im powiedzieć?

- Ze... że...

- Ze być może na wyspie leżała czaszka? Że para młodych ludzi chodziła po lesie i czegoś szukała? O ile wiem, prawo tego nie zabrania, więc na razie nie popełnili żadnego przestępstwa. Wiesz co? Dla własnego dobra nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Siedź cicho i zachowuj się tak, jakbyś nigdy nie widziała tu żadnych podejrzanych rzeczy.

- Ty mi grozisz!

- Nic podobnego! - zdenerwował się. - Ja tylko ostrzegam cię przed niebezpieczeństwem.

- Skoro tak, to musimy ich powstrzymać. Natychmiast!



- Jak już mówiłem, istnieje coś takiego jak prawo. Naprawdę myślisz, że możemy związać Sandy i Brada, a potem przekazać ich w ręce straży przybrzeżnej i domagać się, żeby ich aresztowali, bo według nas zachowywali się w podejrzany sposób?

Speszyła się. Keith cały czas trzymał ją za rękę. Z trudem przełknęła ślinę. Nagle uświadomiła sobie, że dopiero teraz naprawdę zaczyna się bać. Siebie samej. Bo czy nie jest niepokojące, że dotyk Keitha w ogóle jej nie przeszkadza? Wręcz przeciwnie, czuła, że dobrze jest mieć go tak blisko. Kusilo ją, by zamknąć oczy. Przytulić się do niego. Powiedzieć: chwilo, trwaj! Z reguły wyśmiewała wiarę w pierwotny instynkt, jednak teraz sama padła jego ofiarą. Dotyk Keitha podziałał na jej zmysły.

Tłumaczyła sobie, iż wszystko przez to, że od dawna nie spotykała się z żadnym mężczyzną. Jednak bez względu na te racjonalne tłumaczenia, w głębi serca i tak wiedziała, że nikt dotąd nie obudził w niej takich doznań.

Keith niespodziewanie puścił jej rękę.

- W porządku, widzę, że mi nie ufasz. Pilnuj się brata. Cały czas. I nie mów za dużo.

Fizyczny kontakt został zerwany, więc powinna od razu oprzytomnieć. Nic z tego. Wciąż czuła się jak zwierzę ogłupione światłem reflektora. Wzdrygnęła się. Pora, żebyś znów zaczęła używać rozumu, nakazała sobie stanowczo.

Tymczasem Keith, nie bacząc na jej odrętwienie, zaczął się oddalać. Tyle że Beth jeszcze z nim nie skończyła. Tym razem to ona pobiegła za nim, złapała go za rękę i mocnym szarpnięciem zmusiła, by się do niej odwrócił.

- Powiedz, co masz z tym wspólnego - zażądała.

- Nic. Podobnie jak ty spędzam tu weekend.

- Tak? To po co przyszedłeś na polanę?

- Przecież już ci mówiłem. Byłem pewny, że próbowałaś coś przede mną schować i chciałem sprawdzić co. - Był wyraźnie zniecierpliwiony, usiłował oswobodzić rękę. Niespodziewanie zmienił zdanie. Napał na nią, przygważdżając ją do pobliskiego drzewa. - Co tam schowałaś?

- Nic!

- Czaszkę?

- Chyba oszalałeś!

Odepchnął się od pnia i ruszył w stronę plaży. Beth była na niego wściekła, a jednak poszła za nim. Z niezrozumiałych dla siebie powodów uparła się, by dotrzymać mu kroku.

Po chwili weszli na ścieżkę, tę samą, którą oddalili się Sandy i Brad. Beth trochę się bała, że na nich wpadną, ale już ich nie było, przynajmniej w zasięgu wzroku.

Amber i Kim opalały się tam, gdzie je zostawiła. Roger wciąż drzemał w hamaku; nawet nie przekręcił się na drugi bok.

- Siema, dziewczyny! - zawołał Keith.

Amber obróciła się leniwie, a widząc go w towarzystwie Beth, spojrzała najpierw na ciotkę, potem jeszcze raz na niego, a potem na Kim, po czym obie się uśmiechnęły.

Głupkowato, jak oceniła Beth.

- I co, znalazłeś dojrzałe kokosy? - zapytała go Amber.

Tym razem to Beth wodziła po obecnych pytającym wzrokiem. Dziewczyny najwyraźniej wiedziały, że Keith nie popłynął na ryby. W takim razie gdzie ona była, do cholery?

Pozwoliła sobie na chwilę nieuwagi. Popełniła błąd, na który nigdy więcej nie może sobie pozwolić.

89

- Zobaczcie, tam wisi niezły orzech. - Keith skinął głową w stronę hamaka z drzemającym Rogerem.

- Przyniosę go - zaofiarowała się Amber.

Beth już miała jej tego zabronić, ale zacisnęła zęby. Dziewczynki lubią Keitha. Gdyby próbowała je od niego odciągać albo wzbudzać w nich nieufność, osiągnęłyby odwrotny efekt: jako typowe nastolatki na pewno zaczęłyby się buntować przeciwko jej zakazom.

- Idę z tobą! - Kim poderwała się z miejsca. Na ręczniku został porzucony kwas pieprzowy. Beth zerknęła na Keitha, po czym sięgnęła po swą ulubioną broń. W odpowiedzi uśmiechnął się i pokręcił głową.

- I co cię tak bawi? - burknęła, podchodząc bliżej, tak by dziewczynki nie mogły ich usłyszeć.

- Kwas pieprzowy... maczeta. Nieźle...

- Na twoim miejscu nie byłabym taka dowcipna. Tym kwasem można człowieka oślepić.

- Naprawdę nigdy bym się nie odważył naśmiewać się z pani możliwości obronnych, panno Anderson

- odparł ze śmiertelną powagą i odszedł, by wziąć od Amber kokos.

Beth patrzyła, jak z wprawą roztrzaskuje go o pień palmy i podaje kawałki dziewczynom.

- Przepraszam, powinienem był najpierw zapytać, czy mogą jeść surowe kokosy - powiedział, wróciwszy do niej.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Amber. - Przecież ciocia nie ma nic przeciwko kokosom.

Beth uśmiechnęła się z przymusem. Po chwili odetchnęła; w stronę plaży płynęły łódki, były już niedaleko.

Reszta towarzystwa wraca z połowu,

- Dziś na kolację jemy mahi mahi! - wołał Ben,

wyskakując z łódki, by przyciągnąć ją bliżej brzegu. Potem odwrócił się, by pomóc Amandzie. Ta zaś wyciągnęła do niego dłoń i z wrodzonym kocim wdziękiem wyszła na ląd. Oczywiście nie omieszkała przy tym przyłgnąć do Bena całym ciałem. - Ja gotuję! -zapowiedział Ben, zwracając się do Beth. Zauważyła, że brat jest w doskonałym humorze. Widocznie wyprawa na ryby wyjątkowo się udała. Pomachała do niego i poszła do namiotu.

Cieszyła się, że brat miło spędza czas. Przynajmniej on jest zadowolony, bo jeśli o nią chodzi, weekend na wyspie zmienił się w koszmar. A może być jeszcze gorzej. Nie wiadomo kiedy, zaczęła dręczyć ją tęsknota za czymś, o czym w ogóle myśleć nie powinna. I czego raczej mieć nie może... Jednak najbardziej przerażała ją myśl, że on odczuwa to samo.

## **ROZDZIAŁ PIĄTY**

Beth usadowiła się na wygiętym pniu palmy i jedząc doritos, obserwowała plażę. Dla kogoś, kto spojrzalby na nich z boku, mogli uchodzić za rodzinę, która urządziła sobie na wyspie zjazd. Na plaży płonęły trzy ogniska i żarzył się turystyczny grill. Beth pomyślała, że akurat dziś rozpalili je tylko dla nastroju i ciepła, gdyż księżycowa noc była wyjątkowo jasna. Jednak zawsze miło jest posiedzieć przy ognisku i popatrzeć na taniec płomieni.

Jej brat doglądał grilla i, jak się domyślała, zdradzał swój przepis na pyszne mahi mahi Keithowi i Lee, którzy mu towarzyszyli. Przy jednym z ognisk Brad parzył kawę i rozmawiał z Hankiem, Geraldem i Mattem. Pewnie wspominają dzisiejszy rejs, pomyślała Beth. W pewnej chwili dołączyła do nich Amanda i chichocząc, zaczęła coś opowiadać. Patrząc na jej żywą gestykulację, Beth z łatwością odgadła, że pokazuje, jak ktoś szarpał się z rybą. Słuchający jej mężczyźni co chwila wybuchali śmiechem, wyraźnie rozbawieni jej towarzystwem.

Beth drgnęła, słysząc, że ktoś siada obok niej. Zdziwiła się, widząc, że to Sandy.

- Niezły z niej numer, co? - zagadnęła ją dziewczyna, skinąwszy w stronę Amandy puszką piwa.

- Jest bardzo ładna. - Beth starała się być obiektywna.

- I co z tego? - Sandy uśmiechnęła się półgębkiem. Jej oczy miały zagadkowy wyraz. - Ty jesteś dużo ładniejsza. I ja też. Ona po prostu umie ba-jerować i śmiało korzysta ze wszystkich swoich atutów.

- Ci dwaj to jej kuzyni - przypomniała jej Beth. Mimo iż Sandy zachowywała się najnormalniej w świecie, Beth wciąż miała przed oczami to, co wydarzyło się na polanie.

- A dwaj inni nie - zauważyła Sandy przytomnie, i wzruszywszy ramionami, stwierdziła: - Niektóre baby już takie są. Żadnemu facetowi nie przepuszczą.

- Amanda... należy do świata uprzywilejowanych - mruknęła Beth, zastanawiając się, co też jej przyszło do głowy, by bronić Amandy, na widok której dostaje dreszczy. - Poczęstujesz się? - zapytała, podsuwając Sandy torebkę doritos.

- Nie, dzięki. Słuchaj, a te jej cycki to są prawdziwe czy sztuczne?

- Nie mam pojęcia. Nie pytałam...

- Na pewno je sobie powiększyła - orzekła Sandy z przekonaniem.

- Cóż... mnóstwo ludzi coś sobie powiększa...

- Fakt - przyznała Sandy. - Ale wiesz, co mnie wkurza najbardziej? Że ona macha tymi balonami jak swoją wizytówką. A faceci są jak dzieci, naprawdę niewiele trzeba, żeby ich zbałamucić.

- Czasami - roześmiała się Beth.

92

- Coś mi się zdaje, że ta cała Amanda nie ma zbyt wielu przyjaciółek.

- Powiem ci szczerze, że nawet nie wiem - odparła Beth wymijająco. Czuła się tak, jakby obgadywała najatrakcyjniejszą dziewczynę w szkole. Ponieważ rozmowa wydawała jej się żenująca, postanowiła zmienić temat. - Jak długo jesteś z Bradem? - zapytała.

- Trzy lata. Sporo, co? - Sandy zrobiła pauzę. - I ciągle jestem w nim zakochana po uszy. Mniej więcej.

Beth nie rozumiała, jakim cudem można być w kimś „zakochanym po uszy, mniej więcej”, ale nie miała zamiaru rozwiązywać tego dylematu.

- W takim razie świetnie, że jesteście razem - odparła dyplomatycznie.

Sandy z roztargnieniem sięgnęła po doritos. Idąc za jej spojrzeniem, Beth zobaczyła Amandę uczeptioną ramienia Brada.

- Nie wydaje ci się, że to już za długo trwa? -zapytała Sandy, robiąc smętną minę.

- W jakim sensie?

- Chyba najwyższy czas, żebyśmy wzięli ślub?

- Ach, o to chodzi. Wiesz.... hm... Myślę, że akurat z tą decyzją nie należy się spieszyć. Na pewno warto przedtem dobrze się poznać. W każdym razie ja wolałabym poczekać, aż będę na sto procent pewna, że chcę być z tym człowiekiem do końca życia. Najłatwiej wyjść szybko za męża, a potem równie szybko wziąć rozwód. Smutne, jak wiele małżeństw się rozpada...

- Twój brat jest rozwiedziony?

- Nie. Jego żona umarła.

- Straszne.

- Niestety.

- Więc... według ciebie to nic złego, że wciąż jestem z Bradem, choć żyjemy ze sobą już tyle lat i nadal nie jesteśmy małżeństwem?

Beth zawahała się. Ostatnią rzeczą, jakiej spodziewała się po przedstawieniu, którego była świadkiem na polanie, było to, że Sandy przyjdzie do niej radzić się w tak osobistych sprawach.

- Nie czuję się powołana do udzielania rad -odparła ostrożnie. - Ale skoro mnie pytasz, to powiem ci, że nie widzę niczego złego w tym, że jesteście razem. Zwłaszcza jeśli odpowiada ci taka sytuacja.

Sandy nie spuszczała oczu z grupki przy ognisku.

- Myślisz, że on mnie zdradza?

Beth poczuła się wyjątkowo niezręcznie. Rozmowa zaczynała ją męczyć.

- Sandy, przecież dopiero co się poznaliśmy. Naprawdę nie wiem, co ci powiedzieć.

Sandy w ogóle jej nie słuchała.

- Oho, kocica rusza na łowy. Jak myślisz, kogo sobie teraz upatrzyła? Twojego brata? Keitha?

Amanda rzeczywiście była w swoim żywiole. Tym razem czarowała ekipę obsługującą grill. Stała pomiędzy Benem i Keithem i bezwstydnie z nimi flirtowała. A oni obaj byli w siódmym niebie.

- Mój brat jest dorosły - zauważyła Beth. - Sam powinien wiedzieć, co dla niego dobre. Jak ktoś ma trzydzieści pięć lat, z reguły sam decyduje o sobie.

- Właśnie - westchnęła Sandy. - Keith też nie jest dzieckiem. Powiem ci jedno, Beth. Jeśli Amanda nie przestanie łąsić się do Brada, ja też rozejrzę się za kimś ciekawym. - Nagle spojrzała na Beth z ukosa i pokręciwszy głową, orzekła: - Nie, ty tego nie zrozumiesz. Jesteś dziewczyną z zasadami.

94

- Dlaczego tak myślisz? - Beth nie mogła się nie roześmiać. - Przecież znasz mnie zaledwie od wczoraj.

- Pewne rzeczy po prostu się wie. I widzi, niezależnie od tego, jak długo kogoś się zna - roześmiała się Sandy. - Sama wiesz, chemia, czy jak to zwą. Ale nie martw się, harcerczko. Jeśli kogoś sobie upatrę, na pewno nie będzie to Keith.

- Słucham?
- Daj spokój, przecież widać, że macie się ku sobie. Jeśli powiesz, że to nieprawda, jesteś kłamczuchą.
- A dziewczyny z zasadami nie kłamią, tak? - Tym razem rozmowa wydała się Beth zabawna.
- Mów, co chcesz, ale gołym okiem widać, że mu się podobasz. Zauważyłam, że kiedy jesteś w pobliżu, wodzi za tobą wzrokiem. Powiem ci szczerze, że właśnie dlatego postanowiłam go sobie odpuścić. Po co tracić energię na bajerowanie faceta, który jest zajęty? A tak swoją drogą, wcale nie jestem poszuki-waczką łatwych przygód. Brad zresztą też nie. Tylko ta laska tak mnie wkurza.
- Z tego, co mówisz, widzę, że ciebie i Brada łączy coś... wyjątkowego. - Beth czuła, że jej słowa nie brzmią przekonująco, ale nie potrafiła rozmawiać z Sandy swobodnie. Za każdym razem, gdy na nią spojrzała, miała ochotę krzyknąć: „Powiedz, czego szukaliście na polanie? Czaszki?”  
Nawet gdyby mogła ją o to zapytać, pewnie i tak by nie zdążyła, gdyż przy ognisku i grillu zapanowało poruszenie. Brad właśnie skończył parzyć kawę, a sądząc po butelce whisky, którą trzymał, zadał sobie trud przygotowania kawy po irlandzku.
- Nie wiem jak ty, ale ja chętnie się czegoś napiję. - Beth z ulgą wykorzystała pretekst do zakończenia rozmowy. - Chodźmy - zaproponowała,



wstając. - Podejźmy do nich jak gdyby nigdy nic i nikt się nie domyśli, że się denerwujesz.

Sandy zerknęła na nią ukradkiem; w wyrazie jej oczu było coś, co utwierdziło Beth w przekonaniu, że tę kobietę naprawdę coś gryzie. Zastanowiło ją to, gdyż w rzeczywistości Sandy nie miała powodu do obaw: Brad nie robi niczego złego, a Amanda podrywa wszystkich facetów bez wyjątku.

Tymczasem ekipa obsługująca grill też już była gotowa.

- Kolacja! - zawołał Brad. - Niech ktoś poda mi talerze.

Roli pomocnika kucharza pierwszy podjął się Roger, który odbierał od Bena porcje i podawał je dalej.

Niebawem wszyscy usiedli, gdzie i na czym kto mógł, by spróbować specjału szefa kuchni. Parę minut później kucharz zaczął zbierać w pełni zasłużone komplementy.

- A mnie nikt nie pochwali? - żalił się Lee. - W końcu to ja zabrałem was na ryby.

- I było naprawdę super! - potwierdził Ben z entuzjazmem.

- Szkoda, że z nimi nie popłynęliśmy - westchnęła Sandy.

- Może i szkoda - mruknął Brad.

- Nic straconego. Jutro możemy to powtórzyć - rzucił Matt.

- Jutro jest niedziela. A po niej poniedziałek. - Sandy wzdrygnęła się z niechęcią. - Trzeba będzie wracać do szarej rzeczywistości. W poniedziałek muszę być w pracy.

- Czym się zajmujesz? - zagadnęła ją Beth.

- Jak to czym?

- No wiesz, zawodowo.

- A, o to pytasz. Jestem konsultantką.

96

Beth nie uwierzyła. Prawdopodobnie dlatego, iż na własne uszy słyszała, jak Sandy przekonywała Brada, że po weekendzie wreszcie zostaną na wyspie sami.

- Beth, tobie też chyba kończy się urlop? - zaświergotała słodko Amanda.

- Owszem, ale ja mam to szczęście, że bardzo lubię swoją pracę - wybrnęła dyplomatycznie Beth.

- Czego ja, niestety, nie mogę powiedzieć o sobie - westchnął Ben.
- Ben jest prawnikiem - wyjaśnił za niego Roger.
- Jakiej specjalizacji? - zainteresował się Keith.
- Sprawy karne - odparł Ben. - Przez jakiś czas pracowałem w prokuraturze okręgowej, ale postanowiłem otworzyć własną kancelarię. No i bronię różnych rzezimieszków. - Roześmiał się gorzko. - Na zarobki narzekać nie mogę, ale naprawdę nie wiem, jak długo tak wytrzymam. - Zawahał się, zerkając w stronę córki. - Coraz częściej myślę o tym, żeby rzucić to wszystko w diabły i zmienić specjalizację. Być może zajmę się ochroną praw autorskich albo czymś w tym stylu.
- A czym ty się zajmujesz? - zapytała Beth, patrząc Keithowi prosto w oczy. Odniosła wrażenie, że się zawahał, lecz nie trwało to dłużej niż ułamek sekundy.
- Jestem nurkiem.
- I dajesz radę z tego wyżyć? - zdziwił się Hank.
- A czemu nie? - zdziwiła się Amber.
- Hej, przecież ten wypasiony jacht nie jest mój, tylko jego - roześmiał się Keith, wskazując Lee.
- Właśnie, a ty co robisz? - zaciekała się Amanda.
- Nic godnego uwagi - odparł Lee. - Przepuszczam rodzinną fortunę.

- Nieźle. Lubię takich - podsumowała Amanda, wywołując swym prostolinijnym wyznaniem salwy śmiechu.

Jednak Amanda nie żartowała. Najwyraźniej odkryła w Lee bratnią duszę. Chyba uznała go za najlepszy łup, gdyż styl, w jakim żył, był zgodny z jej własnymi przyzwyczajeniami. Na wszelki wypadek do końca wieczoru nie opuszczała go na krok. Kokietowała go zaciekle i nie odpuściła sobie nawet w czasie sprzątania po posiłku.

Ponieważ Ben kategorycznie sprzeciwił się, by w ramach rozrywki znów opowiadali sobie historie z dreszczykiem, ktoś przyniósł przenośny odtwarzacz i włączył muzykę.

Beth konsekwentnie trzymała się z dala od rozbawionych i rozgadanych grupek skupionych przy ogniskach. Nie wiedzieć czemu, jej myśli znów zaprzątnęli państwo Monocowie. Intrygowało ją, czy istnieje zbieżność pomiędzy ich zniknięciem a domniemaną czaszką, którą znalazła. Oczywiście Ben ma rację, mówiąc, że Monocowie mieli prawo odpłynąć w siną dal. Jednak to nie zmienia faktu, że ludzie, którzy w tym samym co ona czasie znaleźli się na wyspie, zachowują się dziwnie.

Nie mogła uwolnić się od przeświadczenia, że stała się mimowolnym uczestnikiem gry, której reguł ani sensu nie pojmuje. Jej współtowarzysze na każdym kroku pokazują, że kochają cały świat i wszystkich ludzi wokół. Jedynie Ben, który z jakiegoś powodu był nie w sosie, nie podzielał ich huraoptymizmu. Podobnie Keith.

On też trzymał się z boku i jeśli tylko mógł, nie włączał się do rozmowy. Obserwował. Starał się mieć ich na oku.

104

Na myśl o tym przebiegł ją dreszcz. Powinna odczuwać wobec niego nieufność, tymczasem coś ciągnęło ją do niego jak magnes. Intuicyjnie wyczuwała w nim ogromną siłę charakteru i prawość. Czyżby straciła rozum? A może ten dziwny stan wynika z faktu, że od dawna nie spotkała mężczyzny, który pociągałby ją w takim stopniu jak on? Jedno wie na pewno: gdyby Keith chciał ją

unieszkodliwić, miał ku temu niejedną okazję. A on nie dość, że nie zrobił jej żadnej krzywdy, to jeszcze starał się ją chronić.

Im dłużej analizowała sytuację, tym większą miała pewność, że nie powinna wracać do sprawy swojego kontrowersyjnego znaleziska i związanych z nim niepokojów. Postanowiła nie rozmawiać o tym nawet z Benem. Obiecała sobie jednak, że po powrocie do Miami postara się zebrać jak najwięcej informacji na temat państwa Monoców.

Pocieszała się, że być może jątrząca ciekawość, która w tej chwili zatruwała jej każdą minutę, minie z chwilą powrotu do cywilizacji i codziennych obowiązków. Naturalnie w pracy nadal będzie spotykała rodzinę Masonów, lecz jest mało prawdopodobne, by ponownie zetknęła się z Sandy i Bradem, bogatym z domu Lee, rudym Mattem czy Keithem.

Towarzystwo siedziało przy ognisku do późna. Kiedy wreszcie zaczęli się rozchodzić, Beth nonszalancko wróciła do namiotu w pojedynkę; chciała im pokazać, że się nie boi. Jednak gdy została sama i zwinęła się w śpiworze, musiała przyznać, że mimo wszystko czuje się trochę nieswojo.

Długo nie mogła zasnąć, leżała więc w ciemności i odtwarzała w pamięci to, co wydarzyło się na polanie. Najczęściej powracało do niej wspomnienie Keitha przyciskającego ją do siebie przez kilka minut, które

dla niej trwały wieczność. Na myśl o tym jeszcze teraz robiło jej się gorąco.

Już prawie zasypiała, gdy usłyszała jakiś odgłos. Coś zaszeleściło. Wiatr w liściach palm? Uniosła się i zaczęła nasłuchiwać.

Co za weekend! Miała wrócić do Miami wypoczęta i opalona, a czuje się zestresowana i bardziej zmęczona niż przed przyjazdem na wyspę.

I na dodatek ciągle jej się wydaje, że coś słyszy.

Zirytowana, wygrzebała się ze śpiwora i ostrożnie wysunęła głowę z namiotu. Dookoła było pusto.

Ani żywej duszy. Cisza i spokój.

Mimo to postanowiła wyjść na zewnątrz i trochę się rozejrzeć. Wypęzła z przedsionka, wyprostowała się i zamarła. Jednak nie jest sama.

Z przerażeniem uświadomiła sobie, iż to, co początkowo brała za cień, w rzeczywistości jest ludzką sylwetką. Ktoś opiera się o pień pobliskiej palmy.

Obezwładniona strachem, nie mogła wykonać najmniejszego ruchu. W ułamku sekundy zaschło jej w ustach. Niespodziewanie cień podniósł rękę i przyjaźnie pomachał. A potem powiedział:

- Cześć!

- Cześć! - odparła machinalnie. Pod palmą stał Keith.

Podeszła do niego bosą, nie bacząc na swój mało wyszukany nocny strój w postaci przydużego

T-shirtu. Idąc, nie mogła oprzeć się refleksji, że noc jest wyjątkowo piękna; jasna, księżycowa, ciepła i prawie bezwietrzna.

- Szukasz ochłody? - zapytała, stając obok.

- Wspaniała pogoda - odparł, siadając na piasku. - Zapraszam - dodał, klepiąc dla zachęty miej sce obok.

Zawahała się, ale skorzystała z zaproszenia.

106

- Co tu robisz? - zapytała.

- Napawam się przyjemną aurą.
- W środku nocy?
- Sypiam o różnych dziwnych porach - wyznał.
- Dlaczego nie jestem zaskoczona...
- Czy jest w tym jakiś podtekst? - zapytał.

W odpowiedzi pokręciła głową i uciekła wzrokiem w bok.

- Nie ufasz mi - stwierdził.
- Nie ufam.
- A tak swoją drogą, gdzie się podziali kumple twojego brata? - spytał zniecierpliwiony.
- Proszę?

- No wiesz, ci, co mieli do was dojechać. Chłopy jak dęby, co to otwierają piwo zębami.

Popatrzyła na niego zdumiona, w pierwszej chwili nie bardzo rozumiejąc, o czym mówi. Zaraz jednak pojęła, do czego pije.

- Zdaje się, że coś im wypadło. Nie przyjadą.
- Bo nigdy nie mieli tego w planie.
- Okej, przecież już ustaliliśmy, że ci nie ufam. Tak samo teraz, jak kiedy się poznaliśmy.

Keith długo patrzył przed siebie.

- Jeśli uważasz nas za piratów, to się mylisz - zauważył cicho.
- Co ty opowiadasz? Piraci istnieją w legendach.
- I tu też się mylisz - odparł. - Nawet dziś piraci stanowią realne zagrożenie. Jeśli nie wierzysz, zapytaj brata. Wystarczy, że człowiek zapuści się jachtem tam, gdzie nie powinien, i kłopot gotowy. Sama pomyśl, przecież morze jest bezkresne. Możesz być blisko cywilizacji, ale na wodzie małe są szanse na szybką pomoc. Dlatego nie myśl, że opowieści o piratach można włożyć między bajki.

Zmarszczyła brwi, zaskoczona jego pasją.

- A cóż oni dziś robią? - zapytała. - Szmuglują narkotyki?

- Robią to samo, co robili setki lat temu. Rabują cudzą własność. - Przyjrzał jej się uważnie, by po chwili znów odwrócić wzrok w stronę morza. - Zresztą kradną nie tylko dobra materialne. Również informacje, które czasem są na wagę złota.

Słuchała go, czując na plecach dreszcze. Siedzieli blisko siebie, ale się nie dotykali. A ona biła się z myślami, czy powiedzieć dobranoc i wrócić do namiotu, czy przysunąć się bliżej, by poczuć ciepło jego ciała. Nie mogła dłużej udawać, że nie widzi, iż Keith jest wyjątkowo atrakcyjnym i pociągającym mężczyzną, obdarzonym nie tylko fizyczną siłą i tężyzną, lecz także nieodpartym urokiem i nieco łobuzerskim wdziękiem.

Rozum podpowiadał jej, że skoro tak ją do niego ciągnie, powinna czym prędzej uciekać. A ona nie dość, że nawet nie drgnęła, to jeszcze zaczęła sobie wyobrażać, że się z nim kocha. Co było z jej strony wyjątkowo lekkomyślne, bo po pierwsze ani trochę mu nie ufa, a po drugie przebywa na wyspie, gdzie dzieją się przedziwne rzeczy.

Keith chyba czytał w jej myślach, gdyż znów powiedział coś, co zabrzmiało jak ostrzeżenie:

- Wracaj do swojego świata i zapomnij o wszystkim, co tu widziałaś i słyszałaś. I na litość boską, nie gadaj za wiele.

- Po co mnie straszysz?

- Przepraszam, nie miałem takiego zamiaru. Po prostu chcę ci powiedzieć, że lepiej nie wtykać nosa w nie swoje sprawy.

- Jakie sprawy?

108

Syknął zniecierpliwiony i szorstkim gestem strzepnął z kolan ziarenka piasku.

- Niepotrzebnie robisz z igły widły - burknął. - Daj sobie spokój. Czasem nie warto być zbyt dociekliwym, bo można niechcący odkryć rzeczy, o których wolałoby się nie wiedzieć.

Przyjemna nocna bryza zmieniła się w chłodny wiatr.

- Ty o czymś wiesz, prawda? Albo coś podejrzewasz? - drażyła, ignorując jego dobre rady. - Dlaczego nie chciałeś, żeby Sandy i Brad zobaczyli nas na polanie?

- A ty znowu swoje! - rzucił zniecierpliwiony. - Ani nic nie wiem, ani niczego nie podejrzewam. Jestem zwykłym nurkiem. Kocham morze, piasek, wiatr, uwielbiam podwodny świat, bo tylko tam znajduję absolutny spokój i niezmaconą ciszę. Lubię łowić ryby, nocować na wyspach i wieść beztroskie życie. I właśnie dlatego staram się trzymać jak najdalej od spraw, które nie powinny mnie interesować. I tobie radzę to samo.

- Strasznie kręcisz - orzekła zde gustowana. - A wiesz, co jest najdziwniejsze? To, że nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

- Tak? - Uniósł brwi, lecz wyraz napięcia szybko znikł z jego twarzy, ustępując miejsca drwiącemu uśmieškowi: - Chcesz mnie sprytnie podejść? Czy oskarżyć?

- Ani jedno, ani drugie. Po prostu ci nie ufam.

- Ciekawe, sam bym nigdy na to nie wpadł. Zwłaszcza że powtarzasz to na każdym kroku.

- Jesteś cholernie złośliwy.

- Przykro mi. Skoro tak bardzo cię denerwuję, to przypominam, że pierwszy usiadłem pod tą palmą.



Podparła się dłońmi, żeby wstać. Keith złapał ją za ramię.

- Przepraszam.

- Nie ma za co. Zostawiam cię sam na sam z twoją palmą.

- Powiedziałem przepraszam. Po prostu wkurzyło mnie, że tak od razu zaczęłaś mnie atakować.

- Wcale cię nie atakuję.

- Jak to nie? Przed chwilą wysunęłaś pod moim adresem jakieś zarzuty. Nie mam pojęcia, czego ode mnie chcesz.

Ogarnęła ją niepewność. Keith zwyczajnie trzymał ją za rękę, a jej się zdawało, że pieści jej skórę.

Patrzył jej przy tym prosto w oczy. Otwarcie i szczerze.

Jaka szkoda, że nie poznali się na imprezie u jej brata albo w jachtklubie. Albo na wyprawie nurkowej.

Keith mógłby być czymś kumplem ze szkoły. Szkoda, wielka szkoda. Gdy jej dotykał, czuła się tak, jakby przepływał przez nią prąd. Kiedy był blisko, pragnęła mieć go jeszcze bliżej.

Szybko otrząsnęła się z rozmarzenia. Niestety, Keith nie jest kolegą Bena ze studiów, poza tym poznała go w wyjątkowo niejasnych okolicznościach.

- Beth, ja naprawdę nie wiem, czego ode mnie oczekujesz - powtórzył, nie doczekawszy się odpowiedzi.

- Prawdy - szepnęła.

Puścił ją i oparłszy się plecami o pień, spojrzał w rozgwieżdżone niebo.

- Prawdy? - W jego głosie pojawił się ton zniecierpliwienia. - Przecież ja o niczym nie wiem. Staram się być ostrożny, oto cała prawda. Którą powinnaś wziąć sobie do serca. Bądź bardzo ostrożna, Beth.

- Dlatego że Sandy i Brad wydali ci się podejrzani?

110

- Dlatego że twierdzisz, iż znalazłaś tu czaszkę i trąbisz o tym na prawo i lewo.

Tym razem to ona się zezłościła.

- A ty znowu swoje - prychnęła. - Bez przerwy mówisz zagadkami i kluczysz. Twierdę, że znalazłam czaszkę. Założmy, że rzeczywiście coś mi się przywidziało i żadnej czaszki nigdy tam nie było. Czego więc miałabym się bać?

- Być może niczego. Prawdopodobnie niczego.

- Jesteś niemożliwy! Uśmiechnął się łobuzersko.

- Wiesz, co powinienem teraz powiedzieć? - zapytał. - Niech pomyślę... Chyba coś takiego: „Czy masz świadomość, jak jesteś piękna? I że nigdy nie spotkałem równie niezwykłej kobiety?”. Tylko że chyba nie takiej prawdy ode mnie oczekujesz. Zresztą taki tekst na pewno nie robi na tobie wrażenia, bo słyszałaś go już setki razy.

Każdy inny mężczyzna po takim wstępie próbowałby ją objąć. Każdy, ale nie Keith. On nawet nie przysunął się do niej o centymetr. Dzięki temu jego słowa nie zabrzmiały jak wyświechtany slogan. Beth pozwoliła sobie wierzyć w szczerłość jego komplementu. Zresztą facet taki jak on nie musi uciekać się do tanich chwytów; domyślała się, że kobiety rzadko dają mu kosza.

- Miło mi to słyszeć - mruknęła speszona, uciekając spojrzeniem w stronę kołyszących się na wietrze palm.

Ją też niełatwo było podejść. Jako specjalistka od public relations do perfekcji opanowała sztukę czarowania klientów. Potrafiła nie tylko manipulować, lecz także rozpoznać, kiedy jest manipulowana.

Postanowiła odpłacić mu szczerością za szczerłość.

- Coś mi się zdaje, że twój tekst miał mnie gładko przekierować na inny temat.
- Nie przeczę. Tym bardziej że w sprawie, która tak żywo cię interesuje, nie mam nic więcej do powiedzenia.

Przyjęła jego tłumaczenie i przez chwilę w milczeniu przyglądała się jachtowi Lee.

- Jest przepiękny - westchnęła z podziwem.
- Dwadzieścia trzy metry długości, motorowy silnik - wyrecytował. - Powinnaś go obejrzeć.

Naprawdę robi wrażenie.

- Możesz pokazać mi go jutro rano - zasugerowała. Sprawiał wrażenie zaskoczonego jej propozycją.
- Pewnie, że mogę - odparł z namysłem. Chwilę jej się przyglądał, a potem dodał ze śmiechem: - Chyba wiem, do czego zmierzasz. Na pewno zajrzysz w każdy kąt, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ukryliśmy gdzieś trupów albo innych dowodów zbrodni.
- Źle odczytałeś moje intencje - uspokoiła go. - Chcę go zobaczyć, bo jest wspaniały. Nie zapominaj, że pracuję w jachtklubie.

- A zatem efektowne łodzie to dla ciebie żadna atrakcja. .
- Fakt. Jednak interesuję się nimi, żeby mieć o czym rozmawiać z członkami naszego klubu.
- Skoro tak, nie mam nic przeciwko temu, żebyś ją sobie dokładnie obejrzała.
- Mam rozumieć, że to, co ukrywasz, jest porządnie schowane, tak?
- Studiowałaś kryminalistykę? Czy może nałogowo oglądasz sensacyjne seriale? - dopytywał się rozbawiony, zaraz jednak zmienił ton: - Gdyby jednak nie słuchała pani tego, co się do pani mówi, panno Anderson, powtórzę jeszcze raz: niech pani nie wtyka nosa w nie swoje sprawy.

112

- Więc pokażesz mi jacht, czy nie?
- Oczywiście, że tak, i to z największą przyjemnością. Już ci mówiłem, że nie jesteśmy piratami.
- Piratami nie, ale innymi przestępcami? A jeśli nawet nie wy, to może ktoś inny?
- Czy kiedy rano powiem ci dzień dobry, zastanowisz się nad tym, co wygadujesz?

- Nie wiem.

Wstał i wyciągnął do niej rękę.

- Proponuję, żebyśmy jednak złapali trochę snu. Po krótkim wahaniu podała mu dłoń. Gdy pociągnął ją w górę, znaleźli się tak blisko siebie, że ich ciała na moment się zetknęły. Powinna natychmiast się odsunąć, lecz nie zrobiła tego. Podświadomie czekała, aż Keith ją przytuli. Nawet była gotowa zrobić to pierwsza; już sobie wyobrażała, jak opuszkami palców dotyka jego twarzy.

- To nie będzie żaden pusty tekst - powiedział cicho. - Jesteś jak płomień. Oddałbym wszystko, żeby w nim spłonąć. Jak ćma, która na oślepi lecąc do światła.

Drgnęła. Wierzyła w szczerść jego słów; w jego głębokim aksamitnym głosie nie zabrzmiała ani jedna fałszywa nuta. A jednak wyczuwała w nim wyraźny dystans. Rozdziwił między tym, co mówi a robi. Zupełnie jakby pozwolił sobie wypowiedzieć głośno życzenie, które nie miało nigdy się spełnić.

- Nie bój się. Potrafię podziwiać z daleka. - Zawahał się. - Naprawdę nic ci nie grozi z mojej strony.

- Nie boję się ciebie.

- Poważnie?

- No, może trochę.

- To dobrze, bo powinnaś. Nawet nie wiesz, jak bardzo chcę cię dotknąć.

Ponad ich głowami szeptał wiatr. To duchy, które

nawiedzają tę wyspę, pomyślała Beth. Miała ochotę przytulić się do Keitha i wyznać, że chociaż odczuwa lęk, jest gotowa zaryzykować. Byle tylko poczuć na sobie jego dłonie.

Niespodziewanie dla siebie samej powiedziała:

- Może ty też powinieneś się bać. Może ja też marzę, żeby cię dotknąć.

Pogładził jej policzek wierzchem dłoni.

- Jesteś jak sen - powiedział miękko. - Zbyt piękny, aby mógł być prawdziwy. Po prostu idealny.

- Wcale nie idealny - szepnęła. Uśmiechnął się i trochę się odsunął.

. - Mądra, piękna, seksowna, i w dodatku zna się na jachtach - wyliczał. - Dla mnie to chodzący ideał.

Chyba oszalałem, że ci to mówię. Szkoda, że nie jestem tym, kogo szukasz. Nawet nie wiem, czy potrafiłbym taki być. - Odetchnął głęboko. - Lepiej kładźmy się spać.

Żadne z nich nawet nie drgnęło.

- Nadal chcesz obejrzeć łódź? - zapytał po paru sekundach, które obojgu wydawały się wiecznością.

- Tak. Niełatwo mnie przestraszyć. - Po co ja mu to mówię? - pomyślała spłoszona.

- A więc do rana - rzekł Keith, cofając się w stronę namiotu.

- Do rana - szepnęła, niemal pewna, że niezwykła chwila bliskości istniała tylko w jej wyobraźni.

- Odprowadzić cię? - zapytał żartobliwie.

- Bez przesady. To tylko parę kroków.

- Zaczekam, aż wejdiesz to namiotu. Zdaje się, że nie zabrałaś gazu pieprzowego.

- Rzeczywiście. - Podniosła do góry ręce. - A co, powinnam była wziąć?

Westchnął ciężko, a potem się roześmiał.

114

- Dobranoc, panno Anderson. To był przemiły wieczór.

- Wciąż jest.

Niespodziewanie przyciągnął ją do siebie. Była pewna, że za chwilę wreszcie ją pocałuje. Tak na serio. Nie miała pojęcia, jak zareaguje.

Ku jej zaskoczeniu wcale tego nie zrobił. Po prostu mocno ją do siebie przytulił i nic więcej. Dopiero po chwili musnął ustami jej włosy, po czym lekko ją odepchnął.

- Wracaj do siebie! Wracaj! Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nikomu nie ufaj! - ostrzegł.

- Nawet tobie?

- Nawet mnie. Idź już!

W jego zdyszonym z emocji głosie zabrzmiała nowa nuta. Ostra. Nieprzyjemna.

Zrobiła parę kroków tyłem, po czym odwróciła się i ruszyła w stronę namiotu. Zanim weszła do środka, spojrzała za siebie. Keith nie ruszył się z miejsca.

Obserwował.

Wchodziła do namiotu pewna, że będzie tam siedział całą noc. Siedział i wypatrywał. Szkoda, że nie wiedziała czego.

Jeszcze jednej rzeczy była tak pewna jak tego, że niebawem wstanie dzień. To ona jest ćmą lecącą na spotkanie płomienia. Nigdy wcześniej niczego nie zaplanowała równie dokładnie jak tego, na co zdecydowała się teraz.

W sercu czuła tępy ból, mimo to nie zamierzała się wycofać. Nawet jeśli spali się na proch, i tak musi dotknąć płomienia.

Łapy przy sobie. Dopiero co sam napominał tak

kolegów. W końcu nie przyjechali tu na wczasy, tylko by załatwić poważną sprawę. Problem w tym, że nie tylko oni. Wiele wskazuje na to, że na małym skrawku lądu skrzyżowały się różne interesy. Dlatego gotów był stanąć na głowie, by dowiedzieć się możliwie najwięcej o ludziach, którzy znaleźli się na wyspie.

Aby to jednak zrobić, nie może zaprzętać sobie głowy czymś innym. I nie może sobie pozwolić na skrajne emocje, ani złość, ani fascynację. Zjawił się tu, by szukać sprawiedliwości. I doprowadzić wszystko do końca.

Beth Anderson tylko go rozprasza, musi więc ją wyeliminować. Zaklął cicho.

Naraz gwałtownie się obrócił, zaniepokojony jakimś szmerem. Matt przeciągnął się, aż mu chrupnęło w kościach. Sądząc po minie, nie uśmiechało mu się przejmowanie nocnej warty. Jednak ciekawość, czy może raczej nieufność, okazała się silniejsza.

- Strasznie długo z nią gadałeś - zauważył.

- Przecież nie mogłem jej powiedzieć, żeby spadała - obruszył się Keith.

- Niezła laska, co? - Matt pozwolił sobie na charakterystyczny uśmiezek, zaraz jednak spoważniał. - To nie jest zabawa dla grzecznych dziewczynek. Nie chciałbym, żeby cierpiała.

- Nie będzie!

- A jeśli ona...

- Powiedziałem: nie będzie cierpiała!

- Niezłą historią nas wczoraj uraczyłeś. - Matt powiedział to takim tonem, jakby miał mu to za złe.

- To znana legenda.

- Opowiedziałeś ją celowo?

- A dlaczego nie? Tak dla zmyłki.

- Jasne. - Matt wzruszył ramionami i spojrzał w stronę jachtu. - Nic?

116

- Nic. Spokój.

- W sumie, czego innego się spodziewać - skwitował.
  - Racja - mruknął Keith i ukradkiem zerknął na kolegę. Żaden nie czuł się swobodnie w towarzystwie drugiego.
  - Dobra, ja zostaję. Idź się przespać - powiedział w końcu Matt.
  - W porządku.
  - I tak nie będziesz spał, co?
  - Na pewno będę próbował.
  - Luzik. Wiem, że nie chodzi o brak zaufania do mnie. Taka już twoja natura.
  - Uwierz mi, stary, że naprawdę postaram się zasnąć - zapewnił go.
  - Jasna sprawa. Rano masz randkę, więc musisz być w formie.
  - Co takiego?
  - Przecież masz pokazać jej jacht.
  - No tak.
- Świetnie. Po prostu świetnie, zżymał się Keith. Matt słyszał całą ich rozmowę.
- Dobra, niech sobie dziewczyna popatrzy - odparł Matt swobodnie. - Na szczęście już niedziela i lud pracujący niebawem stąd zniknie. A my wreszcie będziemy mieli wyspę tylko dla siebie.
  - Niezupełnie - mruknął Keith pod nosem.
  - Powiem ci, stary, że wcale ci się nie dziwię -ciągnął tymczasem Matt.
  - Że co?
  - Gdyby taka laska jak ta twoja Beth wyraziła bodaj cień zainteresowania moją skromną osobą, też bym zapomniał o bożym świecie - zaśmiał się Matt.



- O niczym nie zapomniałem - zapewnił, i zostawiwszy go pod palmą, poszedł do namiotu. Matt miał jednak rację. Keith nawet nie zmrużył oka. Zamiast spać, leżał i nasłuchiwał. Pamięć podsunęła mu obraz, o którym wolałby raz na zawsze zapomnieć. Lecz nie potrafił. Pamiętał wszystko tak dokładnie, jakby znów stał w kostnicy i patrzył na twarz Brandona Emery'ego. To był taki młody chłopak, zaledwie dwadzieścia cztery lata. W dodatku cholernie zdolny. Najlepszy z nowych, których wtedy przyjęli. Naprawdę niczego mu nie brakowało. I chyba to go zgubiło. Nadmierna wiara we własne możliwości. Po jaką cholere pchał się tam sam? Zwłaszcza że już coś widział, co nieco słyszał. Bo Keith dałby sobie głowę uciąć, że Brandon zdobył jakieś cenne informacje. Na pamięć znał treść ostatniego maila, który od niego dostał:

*Chyba jestem na dobrym tropie. Założę się, że nie uwierzysz, jak ci powiem, co jest grane. Jeszcze to sprawdzę i następnym razem, jak się odezwę, powiem dokładnie, jak się sprawy mają.*

Niestety, nie było następnego razu. W każdym razie nie dla Brandona. Keith nie miał z nim więcej kontaktu. Zobaczył go dopiero w dniu, gdy został wezwany do kostnicy w celu identyfikacji zwłok. Łatwa, by nie powiedzieć rutynowa wyprawa zakończyła się dla Emery'ego tragicznie. Keith wiedział, że widok martwego kolegi będzie przesładował go do końca życia. Ciało wypłynęło u wybrzeży wyspy Islamorada; dryfującą łódź odnaleziono parę mil dalej na północ. Tyle że kiedy Brandon wysyłał swojego ostatniego maila, wcale nie przebywał w tamtym rejonie. Pracował w pobliżu Calliope Key. I bez względu na to, co potem mówiono, na pewno nie utonął.

112

Keith zerwał się, zlany potem.

Ted i Molly Monocowie. Nie znalazł tych ludzi, ale czytał o ich zaginięciu. Nigdy dotąd nie łączył tego faktu ze śmiercią Brandona. Tu chodziło o kolegę z pracy, tam o parę emerytów, którzy postanowili opłynąć świat.

A przecież oni też tu byli. Może głupio zrobił, że nie śledził na bieżąco wszystkich wzmianek o tym, co wydarzyło się w tym rejonie. Tylko gdzie szukać wspólnego mianownika dla obu tych spraw?

Brandon pływał na średniej klasy jachcie, który zresztą nie zaginął. Czy możliwe, że łódź państwa Monoców została skradziona? Kiedyś obito mu się o uszy, że podobno gdzieś ją widziano, tyle że nie były to żadne pewne informacje. Ot, ktoś napomknął, że ktoś inny słyszał, itd. Swoją drogą w ostatnich latach gazety pisały o zuchwałych kradzieżach jachtów.

Państwo Monocowie byli właścicielami luksusowej jednostki, która dla każdego współczesnego pirata byłaby łakomym kąskiem. Czy właśnie dlatego zginęli?

I jak powiązać ich śmierć ze śmiercią Brandona albo, idąc dalej, misją, którą Keith właśnie wykonuje? Istnieje jeszcze jedno ważne pytanie. Czy Calliope Key stała się śmiertelnie groźna całkiem niedawno, czy może była taka od początku swego istnienia? Położona stosunkowo blisko cywilizacji, a więc łatwo dostępna dla turystów, a jednocześnie na tyle odległa, że nadaje się jako scena dla różnych mrocznych zdarzeń. Wprost idealne miejsce do popełnienia zbrodni...

Albo ukrycia zwłok?

Wiedział, że może zapomnieć o spaniu. Nie zmruży oka, dopóki na wyspie będzie Beth. Poznał ją na

tyle,

119

by zdawać sobie sprawę, że ona na pewno nie weźmie sobie do serca jego rady, żeby nie wtykała nosa, gdzie nie trzeba. Zadrżał, gdyż do namiotu wdarł się poranny chłód.

Beth niebawem stąd wyjedzie. W Miami będzie bezpieczna. O ile zapomni o przeklętej wyspie. A zwłaszcza o tym, co na niej znalazła...

Tylko czy czasem nie przyjdzie jej do głowy, by na własną rękę odkryć, co tak naprawdę przydarzyło się Tedowi i Molly Monocom?

## **ROZDZIAŁ SZÓSTY**

- Tato, gdzie ciocia Beth?

Ben, zajęty zwijaniem namiotu, niechętnie oderwał się od swojego zajęcia i spojrzał na zaspaną córkę.

- Nie ma jej - rzucił na odczepnego.

- Właśnie dlatego pytam, gdzie jest? - Amber wymownie wzniosła oczy do góry.

- Popłynęła z Keithem obejrzyć jacht.

- Co takiego?!

- No przecież ci mówię. Keith zabrał ją na jacht

- powtórzył, zaskoczony emocjonalną reakcją córki.

- Nie musisz powtarzać, zrozumiałam.

- Więc...

- Jezu, jak się cieszę! Ale czad! Kim, słyszałaś?

- zawołała do przyjaciółki, która właśnie wyszła przed namiot. - Ciocia popłynęła z Keithem na jacht.

- Hura! - Na Kim ta z pozoru banalna informacja również wywarła piorunujące wrażenie.

- Nie sądziłam, że się na to odważy - stwierdziła Amber.

- Ja też nie - przyznała Kim. - Jest strasznie nieufna.

- Niesamowite!
  - Normalnie nie z tej ziemi!
  - No nie? Kosmos!
  - O czym wy w ogóle mówicie? - Zdezorientowany Ben przyglądał im się, ściągając ze zdumienia brwi.
  - Jezu, tato. On jest taki odjazdowy!
  - Naprawdę spoko gość! - oceniła trzeźwo Kim.
  - Wiesz, to było jak... - Amber przez chwilę szukała odpowiedniego określenia - jak błyskawica!
  - Normalnie grom z jasnego nieba! - potwierdziła Kim.
  - Między nimi - dodała Amber.
  - A my się głowimy, jak ich ze sobą skojarzyć
  - powiedziała Kim w przypiływie szczerości.
- Słyszając to, Ben rozszerzył się nie na żarty.
- Wy lepiej pilnujcie swoich spraw, okej? Beth jest dorosła i na pewno nie straci głowy dla faceta tylko dlatego, że przyniósł na ognisko zgrzewkę piwa. Macie się do tego nie mieszać, jasne?! Popłynęła obejrzyć jacht, bo nasłuchiwała się ode mnie, jaki jest wspaniały. Więc nie szukajcie tanich sensacji. Zrozumiano?
  - No dobra - mruknęła Amber.
  - Pewnie - potaknęła pokornie Kim. A potem dziewczyny spojrzały na siebie i zepsuły cały efekt, wybuchając niepohamowanym śmiechem.
  - Amber, ja nie żartuję! - zdenerwował się Ben.
  - Daj ciotce święty spokój.
  - Zachowuje się jak prawdziwy facet - mruknęła Kim do ucha przyjaciółki.
  - Zrobił się strasznie drażliwy. - Amber musiała dorzucić coś od siebie.
  - Tylko nie on, dobrze? Tylko nie on! - denerwował się Ben.

- Przepraszam, tato. - Amber zrobiła skruszoną minę, i stuknąwszy koleżankę łokciem, powiedziała: - Chodź, przejdziemy się.

- Żadnych wycieczek w głąb wyspy! - nasrożył się Ben.

- Co? - prychnęła Amber.

- Macie zostać na plaży.

- Ale dlaczego? Dlaczego? Nie znajdował słów.

- Bo ja tak każę - wypalił.

- Ale tato...

- Amber, skończmy już tę niepotrzebną dyskusję. Obrócił się jak niepyszny, gdyż dobrze wiedział, iż „nie, bo nie” nie jest żadnym tłumaczeniem. Wystarczyło jednak, że spojrzał na plażę, i bruzda na jego czole stała się jeszcze głębsza. Nie ma się czym przejmować, uspokajał samego siebie, ale fakt pozostawał faktem: wszyscy bez wyjątku spoglądali w stronę morza.

Stojący najbliżej niego Matt oparł się o palmę i skrzyżowawszy ręce na piersiach, obserwował jacht. Podobnie efektownie upozowana Amanda.

A nieco dalej... stał Brad i ścigał wzrokiem małą łódkę zbliżającą się do majestatycznego jachtu.

Ben poczuł, jak cierpnie mu skóra na karku. Zirytowany, miał ochotę dać sobie w pysk za tę bezsensowną reakcję. Na co dzień ma do czynienia z draniami najgorszego autoramentu i jakoś daje sobie radę. Skąd więc ten nagły popłoch?

Mruknął coś pod nosem i odwrócił się do wszystkich plecami. Chryste, chyba udziela mu się paranoja Beth. Przecież kumple Keitha zostali na plaży, Masonów dobrze znał, a Sandy i Brad, choć obcy, też są w zasięgu wzroku.

Beth żyje cnotliwie jak przeorysza w żeńskim

klasztorze; jest pod tym względem jeszcze gorsza niż on.

Naprawdę nie ma czym się stresować.

- Hej, Ben! - Lee, który wybierał się w głąb wyspy, machnął do niego. - Idę po kokosy. Przynieść wam?

- Nie, dzięki!

Kiedy znów się odwrócił, zauważył, że Sandy podeszła do Brada i objawszy go, przytuliła policzek do jego pleców. On jakby wcale tego nie zauważył. Ani na moment nie odrywał oczu od jachtu. W pewnej chwili spojrzął na Bena, zupełnie jakby wyczuł, że ten mu się przygląda.

Ben pomachał do niego. Brad odpowiedział tym samym, po czym w końcu zainteresował się Sandy. Nic się nie dzieje, powtarzał sobie Ben.

Faktycznie. Wszystko wygląda normalnie. Zresztą niedługo i tak stąd odpłyną.

Ze zdumieniem stwierdził, iż cieszy się, że weekend dobiega końca. Zwykle po krótkim urlopie z niechęcią myślał o powrocie do pracy. A, do diabła z tym. Ktoś powinien wymyślić zgrabne powiedzenie o tym, że dranie dzielą się na tych, których człowiek rozpoznaje bezbłędnie, i tych, na których się od razu nie poznał.

Fajnie wygląda, kiedy wiosłuje. Beth tak się spłoszyła własnymi myślami, że natychmiast skupiła całą uwagę na jachcie, do którego właśnie dopływali.

W jachtklubie codziennie widywała facetów w kąpielówkach, szortach, koszulkach bez rękawów albo w ogóle bez koszulek; opalonych, umięśnionych, wysportowanych i najczęściej nieszpetynych. Gdyby tylko chciała, mogłaby przebierać w nich jak w ulegawkach.

Keith oczywiście posiadał wszystkie te męskie przymioty, lecz od innych przedstawicieli swojego

124  
gatunku różnił się tym, że miał je w jak najlepszym wydaniu.

Tego dnia ubrany był w zwykłe czarno-niebieskie hawajki, jakie noszą miliony surferów, trudno więc, by prowokował w nich do erotycznych skojarzeń. Wprawdzie nie włożył koszulki, ale nie było to

dziwne, gdyż dzień był upalny. Jednak jego opalona skóra, pod którą przy każdym pociągnięciu wiosłami rysowały się mocne mięśnie, miała niezwykły odcień, który Beth kojarzył się z kwintesencją męskości. Jak dobrze, że obydwójce mamy ciemne okulary, pomyślała z ulgą, ciesząc się, że wyraz oczu nie zdradza, o czym teraz myśli.

Nagle zapiekły ją policzki, gdyż uświadomiła sobie, że sama jest skąpo ubrana. W towarzystwie każdego innego mężczyzny na pewno nie zaprzętałyby sobie tym głowy. Tyle że między nią i Keithem od dawna narasta napięcie.

Godziła się, by nazwać je specyficznym rodzajem chemii, ale zaraz racjonalnie tłumaczyła sobie, że nie czułaby takiej fascynacji Keithem, gdyby nie jego ujmujący uśmiech. Oraz czarne oczy. A także bystry i przenikliwy umysł, który ujawniał się w każdym słowie.

I w każdym kłamstwie.

- I co, podoba ci się? - spytał, gdy stanęli na pokładzie. Chwilę wcześniej pomagał jej się tam wspiąć, a ona kolejny raz zastanawiała się nad tym, jak bardzo jest silny.

Przy okazji nasunęło jej się parę refleksji: po pierwsze, czy takiej siły i sprawności wymaga jego przestępczy fach? A po drugie, po jaką cholere tu z nim lezie, skoro nawet nie wie, czy facet nie jest typem spod ciemnej gwiazdy?

Zaś co do samego jachtu, to wystarczyło jej jedno spojrzenie, by z grubsza ocenić jego wartość na okrągły milion.

- Przepiękna łódź. Naprawdę.

- Zaczekaj, aż zobaczysz resztę. Chodź, najpierw pokażę ci mostek. To prawdziwe cacko!

Beth przekonała się, że w jego słowach nie było cienia przesady. Gdy po paru minutach zeszli do kabiny, aż gwizdnęła z wrażenia.

- No, no... Wygląda jak pokój w luksusowym hotelu.

- E tam, to akurat jest najmniej ważne. - Niedbale machnął ręką. - Dla mnie liczy się to, że jacht może rozwinać dużą prędkość i jest świetnie wyposażony. Można nim wypłynąć na połów albo żeglować dla przyjemności.

- I właśnie do tego jest wam potrzebny GPS, sonar, radar i łączność satelitarna?

- Mamy hopla na punkcie łowienia ryb - odparł, wzruszając ramionami. - Powiedz, czego się napijesz? Czegoś zimnego czy może kawy?

- Poproszę kawę.

- Już się robi! - Zakrzętnął się przy ekspresie. Beth miała wrażenie, że choć jest zajęty, cały czas kątem oka ją obserwuje. Czy dlatego, że jest ciekaw jej reakcji?

Czy raczej pilnuje, by przypadkiem nie zobaczyła czegoś, czego nie powinna?

- Wejdz dalej, rozgość się - zachęcał, skinąwszy w stronę saloniku.

- Dzięki. - Usiadła na skórzanej sofie i natychmiast poczuła się jak gość eleganckiego kurortu.

- Jak długo zostanieie na Calliope? - zapytała.

- Jakiś czas.

126

- Czy w ogóle zdarza ci się udzielić konkretnej odpowiedzi?

- O co ci chodzi?



- O to, że nie odpowiadasz wprost. Wszystko trzeba z ciebie wyciągać. Mówisz, że zostaniecie tu jakiś czas. Dla mnie to wyjątkowo nieprecyzyjny termin. Gdyby ktoś zapytał mnie, kiedy wracam, powiedziałabym, że dziś wieczorem. Prosto, krótko i na temat.
- Aleja naprawdę nie wiem, jak długo tu będziemy - bronił się, nalewając kawę. - Jak już nam się znudzi nurkowanie i łowienie ryb, wrócę do domu.
- To znaczy do Wirginii, tak?
- Tak - potwierdził, ale przedtem jakby się zawahał.
- Masz tam dom?
- Mam. Czy według ciebie słowo „tam” jest precyzyjne?
- W której części Wirginii?
- Północnej.
- A twoje rodzinne miasto jakoś się nazywa? Podszedł do niej z kubkiem kawy i nagle się cofnął;
- Ojej, przepraszam, nie zapytałem, czy życzysz sobie cukier albo mleko?
- Nie ma sprawy, może być czarna. Więc jak to jest z tym twoim miastem?
- Oczywiście, że ma nazwę. I to dość znaną. Alexandria.
- Widzisz, to wcale nie jest takie trudne. Masz dom w Wirginii, a konkretnie w Alexandrii.
- A ty? Masz dom? - zrewanżował się pytaniem za pytanie, siadając na oparciu sofy. Znow był blisko. Tak blisko, że w głowie Beth natychmiast pojawiały się dziesiątki pytań. Na przykład, czy naprawdę musi

wszystko tak dogłębnie analizować? Dlaczego nie zaryzykuje? Po co jej wiedzieć, kim on jest i czym się zajmuje?

Kobietko, naucz się cieszyć chwilą, tłumaczyła sobie. Naprawdę nie wszystko musi trwać wiecznie. Póki co nie zdarzyło jej się poznać faceta i niemal od razu pójść z nim... dokądkolwiek. Silny emocjonalny zamęt, który właśnie przeżywała, był dla niej zupełną nowością. Zaczęło się już nad ranem, po powrocie do namiotu; zamiast spróbować zasnąć, biła się z myślami i prowadziła niekończący się monolog: mogę, nie mogę. Oczywiście, że mogę, ale nie powinnam, po prostu mi nie wolno. A właściwie dlaczego nie? Nigdy wcześniej nie przeżywała podobnych rozterek. Tak jak nigdy nie odczuwała takiej tęsknoty, tak wyraźnych pragnień... Nie potrafiła przypomnieć sobie bodaj jednej sytuacji, gdy zareagowała spontanicznie, posłuchała instynktu. A przecież jest wolna, pełnoletnia. I zawsze odpowiedzialna, godna zaufania...

Zgadzała się, że każdy ma prawo do chwili zapomnienia, zwłaszcza jeśli dzięki temu zrealizują się jego fantazje. Dla niej to była ostatnia szansa. Za kilka godzin wróci do szarej rzeczywistości i nigdy więcej nie spotka Keitha.

- Halo, czy ty mnie w ogóle słuchasz? - Z zamyślenia wyrwał ją jego rozbawiony głos.
- Eee... tak, oczywiście.
- Więc jak jest?
- Z czym?
- Z domem. Pytałem, czy masz dom?
- Tak. W zabudowie szeregowej.
- Gdzie, jeśli wolno wiedzieć?
- W dzielnicy Coconut Grove, blisko jachtklubu.
- Przyjemna okolica.

- Też mi się podoba.  
- Chociaż...  
- Co takiego?  
- Słyszałem, że trochę niebezpieczna.  
- Każde gęsto zaludnione miejsce może być potencjalnie niebezpieczne. Jak sam stwierdziłeś, nawet weekendowa wyprawa na wyspę może być ryzykowna. Miami w ogóle ma kiepską opinię, ale moim zdaniem niczym nie różni się od innych wielkich miast. Po prostu trzeba uważać. Jak człowiek nie jest handlarzem narkotyków, to żaden kokainowy baron nie zrobi mu krzywdy. - Urwała i zniesmaczona pokręciła głową. - Zadałeś mi proste pytanie, a ja ci robię cały wykład. Kiedy ja pytam, odpowiadasz monosylabami. Może to jednak ze mną jest problem, a nie z tobą.  
Spodziewała się, że Keith zacznie się śmiać, tymczasem on spojrzał na nią z powagą i delikatnie dotknął jej twarzy.  
- Moim zdaniem nie ma z tobą żadnych problemów - powiedział miękko.  
Teraz! Oto chwila, gdy powinna wstać i powiedzieć: „Muszę już iść”.  
Nie odezwała się jednak ani nie ruszyła z miejsca. Keith zsunął się z oparcia i znalazł się tuż obok. Pachniał wiatrem, morzem, solą. Od jego nagrzanej słońcem skóry było przyjemne ciepło. Beth ani drgnęła. A przecież powinna coś zrobić, wstać. Wtedy on musiałby się odsunąć. I czar by prysnął. Nie ruszyła się nawet wtedy, gdy delikatnie wsunął palce w jej włosy, i ujawszy jej głowę w dłonie, wreszcie ją pocałował. Nie broniła się. Nie pozostała też bierna. Położyła ręce na jego ramionach i z rozkoszą gładziła palcami gorącą skórę. Zdawało jej się,

że za ich pośrednictwem jego ciepło wnika do jej ciała, rozpala je, ożywia, budzi pożądanie.

- Chyba powinnaś teraz powiedzieć, że musisz wracać - szepnął, przerywając pocałunek.

Kiwnęła głową.

- A ty, że to nie twój jacht.

- Naprawdę musimy iść.

- Oczywiście. Natychmiast.

- Uprzedzałem, że powinnaś się mnie bać. Spojrzała mu w oczy.

- Powinnam, ale się nie boję. To znaczy, i tak, i nie.

- Powiedz, żebym odstawił cię na wyspę. Wolno pokręciła głową.

- Aż tak mnie nie przerażasz...

- Fajnie, ale i tak... nie powinniśmy...

- Masz rację.

Przez chwilę siedzieli bez ruchu. Potem Keith znów zaczął ją całować, i znów próbował się wycofać:

- Naprawdę powinienem cię odwieźć.

- Skoro tego chcesz...

- Za to ty na pewno nie chcesz angażować się w związek ze mną...

- Nie przypominam sobie, żebym wyrażała taką chęć.

Odsunął się od niej.

- Oj, panno Anderson, kto cię nie zna, ten cię kupi. Jesteś zbyt przyzwoita na szybki numerek z nieznajomym. Więc wystarczy, że powiesz...

Uśmiechnęła się, czując, jak wreszcie ogarnia ją błogi spokój. Rozterki znikły. Decyzja zapadła.

Wolno zwilżyła usta.

- Mam powiedzieć, że powinnam już iść? Powinnam. A czy tego chcę? Nie. Czy mimo to stąd wyjdę?

Wątpię, ale to już zależy od ciebie.

Westchnął rozdzierająco i poderwał się z sofy, czym trochę ją wystraszył. Nim zdążyła zapytać, co się stało, wziął ją na ręce.

- Nie powinniśmy tego robić - powtórzył.

- W żadnym wypadku - potwierdziła, obejmując go za szyję i patrząc mu w oczy.

Zaniósł ją do kajuty, tej z gigantycznym łóżkiem, i nie wypuszczając z rąk, zerwał czarno-białą narzutę. Potem wolno położył ją na przyjemnie chłodnej pościeli i pomógł jej wyplątać się z sarongu. Po chwili leżał obok, tuląc ją do siebie, a ona myślała o tym, że zawsze będzie pamiętała kontrast pomiędzy zimnym prześcieradłem a jego gorącym, rozedrganym ciałem.

Ich pocałunki, coraz bardziej namiętne i niecierpliwe, zdawały się nie mieć końca. Podobnie coraz śmielsze pieszczoty. Jego dłonie były dokładnie takie, jak sobie wyobrażała: silne, i jednocześnie delikatne. Nie potrafiła opisać rozkoszy, jaką dawały, gdy jej dotykał. Chwilami czuła się tak, jakby przez jej żyły przetaczała się lawa. Wrażenie było niezwykle i zupełnie nowe.

- To szaleństwo - mruknął.

- Już to ustaliliśmy.

- Musimy wracać. W ogóle nie powinno nas tu być.

- Co do tego też byliśmy zgodni.

- Nie powinnaś się angażować w związek ze mną.

- Ani mi się śni.

- A jednak można to nazwać zaangażowaniem.

- Można.

Nie powiedzieli już ani słowa więcej. Całkowicie zatracili się w pieszczotach, które dla niej były niczym odkrywanie nowych lądów. Cała zmieniła się w odczuwanie.

Keith okazał się nieprawdopodobnie zdolny. W mi-

łości był delikatny, ale pomysłowy i śmiały. Chwilami zdawało jej się, że łódź kołysze się gwałtownie jak podczas sztormu. Półprzytomna z rozkoszy, zaczęła tracić nad sobą kontrolę. Szarpała go za włosy, drapała po plecach, przeżyła się i z całej siły zaciskała uda wokół jego bioder. Trawiło ją pożądanie tak silne, że aż niebezpieczne. A kiedy wreszcie przyszło upragnione spełnienie, jej krzyk musieli usłyszeć wszyscy w promieniu paru mil. Potem długo leżała bez ruchu, mokra od potu i obezwładniona rozkoszą.

Jak ta naiwna sądziła, że prześpi się z nim, a potem będzie mogła tak po prostu odejść, gratulując sobie po drodze pierwszej dorosłej przygody. I tego, że wreszcie pozwoliła sobie na czystą przyjemność nie obciążoną emocjonalnymi komplikacjami.

Niestety, dobrze wiedziała, że w życiu wszystko ma swoją cenę. Obiecywała sobie, że się nie zaangażuje.

Nic z tego. Wpadła po uszy.

Keith przygarnął ją do siebie i czułym gestem odgarnął wilgotne włosy. Nie potrafiła sobie wyobrazić, o czym będą rozmawiali po tak niespodziewanym i żywiołowym seksie. Miała nadzieję, że Keith, który obrócił ją twarzą ku sobie, nie zorientuje się, jak bardzo krępuje ją ta sytuacja.

Jak na złość nie przychodziły jej do głowy żadne sensowne słowa. Bała się, że za chwilę zacznie się głupio tłumaczyć, wmawiać mu, że nigdy dotąd nie robiła takich rzeczy, a on jest wyjątkowy i dał jej więcej, niż była w stanie sobie wyobrazić. W ich sytuacji wszelkie niezdarne słowa były zbędne. Naprawdę nie ma powodu, by składać puste obietnice, że na pewno jeszcze kiedyś się zobaczą.

Nagle gwałtownie otworzyła oczy - z przyjemnego

132

błogostanu wyrwał ją warkot silnika i głośnie śmiechy. Ktoś do nich płynie. Dziewczynki!

Keith uniósł głowę i chwilę nasłuchiwał.

- Chryste! - jęknęła, zrywając się na równe nogi. Jak mogła być taką idiotką! Przecież w każdej

chwili ktoś może przypląć na jacht. Gdzie ona ma głowę? Bodaj pierwszy raz w życiu całkowicie wyłączyła myślenie. Zdała się na instynkt, skupiła na doznaniach...

Chciała za wszelką cenę uniknąć intymnych rozmów „po”! No i proszę... Jej modły zostały wysłuchane!

- No, no! - Keith też się poderwał i błyskawicznie wciągnął spodenki. Widząc jej przerażoną minę i nerwowe ruchy, którymi próbowała przygładzić włosy, wziął z szafki nocnej szczotkę i rzucił w jej stronę:

- Łap! - zawołał, i zaczął poprawiać zmiętą pościel.

Tymczasem ona próbowała się ubrać, lecz była tak roztrzęsiona, że nie mogła poradzić sobie z zapięciem góry od kostiumu.

- Nie panikuj. Jesteś dorosła - powiedział spokojnie, kolejny raz ratując ją z opresji.

- Przecież to moja bratanica! W dodatku z koleżanką - szepnęła nerwowo, drąc splątane włosy szczotką.

- Nie masz pojęcia, jak podatne na wpływy są dziewczyny w ich wieku. A ja mam być dla Amber wzorem. Nic nie rozumiesz. Jej matka nie żyje...

- Nie panikuj - powtórzył, nie tracąc zimnej krwi.

- Wszystko rozumiem i zapewniam cię, że będzie dobrze. Leć do saloniku, a ja tu trochę posprzątam. Nie musiał jej tego dwa razy powtarzać. W popłochu wypadła z kabiny, w przelocie chwytając kolorowy magazyn dla żeglarzy, który leżał w drucianym stojaku obok stołu. Szarpnęła go tak gwałtownie, że

niewiele brakowało, a byłaby go podarła. W końcu, purpurowa i zadyszana, opadła na kanapę.

Dziewczyny właśnie wchodziły na pokład.

Zanim zeszły na dół, Beth zdążyła trzy razy zmienić pozycję, nie chciała bowiem wyglądać ani na zbyt spiętą, ani zanadto rozluźnioną.

- Odjazd! No po prostu odjazd! - entuzjasmowała się Amber, która jako pierwsza zeszła ze schodków.

- Ojej! - Kim z wrażenia aż zapało dech.

- Jak pływający apartament w hotelu, prawda? - odezwała się do nich wesołym głosem.

Tak wesołym, że aż sztucznym, pomyślała, lecz poza nią nikt nie zwrócił na to uwagi.

- Raczej jak pałac. - Amber nie wiedziała, co podziwiać najpierw.

- Bez przesady. Nie aż tak luksusowy - zauważył trzeźwo Ben, który zszedł do kajuty jako ostatni.

Spostrzegłszy Beth, uśmiechnął się na powitanie. Wcale nie dwuznacznie. Normalnie, jak zwykle.

Beth odetchnęła z ulgą. Pomyślała, że brat ufa jej, bo uważa, że dobrze ją zna. Ona też myślała, że zna siebie. Do dzisiaj.

- Cześć, dziewczyny! - zawołał Keith, wychodząc z kajuty. - Fajnie, że przyszłyście. Pokazać wam łódkę? A może wolicie obejrzeć ją same.

- Takim jachtem można opłynąć świat, prawda? - zapytała go Kim.

- Można.

- A ty odbyłeś taki rejs?

- Nie, ale może kiedyś się skuszę. Powiedzcie, macie ochotę na coś do picia albo do jedzenia? Może zrobić wam koktajl owocowy?

- Pewnie!

- To chodźcie, zobaczymy, co mamy w lodówce.

127

- Nie masz nic przeciwko temu, że tu z nimi przypląnąłem? - zapytał Ben, gdy zostali sami.

- No co ty!



- Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziliśmy?
- Nie bądź niepoważny! - obruszyła się. Trochę się obawiała, że za chwilę zrobi się czerwona jak burak, więc czym prędzej odłożyła magazyn i wstała.
- Oglądałaś już pokład i mostek? Widziałaś, jakie cuda tam mają? - Ben wciąż był pod wrażeniem nowoczesnej techniki, w którą wyposażono jacht.
- Widziałam. Super. - Uśmiechnęła się do siebie, rozbawiona jego chłopięcym entuzjazmem. Ten, kto powiedział, że mężczyźni to duże dzieci, trafił w dziesiątkę.
- I pomyśleć, że jak kupiłem swoją łajbę, czułem się jak pan mórz i oceanów.
- Nie marudź. Masz naprawdę fajną łódź, więc się ciesz.
- Pewnie, że się cieszę. Ale fajnie by było mieć takie cacko.
- Tato, chcesz koktajl truskawkowy? - zawołała Amber, przekrzykując warkot blendera.
- Chcę.
- A ty, ciociu?
- Poproszę - mruknęła i poszła za Benem do kambuza.

Starła się odprężyć, ale w obecności Keitha nie potrafiła zachowywać się swobodnie. Unikała go wzrokiem, bo obawiała się, że zdradzi ją jakieś spojrzenie lub gest. Przytłaczał ją ciężar odpowiedzialności za Amber, której często powtarzała, że seks to nie zabawa; tłumaczyła, że najintymniej sze spotkanie dwojga ludzi powinno wynikać z głębokich uczuć

i wzajemnego szacunku. Mówiła o związanej z tym odpowiedzialności i ewentualnych konsekwencjach.

Jeśli chodzi o zaangażowanie emocjonalne, to czy jej się to podobało, czy nie, musiała przyznać, że Keith nie jest jej obojętny. A czy postąpiła odpowiedzialnie? Z pewnością nie. Zaś co do konsekwencji...

Z przerażeniem uświadomiła sobie, że bardzo by chciała, by ich historia miała dalszy ciąg. Naprawdę wiele by dała, żeby Keith stał się częścią jej świata. Żeby był odpowiedzialnym, poukładanym facetem z porządną pracą, a nie jakimś nurkiem... Albo kryminalistą. Albo jeszcze gorzej. Mordercą. Nie. Instynktownie czuła, że to nieprawda. W każdym razie chciała wierzyć, że tak nie jest.

Podczas gdy ona zmagala się ze sobą, Keith zachowywał się całkiem swobodnie. Śmiał się, żartował, gadał z Benem. Gdyby ktoś zapytał ją, o czym, nie potrafiłaby powiedzieć.

W pewnej chwili usłyszeli warkot silnika. To Matt i Lee przyплыnęli z zapasami.

- Na nas już czas - oznajmił Ben, gdy spotkali się na pokładzie. - Dzięki za wszystko, panowie. Miło było was poznać. Mam nadzieję, że gdzieś tam na siebie jeszcze wpadniemy.

- Na pewno. To był naprawdę fajny weekend -odparli, wymieniając z nim pożegnalny uścisk dłoni.

- Beth, możesz płynąć z nami - zaproponował Ben.

- Nie ma sensu fatygować Keitha.

- Jasne.

- Żaden problem, bardzo chętnie cię odwiozę...

- zaczął Keith.

- Już jesteśmy spakowani, więc popłyniemy od razu na jacht - powiedział Ben.

- Świetnie - mruknęła.

Skłamała. Świetnie byłoby wtedy, gdyby wszyscy nagle zniknęli, gdyby nie trzeba było nic mówić, gdyby mogła wrócić tam, skąd przyszła i udawać. Udawać, że jeszcze kiedyś spotka Keitha Hensona albo że zna go od bardzo dawna. I że mu ufa.

Musi mu ufać. W końcu dobrowolnie poszła z nim do łóżka.

Nigdy w życiu nie czuła się bardziej niezręcznie. Z Mattem i Lee pożegnała się jak ze starymi znajomymi, nawet pocałowała ich w policzek. Keithowi nie potrafiła spojrzeć w oczy; ograniczyła się do uprzejmego uścisku dłoni.

On jednak nie pozwolił jej tak łatwo się wykręcić. Wziął ją za rękę i zmierzył wzrokiem. Z rozbawieniem, ale serdecznie. Serdecznie? Pragnęła czegoś więcej.

- Niedługo się zobaczymy. Bez słowa skinęła głową.

- Znajdę cię.

- To nie powinno być trudne.

- Wybraliśmy specyficzny moment, co?

Nie do końca rozumiała, co ma na myśli, ale nawet nie próbowała pytać. Nie mogła znieść jego bliskości, gdy tak wiele było między nimi niedomówień.

Odczuwała przemożną chęć ucieczki, i uległa jej. Pierwsza zeszła z jachtu do łódki.

Chwilę później dołączył do niej Ben z dziewczynkami, które trajkotały jak najęte, przerzucając się zachwyty nad jachtem Lee. Była im za to głęboko wdzięczna, bo przynajmniej nie musiała nic mówić. Z plastikowym uśmiechem przyklejonym do twarzy pomachała na do widzenia mężczyznom stojącym na pokładzie.

Gdy jakiś czas później Ben obrał kurs ku domowi, starała się nie oglądać za siebie. Skierowała spojrzenie

na zachód, ku wybrzeżu Florydy. Wszystko się jakoś ułoży, powtarzała sobie. Wróci do domu. Przekona samą siebie, że nie widziała żadnej czaszki, na wyspie nie wydarzyło się nic niepokojącego, i nikt nie czał się po nocy w złych zamiarach. A jeśli chodzi o Keitha...

Z czasem przestanie o nim myśleć. Jego charyzmatyczny urok, który tak ją opętał, zblednie. Zapamięta go jako niezwykłego mężczyznę. Przystojnego, podniecającego, lecz zbyt niefrasobliwego, za mało ambitnego. Takiego, co myśli głównie o tym, by zabawić się z kumplami. Wszystko się jakoś ułoży... Pewnie tak, gdyby nie pewien szkopuł.

Przecież dobrze wie, że widziała czaszkę.

I że Keith kręci. Jest zapewne najbardziej pociągającym mężczyzną na ziemi, ale na pewno nie jest tym, za kogo się podawał. Gdy się z nią kochał, w każdym jego dotyku była prawda. Lecz kiedy mówił, z jego ust padały same kłamstwa.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam - przyznała rudowłosa Ashley Dileccio.

Beth spotkała się z nią nad zatoką, w tawernie U Nicka, która należała do wuja Ashley. Uwielbiała tu przychodzić, gdyż knajpka była kwintesencją tego, co na Florydzie najlepsze. Położona blisko pomostu, przy którym cumowały jachty i mieszkalne barki, była prosta i bezpretensjonalna. Siedząc przy ustawionych na zewnątrz drewnianych stołach ocienionych ażurowym dachem, można było poczuć się jak na wyspie, choć dookoła tętniło olbrzymie, przeludnione, wielo-kulturowe miasto. Ashley, którą Beth знаła od dziecka, pracowała w policji, w zakładzie kryminalistyki, zaś jej mąż, Jake, w wydziale zabójstw.

- A zatem było tak: przyplłynęliście na wyspę, poszłaś z dziewczynami się przejść i w lesie znalazłaś czaszkę. W każdym razie tak ci się wydaje. Niespodziewanie nadszedł jakiś facet, więc ją ukryłaś. A potem wróciłaś tam z Benem, ale po czaszce nie było śladu, zgadza się? - mówiła Ashley, marszcząc czoło i mrużąc zielone oczy.

- Z grubsza właśnie tak - potwierdziła Beth. - Ben wmawiał mi, że to nie była żadna czaszka, tylko duża muszla. Nie mówię, że nie. Ale odkąd to się stało, nie mogę przestać myśleć o Molly i Tedzie Monocach.

- Pamiętam tę historię, ale zawsze myślałam, że popłynęli w rejs dookoła świata, więc nie dziwiło mnie, że nikt ich nie widział - odparła Ashley.

- A jeśli to była czaszka?

- I co, zniknęła?

- Może po prostu jej nie znalazłam.

Ashley zamieszała słomką w szklance mrożonej herbaty.

- Wiesz, że to nie leży w gestii mojego wydziału. Ani wydziału Jake'a.

- Rozumiem, ale przecież masz swoje kontakty. Naprawdę nikt nie mógłby tego sprawdzić?

Ashley w zamyśleniu skinęła głową.

- Owszem. Zawsze można wysłać tam straż przybrzeżną i poprosić, żeby przeczesali teren. Nie rozumiem tylko, jakim cudem ta czaszka mogła zniknąć. Czy któraś z osób biwakujących na wyspie wydała ci się podejrzana?

- Wszyscy bez wyjątku.

- Opowiedz mi o tych ludziach.

Beth kolejno opisała swoich niedawnych towarzyszy.

- Mówisz, że było tam trzech przystojniaków? - żartowała Ashley.

- Ci to dopiero byli nieźli!

- W jakim sensie?

- No wiesz, tacy kolesie, co to nie mają nic innego do roboty poza łowieniem ryb, nurkowaniem, włączaniem się łodzią od wyspy do wyspy.

- I mają wielkie brzuchy od żłopania piwa, a butelki otwierają zębami?

- Ashley! - Beth zaczerwieniła się na wspomnienie tego, co wygadywała o zmyślonych „kumplach” Benu.
- No co, żartować sobie nie można? - broniła się jej koleżanka. - Mówisz, że mieli fantastyczny jacht, więc raczej nie byli piratami.
- Co wy wszyscy z tymi piratami? - zniecierpliwiła się Beth. - Oni naprawdę jeszcze istnieją?
- Jasne. - Tym razem Ashley nie żartowała. W pewnej chwili sięgnęła po serwetkę i zaczęła obracać ją w palcach. - Opisz mi tego swojego faceta - poprosiła.
- Którego?
- Tego, o którym najwięcej opowiadasz i który najbardziej ci się spodobał.
- Ashley...
- Beth, po prostu powiedz mi, jak wyglądał. Wzrost, kolor włosów, kształt twarzy.
- Hm... miał ładne rysy. Wydatne kości policzkowe, mocno zarysowane szczęki. Oczy... - Urwała i popatrzyła, co Ashley szkicuje na serwetce. Musiała przyznać, że koleżanka jest w tym naprawdę dobra. - Oczy trochę szerzej rozstawione. Nos nieco dłuższy, idealnie prosty. I pełniejsze usta. A włosy... zależy, czy były mokre, czy suche.
- Na razie skupmy się na twarzy.
- Trochę szczuplejsza, zwłaszcza w dolnej części. No nie! - zawołała, i odchyliwszy się, spojrzała z niedowierzaniem na koleżankę. - Zupełnie, jakbyś go widziała. Jesteś niesamowita.
- Ashley wzruszyła ramionami i położyła serwetkę obok swojego talerza.
- W końcu za to mi płacą - stwierdziła.
- Patrzcie, kogo tu przywiał letni wiatr! - zawołał męski głos, wyrywając Beth z zamyślenia, w które popadła na widok portretu.

Obydwie obejrzały się do tyłu. Do ich stołu podszedł Jake.

- Cześć, Beth! - powiedział, i pocałował w głowę, dosiadł się do nich.

Ze swą surową męską urodą wyglądał na gliniarza albo żeglarza. W rzeczywistości był jednym i drugim. A w dodatku ciepłym, fantastycznym człowiekiem. Nawet wyjątkowo niewdzięczna praca, w której na co dzień stykał się z najohydniejszymi tajemnicami miasta, nie zabiła w nim pogody ducha. Do domu wracał uśmiechnięty i zawsze znajdował czas dla żony, dzieci i przyjaciół.

- Beth podejrzewa, że znalazła jedno z zaginionych małżonków Monoco. - Ashley od razu przeszła do sedna.

Beth poczuła się nieswojo, gdyż Jake zmierzył ją ostrym, surowym spojrzeniem.

- O ile wiem, nie zostali uznani za zaginionych

- zauważył. - Ostatnio słyszałem nawet, że widziano gdzieś ich jacht.

- Tak czy owak Beth utrzymuje, że znalazła czaszkę na Calliope Key - sprecyzowała Ashley.

- Jestem tego pewna. - Beth wiedziała, że jeśli zacznie się wahać, przestanie brzmieć wiarygodnie.

- Trochę się wystraszyłam i postanowiłam wrócić po Bena. No a potem nie mogłam tej czaszki znaleźć. Sami rozumiecie, że przekopywanie wyspy nie byłoby najlepszym pomysłem.

Jake skrzywił się lekko, raz jeszcze spojrzął na żonę, a potem uśmiechnął się do Beth i powiedział:

- Nic się nie martw, zajmiemy się tym. Zaraz zadzwonię do Roberta Graya, mojego kumpla, który służy w straży przybrzeżnej. Jestem pewien, że nie odmówi pomocy. Zadowolona?

134

- Tak, dzięki.

- Czy w zamian za tę drobną przysługę zaprosisz nas na następną superimprezę do jachtklubu? - zażartował.

- Jasne! Przecież wiesz, że zawsze jesteście mile widziani. Wystarczy, że się na mnie powołacie. Albo nie, lepiej powołajcie się na Bena. W końcu to on opłaca składki.

- Kochanie, chcesz dowiedzieć się czegoś więcej o weekendowym wypadzie naszej drogiej koleżanki? - zapytała go Ashley. - Z tego, co mówi, zawarła fascynującą znajomość.
- Naprawdę? - Jake z zaciekawieniem spojrzał na Beth.
- Poznała trzech przystojniaków. W dodatku strasznie nadzianych - ciągnęła Ashley.
- Proszę, proszę. Może coś z tego będzie? - dowcipkował Jake.
- Jesteście beznadziejni - prychnęła Beth, wstając od stołu. - Przypominam, że jako gliniarze nie powinniście lekceważyć tego, co mówię. A teraz muszę wracać do pracy. Zadzwońcie do mnie.
- Zadzwońmy! - obiecał Jake.

Beth z dezaprobatą pokręciła głową i odeszła, uśmiechając się do siebie. Wiedziała, że może im ufać. Skoro mówią, że straż przybrzeżna zajrzy na wyspę, na pewno tak się stanie.

Ledwie Beth się oddaliła, Ashley sięgnęła po serwetkę i położyła ją przed mężem.

On zaś zmarszczył czoło i spojrzał na nią pytająco.

- Był na Calliope Key.

Jake podniósł serwetkę, ale nawet nie zadał sobie trudu, by dobrze przyjrzeć się portretowi.



- Beth naprawdę bardzo się wystraszyła - mruknęła Ashley.

Jake pokręcił głową.

- Może - odezwała się znowu Ashley - powinnam...

- Nie - odparł stanowczo. - Nie. Tu nic jej nie grozi. Nie ma powodu, żeby ją w to wtajemniczać.

- Oboje wiemy...

- Tak, ale nawet my nie znamy wszystkich wątków. Zostaw to. Zadzwoń do Roberta, jego chłopaki rozejrzą się po wyspie. Nic więcej nie możemy zrobić.

- Jake...

- Ashley, już nie zajmujemy się tą sprawą. Poza tym nie mamy żadnych konkretnych dowodów, więc niby co mielibyśmy powiedzieć?

Westchnęła, nie do końca przekonana, czy rzeczywiście powinni milczeć.

Keith wynurzył się, ściągnął maskę i przedmuchał aparat. Spojrzał w stronę jachtu i spostrzegł Lee z lornetką przy oczach wpatzonego w wyspę.

- Co się dzieje? - zapytał go, gdy tylko wdrapał się na górę i ściągnął z pleców butle.

- Nie mam pojęcia, co oni tam wyprawiają - odparł Lee.

Poprzedniego dnia zorientowali się, że Sandy i Brad obserwują ich przez lornetkę ze swojej łódki.

- Ale wydaje ci się, że co robią? - zapytał Keith.

- Trudno powiedzieć. Chyba coś chowają. Próbują czegoś się pozbyć. W każdym razie cholernie się spieszą.

Keith wziął od niego lornetkę i obracając się wolno, obserwował horyzont.

- A niech to szlag! - zaklął, rozpoznając kutry

136

straży przybrzeżnej. Beth. Jednak nie dała za wygraną. Zawiadomiła odpowiednie służby.

Niepotrzebnie ich fatygowała. I tak niczego nie znajdują. - Popatrz! - mruknął, podając lornetkę koledze.

- Straż przybrzeżna. - Lee spojrział na niego pytająco. - Mogą się do nas o coś przyczepić? Lepiej to wiedzieć, bo potem może nie być czasu na wyjaśnienia.

Keith pokręcił głową.

- A jak było na dole? Znalazłeś coś? - zapytał Lee.

- Na razie nic.

- Więc co widzieliśmy na radarze?

- Starą felgę.

- W mordę... - jęknął Lee. - Trudno. Może następnym razem nam się poszczęści. A teraz przygotujmy się na przyjęcie gości - powiedział i zbiegł pod pokład.

Keith poszedł do zbiornika ze słodką wodą, by opłukać sprzęt przed włożeniem go do schowka. W pewnej chwili uniósł głowę i spostrzegł, że Brad wsiada do małej łódki i szybko płynie na drugą stronę wyspy. Nie zabawił tam długo; po paru minutach był już z powrotem. Sądząc po nerwowych ruchach, bardzo się spieszył, mimo to nie uruchomił silnika, tylko płynął, korzystając z wioseł.

Ciekawe, dlaczego? - zastanawiał się Keith.

Odpowiedź była prosta. Nie chciał, by ktoś go zobaczył, gdy będzie próbował dyskretnie się czegoś pozbyć.

Czegoś, czy też może kogoś?

W poniedziałek Beth była pełna nadziei, we wtorek zaczęła się złościć, w środę popadła w przygnębienie, zaś w czwartek znów była wściekła, tym razem na siebie.

Keith wie o niej wszystko, czego potrzeba, by kogoś odnaleźć: jak się nazywa, gdzie mieszka i pracuje. Może dlatego wmówiła sobie, że na pewno się z nią skontaktuje i już na wstępie powie, że musiał ją zobaczyć, bo jest tak samo zafascynowany, otumaniony, zakochany i podniecony jak ona. Tymczasem on wcale nie próbował jej namierzyć - widocznie była zbyt łatwym celem. Za każdym razem, gdy zadzwonił telefon, niecierpliwie łapała za słuchawkę, by po chwili przeżyć kolejne rozczarowanie. Od powrotu z wyspy myślała tylko o nim i tajemniczej czaszce. W końcu przestraszyła się, że wpada w obsesję. Nie pomogła nawet wiadomość, że straż przybrzeżna, która spenetrowała wyspę, nie znalazła na niej ani śladu ludzkich szczątków. Beth powinna poczuć ulgę, lecz tak się nie stało. Nadal zastanawiała się, czy ktoś tę czaszkę dobrze ukrył, czy w ogóle zabrał z wyspy.

W domu, a czasem nawet w pracy, godzinami przeszukiwała Internet, zbierając informacje o małżonkach Monoco. Na jednej ze stron znalazła ich fotografię sprzed mniej więcej piętnastu lat; zdjęcie zostało zrobione w jachtklubie, więc istniała szansa, że ktoś ze starszych pracowników ich znał. Jednaknie tylko oni byli obiektem jej zainteresowania. Do wyszukiwarki wpisała również Keitha Hensona. Niestety, żaden z dwunastu mężczyzn o tym nazwisku, na ślad których natrafiła w sieci, nie był tym, którego szukała.

Siedziała właśnie przy biurku, i zatopiona w myślach bawiła się ołówkiem, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

- Beth? - Jej szef, komandor George Berry, zajrzał do pokoju.

138

- Dzień dobry, komandorze.

- Mogę wejść?

- Oczywiście, zapraszam.

Usiadł naprzeciw niej i od razu przeszedł do sedna.

- Martwię się o naszą letnią imprezę - oznajmił.

- Tak? - Uśmiechnęła się do niego pytająco.

Komandor mówił o dorocznym przyjęciu, które organizowano z myślą o nowych członkach klubu. Ponieważ było to ważne wydarzenie towarzyskie, dokładali starań, by wypadło jak najlepiej. Dlatego zatrudniali najlepsze firmy cateringowe i wymyślali ciekawy program.

- Proszę się nie denerwować, komandorze - uspokajała. - Do imprezy zostały jeszcze dwa tygodnie, a ja i komitet organizacyjny naprawdę mamy wszystko pod kontrolą. Szef kuchni pracuje pełną parą i na pewno nas nie zawiedzie.

Komandor machnął ręką.

- Nie martwię się o jedzenie. Powiedz, wymyśliłaś jakieś wyjątkowe atrakcje?

Spojrzała na niego zaskoczona. W jakim sensie wyjątkowe? Letnia impreza jest pożegnaniem wakacji i nie ma takiego znaczenia jak sylwester, impreza bożonarodzeniowa czy wielki bal, podczas którego władzę w klubie przejmował nowy komandor.

Coś wyjątkowego? Menu będzie wyśmienite, tego była pewna. Poza tym kazała przygotować pochodnie, lampiony oraz kompozycje z kwiatów do udekorowania ustawionego na zewnątrz bufetu i baru. Zamówiła zespół muzyczny...

- Tak, coś naprawdę wyjątkowego.

- Myślę, że będzie pan zadowolony z tego, co wymyśliłam - odparła bez zastanowienia.

- I na pewno będą to jakieś niezwykle atrakcje?

- Oczywiście, proszę dać mi jeszcze dzień lub dwa, żebym mogła dopracować szczegóły - powiedziała.

Nie widziała powodu, by informować go, że jej wspaniały plan musi dopiero powstać.

- Tylko pamiętaj, to musi być coś ekstra. Chcę, żeby zapamiętano mnie jako najlepszego komandora w historii klubu.

- Zrobimy wszystko, żeby tak się stało - obiecała.

Gdy tylko wyszedł, poderwała się z za biurka i zbiegła na parter, gdzie znajdowała się sala jadalna, z której przez szklane drzwi wychodziło się na patio. Chwilę wcześniej dostrzegła tam jednego z członków klubu. Właśnie z nim od dawna chciała porozmawiać.

Manny Ortega, sześćdziesięcioletni Kubańczyk, który wyemigrował z wyspy jako nastolatek, żeby grać muzykę conga w klubach Miami, był przemiłym i bardzo ciekawym człowiekiem. Beth wyczytała w którymś z artykułów, że to właśnie on zawiadomił policję o zaginięciu Teda i Molly.

- Dzień dobry, ślicznotko - powitał ją, gdy podeszła do stolika, przy którym siedział z cygarem nad filiżanką kawy. Oczywiście i jedno, i drugie musiało być kubańskie, gdyż Manny innych nie tykał. Beth wołała nie pytać, jakimi kanałami zdobywa autentyczne kubańskie cygara.

- Witam pana. Mogę się przysiąc?

- Będę zaszczycony. Co tam słyszać? Czyżby chciała pani dać pracę podstarzałemu perkusiście?

- Kto wie, czy nie zwrócę się do pana z taką propozycją? - roześmiała się. - Tak naprawdę przysłałam, żeby z panem porozmawiać, bo w jednej z gazet wyczytałam, że zna pan Teda i Molly Monoców. To pańscy dobrzy znajomi?

- Tak.

140

- Miał pan od nich jakieś wiadomości?

- Niestety, ani słowa.

- Nadal uważa pan, że przydarzyło im się coś złego?

- Do niedawna właśnie tego się obawiałem. Jednak policja poinformowała mnie, że ktoś widział ich jacht. Doszedłem więc do wniosku, że muszę uszanować ich prawo do prywatności. Choć dziwi mnie, że przestali się ze mną kontaktować. Zawsze byliśmy ze sobą blisko. Nawet kiedy pływali, każdorazowo informowali mnie, co się z nimi dzieje.

- To rzeczywiście dziwne. A czy wie pan, kto widział ich łódź?

Manny strząsnął popiół i obserwował smugę dymu.

- Można wiedzieć, dlaczego pani o to pyta?

- Mój brat i ja dopiero co wróciliśmy z weekendu na Calliope Key. Właśnie tam zaczęłam myśleć o pańskich znajomych, a konkretnie o tym, co mogło się z nimi stać.

Mężczyzna uniósł dłoń w fatalistycznym geście.

- A kto ich tam wie? Mówią mi, że mieli prawo zniknąć, bo są dorośli, więc mogą robić, co chcą. Skoro tak, to czemu się nie odzywają? Obrazili się na mnie? Sam nie wiem. Mogą w każdej chwili wrócić? Pewnie tak.

- Ale... czy nie muszą płacić rachunków? Podatków?

- Wszystko jest ściągane automatycznie z konta Teda. Złożył w banku takie zlecenie, gdy zdecydował się opłynąć świat. Nie zdawałem sobie sprawy, że przy okazji postanowił odwrócić się plecami do starego przyjaciela.

- Nie kontaktowali się z nikim?

Nie odpowiedział. Wyglądał na wzburzonego, więc

Beth przestraszyła się, że niechcący wkroczyła na śliski grunt. Domyśliła się, że po tym, co jej rozmówca usłyszał od policji, poczuł się dotknięty. Na początku niepokoił się o swoich przyjaciół, ale teraz skłonny był uwierzyć, że po tylu latach znajomości przestał ich nagle obchodzić.

- Moim zdaniem oni by tak nie postąpili - powiedziała Beth z przekonaniem.

- Zna ich pani?

- Niestety nie, ale wiem, że byli... to znaczy, że są sympatycznymi ludźmi.

- Wspaniałymi.

- Więc coś tu się nie zgadza.

- Rzeczywiście, nie zgadza się. Ale jest, jak jest. - Manny wstał i rozprostował zdrtwiałe kości. -

Kochana z pani dziewczyna - powiedział, kładąc dłoń na jej głowie. - Niech się pani nie martwi. W niczym to nie pomoże, a pani się niepotrzebnie zdenerwuje.

Przecież to byli twoi przyjaciele, pomyślała, ale nie odważyła się powiedzieć tego głośno. Wolała nie narażać się na ryzyko zwolnienia z pracy.

- Chciałabym spytać pana o jeszcze jedną rzecz. Czy zna pan Keitha Hensona?

Manny ściągnął brwi.

- Nazwisko coś mi mówi... Nie znam tego człowieka, ale gdzieś już o nim słyszałem. Zaraz...

Czekała cierpliwie, aż sobie przypomni. Po chwili bezradnie pokręcił głową.

- A może zna pan Lee Gomeza?

- Dziewczyno, to jest Miami! Znam co najmniej ze stu Gomezów.

- Ale takiego, który ma na imię Lee?

- Nie. Takiego akurat nie znam.

- A czy mówi panu coś nazwisko Matt Albright?

142

- Niestety nic.

- A Sandy Allison i Brad Shaw?

Przyjrzał jej się z ukosa i wolno wypuścił chmurę dymu.

- Co się pani dzisiaj stało? Gramy w dwadzieścia pytań? I te wszystkie nazwiska... Przecież w tym mieście mieszkają trzy miliony ludzi.
- Pytam, bo niedawno poznałam ich na wyspie - odparła speszona.
- Słoneczko, ludziska walą na tę wyspę od paru setek lat. I to ze wszystkich stron świata.
- Ja wiem. W każdym razie gdzieś pan już słyszał o Keithie Hensonie, tak?
- Tak, ale nie pamiętam, gdzie i kiedy.
- Bardzo panu dziękuję. I przepraszam, że pana tak męczyłam.
- To ja pani dziękuję za miłe towarzystwo. Niestety, muszę już iść, bo za chwilę mam ważne spotkanie.
- Czy mogę zadać panu jeszcze jedno, ostatnie pytanie?
- Proszę.
- Państwo Monoco sprzedali swoje szkoły tańca. Kupił je niejaki Eduardo Shea. Zna go pan?
- Oczywiście.
- Jest... miły?
- A co, chce się pani nauczyć salsy?
- Może kiedyś. Póki co muszę przygotować jakąś atrakcję na naszą letnią imprezę.
- Słyszałem, że pod jego zarządem szkoły dobrze prosperują. To porządny człowiek i świetny nauczyciel. Czy to chciała pani ode mnie usłyszeć?
- Tak. Jeszcze raz dziękuję za pomoc.
- Zawsze do usług. - Miał już odejść, lecz jeszcze



na moment przystanął przy stoliku. - Jest pani naprawdę wyjątkowo sympatyczna. Wiem, że płacą pani za to, żeby była pani dla nas uprzejma, ale ja znam się na ludziach i wiem, kiedy ktoś udaje, a kiedy jest szczerzy. Proszę nie zatruwać sobie życia z powodu Teda i Molly. Nie mam pojęcia, czy oni jeszcze żyją, wiem jednak jedno: moje obawy nie są bezpodstawne, ale tłumaczenia policji też mają sens. Pogodziłem się z tym, że nic więcej nie mogę zrobić. Proszę wziąć ze mnie przykład.

- Dziękuję za radę.

- Bardzo proszę. Życzę miłego dnia.

Kiedy odszedł, Beth również wstała i ruszyła do swojego biura. Przechodząc przez jadalnię, spostrzegła grupkę kobiet siedzących przy stole. Była wśród nich Amanda.

Tylko ona mogła się tak wystroić, pomyślała zdegustowana jej kusą białą garsonką i białym kapeluszem z wielkim rondem. Miała nadzieję, że przemknie niezauważona, lecz Amanda odwróciła się w jej stronę. Beth jęknęła cicho. Była pewna, że Amanda za sekundę przyczepi się do niej i weźmie ją w krzyżowy ogień podchwytliwych pytań. A wszystko po to, by udowodnić jej niekompetencję i niedostateczne zainteresowanie pracą.

O dziwo, tym razem Amanda dała sobie spokój. Co prawda obcięła ją spojrzeniem, ale odwróciła się bez słowa, okazując jej całkowite lekceważenie.

Beth z ulgą poszła dalej. Była już blisko, gdy nagle przystanąła. Drzwi do jej pokoju były otwarte na oścież, choć głowę by dała, że wychodząc, zamknęła je za sobą. Po plecach przebiegły jej ciarki, ale natychmiast wzięła się w garść. Wytłumaczyła sobie, że jej lęki nie mają żadnych podstaw. Przecież pod jej

144

nieobecność do biura mógł przyjść któryś z członków. Albo komandor, który o czymś sobie przypomniał. Uśmiechnęła się i pewnym krokiem weszła do środka.

Tu jednak od razu zorientowała się, że coś jest nie tak. Miała wrażenie, że ktoś poprzekładał papiery na jej biurku. Zmarszczywszy czoło, zaczęła sprawdzać, czy nic nie zginęło. Na szczęście nie brakowało ani jednej rzeczy.

Zerknęła w stronę komputera.

Był wyłączony.

Pionowa bruzda na jej czole jeszcze się pogłębiła. Co jest, do cholery. Przecież go nie wyłączała. Przebiegł ją zimny dreszcz. Choć, Bogiem a prawdą, nie ma się czego bać. Przecież mogło na chwilę zabraknąć prądu. Mogła również sama odruchowo wyłączyć komputer, nie zastanawiając się przy tym, co robi. W końcu od paru dni jest rozkojarzona i roztargniona.

Problem w tym, że dopóki była w pracy, nigdy nie wyłączała komputera. A jednak...

Był środek dnia. Po budynku kręciło się mnóstwo osób, członków klubu i pracowników. Naprawdę nie ma powodu, żeby czuć zagrożenie.

Wolno usiadła przy biurku. Strach jednak jej nie opuszczał. Towarzyszył jej do końca dnia, i dał się szczególnie we znaki, gdy w wieczornym mroku szła sama przez prawie pusty parking.

Czwartek. Zaczynało świtać.

Keith i Matt stali na rufie i czemuś się przyglądali. Zanedbana łódka Sandy i Brada wciąż stała na kotwicy.

- Zdaje się, że wyznają zasadę: robota nie zajac, nie ucieknie - westchnął przeciągle Matt.

153

- Przecież nie mają pojęcia, co tu robimy - powiedział Keith z przekonaniem, choć on również wolałby, żeby tej dwójki tu nie było.

Poprzedniego dnia nurkował w miejscu, gdzie wedle jego przypuszczeń Brad wrzucił coś do morza, jednak niczego nie znalazł. Mimo to był przekonany, że się nie myli. To, że niczego nie znalazł, wcale nie znaczy, że Brad niczego nie zatopił. Po pierwsze Keith nie wiedział, w którym miejscu i czego ma szukać, po drugie podwodne prądy mogły przenieść to coś gdzie indziej.

Podejrzewał, że Brad pozbył się czegoś z obawy, że odkryje to straż graniczna.

- Nie podoba mi się ta zakochana para - warknął Matt.

- Mnie też, i to od samego początku. A co do naszej roboty... Jeden z nas musi cały czas stać na czatach. Przecież nie zaprzestaniemy poszukiwań tylko dlatego, że w pobliżu są jacyś ludzie.

- Jak na mój gust, są tu już trochę za długo - stwierdził Matt.

- Może oni mówią to samo o nas. Matt natychmiast się odwrócił.

- Nie chcę się wycofywać - rzucił sucho.

- Może jednak powinniśmy. Możemy popłynąć na jeden dzień do miasta, pochodzić po knajpach i posłuchać, o czym ludzie gadają. Może przy okazji coś usłyszymy.

Matt zdecydowanie pokręcił głową.

- Coś mi się zdaje, stary, że zaczynasz zbaczać z tematu - powiedział, mierząc go ostrym spojrzeniem.

- Mnie też poruszyła śmierć Brandona, ale naprawdę nie widzę powodu, żeby łączyć to smutne zdarzenie ze zniknięciem pary emerytów. A ty, zdaje się, właśnie to robisz.

146

- Może oni też już nie żyją.

- Nieszczęścia się zdarzają. Ludzie giną bez wieści. Ale to jeszcze nie powód, żeby doszukiwać się w tym jakichś tajemniczych związków.

- To oczywiste. Ja jednak uważam, że nie zaszkodzi trochę powęszyć wokół tej sprawy.

Matt chyba chciał zaprotestować, lecz w końcu wzruszył ramionami.

- Może i masz rację - powiedział bez przekonania. Naraz uśmiechnął się szeroko i rzucił domyślnie: - Coś mi się zdaje, że będziesz próbował skorzystać z gościnnych nabrzeży pewnego jachtklubu.
- Nie brakuje portów, gdzie można bezpiecznie zacumować.
- Mam powtórzyć?
- Dobra, rzeczywiście uważam, że powinniśmy tam popłynąć. W końcu wszyscy, których tu spotkaliśmy, byli stamtąd.
- Obgadamy to z Lee - orzekł Matt. - Nie powiem, że nie masz racji. Ale przyznaj, że jest ci to wybitnie na rękę?

Keith wzruszył ramionami. Co ma powiedzieć? Tak, do jasnej cholery, faktycznie nie mogę się doczekać, żeby tam już być.

Niepokoił się o Beth. Wprawdzie była w domu, ale czuł przez skórę, że to ona nasłata na nich straż przybrzeżną. Z drugiej strony główni podejrzani, czyli Sandy i Brad, wciąż kręcą się wokół wyspy, więc teoretycznie nie mogą Beth zagrozić. Mimo to wcale nie czuł się spokojny o jej bezpieczeństwo. Cholera, co oni knują? Tkwią tu już od tygodnia, wrzucają coś do morza. Najchętniej poszedłby do nich i zapytał wprost, o co im chodzi, bał się jednak, że wtedy on wyda im się podejrzany.

Jego myśli zatoczyły koło i znów wróciły do Beth. Nie dała za wygraną. Musiała znaleźć dojdzie to kogoś ważnego. Kogoś, kto ma moc sprawczą. Keith mógł się tylko domyślać, że pewnie na tym nie poprzestanie i będzie dalej drażyła temat. Jego uśmiech powoli zbladł.

Przyszło mu do głowy, że Beth zachowuje się jak pies, który dorwał kość i za nic nie wypuści jej z pyska.

Taka zabawa może być dla niej bardzo niebezpieczna. Bo tu kroi się jakaś duża sprawa. Był tego pewny.

Brad obawiał się, że strażnicy przeszukają jego łódź, więc czym prędzej wyrzucił coś do morza.

Dlaczego on i Sandy jeszcze stąd nie odpłynęli? Dlaczego cały czas obserwują ich jacht?

Miał przeczucie, że wszystkie tajemnicze wątki prowadzą do... tej nieszczęsnej czaszki.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

W piątek Ashley niespodziewanie zjawiała się w jachtklubie.

- A co ty tu robisz? - zdziwiła się Beth.

- Pofatygowałam się specjalnie po to, żebyś mogła zaprosić mnie na lunch.

- Super!

Ashley usiadła naprzeciw niej.

- Sama nie wiem, jak to się stało, ale mnie zainspirowałaś.

Beth odsunęła na bok propozycję menu na imprezę i cierpliwie czekała, aż przyjaciółka sama powie jej więcej.

Ashley wyglądała na zakłopotaną.

- Wiesz, że straż przybrzeżna niczego nie znalazła.

- Wiem. I co...?

- Próbowałam ustalić, czy to prawda, że ktoś widział jacht państwa Monoców.

- I?

- Twój znajomy, Manny Ortega, wypytywał o to w całym okręgu Palm Beach. Porozumiałam się z tamtejszą policją i uzyskałam od nich informację, że nikt

oficjalnie ich nie zawiadomił, że widział tę łódź. Co ciekawe, nikt również nie zgłosił zaginięcia państwa Monoco.

- Myślałam, że zrobił to pan Ortega.

- Okazuje się, że nie. W każdym razie nie zrobił tego w sposób oficjalny. Być może dyżurny policjant zdołał mu to wyperswadować. Przecież wiesz, że w myśl prawa każdy pełnoletni obywatel może zniknąć, jeśli tak mu się podoba.

- Dokąd prowadzi nas ten trop?

- Donikąd. Nie ukrywam, że intryguje mnie, dlaczego tak się przejęłaś tą historią. A teraz chodźmy coś zjeść, bo zaraz skończy mi się przerwa.

Zeszły do restauracji i zajęły miejsce przy stoliku. Kelner, który przyjmował zamówienie, miał już odchodzić, gdy Beth złapała go za rękę.

- Henry, czy wiesz, kim jest kobieta, która siedzi trzy stoliki dalej? - zapytała.

- Jasne. To Maria Lopez. Chyba ją poznałaś?

- Tak, ale to było dawno.

- Piękna kobieta, prawda? - westchnął Henry. - Swego czasu była międzynarodową mistrzynią tańca. Nazywano ją królową salsy.

- Słuchaj, czy ona nie pracowała w którejś ze szkół Teda Monoco? - dopytywała Beth.

- Zdaje się, że tak. Aż trudno uwierzyć, że ma sześćdziesiąt lat. Wciąż wygląda jak dziewczyna.

- Której Bóg nie poskąpił urody - dodała Ashley.

- Przepraszam na chwilę. - Beth spojrzała prosząco na przyjaciółkę. - Właśnie wpadł mi do głowy świetny pomysł. Dla uczestników imprezy zorganizujemy lekcję salsy. Muszę wykorzystać to, że jest tu Maria Lopez. Zaraz wracam.

Mam obsesję, pomyślała, wstając od stolika. Nie

przejęła się tym zbyt, gdyż wiedziała o tym już od jakiegoś czasu i zdążyła oswoić się z tą myślą. A, do diabła z obsesjami. Nawet Ashley przyznawała, że jej ciekawość jest zaraźliwa.

- Pani Lopez? - zagadnęła, podchodząc do stolika tancerki. Nie czuła się skrępowana tym, że ją zaczepia, gdyż witanie gości klubu należało do jej służbowych obowiązków. - Jak miło panią widzieć. Kobieta, której uroda nadal robiła ogromne wrażenie, odwróciła się w jej stronę. Zmarszczyła lekko brwi, usiłując sobie przypomnieć, z kim ma do czynienia; po chwili jej piękna twarz rozpogodziła się w ciepłym uśmiechu.

- Witam. Panna Anderson, jeśli się nie mylę?

- Proszę mówić mi Beth.

- Usiądziesz?

- Bardzo chętnie. Tak się cieszę, że pani do nas przyszła.

- Lubię posiedzieć sobie nad wodą. Nic tak nie odmładza człowieka, jak kontakt z morzem i słońcem - powiedziała Maria.

- Całkowicie się z panią zgadzam - odparła Beth, zastanawiając się, jak przejść do sedna. - Właśnie spędziłam weekend na Calliope Key i przy okazji przypominałam sobie o pani znajomych. Pracowała pani w szkole Teda Monoco, prawda?

Czarne oczy Marii zabłysły tak intensywnie, że Beth przestraszyła się, iż czymś ją rozgniewała.

Jednak kobieta odpowiedziała jej zupełnie spokojnie:

- O tak. Ted i Molly. Kochani ludzie. To były czasy. Ted prowadził najlepsze szkoły tańca w mieście. Przekazywał ludziom dar ruchu i tańca.

- A teraz sam korzysta z cudownego daru, jakim jest słońce i morski wiatr.



Maria przez chwilę siedziała wyprostowana jak struna. Potem niespiesznie pokręciła głową.

- Obawiam się, że tak nie jest - rzekła półgłosem.

- Przepraszam, ale nie rozumiem - odparła Beth, udając zdezorientowaną.

- Jestem pewna, że coś im się stało. W przeciwnym razie na pewno by się do mnie odezwali. Zaczyna mi ich brakować - wyznała. - W tym wszystkim najgorsza jest bezsilność. - Uśmiechnęła się z przymusem. - No więc siedzę sobie nad wodą i jak gdyby nigdy nic, jem lunch.

- Przykro mi - szepnęła Beth, i odczekawszy chwilę, zapytała: - Czy pani jeszcze tańczy?

- Od czasu do czasu.

- Zastanawiam się, czy... zechciałaby pani wystąpić na naszej letniej imprezie?

Maria uniosła do góry swe cienkie brwi.

- Chciałabym przygotować wyjątkowy program - wyjaśniła Beth. - Coś naprawdę ekstra.

Maria, którą mile polechtały te słowa, miała jednak obiekcje.

- Jak wiesz, do tanga, i nie tylko, trzeba dwojga. Proszę porozmawiać o swoim pomysle z nowym właścicielem szkół, które należały kiedyś do Teda. Kupił je od niego niejaki Eduardo Shea, i chyba całkiem nieźle sobie radzi.

Doskonale, ucieszyła się Beth. Jak dotąd wszystko szło po jej myśli.

- A tak, słyszałam - przyznała. - Mówił mi o tym pan Manny Ortega. Pani go zna, prawda?

- Oczywiście! - Maria uśmiechnęła się szeroko. - To niezwykle uzdolniony muzyk i uroczy człowiek.

On również zna Eduarda, który, swoją drogą, jest szalenie interesującym typem. W jego żyłach płynie  
160

kubańska i irlandzka krew. Przyzna pani, że ciekawa mieszanka. - Maria się roześmiała. - Chętnie wystąpię na waszej imprezie, oczywiście z odpowiednim partnerem. Moim zdaniem powinnaś zachęcić gości, żeby również zatańczyli - poradziła.

- Myślałam o tym, żeby zorganizować dla nich krótką lekcję tańca.

- Zobaczysz, będą zachwyceni. Zwłaszcza kawalerowie i panowie bez pary.

- Doskonała myśl - ucieszyła się Beth.
- Proszę, skontaktuj się z Eduardem i powiedz mu, że najchętniej zatańczę z instruktorem, który nazywa się Mauricio. Oczywiście przedtem będziemy musieli trochę potrenować. Jeśli zależy ci, żeby lekcja tańca się udała, powinnaś wziąć czworo instruktorów, dwie kobiety i dwóch mężczyzn. Oczywiście będę służyła im radą i chętnie podzielę się doświadczeniem.
- Nie wiem, jak mam pani dziękować.
- Wystawię odpowiednio wysoki rachunek - odparła Maria ze śmiechem.
- Z przyjemnością zapłacę.
- A ja z przyjemnością wystąpię dla twoich gości - odparła tancerka, skłoniwszy głowę w iście królewski sposób. - Chwileczkę. - Gestem dłoni powstrzymała Beth, który właśnie zaczęła wstawać. - Dam ci wizytówkę Eduarda i swoją. Zadzwoń do mnie w celu ustalenia szczegółów.
- Bardzo dziękuję. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dać mi znać. Do widzenia, wkrótce się odezwę - obiecała.

W drodze do swojego stolika zatrzymała się obok Henry'ego i uprzedziła go, że pani Lopez je dziś na koszt klubu.

- Ryba była wyśmienita - pochwaliła Ashely, gdy wreszcie do niej dołączyła.
- Nie gniewaj się. Chodzi o to, że...
- Maria zna państwa Monoców, a ty ciągle myślisz o ich zniknięciu, więc...
- Ashley, znalazłam w lesie ludzką czaszkę.
- Beth, nie jesteś policjantką.
- I w związku z tym nie mam prawa podejrzewać, że na wyspie popełniono morderstwo, na dodatek podwójne? Mam udawać, że nic się nie stało?
- Zostaw to policji. Oni się tym zajmą.
- Oby! - powiedziała z naciskiem. - Ale co tam, najważniejsze, że mam gwóźdź programu. Szukałam czegoś ekstra, i znalazłam.

Ashley mruknęła coś pod nosem, dopiła mrożoną herbatę i wstała od stolika.

- Z atrakcjami czy bez, na mnie i Jake'a możesz liczyć. Na pewno przyjdziemy - zapowiedziała.
- Dzięki.
- Bóg nie zawsze da radę sam upilnować kretynów, którzy na własne życzenie pakują się w kłopoty - powiedziała Ashley na odchodnym.

Kiedy Keith obudził się następnego ranka, łodzi Sandy i Brada już nie było.

O ile przeszkadzali mu, gdy kręcili się w pobliżu, to dopiero ich zniknięcie poważnie go zaniepokoiło. Niezrażony wcześniejszym niepowodzeniem, postanowił jeszcze raz przeszukać miejsce, w którym Brad wyrzucił coś za burtę.

- Szkoda czasu, i tak nic nie znajdziesz, ale rób, jak uważasz - orzekli jego koledzy, którzy zostali na jachcie.

Zszedł pod wodę blisko brzegu, w miejscu gęsto

154

porośniętym przez wodorosty. Choć morze było tego dnia spokojne, z dna co chwila podnosiły się tumany piasku, dodatkowo mącąc i tak mało przejrzystą wodę.

Powoli, z dłońmi założonymi do tyłu, kilka razy opłynął wybrany obszar. Starał się wykonywać minimalne ruchy płetwami, by jeszcze bardziej nie mącić wody. Nie zszedł głęboko, więc mógł tak pływać w nieskończoność, jednak w pewnym momencie ogarnęły go wątpliwości. Był skłonny uwierzyć, iż ubzdurał sobie, że Brad coś wyrzucił. Przyszło mu nawet do głowy, że facet palił trawkę, więc kiedy zobaczył kutry straży przybrzeżnej, spanikował i pozbył się trefnego towaru. Gdyby tak było, ryby miałyby używanie.

Monotonny szmer własnego oddechu, który zwykle go uspokajał, tym razem zaczął go drażnić. Kilkundniowe bezowocne poszukiwania nie wiadomo czego zaczęły działać mu na nerwy.

Tuż przed jego maską przepłynął błazenek. Po chwili mały węgorz wygrzebał się z piasku, a widząc nad sobą wielkie obce stworzenie, prędko umknął.

Keith powoli godził się z myślą, że poszukiwania nie mają najmniejszego sensu. Mimo to po raz dziesiąty okrążył wybrany fragment dna. Już miał się wycofać, gdyż czuł, że jego organizm się wychładza, gdy nagle coś spostrzegł.

Nie od razu zorientował się, co to jest. Widział tylko, że coś leży w piasku. Wziął więc to do ręki, opłukał, podniósł do oczu i dokładnie się temu przedmiotowi przyjrzał.

Z wrażenia przestał oddychać, co w przypadku nurka było kardynalnym błędem. Na szczęście w porę się opamiętał i nabrał powietrza do płuc.

Już wiedział, co znalazł.

Rano Beth pojechała na plażę, żeby spotkać się z Eduardem Shea. Był to niezbyt wysoki, przystojny mężczyzna o intensywnie niebieskich oczach i kruczoczarnych włosach. Beth jeszcze nie zdążyła do niego podejść, a on już cały był w uśmiechach.

- Witam, panno Anderson!

- Dzień dobry, panie Shea.

- Zapraszam do mojego biura.

Weszła za nim do pokoju i usiadłszy po drugiej stronie biurka, dyskretnie się rozejrzała. Pierwszym, co rzuciło się w oczy, była ogromna ilość dyplomów i pucharów zdobytych na turniejach. Serce zabiło jej szybciej, gdy na jednym ze zdjęć rozpoznała Eduarda ściskającego dłoń Teda Monoco, obok którego stała uśmiechnięta Molly.

- Widzę, że spodobało się pani to zdjęcie - zauważył gospodarz.

- To musiał być wspaniały człowiek - odparła cicho.

- Jest. - Eduardo zmarszczył brwi. - Ma talent nie tylko do tańca, ale i do interesów. A to nie zawsze idzie w parze.

- Rzeczywiście. - Postanowiła zmienić temat i nie wypytywać więcej o państwa Monoców, by nie budzić podejrzeń. - Od jak dawna jest pan właścicielem szkół?

- Mniej więcej od roku. I powiem nieskromnie, że jestem bardzo zadowolony z naszych osiągnięć. Ted wysoko ustawił poprzeczkę, więc staramy się utrzymać standard.

- Rozmawiałam wczoraj z panią Marią Lopez. Powiedziała mi, że...

- Tak, wiem, Maria wspominała mi o tym. Przygotowałem dla pani świetną ofertę.

156

- Tak?

- Proszę spojrzeć - powiedział i podsunął jej kosztorys.

Stawka za pracę czworga tancerzy nie była wygórowana. Beth na wszelki wypadek zapytała, skąd wzięła się tak atrakcyjna cena.

- Wierzę w umiejętności moich ludzi i traktuję **ten** występ jako formę promocji - odparł. - Mogę się z panią założyć, że po pokazie będę miał wielu nowych uczniów.
- Życzę panu tego - powiedziała, mimo woli znów spoglądając na zdjęcie.
- Zna pani Teda i Molly? - zainteresował się.
- Widziałam ich kiedyś - odparła wymijająco.
- Tak bardzo się cieszyli, że wreszcie mogą wypłynąć w wymarzony rejs. Ted kocha dwie rzeczy, taniec i żeglowanie. Oczywiście poza Molly, ona zawsze jest na pierwszym miejscu. Szkoda, że dziś tak niewiele par bierze sobie do serca słowa: „dopóki śmierć nas nie rozdzieli”.
- Na szczęście są tacy, którzy traktują je poważnie - odparła.
- Och, widzę, że z pani idealistka. Świetnie, lubię idealistów. I marzycieli. Gdyby nie marzenia, życie nie miałoby barw. Proszę spojrzeć choćby na Teda. Nie miał nic poza talentem, ale zdołał rozkręcić świetnie prosperujący biznes, który zapewnił mu godziwą starość.
- Rozumiem, że panowie znali się, jeszcze zanim kupił pan od niego szkoły?
- O tak! Wszystko, co wiem o tym biznesie, wiem od Teda. - Eduardo zerknął na zegarek. - Przepraszam, za chwilę zaczynam lekcję. Bardzo się cieszę, że będziemy współpracować. Jeśli pani pozwoli, w czasie

pokazowej lekcji na imprezie chciałbym być pani nauczycielem. Zanim się pani zorientuje, zapisze się pani do mnie na kurs.

Uśmiechnęła się. Eduardo Shea i Maria Lopez mają wspólną cechę: optymizm i niezachwianą wiarę w siebie.

- Zobaczymy, jak to będzie z tym kursem - powiedziała, wstając. Jej rozmówca podszedł do niej i ze staroświecką galanterią pocałował ją w rękę. Beth nie potrafiła ocenić, czy był w tym gościu szczerzy, czy tylko obłudny.

Wychodząc, na moment przystanąła i raz jeszcze obejrzała zdjęcia. Prawie wszystkie zostały zrobione podczas turniejów. Tancerze mieli na sobie smokingi, a tancerki przepiękne suknie. Na jednym z nich spostrzegła wystrojoną Amandę, która stojąc w efektownej pozie, wdzięczyła się do obiektywu. Na sąsiednich fotografiach widać było jej ojca i kuzynów, uwiecznionych podczas wręczania pucharu jasnowłosej zwyciężczyni jakiegoś turnieju.

- Interesują panią turnieje dla zawodowców? - zapytał gospodarz, i zaraz sam odpowiedział sobie na pytanie: - Naturalnie, pani zna Masonów. Przecież to zapaleni żeglarze.

- Rzeczywiście, znam. Należą do klubu.

- Zapewniam panią, że podstawy tańca mają już opanowane - odparł Eduardo ze śmiechem.

- Mam nadzieję, że mimo to będą się dobrze bawili - powiedziała i pożegnawszy się, szybko wyszła z biura.

Od natłoku myśli kręciło jej się w głowie. Co to wszystko znaczy?

Prawdopodobnie nic poza tym, że Masonowie lubią tańczyć. Też mi odkrycie, prychnęła.

Kręcąc głową nad swoimi obsesjami, zastanawiała

158

się, do czego doprowadził ją ten trop. Wnioski nie były odkrywcze. Eduardo Shea nie przejął się zniknięciem państwa Monoców, których znał od dawna. Masonowie też ich znali.

I co w związku z tym? Nic.

Może odnaleźć dziesiątki ludzi, którzy znali Teda i Molly. Pracowali z nimi, żeglowali, spotykali się przy różnych towarzyskich okazjach. A to wszystko prowadzi do...?

Donikąd. Dzisiejsze spotkanie nie przybliżyło jej ani o krok do prawdy.

Amber jeździła do szkoły kolejką. Żeby dotrzeć do stacji, musiała przejść dziesięć przecznic. Po lekcjach pokonywała tę samą trasę. Zazwyczaj prosto z pociągu szła do domu, a pierwszą rzeczą, którą robiła po przyjściu, było wykonanie telefonu do Bena, którego nazywała żartobliwie panem Paranoikiem.

Tego dnia jej klasa miała skrócone lekcje, o czym zapomniała mu powiedzieć.

- Co robimy? - zapytała ją Kim, która razem z nią wracała ze szkoły.

- Czy ja wiem? Możemy wstąpić do jachtklubu - zaproponowała, wiedząc, że żadna z nich nie ma nic do roboty

Do klubu było dość daleko, więc gdy w końcu tam dotarły, były spocone i zgrzane.

- Idziemy prosto do kawiarni - zarządziła Kim.

- Nie, najpierw powiemy cioci, że jesteśmy.

- Ale po co?

- Żeby wiedziała. Poproszę, żeby zadzwoniła do taty i powiedziała, że z nią jestem.

- Wody! - jęknęła Kim. - Jak się zaraz nie napiję, umrę i będziesz mnie miała na sumieniu.



- No dobra. Najpierw się czegoś napijemy, a potem pójdziemy do pokoju cioci.
  - Twój ojciec jest członkiem klubu, więc ciotka nie musi po nas przychodzić, bo i tak cię tu wpuszczą
  - mądrzyła się Kim.
  - Oj, przecież wiem! - zirytowała się Amber. Wolała powiedzieć ciotce, że tu są, bo czuła, że ojciec będzie zły, że nie poinformowała go o skróconych lekcjach.
- Ledwie weszły na teren klubu, Kim zachciało się ścigać.
- Kto pierwszy do kawiarni! - zawołała i pędem ruszyła przed siebie.

Amber nie miała ochoty biegać, więc gdy parę chwil później dotarła do restauracji, Kim już dawno tam nie było. Amber poszła więc od razu na górę, do ciotki. Tej jednak nie zastała, za to przy jej biurku siedziała Kim i z łobuzerskim uśmiechem wpatrywała się w ekran komputera.

- Patrz, twoja ciotka dostała maila.
- Hej, nie wolno ci dotykać jej komputera! - oburzyła się Amber.
- Nie marudź, tylko chodź i sama zobacz. Ale numer! Słuchaj, to on! Naprawdę!
- Kto?
- Jak to, kto? Ten przystojniak z wyspy.
- Keith?!
- Tak. No chodź prędzej!

Amber odetchnęła nerwowo, lecz pokusa była zbyt silna. Podeszła do biurka i przeczytała treść wiadomości, która brzmiała następująco:

*Beth, zadzwoniłem do klubu i poprosiłem o twój adres mailowy. To ja, Keith, ten z wyspy. Jeszcze raz cię proszę, żebyś zapomniała o tym, co widziałaś.*

160

*Odpuść sobie, proszę. Pojawily się nowe okoliczności. Niedługo się zobaczymy i wtedy o wszystkim ci powiem.*

- Odpiszemy mu? - spytała Kim z figlarnym błyskiem w oku.

- Nie! - zawołała zgorzona Amber.

Kim zlekceważyła jej protesty. Kliknęła w ikonkę „odpowiedz” i zaczęła pisać:

*Naprawdę niedługo cię zobaczę? Będę czekała. Niecierpliwie...*

- I jak? - zapytała, odwracając się do Amber. Obie zaczęły chichotać.

- Wiesz, że źle zrobiliśmy? - jęknęła Amber.

- Daj spokój! Twoja ciotka musi wreszcie zacząć żyć. Nie chcesz mieć fajnego wujka?

Spojrzały na siebie i znów parsknęły śmiechem. Tym razem Amber ośmieliła się dopisać coś od siebie:

*Jeśli nie zastaniesz mnie w jachtklubie...*

Zawahała się, lecz trwało to tylko moment. Szybko wpisała domowy adres Beth i prywatny adres e-mailowy. Jeszcze raz przeczytała tekst i zdecydowanie kliknęła „wyślij”.

- Super!!! - Kim z radości klasnęła w ręce. Nagle usłyszały jakiś hałas dobiegający z sąsiedniego pokoju. Wystraszona Kim aż podskoczyła.

- Spadamy!

Jak na komendę rzuciły się do drzwi i w popłochu czmychnęły na dół.

Mężczyzna upajał się swoją siłą i poczuciem wyższości.

Dzieciaki, prychnął. Dzięki Bogu, że były zajęte sobą i tak po dziecięcemu głupiutkie i nieuważne.

Ciekawe, co by zrobił, gdyby nagle napatoczyło się jakieś dziecko. Uśmiechnął się ponuro. Dawno już

postanowił, że nic mu nie przeszkodzi w osiągnięciu celu. Mógł więc tylko mieć nadzieję, że na jego drodze nie pojawią się nieprzewidziane przeszkody. Bo tak naprawdę człowiek nigdy nie wie, jak by postąpił w krytycznej sytuacji.

Dyskretne wejście do biura Beth Anderson nie przysporzyło mu żadnych problemów; umiał poruszać się bezszelestnie. Rozejrzał się dookoła. Nie bał się, że ktoś go nakryje; nawet gdyby, w łatwością wytłumaczyłby swoją niespodziewaną wizytę.

Bez wahania podszedł do komputera i zaczął przeglądać pocztę. Był ciekaw, co zmalowały dziewczyny.

Nagle przeszył go lodowaty dreszcz, lecz błyskawicznie zapanował nad nerwami. Zresztą szybko zorientował się, że w elektronicznej korespondencji nie ma żadnych informacji, które mogłoby mu zaszkodzić. Mógł więc czuć się bezkarny.

Na biurku stało pudełko chusteczek higienicznych umieszczone w specjalnym koszyczku wplecionym ze złoczonego drutu i ozdobionym filigranem w kształcie dwóch żaglówek. Wyciągnął z niego dwie chusteczki, starannie owinął nimi palce wskazujące i wytarł klawisze, których wcześniej dotykał. Dopiero potem zaczął coś pisać.

Beth wróciła do jachtklubu zasepiona. Po dzisiejszym spotkaniu z Eduardem Shea zaczęła się poważnie obawiać, że jej misterny plan spełznie na niczym. Możliwe, że mieli rację ci, którzy mówili, że niepotrzebnie interesuje się tą sprawą, bo i tak w niczym nie pomoże. W tym przypadku nawet natura jest przeciwko niej. Ten, kto choć raz wybrał się łodzią na pełne morze, dobrze wie, co znaczą słowa „bezkres oceanu”. I każdy, kto choć raz doświadczył na własnej skórze,

170

czym jest potęga żywiołu, uwierzy, że jacht może zniknąć bez śladu.

Jednak ocean często daje ludziom prztyczka w nos i choć z opóźnieniem, to jednak ujawnia różne tajemnice. Zwykle prędzej czy później szczątki zostają wyrzucone na brzeg.

Jednak nie zawsze.

Beth zostawiła samochód na wyznaczonym dla niej miejscu parkingowym i poszła prosto do swojego biura. Tam z ulgą zaniknęła za sobą drzwi, cisnęła torbę na krzesło i usiadła przy biurku. Nie zabrała się jednak od razu do pracy. Najpierw odchyliła się do tyłu i na moment przymknęła oczy.

Zapomnij o tym i bierz się do roboty, nakazała sobie surowo i nie tracąc już więcej ani chwili, podjechała z krzesłem do biurka i nacisnęła spację, by wyłączyć wygaszacz ekranu. Nagle skoczyła jak oparzona.

Na ekranie pojawiła się wielka czaszka i niemal natychmiast zniknęła, ustępując miejsca napisowi: *Niedługo się spotkamy. W ciemności. Zupełnie sami.*

Zerwała się na równe nogi i wybiegła z pokoju. Chciała natychmiast porozmawiać z menedżerem albo komandorem, albo kimkolwiek innym.

Przebiegając przez hol, zerknęła w stronę jadalni i gwałtownie się zatrzymała. Przy jednym ze stolików zauważyła Amber i Kim pijące zimne napoje. One też ją spostrzegły. Choć na scenie obie prezentowały niemały talent aktorski, w prawdziwym życiu nie umiały udawać. Po ich minach od razu było widać, że coś przeszkrobały.

- A co wy tu robicie? - zapytała srogo.

- Miałyśmy dziś skrócone lekcje - wydukała Amber, przetykając nerwowo ślinę i wymieniając niepewne spojrzenia z Kim.

Beth gotowała się ze złości. Nie posądzała ich o złą wolę, ale była na nie wściekła, bo przez swój głupi żart śmiertelnie ją wystraszyły.

- Skrócone lekcje, tak? - syknęła.

- Zapomniałam powiedzieć o tym tacie, więc... pomyślałam sobie, że tu przyjdę i pójdę...

- Prosto do mojego pokoju! - dokończyła Beth lodowatym tonem.

Amber i Kim spuściły głowy.

- Dorwałyście się do mojego komputera, zgadłam?

- zapytała z wyrzutem. Pilnowała się, by nie podnosić głosu, bo przecież jest w pracy i nie może robić scen.

- Ciociu... - jęknęła Amber ledwo słyszalnym głosem.

Beth z trudem udawało się utrzymać nerwy na wodzy, bo przestraszyła się nie na żarty. Mimo to nie podnosiła głosu, dawno już bowiem obiecała sobie, że nie będzie krzyczeć na Amber. Nie miała ambicji, by zastąpić jej matkę, bo rozumiała, że jest to niemożliwe, starała się jednak postępować tak, by bratanica czuła, iż ma obok siebie kogoś, na kim zawsze może polegać. W sytuacji takiej jak ta rodzona matka miałaby ten luksus, że mogłaby wpaść z szału i ukarać córkę bez obawy, że ją do siebie zrazi. Beth musiała sięgać po mniej drastyczne środki.

- Pewnie uważałaś, że jesteście bardzo dowcipne?

- zapytała surowo.

- Ja... myślałam, że...

- Nie interesuje mnie, co myślałaś! - wybuchła w końcu, zapominając o swych dobrych intencjach.

- Ciociu, błagam, nie mów tacie! - szepnęła Amber drżącym głosem. - Przepraszam, nie gniewaj się na mnie. Jak powiesz tacie, co zrobiłyśmy, to on na pewno powie o tym rodzicom Kim. A wtedy... -

Urwała

i spojrzała błagalnie na Beth. - Proszę cię! - szepnęła. - My naprawdę nie chcieliśmy zrobić niczego złego.

Beth milczała. Czuła, że najpierw musi ochłonać i dopiero potem zdecyduje, co z nimi zrobić. Odwróciła się i poszła z powrotem na górę. Po drodze nawet nie spojrzała, czy dziewczyny za nią idą. Roztrzęsiona, znów usiadła przy biurku i lekliwie zerknęła na ekran komputera. Nagle zaczęła się śmiać. Wybiegając w panice, musiała zawadzić o kabel od zasilania i wyciągnąć wtyczkę z gniazdka, gdyż ekran był czarny.

Gdyby taka historia przydarzyła jej się tydzień wcześniej, na pewno nie byłaby przerażona, tylko co najwyżej zdziwiona. Gniew zaczął powoli mijać. Strach ma wielkie oczy, pomyślała, czując ogromną ulgę.

Podłączyła zasilanie i na nowo uruchomiła komputer. Po chwili wróciła do przerwanej pracy nad programem letniej imprezy, jednak nie mogła się skupić, bo cały czas biła się z myślami, czy powiedzieć bratu o postępkach dziewczyn, czy też nie. Bała się, że jeśli to zrobi, Amber ją znienawidzi. Trudno, nawet jeśli, to pewnie nie na długo.

A może lepiej dać dziewczynom drugą szansę?

Upłynęło sporo czasu, zanim udało jej się zmusić umysł do efektywnej pracy. Najpierw zadzwoniła do Marii Lopez i poprosiła o zgodę na umieszczenie jej zdjęcia w ulotce reklamującej imprezę. Następnie wyszukała w sieci efektowną fotografię tancerki i po godzinie ulotka była gotowa do druku. I właśnie w chwili, gdy usiadłszy wygodnie, z satysfakcją oglądała owoc swoich wysiłków, do pokoju wszedł Ben w towarzystwie córki.

- Wiedziałaś, że dziewczynki tu są? - zapytał.

Amber spojrzała na nią z niemym błaganiem w oczach.

- Przecież wiesz, że nigdy nie ma z nimi kłopotu

- odparła wymijająco, nie chciała bowiem jawnie kłamać. - No, prawie nigdy - dodała, patrząc znacząco na bratanicę.

Zauważyła, że Ben poczuł ulgę.

- W porządku, jednak na drugi raz chcę być poinformowany o skróconych lekcjach - powiedział córce.

- Tato, przecież dostałeś spis najważniejszych wydarzeń w szkolnym kalendarzu - powiedziała Amber z lekkim wyrzutem. - Tylko że ty nie zawsze zwracasz uwagę na takie rzeczy.

Ben już otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz zaraz je zamknął.

- Rzeczywiście, dostałem spis - burknął po chwili i wyszedł.

Amber popatrzyła za nim i posmutniała; była pewna, że się na nią gniewa. Jednak Beth miała lepsze rozeznanie w nastrojach brata. Domyśliła się, że Ben robi sobie wyrzuty, że zawiódł jako rodzic.

- Przepraszam, ciociu. Jeszcze raz bardzo cię przepraszam - powiedziała Amber przez łzy.

- Nigdy więcej tego nie rób - odparła łagodnie.

- Ojciec świata poza tobą nie widzi. Spróbuj go zrozumieć i trochę mu odpuść.

Kim, która do tej pory trzymała się z boku i milczała, przytuliła płaczącą Amber i razem z nią wyszła z pokoju.

- Hej, Kim! - zawołała za nimi Beth. - A co z tobą? Mam cię odwiedzić później do domu czy przyjadą po ciebie rodzice?

- Dziękuję, rodzice mnie odbiorą.

- W porządku. Amber, jak Kim pojedzie, znajdź tatę i zjedz z nim kolację, dobrze?

166

Amber kiwnęła głową i po chwili obie z Kim znikły w korytarzu. Beth patrzyła za nimi, czując, jak gniew uchodzi z niej niczym powietrze z przekłutego balonika. Myślała o tym, że niełatwo być ciotką nastolatki. Tak to już jest, że w życiu mało co bywa proste, podsumowała.

Nim na nowo skupiła się na pracy, obiecała sobie, że będzie częściej zaglądała do szkolnego kalendarza Amber.

Ben wcale się nie pogniewał; po prostu nagle poczuł się zmęczony i przytłoczony. Kolejny raz nie udało mu się udźwignąć podwójnej rodzicielskiej roli.

Przygnębiony, siedział przy barze i sącył piwo, gdy nagle ktoś klepnął go w ramię.

- Cześć, stary! Jak leci? - zawołał Mark Grimshaw, jego kolega ze studiów.

- Cześć, dziękuję, nie narzekam - odparł, zmuszając się do uśmiechu.

- Słuchaj, siedzimy z grupą znajomych przy basenie. Może do nas dołączysz? - zaproponował Mark.

- Przysięgam, że nie wszyscy są prawnikami, więc nie będziemy gadali non stop o robocie.

- Dzięki, ale jestem tu z córką. Chcemy coś zjeść, zanim wrócimy do domu.

- Jeszcze zdążycie. Do kolacji została godzina. Może twoja córka też będzie chciała popływać?

Ben szczerze wątpił, by córka miała ochotę pluskać się w basenie ze swoim starym. Mimo to przyjął zaproszenie kolegi. Pocieszał się, że jak przepłynie parę basenów, to przynajmniej się zmęczy i szybciej zaśnie.

- Dobrze, pójdę się przebrać i zaraz do was dołączę

- obiecał.



- W takim razie czekamy - odparł Mark.

Ben lubił go i uważał za porządnego faceta. Swego czasu próbował zainteresować nim Beth.

- Daj spokój! - ofuknęła go. - Może on i jest porządny, ale w ogóle między nami nie iskrzy.

Zszedł do szatni, gdzie z ulgą zdjął marynarkę i połuzniejszy krawat, zaczął otwierać zamek szyfrowy swojej szafki. W pewnej chwili usłyszał jakiś hałas i odwrócił się, by zobaczyć, kto przyszedł.

Zdziwił się, widząc, że poza nim nie ma nikogo.

A przecież przed chwilą nie tylko słyszał odgłosy, lecz także wyczuwał czyjąś obecność.

Za dużo pracy i stresu. Gdyby tak można było nic nie robić, tylko pływać łódką od wyspy do wyspy, westchnął.

A niech to wszystko diabli! Miał ochotę wydrzeć się na Beth. To przez te jej cholerne obsesje stał się taki znerwicowany. Wściekły, pokręcił głową i wrócił do otwierania szafki. Klik... klik... klik.

Zamek puścił.

Ben przebrał się i wyszedł. Idąc w stronę basenu, zżymał się, że chyba jest już z nim całkiem źle, skoro ma omamy słuchowe.

Gdy po paru długościach basenu zrobionych szybkim kraulem wyszedł z wody, od razu poczuł się lepiej. Znajomi czekali na niego z piwem, i nawet Amber sobie o nim przypomniała. O dziwo, wcale nie przyszła powiedzieć, że chce już wracać do domu.

- Tato, może zjemy po hamburgerze? - zaproponowała. - Ale przedtem ja też chętnie popływam.

- Pewnie, że możemy coś tu przekąsić - odparł obojętnie, jednak w środku cały promieniał, że z własnej woli Amber chce spędzić z nim czas.

- Lecę się przebrać - zawołała i pobiegła do szatni.

168

Ben poczuł bolesne ukłucie w sercu. Nie mógł oprzeć się refleksji, że niezwykle trudno jest kochać kogoś bezgranicznie i nie przytłoczyć go tą miłością.

Patrzył za odchodzącą Amber i nagle poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz. Taki sam jak ten, który dopadł go w szatni. Strach.

Irracjonalny, a jednak boleśnie realny.

Bał się, choć sam nie wiedział dlaczego.

Miał nieprzyjemne uczucie, jakby nagle spłynął na niego cień, odbierając mu poczucie bezpieczeństwa i radość życia.

Odruchowo spojrzął w niebo. Słońce stało jeszcze wysoko i zalewało świat jasnym blaskiem.

A mroczne widma istniały tylko w jego wybujałej wyobraźni. W każdym razie w tę wersję chciał wierzyć.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Beth nie żałowała, że nie poskarżyła się Benowi na dziewczynki. Kiedy dołączyła do znajomych siedzących przy basenie, jej brat i bratanica bawili się w najlepsze wraz z innymi dziećmi i ich rodzicami. Zabawa polegała na tym, że rodzice brali na barana dzieci, które próbowały zepchnąć przeciwników do wody. Wygrywał ten, kto utrzymał się najdłużej.

Beth usiadła przy brzegu i z przyjemnością patrzyła na swoją roześmianą siostrzenicę, która mężnie odpierała ataki konkurencyjnej pary i nie pozwalała ściągnąć się z pleców ojca. Walczyła tak dzielnie, że w końcu to jej przeciwnik dał nurka do wody. Amber śmiała się na całe gardło.

Jak dziecko.

Po chwili zwycięska para przybiła sobie piątkę i wyszła z basenu.

- Gratuluję! - powiedziała Beth, gdy się do niej przysiedli.

- Dzięki. Ciociu, nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy zjedli dziś hamburgera? - zapytała Amber. - Mogłabym już iść i zamówić. Chyba że wolisz rybę albo jakąś sałatkę?

178

Beth osłoniła oczy przed ostrymi promieniami wieczornego słońca i spojrzała na bratanicę.

- A co, sugerujesz, że powinnam zamówić sałatkę?

- zapytała z przekąsem.

- Nic podobnego!

Stało na tym, że wszyscy zjedzą po hamburgerze z frytkami.

- Zainteresowałaś się tańcem? - zapytał Ben, gdy Amber pobiegła złożyć zamówienie.

- Nie zaszkodzi w końcu się nauczyć - odparła.

- Wybrałam salsę. To ma być główna atrakcja letniej imprezy.

- Świetny pomysł. Na pewno wszystkim się spodoba.

- Mam nadzieję.

- Jesteś pewna, że chodzi tylko o zapewnienie rozrywki gościom klubu? - zapytał, przysunąwszy się bliżej. - Powiedz, czy ty przypadkiem nie usiłujesz dowiedzieć się czegoś o Monocach?
- Wyciągasz pochopne wnioski - odrzekła i opowiedziała mu o przypadkowym spotkaniu z Marią Lopez, które tak ją zainspirowało, że postanowiła nawiązać kontakt ze szkołą tańca. Ledwie skończyła swoją relację, podeszła do nich Tania Whirlaue, jedna z członkiń klubu, i zagadnęła ją o to samo.
- Cześć, Beth! Słyszałam, że wymyśliłaś dla nas naukę tańca.  
No nie, wszyscy już wiedzą, zirytowała się. A przecież jeszcze nawet nie wydrukowała ulotek!
- Podoba ci się ten pomysł? - zapytała.
- Jasne, że tak! Zwłaszcza jeśli będą jacyś fajni tancerze, bo na mojego męża raczej nie mam co liczyć. Jak go znam, nie da się wyciągnąć na parkiet.

- Będziemy musiały trochę nad panami popracować - odparła ze śmiechem Beth.
- Ktoś mi mówił, że lekcję przygotowuje szkoła Eduarda Shea - ciągnęła Tania. - Kiedy usłyszałam to nazwisko, od razu pomyślałam o poprzednich właścicielach, państwu Monocach - dodała, siadając obok.
- Z tego, co wiem, wszelki śluch po nich zaginął
- odparła Beth, zerkając niepewnie na Bena.
- Powiem ci szczerze, że obawiam się najgorszego
- przyznała Tania. - Zwłaszcza po tym, co przydarzyło się naszym znajomym z Wirginii. Wyobraź sobie, że napadli na nich piraci i ukradli im łódź.
- Naprawdę? Jak to się stało? - zawołała Beth. Wiadomość zelektryzowała ją i utwierdziła w przekonaniu, że jej podejrzenia nie są bezpodstawne.
- Żeglowali w okolicach Chesapeake Bay, sami, sporym jachtem. Któregoś dnia rzucili kotwicę, żeby się trochę poopalać i popływać. I właśnie wtedy zostali napadnięci przez złodziei, którzy niepostrzeżenie weszli na pokład. Mieli na sobie pianki i butle do nurkowania, więc moi znajomi w pierwszej chwili pomyśleli, że to nurkowie, którzy zgubili się albo mają jakieś kłopoty. Zapytali, czy im nie pomóc, a wtedy tamci wyciągnęli noże, wyrzucili ich za burtę i ukradli jacht.
- Straszne! Uratowali się?
- Na szczęście obydwójce dobrze pływają, więc zdołali utrzymać się na wodzie, dopóki nie wyłowiała ich inna łódź. Wezwali potem straż przybrzeżną, ale piraci zdążyli uciec.
- Powiedz, kiedy to się stało?
- Mniej więcej przed rokiem. Łódź się nie odnalazła, co zresztą było do przewidzenia. Wiadomo, że jacht można przemalować i wyrobić mu fałszywe papiery, podobnie jak kradzionym samochodom.

Rok temu. A więc jeszcze zanim Ted i Molly Monocowie przepadli bez wieści.

- Twój znajomi byliby w stanie opisać napastników? - zapytała, wciąż nie do końca przekonana, czy jest skłonna uwierzyć, że piraci istnieją naprawdę.

- Niewiele widzieli, bo złodzieje mieli pianki, maski i okulary, ale zorientowali się, że to kobieta i mężczyzna. Betty, moja koleżanka, mówiła mi potem, że wszystko wydarzyło się tak szybko, iż niewiele pamięta. Ale oboje z mężem cieszą się, że żyją. Przecież mogli utonąć.

- Tym gnojkom pewnie o to chodziło - mruknęła Beth.

Ben, który dotąd w milczeniu przysłuchiwał się rozmowie, poruszył się niespokojnie. Beth nie była pewna, czy tak bardzo przejął się tą historią, czy też zaczął się obawiać, że znów najdzie ją chęć, by na własną rękę przeprowadzić śledztwo i rozwikłać tajemnicę zniknięcia Teda i Molly.

- Ben nosi przy sobie broń - powiedziała do Tani.

- Wie, co robi - odparła jej rozmówczyni. - W końcu wsadził za kratki paru bandziorów. Dobrze strzelasz, prawda? - zapytała Bena.

- Ujdzie - burknął niechętnie. - Słuchajcie, zmieńmy temat, dobrze? Amber wraca z hamburgerami. Nie chcę jej niepotrzebnie straszyć.

Przez resztę wieczoru Beth dyskretnie go obserwowała. Zauważyła, że choć dużo się śmiał i żartował z Amber, wcale nie był rozluźniony. Widać było, że coś go gryzie.

Zrobiło się późno, więc uznała, że najwyższa pora wracać do domu.

- Na mnie już czas - oznajmiła, wstając. - Wstąpię jeszcze do biura po rzeczy i jadę do siebie. Pewnie jutro się zobaczymy.

- Pewnie tak. Pracujesz?
- Trochę. Przecież wiesz, że w weekendy zawsze tu wpadam, żeby zobaczyć, co się dzieje.
- Odprowadzić cię do samochodu?
- Dzięki, ale nie chce mi się czekać, aż się przebierzecie. Jestem zmęczona i marzę, żeby być już w domu. Zresztą chyba wiesz, że na parkingu siedzi ochroniarz? Ale i tak dziękuję za dobre chęci. A tak swoją drogą, braciszku, to jeszcze nie straciłam kontaktu z rzeczywistością, więc nie rób ze mnie paranoiczki - dodała żartobliwym tonem i pomachawszy Amber na do widzenia, pobiegła na górę po swoje rzeczy.

Parę minut później wyszła z budynku i ruszyła w stronę parkingu. Mimo późnej pory dzień w klubie jeszcze się nie skończył. Restauracja wciąż była otwarta, podobnie jak bar przy basenie. Dokoła słychać było śmiechy i rozmowy wciąż licznych gości.

Idąc, wsłuchiwała się w rytmiczny stukot swoich obcasów, który wyraźnie wybijał się na tle łagodnego szumu liści poruszanych wieczorną bryzą. Jachtklub szczyił się pięknie utrzymaną zielenią; bujne krzewy rosły wzdłuż ogrodzenia i otaczały oczko wodne przed głównym wejściem.

Nagle odniosła wrażenie, że słyszy czyjeś kroki. Zupełnie jakby ktoś za nią szedł

Nawet jeśli tak, nie jest to powód do paniki. W końcu ktoś z gości lub pracowników mógł zdecydować się na powrót do domu o tej samej co ona porze. Poza tym mogło jej się tylko zdawać, że obce kroki są echem jej własnych.

Na wszelki wypadek zatrzymała się i spojrzała za siebie. Wiatr rozwiał jej włosy i przyjemnie ochłodził kark. Nie, to jednak nie jest przyjemne. Nagle poczuła, jak przenika ją zimny dreszcz.

174

- Halo? Czy ktoś tu jest? - zawołała. Żadnej odpowiedzi.

Krzewy, w ciągu dnia tak miłe dla oka, teraz wydały jej się gęste, mroczne i niebezpieczne.

Odruchowo wyprostowała plecy.

- Halo? - zawołała jeszcze raz. I znów odpowiedziała jej cisza.

Poszła więc dalej, kierując się w stronę wjazdu na parking, przy którym siedział strażnik w przeszklonej budce.

Jednak tym razem budka była pusta. A może strażnik po prostu pochylił się nad jakąś książką? Albo ktoś go stamtąd siłą wyciągnął?

- Dość tego! - powiedziała półgłosem, zła, że w ogóle dopuszcza do siebie tak absurdalne myśli.

Strażnik na pewno kręci się w pobliżu. Może poszedł pomóc komuś, kto miał problemy z autem?

Od samochodu dzieliło ją nie więcej niż sto pięćdziesiąt metrów. Już go nawet widziała. Na wszelki wypadek sięgnęła do torebki i namacała znajomy kształt pojemnika z gazem łzawiącym. Od razu poczuła się spokojniejsza.

Na parkingu paliły się latarnie, jednak ich ostre światło powodowało, że cienie wydawały się bardziej mroczne.

I jeszcze te gęste krzewy dookoła. Te same, którymi wszyscy tak się zawsze zachwycają.

Beth już się nie zachwycała. Ani trochę. Jak najprędzej do samochodu! - powtarzała w myślach.

Odeszła na tyle daleko od budynku, że przestała słyszeć dobiegające z niego odgłosy. Stuk, stuk, stuk.

Tylko stukanie jej obcasów przerywało ciszę. Raptem...

Znowu usłyszała kroki. Tym razem bardzo wyraźnie. Ktoś ją śledzi. Po raz drugi spojrzała za siebie.



Tym razem była gotowa przysiąc, że widziała, jak ktoś chowa się za drzewem.

- Czy ktoś tu jest?

Cisza. Już prawie doszła do samochodu... Była tuż-tuż... Nagle podjęła desperacką decyzję.

Chrzań zdrowy rozsądek! Uciekaj!

Tak też zrobiła. Kluczyki wyjęła już wcześniej, więc szybko otworzyła centralny zamek, dopadła drzwi i wskoczyła do środka.

Roztrzęsiona opadła na fotel kierowcy i natychmiast zablokowała drzwi. Potem z ciężkim westchnieniem odchyliła głowę i dłuższą chwilę siedziała bez ruchu. Kiedy wreszcie odważyła się spojrzeć w bok, spostrzegła strażnika siedzącego w budce. Jeszcze raz przymknęła oczy, a gdy po chwili znów je otworzyła, strażnika nie było. Zaintrygowana, wychyliła się w kierunku okna po stronie pasażera, by zobaczyć, dokąd poszedł.

W tej samej chwili ktoś zastukał w szybę po jej stronie.

Ben wiedział, że powinni wracać do domu, ale wieczór był tak przyjemny, że nie chciało mu się opuszczać klubu. Cieszył się, że Amber jest w doskonałym humorze, dużo się śmieje i wygłupia, zupełnie jak wtedy, gdy była mała.

Obserwując ją, myślał o tym, że wyrosła na wspaniałą dziewczynę. Zdolną, bystrą, ciekawą świata. Miał prawo uważać się za szczęściarza.

- Widziałeś jacht, który cumuje naprzeciwko *Wiedźmy Morskiej!* - zapytał go Mark.

- Co? Przepraszam, ale na chwilę odpłynąłem.

- Nie ma sprawy, po to jest wieczór, żeby sobie pomarzyć - roześmiał się kolega.

176

- Zdaje się, że mówiłeś coś o jakiejś łodzi? Nie przypominam sobie, żeby ostatnio widział tu coś nowego.

- Och, stary, to prawdziwe cacko. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby mnie ktoś zaprosił na pokład.

- A co to za łódź?
- Fajna, motorowa. Człowieku, a jak wyposażona! Mówię ci, mając taką łódź, można zrobić wszystko, co tylko przyjdzie do głowy.
- A wiesz, że ja też niedawno widziałem taki wypasiony jacht? W czasie ostatniego weekendu na Calliope poznaliśmy trzech facetów, którzy przyплыnęli właśnie czymś takim.
- Oglądałeś go?
- Pewnie. Też miał niesamowite wyposażenie.
- Jeśli to ci sami faceci, to pogadaj z nimi, żeby wzięli mnie na krótką wycieczkę.
- Nie ma sprawy.
- Słuchaj, skąd ludzie biorę kasę na takie luksusy?
- zaciekał się Mark.
- Właściciel twierdzi, że pochodzi z bogatej rodziny.
- No widzisz, nie ma jak rodzinna fortuna.
- E tam, ja wolę zdobyć ją sam - stwierdził Ben.
- Ty masz swój punkt widzenia, jak mam swój. Nie będziemy się spierać, kto ma rację - odparł Mark.
- Najgorsze jest to, że nie mam co liczyć na duży spadek, więc czy mi się to podoba, czy nie, sam muszę zarobić na przyjemności. Słuchaj, będę się zbierał, ale gdybyś spotkał tych facetów od jachtu, to mnie zawołaj. Będę w szatni.
- Jasne. Trzymaj się.

Kiedy Mark odszedł, Ben spojrzał uważnie na Amber. Dotąd leżała spokojnie na leżaku, jednak

w pewnej chwili gwałtownie usiadła i wbiła w niego wzrok. Zdawało mu się, że pobladła, ale może było to złudzenie.

- Myślisz, że to oni? - zapytała.

- Bardzo możliwe. Zdaje się, że sam ich tu zapraszałem. Myślałem, że ich lubisz.

- Bo lubię... Idę się umyć i przebrać. A ty już jesteś gotowy?

- Prawie. - Wstał i objął ją ramieniem. - Pora się zbierać.

O dziwo, nie odsunęła się od niego. Odniósł wrażenie, że jest zadowolona, czując na ramieniu jego dłoń.

Beth jakimś cudem powstrzymała się, by nie wrzasnąć. Na szczęście, gdyż okazało się, że w szybę zastukał Manny.

- Dobry wieczór panu - powiedziała słabym głosem, opuściwszy szybę.

- Witaj, piękności. Słyszałem, że nasza letnia impreza upłynie pod znakiem salsy? - powiedział, wyraźnie zadowolony.

- Zgadza się. I co pan na to?

- Doskonały pomysł. Maria zatańczy?

- Tak.

- Świetnie. Cóż, nie będę pani zatrzymywał. I przepraszam, naprawdę nie chciałem pani przestraszyć.

Odwrócił się i odszedł, lecz nim zdążyła podnieść szybę, zawrócił.

- Widziała się pani z Eduardem Shea?

- Tak, byłam u niego.

- I co pani o nim myśli? Zaskoczył ją tym pytaniem.

- Odniosłam wrażenie, że bardzo ceni i szanuje państwa Monoców. Chyba spodobał mu się mój po-

myśl. A już najbardziej to, że członkowie jachtklubu to dla niego wymarzeni klienci.

Manny Ortega spojrział na nią z ukosa, w każdym razie tak jej się zdawało. Jednak tego wieczoru miało miejsce tak wiele dziwnych zdarzeń, że zaczęła podejrzewać, iż przynajmniej część z nich wydarzyła się wyłącznie w jej skołatanej głowie.

- W każdym razie z tego, co pani mówi, wynika, że zapowiada się niezapomniana impreza - stwierdził.

- Mam nadzieję. Niektórzy członkowie klubu chodzili na kursy tańca, ale chyba nie będą się nudzić. -

Była ciekawa, czy Manny zapyta ją, o kim mówi.

- A tak. Masonowie to świetni tancerze - stwierdził.

- Właśnie.

- Proszę być dobrej myśli. Na pewno wszystko się uda. Dobranoc.

- Dobranoc.

Zaczekała, aż Manny odejdzie, i opuściła parking. Wyjeżdżając, pomachała strażnikowi, który spokojnie siedział w swojej budce. Nagle poczuła nieprzyjemne mrowienie na plecach. Zatrzymała się więc przed skrzyżowaniem na główną drogę i lekko spojrzała za siebie, na tylne siedzenie.

Było puste.

To jednak jej nie wystarczyło. Jeździła miejską terenówką, która miała sporo miejsca z tyłu. Wsiadła więc i sprawdziła, czy nie ma tam żadnych niespodzianek. Odetchnęła z ulgą, gdyż nie dostrzegła nic poza maską do nurkowania, płetwami i rącznikiem.

Czując się jak skończona idiotka, usiadła za kierownicą i ruszyła do domu.

Ben otworzył szafkę i zmarszczył brwi. Nie był ani

pedantem cierpiącym na nerwicę natręctw, ani niechlujnym bałaganiarzem, lecz miał nieodparte wrażenie, że coś dziwnego stało się z jego rzeczami.

Na wszelki wypadek dokładnie sprawdził zawartość szafki. Ubranie i kosmetyki były tam, gdzie je zostawił, podobnie jak różne stroje i gadzety, których używał w czasie imprez organizowanych w klubie z okazji Halloween, dnia Świętego Patryka czy Wielkanocy.

Tu niczego nie brakowało. Nie zginął ani portfel, ani klucze. Mimo to był pewny, że ktoś grzebał w jego rzeczach. Rozdrażniony, posłał sobie parę niewybrednych epitetów, a potem wyjął ubranie i zatrzasnąwszy szafkę, wszedł pod prysznic.

Beth bardzo lubiła swój dom. Usytuowany w zabudowie szeregowej przy Mary Street, nie był zabytkiem, gdyż liczył sobie nie więcej niż trzydzieści lat, ale prezentował się ciekawie dzięki charakterystycznej starohiszczańskiej architekturze. Jak każdy z sąsiednich domów, od frontu i z tyłu miał niewielki ogródek, a od ulicy oddzielony był kutym ogrodzeniem z osobną furtką, za którą zaczynała się kamienna ścieżka prowadząca na werandę. We frontowym ogródku rosły palmy i drzewa limonki, a na grządce wydzielonej ozdobną cegłą kwitły wielobarwne kwiaty.

Beth zaparkowała samochód na ulicy i otworzywszy kluczem furtkę, ruszyła do drzwi. Po paru krokach z przerażeniem stwierdziła, że paranoja, która dopadła ją w klubie, jeszcze jej nie opuściła. Gdy bowiem szła w stronę domu, kątem oka dostrzegła na ulicy dziwny cień.

Cień, który najpierw tam był, a potem znikł.

180

Niepewnie rozejrzała się dookoła. Nagle bujna roślinność, stanowiąca chlubę Coconut Grove, przestała być dla niej taką atrakcją, jaką była za dnia. W księżycowe noce pod krzewami kładły się cienie, w gęstym listowiu ciągle coś szeleściło. Jakoś nigdy dotąd jej to nie przeszkadzało.

Jednak dziś...

Szybko wbiegła po schodkach na werandę. Chciała jak najszybciej wejść do środka, lecz ze zdenerwowania upuściła klucze. Gdy się po nie schylała, zerknęła na ulicę, bo znów zdawało jej się, że słyszy kroki.

Nieopodal rósł wielki dąb. I tak jak wcześniej na parkingu, tak i teraz zauważyła, jak z jego cieniem stapia się mniejszy cień. Wyglądało to tak, jakby ktoś skrył się za grubym pniem.

Chwilę trwało, zanim zdołała wsunąć drżącymi palcami klucz do zamka i otworzyć drzwi. Gdy jej się to wreszcie udało, błyskawicznie wśliznęła się do środka i zatrzasnąwszy za sobą drzwi, oparła się o nie plecami. Potem wyłączyła system alarmowy, ale zaraz włączyła go na nowo. Dla pewności zamknęła drzwi na wszystkie zamki.

Nie zapalając światła, podeszła na palcach do okna i schowała się za zasłoną. Gdy ostrożnie wyglądała na ulicę, czuła nieprzyjemne mrowienie na karku. Nagle otworzyła szeroko oczy. Więc jednak niczego sobie nie uroiła.

Naprawdę widziała dwa cienie.

Na jej oczach zza drzewa wyszedł jakiś człowiek. Nie mogła dostrzec jego twarzy. Widziała tylko, że jest wysoki. I że obserwuje jej dom.

Po ciemku opadła na pobliską kanapę. Była zdumiona, ale o wiele mniej wystraszona, niżby się spodziewała.

Przynajmniej wiadomo, że nie jest stuknięta. Ta myśl ją pokrzepiła, jednak na krótko. Odczekała parę minut i znów wyrzała na ulicę; chciała sprawdzić, co robi tajemniczy cień. On jednak zdążył już zniknąć z pola widzenia.

Dopiero teraz obleciał ją wielki strach. Bała się, że mężczyzna podszedł bliżej domu i będzie próbował dostać się do środka...

A może stoi już pod drzwiami? I za chwilę poczuje na karku jego oddech?

Co powinna zrobić? Zadzwoić na policję? Tylko co im powie? Że na ulicy przed jej domem stoi jakiś człowiek? Póki co stanie na ulicy nie jest przestępstwem.

Pokręciła głową i wstała. Nagle ogarnął ją nerwowy pośpiech. Najpierw przebiegła cały dół, sprawdzając po kolei wszystkie okna i tylne drzwi. Następnie wbiegła na górę i zrobiła to samo.

Wiedziała, że tej nocy nie zmruży oka, więc nawet nie próbowała kłaść się do łóżka. Zniosła pościel na dół i rozłożyła na kanapie, gdzie zamierzała przesiedzieć do rana. Przy okazji sprawdzania okien pozapalała światła w całym domu; czuła, że to głupie, ale nie chciała siedzieć sama po ciemku.

Włączyła też telewizor i od razu poczuła się raźniej; wiedziała, że nie wyłączy go do rana, podobnie jak światła. No i dobrze.

Na koniec wyciągnęła z jadalni masywne krzesło i podparła nim wejściowe drzwi. Zdawała sobie sprawę, że to marne zabezpieczenie, ale zawsze lepsze niż nic. Głos rozsądku podpowiadał, że się wygłupia. Trudno. Rozsądek rozsądkiem, ale wciąż nie mogła zapomnieć o czarce, która pojawiła się na ekranie jej komputera wraz z napisem: *Niedługo się spotkamy.*

182

*W ciemności. Zupełnie sami.* Nie pomagała nawet świadomość, że autorką szczeniackiego dowcipu jest Amber, która sama się do tego przyznała.

Nieważne. Ważne, że widziała, jak ktoś chowa się za drzewem i obserwuje dom. To normalne, że po czymś takim stara się być ostrożna.

Nieco spokojniejsza i zadowolona z własnej przezorności, ułożyła się na kanapie i sięgnęła po pilota. Długo zmieniała kanały, aż wreszcie znalazła taki, na którym puszczano stare seriale komediowe. Wybierając go, miała pewność, że na ekranie nie pojawi się nic, co mogłoby wpędzić ją w jeszcze większy stres.

Przytuliła głowę do poduszki i uśmiechnęła się z politowaniem. Zachowuje się idiotycznie. Nie ma najmniejszego powodu, żeby aż tak się bać.

Nagle coś walnęło o drzwi.

Głucho, mocno, natarczywie.

Przerażona, zerwała się na równe nogi.

- Naprawdę musimy wstępować teraz do cioci? - zdziwił się Ben. - Jutro będę się z nią widział.

- Tato, muszę jej coś oddać. Coś osobistego - tłumaczyła Amber.

Pomyślał, że podkraśla Beth kosmetyki i chce je zwrócić, zanim ciotka się zorientuje.

Wszystko jedno. Wieczór był bardzo przyjemny, ale teraz dopadło go zmęczenie.

- Tato, przecież to dwie minuty stąd! Zmusił się do uśmiechu.

- Kłamczucha! Nie dwie, tylko co najmniej pięć.

- Tato!

- Dobrze, niech ci będzie.

Skreślił w ulicę, przy której mieszkała Beth, i zatrzymał samochód tuż za jej samochodem. Nagle



zmarszczył brwi i wyteżył wzrok. Zdawało mu się, że na werandzie domu coś leży. Jakiś ciemny, obły kształt...

- Zaczekaj chwilę w samochodzie, dobrze? - poprosił córkę.

Otworzył furtkę i ruszył do drzwi. Nie wszedł jednak na werandę, tylko zatrzymał się na schodkach i chwilę się przyglądał. Nagle poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. U jego stóp leżało jakieś zwierzę. Pochylił się, by mu się przyjrzeć. Kot. Czarny kot, którego niedawno musiał potrącić samochód. Biedaczysko, pewnie zwłókł się z ulicy i wczołgał na werandę Beth. Może czuł, że w tym domu mieszka kobieta o złotym sercu, która zaopiekuje się nim i zawiezie do weterynarza?

Zawahał się. Nie chciał, by Amber lub Beth zobaczyły pokiereszowanego zwierzaka. Nie miał wiele czasu do namysłu, bo Amber już zaczęła wysiadać.

- Prosiłem, żebyś poczekała w środku! - zawołał.

Wrócił do samochodu i zajrzał do bagażnika, w którym trzymał różne rzeczy, które mogą przydać się na jachcie. Na szczęście były wśród nich worki na śmieci. Wziął jeden i wrócił po kota. Postanowił dyskretnie się go pozbyć i w ogóle nie mówić swoim kobietom, że go znalazł.

- Tato? Co ty robisz?

- Nic. Sprzątam liście.

Włożył zwierzaka do worka, który porządnie związał i wrzucił do bagażnika. Zdażył go zamknąć, gdy podeszła do niego Amber.

- To co, idziemy czy nie? - zapytała zniecierpliwiona.

Ben po raz drugi wszedł na werandę i stanął przed drzwiami. Ponieważ Beth długo nie otwierała, za-  
184

dzwonił jeszcze raz. Znowu nic. Zaniepokojony, mocno zastukał. I wtedy drzwi otworzyły się z impetem.

Instynktownie uskokzył w bok. I to go uratowało; chmura gazu łzawiącego nie dosięgła jego oczu.

- Dzwonię po policję, ty zboczeńcu! - wrzasnęła jego siostra i zatrzasnęła mu drzwi przed nosem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Przybili do jednego z pomostów na terenie klubu. Matt wyskoczył pierwszy, żeby zamocować cumę.

- Fajnie tu - mruknął Keith, który wyszedł za nim. Zanim Lee zdążył do nich dołączyć, usłyszeli radosne wołanie:

- To wy! - Jak zwykle piękna i wiotka Amanda podążała ku nim, kręcąc zgrabną pupą. - Nie macie pojęcia, jak się cieszę, że was widzę! - szczebiotała, witając się z nimi tak wylewnie, jakby byli jej najbliższymi przyjaciółmi.

Wyglądała zachwycająco w dopasowanej letniej sukience, która podkreślała wszystkie walory jej sylwetki, i w lekkich sandałkach wysadzanych kryształkami.

- Zastanawiałam się, kiedy wreszcie tu wpadniecie.

- Zateśkniliśmy za cywilizacją - powiedział Lee.

- Skarbie, nikt nie obiecywał, że będzie się tu zachowywał w sposób cywilizowany - odparła ze śmiechem. - Chodźcie. Mieliśmy już iść do domu. Jak dobrze, że jeszcze chwilę zostaliśmy. Jesteśmy w kom-

194

piecie, więc znów pocujemy się jak na Calliope. Wprawdzie nie ma Sandy i Brada, ale jakoś to przeżyjemy. Aha, zdaje się, że Andersonowie już wyszli. Ale chodźmy do baru, tata z radością postawi wam drinka.

- To my powinniśmy postawić drinka jemu. Przecież wkroczyliśmy na jego terytorium - zauważył Keith.

Starał się być przyjazny, a nawet uwodzicielski, ale wiedział, że z Amandą trzeba uważać. Wystarczy bowiem odrobina zachęty i już owija się wokół faceta jak bluszcz. W innych okolicznościach być może by mu to nie przeszkadzało, jednak teraz najważniejsza jest sprawa, którą ma załatwić. W kieszeni miał kartkę z adresem, a Lee zamówił wcześniej samochód, który powinien tu podjechać za mniej więcej pół godziny.

- Mówisz, że Andersonowie już wyszli? - zagadnął Amandę Lee.
  - Dosłownie przed chwilą - odparła, robiąc taką minę, jakby miała do zakomunikowania wiadomość o końcu świata. - Chodźmy - powiedziała, biorąc pod rękę Lee i Keitha.
  - Matt jak niepyszny musiał wlec się w ogonie.
  - Nie macie pojęcia, jak wam się poszczęściło. Wiecie, kto tu dziś jest? - szepnęła podekscytowana.
  - Kto? - zainteresował się Lee.
  - Maria Lopez, ta słynna tancerka. Jeśli zostaniecie w Miami do naszej letniej imprezy, zobaczycie w akcji prawdziwą królową salsy. Co prawda lekko podstarzałą - dodała, wzruszywszy ramionami - ale nadal w doskonałej formie. Ludzie, jak ta kobieta się rusza!
  - Patrzcie, kogo wam prowadzę! - zawołała triumfalnie, wchodząc do jadalni.
- Na jej widok trzech mężczyzn wstali od stołu, przy którym uwijali się kelnerzy, zbierając naczynia.

Wyglądało na to, że Masonowie są już po kolacji. Chociaż...

Chyba nie wszyscy jedli. Nakrycie stojące przed Rogerem na pewno nie było używane. Talerze były czyste, a sztucce wciąż zawinięte w lnianą serwetkę.

Roger musiał więc niedawno przyjść, podobnie jak oni. Keith wiedział, że nie musi to o niczym świadczyć.

- Wilki morskie w końcu zawinęły do portu - zawołał na powitanie senior rodu Masonów. Tego wieczoru miał na sobie biały garnitur. I, co ważne, umiał go nosić.

- Jak wam się żyło na Calliope po naszym wyjeździe? - zagadnął Hank.

- Jak zwykle świetnie - odparł Matt. - Czy może być inaczej, gdy od rana świeci słońce, a człowiek cały dzień siedzi w wodzie?

- Przenieśliście się na łódź, czy nadal biwakujecie na wyspie? - zapytał Roger.

- Przenieśliśmy się na łódź - odparł Lee.

- Nic tylko nurkowanie, nurkowanie i nurkowanie?

- rzucił domyślnie ojciec Amandy.

- To dopiero jest życie! - westchnął Keith.

- Widzieliście coś ciekawego? - dopytywał Roger.

- Mnóstwo rzeczy. Błazenki, płaszczyki. A właśnie, chłopaki, mówiłem wam, na jaki okaz wczoraj trafiłem? - ożywił się Lee.

- Nie odkryliście żadnych wraków? - badał dalej Roger.

- Ani jednego. A co, powinniśmy? - zapytał Lee.

- To ty nie wiesz, że dno morskie w tym rejonie to jedno wielkie cmentarzysko? - zdziwił się Roger.

- Zwróciliście uwagę na moją ślicznotkę? - zapytał Hank, mając na myśli swoją łódź.

- Pewnie. Jest na co popatrzeć - odparł Keith.

- Sam jachtklub też nam się bardzo podoba.

- Ja już tu kiedyś byłem - oznajmił Lee. - Fajne miejsce.
  - I co, zrobicie sobie w Miami krótkie wakacje? Jakbyście chcieli się gdzieś zatrzymać na dłużej, mogę wam polecić parę niezłych miejsc - zaofiarował się Roger.
  - Tatku, przecież mogą mieszkać u nas! - rzuciła radośnie Amanda. W tej samej chwili przeszło ją twarde spojrzenie trzech par oczu należących do mężczyzn z jej klanu.
  - Dziękujemy za zaproszenie, ale już postanowiliśmy, że będziemy spali na łodzi. Tak będzie najwygodniej. - Lee wykazał się refleksem i uratował sytuację.
  - Czego się napijecie? - zapytał Roger.
  - Przepraszam was na chwilę, skoczę do łazienki - powiedział Keith, wstając od stołu. Chciał jak najszybciej odejść, bał się bowiem, że ktoś zaraz sobie przypomni, że też musi pójść do toalety.
- Ruszył w stronę holu, próbując odgadnąć, jaki może być rozkład pomieszczeń na górze. Zanim wyszedł z jadalni, obejrzał się za siebie. Lee rozmawiał z Rogerem, Hank z Geraldem, a Amanda z braku innych możliwości flirtowała z Mattem. Sądząc po sposobie, w jaki się ku sobie pochylali, ich rozmowa musiała zejść na tematy intymne. Keith dłuższą chwilę obserwował całą grupę, a potem odwrócił się i wbiegł na górę. Wystarczyło mu parę minut, by znaleźć jej gabinet. Rozejrzał się, a potem wśliznął się do środka i bezszelestnie zamknął za sobą drzwi.
- Drzwi otworzyły się po raz drugi, tym razem o wiele wolniej. Po chwili w progu stanęła wystraszona Beth.
- Ben? - zapytała niepewnie.

- Nic mi nie jest. Na szczęście nie trafiłaś, ale niewiele brakowało.
  - Tato! Ciociu, co ty wyprawiasz? - zawołała zdezorientowana Amber.
  - Już dobrze - uspokoił ją Ben i w osłupieniu spojrzął na siostrę. Była bardzo blada i zdenerwowana.
  - Co jest? - zapytał.
  - Przestraszyłeś mnie. Ben, przepraszam. Nawet nie wiesz, jak mi przykro! - jęknęła. Jednak zaraz odzyskała rezon. - A tak w ogóle, co tu robisz? I czym rzuciłeś w moje drzwi?
- Benowi opadły ręce. Właśnie dostrzegł odsunięte pod ścianę ciężkie krzesło z jadalni. Domyślił się, do czego mogło służyć, i załamany pokręcił głową.
- Chodź, pogadamy w kuchni - rzekł matowym głosem.
  - No nie! - obruszyła się Amber, która dobrze wiedziała, co to znaczy.
  - Wejdz do środka i dokładnie zamknij drzwi - poleciła jej Beth, lecz nie zdążyła powiedzieć nic więcej, gdyż Ben wziął ją za ramiona i delikatnie pchnął w głąb mieszkania.
  - Nie chciałem tego mówić przy Amber, ale pod twoimi drzwiami leżał zdechły kot - oznajmił posepnie.
  - Zdechły kot?
  - Biedak musiał wpaść pod samochód i ostatkiem sił przywłókł się na werandę, gdzie w końcu wyzionął ducha.
  - Ben, wyraźnie słyszałam, jak ktoś rzucił czymś w moje drzwi - powiedziała z naciskiem.
  - Pewnie ten nieszczęsny zwierzak próbował na nie wskoczyć. Do jasnej cholery, Beth! Chyba kompletnie ci odbiło! Przecież mogłaś mnie oślepić!

189

- Przepraszam, Ben, ale jak coś walnęło w drzwi, okropnie się przestraszyłam.
- Opuść sobie, Beth - poprosił, biorąc ją za ramiona. - Przestań węszyć wokół tych Monoców, dobrze? Jeszcze trochę i oboje zmienimy się w parę schizofreników, którzy boją się własnego cienia. Kiwnęła głową i delikatnie dotknęła jego policzka.

- Nic ci nie zrobiłam?
- Na szczęście nic. Chryste, padam z nóg. A teraz dobranoc, dobra?
- Nie powiedziałaś, jaki diabeł cię tu przygnał? - przypomniała sobie i roześmiała się nerwowo.
- Amber uparła się, że akurat teraz musi ci coś oddać. Tylko proszę cię, nie mów jej o tym kocie.
- Gdzie on jest?
- U mnie w bagażniku.
- Nic jej nie powiem.

Gdy wrócili do pokoju, zastali Amber stojącą na środku z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Daj cioci, co dla niej masz, i jedźmy wreszcie do domu - poprosił Ben.

Beth spojrzała pytająco na bratanicę. Ta zaś nic nie powiedziała, tylko popatrzyła jej w oczy.

Ben domyślił się, że Amber chce coś powiedzieć, ale nie przy nim. Skoro tak, musi poczekać z tym do jutra.

- Zadzwońisz do cioci rano, dobrze? A teraz już chodźmy.

Wychodząc, usłyszał, jak Beth mówi do jego córki:

- Będzie dobrze. Porozmawiamy jutro.

Po chwili Amber również wyszła. Gdy wsiadali do samochodu, usłyszał, jak Beth rygluje drzwi.

Gdy wrócił do stołu, Amanda właśnie wstawiała.

- Chcę oprowadzić Matta i Lee po terenie. Pójdiesz z nami? - zapytała.
- Oczywiście. - Keith szybko upił łyk kawy i spojrzał pytająco na Rogera. - Dołączysz do nas?
- Amanda to doskonała przewodniczka. Nie będę jej wchodził w paradę - odparł wymijająco.
- My już to wszystko znamy na pamięć - dodał Hank.

Gdy we czwórkę wyszli na zewnątrz, Amanda wzięła Keitha pod rękę.

- Chciałabym, żebyś poznał Marię Lopez - powiedziała.

Tancerka siedziała przy stoliku w towarzystwie starszego szczupłego Latynosa. Mówiła coś do niego po hiszpańsku, bardzo szybko i z ożywieniem, ale widać było, że stara się zniżyć głos. Gdy zorientowała się, że ktoś nadchodzi, natychmiast umilkła. Jej towarzysz wstał.

- Manny, jak miło pana widzieć - zamruczała gardłowo Amanda i podeszła, by się z nim przywitać. Mężczyzna musiał ją dobrze znać, gdyż objął ją i pocałował w policzek.

Tymczasem kobieta, bardzo wytworna i klasycznie elegancka, spokojnie czekała przy stoliku.

- Panowie, chciałabym wam przedstawić panią Marię Lopez, słynną tancerkę, i pana Manny'ego Ortegę, utalentowanego muzyka! Państwo pozwolą, to panowie Keith Henson, Matt Albright i Lee Gomez.

Keith mógłby przysiąc, że gdy Amanda wymieniała jego nazwisko, starszy mężczyzna spojrzał na niego w taki sposób, jakby go skądś znał. Nic jednak nie powiedział, ograniczając się do uścisku dłoni.

- Właśnie próbuję namówić moich przyjaciół, żeby przyszli na naszą imprezę - powiedziała Amanda.

191

- Ależ naturalnie, powinni panowie przyjść - odezwała się Maria uprzejmie.
- Będą panowie mogli zostać u nas trochę dłużej? - zapytał Manny.
- Tak, myślę, że to się da zrobić - odparł Lee.
- Jeśli to prawda, że będzie pani tańczyła, na pewno zostaniemy - powiedział Keith.

Maria przyjrzała mu się uważnie. Z wyrazu jej pięknej twarzy nie dało się wyczytać, czy jego słowa sprawiły jej przyjemność, czy też były jej obojętne.



- Będzie mi bardzo miło, jeśli panowie obejrzą mój występ - odparła po chwili.

- Jesteśmy w trakcie oglądania jachtklubu, więc nie będziemy państwu dłużej przeszkadzać i pójdziemy dalej - powiedziała Amanda.

- Oczywiście. - Manny lekko skinął głową. Keith zauważył, że mimo iż Maria i Manny znów zostali sami, nie podjęli przerwanej rozmowy. Pewnie domyślili się, że Lee włada biegle hiszpańskim i nie chcieli, by słyszał, o czym mówią.

On też nie był dziś rozmowny. Pobył z Amandą i kolegami jeszcze parę minut, a potem zerknął na zegarek i powiedział, że musi już iść, bo ma coś do załatwienia w mieście.

Gdy wyszedł z jachtklubu, samochód już na niego czekał.

- Ja ci pokazałam - szepnęła Amanda - więc teraz chyba kolej na ciebie?

Zaskoczony Matt spojrzał na nią pytająco. Jakiś czas temu Amanda przeprosiła ich i wyszła, tłumacząc, że musi nakarmić psa czy coś takiego. Jej kuzyni również się ulotnili; Gerald zaprosił Lee na rajd po nocnych barach South Beach, a Hank podobno był

umówiony. Mattowi nie pozostało nic innego, jak dosiąść się do królowej salsy i jej towarzysza, który koniecznie chciał go poczęstować prawdziwym kubańskim cygarem.

Wtedy niespodziewanie wróciła Amanda i uparła się, by pokazać mu jacht Hanka. A teraz powiedziała coś, co jest jawnym seksualnym zaproszeniem; w każdym razie Matt tak to odebrał. I doznał szoku. Bynajmniej nie dlatego, że brakło mu pewności siebie. Po prostu przyzwyczał się, że gdy obok są Keith i Lee, stoi na straconej pozycji. Tak się jakoś zawsze składało, że gdy byli razem, on zawsze był ostatni w peletonie.

Nie inaczej było dziś. Jeden diabeł wiedział, co planuje Keith. Od początku było jasne, że jako niepisany lider ich grupy ma wolną rękę i może robić, co chce. Z kolei Lee postanowił wybadać Geralda Masona.

Matt, który nie miał nic konkretnego do roboty, czuł się jak piąte koło u wozu. Do czasu...

Aż zjawiała się ona. Śliczna jak malowanie. Nie, nie śliczna. Seksowna, prowokacyjna, nieduża, ale hojnie obdarzona przez naturę. Po prostu zachwycająca, gdy z kocim wdziękiem kładła wypielegnowaną dłoń na jego piersi.

- Niby co ci mam pokazać? - wydukał, zdając sobie sprawę, że robi z siebie idiotę.

- Pokazałam ci łódź Hanka. Teraz chciałabym zobaczyć twój jacht.

- Nie mój, tylko Lee - przypomniał.

- Nieważne. Jestem pewna, że czujesz się na nim jak u siebie - odparła. - Chyba mi nie powierz, że nie możesz zaprosić mnie na pokład? Przecież twoi kumple wrócą dopiero rano, prawda?

Skąd ona o tym wie? Byłoby dobrze, gdyby udało

202

mu się odkryć jej prawdziwe intencje. Pod nieobecność kolegów to on był odpowiedzialny za jacht.

- Chcesz, żebyśmy poszli do mnie? - upewnił się. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

- Tak.

Nie był głupi. Dobrze wiedział, jak brać się do rzeczy. Jedyne szkopuł tkwił w tym, że akurat w tym przypadku praca kolidowała z przyjemnościami.

Amanda musiała wyczuć jego wahanie i przestała bawić się w subtelności. Jej dłoń śmiało powędrowała w dół i spoczęła na jego genitaliach.

- Bardzo lubię ryzyko - szepnęła mu do ucha, wspiąwszy się przedtem na palce.

- Słuchaj, oni mogą w każdej chwili wrócić - wyjąkał. - Jeśli chcesz, wynajmę dla nas pokój.

- Aleja lubię to robić na jachtach - szepnęła, strojąc grymaśne miny.

Więc nie chodzi o niego, tylko o łódź. Z jakiegoś powodu chciała się tam za wszelką cenę dostać.

Myślała, że trafiła na pierwszego naiwnego. Nic z tego, moja pani, pomyślał z ironią. Chcesz się bawić, to się zabawimy.

- Skoro tak, to zapraszam. Bądź moim gościem - powiedział, biorąc ją za rękę.

Beth oparła się o drzwi. Wciąż była tak wzburzona, że aż dygotała. O mały włos zrobiłaby krzywdę rodzonemu bratu.

Westchnęła ciężko i postanowiła natychmiast wziąć się w garść. Nagle ktoś mocno zapukał do drzwi.

Ze strachu aż podskoczyła, lecz tym razem szybko się opanowała.

Ben. Ciekawe, o czym zapomniał?

Bez wahania otworzyła drzwi.

Na progu stał jakiś mężczyzna. W świetle padającym z korytarza zdawał się bardzo wysoki i potężny. Jednak nie był to Ben.

A ona już nie miała gazu łzawiącego.

Nieznajomy zrobił krok w jej stronę. Nie czekając, aż zrobi kolejny, zaczęła krzyczeć i z całej siły pchać drzwi. Lecz choć napierała na nie całym ciałem, nie mogła ich domknąć, gdyż natrafiły na opór nie do pokonania. Nagle usłyszała swoje imię.

- Beth! Do jasnej cholery, opanuj się. Przecież sama chciałaś, żebyś przyszedł.

Zamarła. Dopiero teraz go rozpoznała.

Chyba nigdy w życiu nie była bardziej zaskoczona. Zupełnie się go nie spodziewała. Zszokowana, puściła drzwi. Przez pół tygodnia modliła się, by do niej zadzwonił. Przez drugie pół chodziła zła jak osa.

- Mogę wejść?

Wyglądał tak, jak go zapamiętała, jeśli nie lepiej. Czarne oczy, ostro kontrastujące ze spłowiałymi na słońcu włosami. Mocna opalenizna. Dopasowane džinsy i koszula rozpięta pod szyją. Długo nie mogła wykrztusić słowa.

W końcu strasznie się na siebie zezłościła, bo dotarło do niej, że zachowuje się gorzej niż Amber i jej nastoletnie przyjaciółki. Zamiast się odezwać, stoi i gapi się na niego jak urzeczona. A przecież kobieta w jej wieku nie powinna pozwalać, by mężczyzna tak łatwo wytrącił ją z równowagi.

- Jak to sama chciałam, żebyś przyszedł? - zapytała, gdy w końcu odzyskała głos.

Keith lekko przekrzywił głowę i uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Mogę wejść? Sąsiedzi zaraz wezwą policję, o ile już tego nie zrobili.

195

Wyszła przed dom i rozejrzała się na wszystkie strony.

Najpierw odruchowo zerknęła na potężny dąb, a potem znów na Keitha. Czy to możliwe, by ją śledził? Żeby czaił się za drzewem, gdy był u niej Ben?

Tylko po co miałyby to robić?

Może po to, by wyczekać na moment, gdy będzie mógł zostać z nią sam. Zupełnie sam.

Spuściła głowę. Jeśli ma być szczerą, musi przyznać, że ona też o tym marzy.

- Beth, czy ty się dobrze czujesz?

- Powiedziała ci, żebyś do mnie przyszedł? Niby kiedy?

Westchnął ciężko.

- Dzisiaj.

- Dzisiaj prosiłam, żebyś do mnie przyszedł?

- Tak napisałaś w mailu. Nie pamiętasz już?

Jej brwi powędrowały wysoko do góry, a usta ułożyły się w okrągłe „o”.

- Ja ją uduszę - wycedziła przez zęby.

- Kogo?

- Wejdz! - powiedziała krótko.

Wszedł za nią do środka i z ciekawością rozejrzał się dokoła.

- Ładnie mieszkasz - pochwalił. - Rozumiem, że chodzi o Amber, tak?

- Słucham?

- To ją zamierzasz udusić. Domyślałam się, że dorwała się to twojego komputera i podszywając się pod ciebie, zaczęła ze mną flirtować.

- Właśnie. Ale to jeszcze nie wszystko. Nawet nie wiesz, jak ta gówniara mnie nastraszyła.

- Jasne. - Zamilkł i znów rozejrzał się po pokoju. -Może powinnaś się trochę bać - rzekł enigmatycznie.

205

- Niby dlaczego?

Chwilę się wahał. W końcu wzruszył ramionami.

- Dlatego, że ten świat jest straszny.

- Czy zdarza ci się odpowiedzieć wprost na pytanie?

- Owszem. Kiedy znam odpowiedź.

- Kłamiesz. Teraz też możesz mi odpowiedzieć. Mówisz, że powinnam się bać. Dlaczego? - powtórzyła, krzyżując ręce na piersi. - Dlatego, że znalazłam na wyspie czaszkę?

- Beth, ja nie wiem, co ty tam znalazłaś. Ale wszyscy, którzy byli z nami na Calliope, dowiedzieli się, że coś jest na rzeczy. Po twoim zachowaniu widać, że się boisz. A skoro się boisz, to po co otwierasz drzwi, jeśli nie wiesz, kto za nimi stoi? To naprawdę nierozsądne. Nigdy tego nie rób. Nie bez powodu wszystkie drzwi mają wizjer.

- Dziękuję za pouczenie. Otworzyłam od razu, bo byłam pewna, że to mój brat.

- Zawsze tak wrzeszczysz, kiedy tu przychodzi? Ucieszyła się, słysząc dzwonek telefonu.

- Przepraszam cię na moment - powiedziała i poszła odebrać w kuchni.

Dzwoniła Ashley.

- Cześć - przywitała ją Beth, obserwując dyskretnie Keitha, który krążył po pokoju.

- Cześć. Słuchaj, dzwonię, żeby ci powiedzieć, że rozesłano list gończy za ludźmi, których poznałaś na wyspie.

- Którymi ludźmi? - zapytała, czując, jak miękną jej kolana.

- Za tą parą. Sandy i Bradem. Niemal odetchnęła z ulgą.

- Ale... dlaczego?

197

- Policja chce ich przesłuchać. Na razie tylko w sprawie, a nie w charakterze podejrzanych, bo nie ma przeciw nim żadnych konkretnych dowodów. Nie powinnam ci o tym mówić, ale trudno, powiem.

Otóż dowiedziałam się, że w morzu blisko Calliope Key znaleziono tabliczkę z nazwą *jachtu Emerytl*

Uważam, że powinnaś o tym wiedzieć. Wątpię, żeby tych dwoje pokazało się w Miami. Zresztą nawet jeśli, to i tak nie wiedzą, że są poszukiwani. Niemniej może się okazać, że natknęłaś się na szczątki jednego z małżonków Monoco. Funkcjonariusze, którzy prowadzą tę sprawę, nie chcą na razie niczego nagłaśniać, bo boją się spłoszyć tych dwoje, a bardzo im zależy, żeby ich przesłuchać. Beth w skupieniu słuchała koleżanki, lecz ani na moment nie spuszczała z oka Keitha, który stał na środku pokoju i cały czas się rozglądał. Mogła przysiąc, że gdyby ktoś mu kazał, potrafiłby opisać jej salon w najdrobniejszych szczegółach.

- Słuchaj, a jak to się stało, że Sandy i Brad stali się podejrzani? - zapytała, odwracając się tak, by Keith jej nie usłyszał.

- Jest ku temu ważny powód - odparła Ashley.

- Jaki?

- Masz czas, żeby spotkać się ze mną jutro U Nicka? Możemy zjeść śniadanie, lunch, brunch, jak ci pasuje. Niewykluczone, że będziesz mogła mi pomóc.

Beth zorientowała się, że Ashley nic więcej jej dziś nie powie. Ale i tak była wdzięczna za informacje, które jej przekazała. Jeśli doszło do zbrodni, to popełnili ją Sandy i Brad, a nie Keith i jego koledzy.

Na szczęście głównym podejrzanym nie okazał się mężczyzna, z którym spała i który teraz oglądał jej dom w taki sposób, jakby miał w tym sporą wprawę.

- Beth?
  - Jestem, Ashley.
  - To co, spotkamy się?
  - Jasne. Rano muszę wpaść do biura, ale potem jestem wolna.
  - Wobec tego do jutra. Bądź ostrożna, dobrze? Beth chwilę milczała.
  - Dobrze, Ashley. Obiecuję.
  - Trzymaj się.
  - Dzięki, ty też - powiedziała, i odłożywszy słuchawkę, wróciła do pokoju.
  - Naprawdę bardzo mi się u ciebie podoba - powiedział.
  - Cieszę się. - Miała już pewność, że nie jest złoczyńcą, a mimo to wciąż nie czuła się przy nim swobodnie.
  - Jak długo będziesz w Miami? - zapytała.
  - Nie wiem. Nie mamy żadnych konkretnych planów.
  - Fajnie wam. Przyjrzał jej się uważnie.
  - Dziwnie się zachowujesz - stwierdził.
  - Według ciebie nigdy nie zachowywałam się normalnie.
  - Przykro mi. I przepraszam, że tu przyszedłem, choć nie byłem zaproszony. Ponieważ jednak zaszło nieporozumienie...
  - Rzeczywiście, ale... to nie znaczy, że nie możesz zostać - powiedziała szybko.
  - Nie zauważyłem, żebyś się ucieszyła na mój widok.
- Po raz pierwszy uśmiechnęła się do niego.
- A właśnie że się cieszę - odparła miękko. Ponieważ ton, jakim to powiedziała, wydał jej się zbyt



intymny, szybko zmieniła go na żartobliwy: - To ja powinnam cię przeproszać. Wstyd się przyznać, ale, że posłużę się słownictwem Amber, nawaliłam jako gospodyni. Napijesz się czegoś? Mam wino i piwo. A może wolisz kawę? Herbatę? Wodę?

Zamiast odpowiedzieć, podszedł do niej. A ona zdumiała się, że jeszcze stoi, choć nogi mająk z waty. Zresztą nie tylko nogi; w całym ciele czuła dziwną słabość.

Keith dotknął jej podbródka i zmusił ją, by uniosła głowę. I to wystarczyło, by poczuła, że jeszcze chwila i zapomni o bożym świecie. Dla niego.

Zdawała sobie sprawę, że nie powinna ofiarowywać tak wiele komuś, kogo prawie nie zna.

Oczywiście jak każdy ma prawo do chwili zapomnienia; i jak każdy ma prawo przeżyć fascynującą erotyczną przygodę. Jednak to, co czuła w tej chwili...

Napawało ją lękiem.

- Nie mogę przestać o tobie myśleć - szepnął Keith, gładząc kciukiem jej policzek. - A powinienem skupić się na tysiącu innych spraw.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Mam sobie pójść?

- Znów będziemy to przerabiali? - zapytała łagodnie.

- Ja tylko...

- Gdybym nie chciała, żebyś został, nie proponowałabym ci tego. Tak, wiem, co mi zaraz powiesz. Ze nie powinnam się pakować w związek z tobą. Cóż, w naszym przypadku trudno mówić o jakimś szczególnym związku.

- Mylisz się.

- Widocznie różnie rozumiemy to słowo.

- Więc dla ciebie to nic nie znaczy?

- Tego nie powiedziałam - zastrzegła. - Jednak gdybyśmy naprawdę byli ze sobą... wiedziałabym, gdzie jesteś i co robisz. Nie dlatego, że oczekuję, żebyś mi się tłumaczył, ale dlatego, że ty sam chciałbyś, żebym wiedziała. Twoim priorytetem byłoby to, żeby mnie zobaczyć, a moim, żeby zobaczyć ciebie.

- Beth, w tej chwili naprawdę nie mogę...

- Ale ja cię wcale o to nie proszę. Jestem dorosła. Wiem, co robię. Nie chcę, żebyś wychodził. Późno już. Zresztą nawet jeśli zostaniesz, to i tak nie na długo, prawda?

- Tak.

- W takim razie...

Zawsze poruszał się z leniwym wdziękiem kota, który po długiej obserwacji podchodzi swą ofiarę i wie, że rzadko chybia celu. W jego oczach i barwie głosu było coś, co sprawiało, że zawsze robił wrażenie rozluźnionego, a jednocześnie...

Ciekawe, co jest jego prawdziwym celem?

Tej nocy chyba ona.

Tym razem w ogóle się nie spieszył. Najpierw długo patrzył jej w oczy; zupełnie jakby czekał, aż powie „stop”. Wiedział, że tego nie zrobi, mimo to dawał jej czas do namysłu, tak by jeszcze zdążyła się wycofać. A jej to nawet przez myśl nie przeszło.

Miała wrażenie, że upłynęły wieki, zanim ją wreszcie pocałował. Wystarczyło, że dotknął jej ust, i wszelkie wątpliwości i mocne postanowienia znikły. Objęła go za szyję i namiętnie oddała pocałunek, na który czekała tak długo i niecierpliwie.

Jego silne dłonie potrafiły zdziałać cuda. Ich dotyk prawie ją parzył, ale właśnie tego pragnęła.

Chciała na nowo odkrywać jego ciało, przypomnieć sobie nieopisaną przyjemność, którą jej wtedy dał. Chciała go

poznawać w sposób jak najbardziej intymny, bo odnajdywała w tym jakąś szczerść i prawdę. Gdy się z nią kochał, niczego nie udawał. Czuła, że tylko wtedy jest sobą i pokazuje jej swoje prawdziwe ja.

- Mam sypialnię, wiesz? - szepnęła mu do ucha.

- Fajnie. Chętnie ją zobaczę.

Wyczuła, że znów daje jej czas do namysłu.

- Zostaniesz? - zapytała.

- Przez całą noc. Muszę wyjść bardzo wcześnie. Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie domagam się, żebyś został.

- Myślę, że gdybym mógł, zostałbym z tobą na zawsze.

Dziwne słowa. Jeszcze jeden oklepany frazes? W innej sytuacji pewnie nie dawałoby to jej spokoju. Ale nie dziś.

Wzięła go za rękę i zaprowadziła na górę. W sypialni nie zapaliła światła; gdy była z nim, lubiła mrok, bo pomagał skryć jej niepewność. Dopóki Keith przy niej był, nie lękała się tego, co czaiło się za drzwiami. Ciemność przestawała ją przerażać. Stawała się jej przyjaciółką, sprzymierzeńcem.

Usiadła na skraju łóżka i rozbierając się, patrzyła, jak Keith zrzuca z siebie ubranie. Czuła się bardzo dziwnie. Pierwszy raz ma romans i stałego kochanka. Właściwie to nawet nie była pewna, czy po dwóch razach można już mówić o romansie. A potem w ogóle przestała zastanawiać się nad czymkolwiek. Keith podszedł do niej i położył dłonie na jej ramionach. Potem przytulił ją do siebie; w momencie, gdy zetknęły się ich nagie ciała, przeżyła jeden z najsilniejszych erotycznych bodźców w swoim życiu. Pieszczotliwie przesunęła opuszkami palców po jego piersi, na chwilę położyła dłoń na jego sercu, a potem,

ośmielona panującym w sypialni mrokiem, zaczęła delikatnie masować jego plecy, biodra, uda. I wtedy...

Poczuła, jak odrywa się od ziemi. Keith podniósł ją i położył na przyjemnie chłodnej pościeli. I jak wcześniej najachcie, tak i teraz zdumiał ją kontrast pomiędzy tym chłodem a jego rozpaloną skórą. Po chwili poczuła na sobie jego ciężar, i to podnieciło ją jeszcze bardziej. Ich pocałunki stały się dziksze, ruchy rąk bardziej niecierpliwe. Jeśli na moment odsuwali się od siebie, to tylko po to, by wymyślić nową, bardziej gorącą pieśczętę.

Najmniejszy dotyk jego rąk i wędrowka języka doprowadzały ją do szaleństwa. Wiła się, nie mogąc się doczekać, kiedy znów będzie go miała w sobie. Delikatne pieśczęty i lekkie muśnięcia warg już jej nie wystarczały. Pragnęła silniejszych doznań, odważniej-szych pieśczęt, śmielszych dotyków i pocałunków. W pewnej chwili przestraszyła się własnych pragnień, lecz lęk opuścił ją tak samo szybko, jak się pojawił. Zatraciła się do tego stopnia, że nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, co robi. Ocierała się o niego, przeżyła i wyginała, szukając całkowitej bliskości i pełnego zespolenia. Nie liczyło się nic poza rytmicznym falowaniem ciał, zapachem miłości, wilgotnym ciepłem i coraz szybciej nakręcającą się spiralą rozkoszy.

Krzyknęła cicho, czując, jak przenika ją pierwszy dreszcz, a po nim następny, o wiele silniejszy. W ułamku sekundy przyjemność niczym pożar objęła całe jej ciało. I właśnie wtedy, w ostatnim przeblysku świadomości, poczuła paraliżujący strach. Przeraziła się, że właśnie spotkała swoją drugą połówkę. Mężczyznę, który był jej dopełnieniem, który jej imponował i podniecał ją w trudny do wyrażenia sposób. Wystarczyło, że jej dotknął, że na nią spojrzął, przeszedł obok...

203

Najbardziej bała się, że on nie jest realny, że to niesamowite poczucie jedności ciał i dusz już nigdy się nie powtórzy.

Na razie jednak magiczna chwila trwała. Czowała go w sobie i całą sobą. Każdym nerwem i każdą komórką. Z całej siły przyciągała go do siebie, jakby chciała, by naprawdę stali się jednością. Każdy

jego ruch wynosił ją coraz wyżej i wyżej, aż w końcu przyszło upragnione spełnienie i pod jej zaciśniętymi powiekami rozbłysło jasne, krystalicznie czyste światło. Nim zniknęło, poczuła, jak Keith spina się i pręży w sobie, a potem opada na nią i leży wstrząsany kaskadą dreszczy. Dopiero wtedy znów zapadła ciemność. Jej rozszalałe serce zaczęło się powoli uspokajać i wracać do swojego normalnego rytmu. A ją ogarnęło poczucie cudownego zaspokożenia. Bodźce ze świata zewnętrznego docierały do niej jak przez mgłę.

Jego palce przeczesujące jej splątane włosy...

Jego ramiona, w których czuła się tak bezpiecznie...

Jego słowa, czule i żartobliwe:

- Gdzie byłeś przez całe moje życie? Przytuliła się do niego.

- Tutaj. Dokładnie tu.

Starła się nie zapominać, że bez względu na to, co się pomiędzy nimi wydarzyło, prawie go nie zna.

Ze to, co czuje, jest szalone. Bo przecież wcale nie chodzi o to, że on budzi w niej pożądanie.

Fascynował ją. Seks z nim był niewiarygodny, ale seks jej nie wystarczał. Pragnęła wniknąć w jego duszę, poznać umysł, dowiedzieć się, co go pcha do działania, co go bawi, a co smuci. Chciała codziennie widzieć, jak się uśmiecha, słyszeć, jak się śmieje.

Pierwszy raz w życiu pozwoliła sobie na taką lekkomyślność. Zakochała się po uszy, zapominając

o rozsądku, o ostrożności... O tym, że nie może mu ufać.

Nieufność gdzieś znikła. W jej miejsce pojawiło się jedno pytanie, którego nie odważyła się wypowiedzieć na głos.

Gdzie będziesz przez resztę mojego życia?

## **ROZDZIAŁ JEDENASTY**

Kiedy Beth się obudziła, była sama. Dotknęła ręką miejsca, gdzie jeszcze niedawno leżał Keith, i poczuła się opuszczona. Uprzedzał, że nie zostanie z nią długo. Mimo to...

Zaczęła się zastanawiać, dokąd tak się spieszył. Do swoich kumpli? Nie miała czasu, by roztrząsać ten problem, gdyż przypomniła sobie, że musi jechać do jachtklubu po ulotkę, którą wymyśliła. Chciała zawieźć ją do drukarni i zamówić plakaty informujące o letniej imprezie. Potem miała zamiar jechać do Nicka, gdzie umówiła się z Ashley.

Myśl o spotkaniu z koleżanką podziałała na nią dopingująco. Natychmiast wstała z łóżka i poszła pod prysznic. Gdy parę minut później ubierała się i szykowała do wyjścia, myślała o tym, jak to się stało, że Sandy i Bradem zainteresowała się policja.

Jeśli okaże się prawdą, że ukradli *Emeryta*, a ona natknęła się na czaszkę, konkluzja może być tylko jedna: to oni zamordowali Teda i Molly. Na samą myśl o tym zrobiło jej się zimno. Ciekawe, czy mają na swoim koncie również atak na tych ludzi z Wirginii, którzy przez nich omal nie utonęli?

Zeszła do kuchni i z niemałym zaskoczeniem stwierdziła, że Keith zaparzył dla niej kawę. Bardzo ciekawe. Facet znika bladym świtem, ale pamięta o kawie. W pośpiechu wypła parę łyków i pojechała do klubu.

Po kilku minutach była na miejscu. Prosto z parkingu poszła do swojego pokoju i wydrukowała ulotkę. Od razu wyszła, gdyż chciała jak najszybciej załatwić sprawę w drukarni i spotkać się z Ashley.

Pośpiesznie zbiegała po schodach, gdy nagle dostrzegła kogoś, kogo dla własnego dobra dostrzec nie powinna.

I kogo nie spodziewała się tu spotkać. W każdym razie nie w tym miejscu. I nie w takim towarzystwie. Nie weszła do jadalni. Nie musiała. Ze swego miejsca widziała wszystko aż nadto dobrze. Właśnie podawano śniadanie. Tego ranka kierownik restauracji zainspirował się narodową flagą. Przy jednym ze stołów nakrytych na czerwono, białą i granatowo, tuż obok otwartych przeszklonych drzwi, przez które wpadały promienie porannego słońca, siedziała Amanda Mason. Oczywiście nie sama. Tyle że nie w towarzystwie ojca i kuzynów.

W ramach śniadania przygotowano dla gości bufet, który kusił mnóstwem smakołyków. Tak samo jak Amanda.

Keith Henson z pewnością przyszedł tu na śniadanie. Beth nie była wszakże pewna, jakich frykasów szukał. Na jego korzyść przemawiał fakt, że nie siedział nad pustym talerzem. Z którego jakoś nic nie ubywało. Najwyraźniej Keith nie miał czasu jeść, bo Amanda opowiadała mu o czymś z ożywieniem. On jej uważnie słuchał i uśmiechał się do niej, ona zaś się głośno śmiała.

W jadalni i restauracji obowiązywały pewne rygory dotyczące ubioru; na posiłek należało przychodzić w kompletnym stroju, panowie w koszulach, panie

w sukienkach narzuconych na stroje plażowe. Do tego obowiązkowo buty.

Amanda stosowała się do tych wymogów, tyle że symbolicznie. Jej bujny biust dosłownie wylewał się ze skąpej góry od kostiumu. To prawda, narzuciła coś na siebie, tyle że to coś było uszyte z przezroczystej gazy.

- Żałuj, że nie widziałaś dołu - szepnęła jedna z kelnerek, zatrzymując się obok Beth.

- Słucham?

- Mówię o Amandzie. A dokładnie o jej kostiumie. Szkoda, że nie możesz zobaczyć, co ma na dole. A raczej, czego nie ma.

- Stringi? - zapytała Beth z niesmakiem. Pracownicy klubu patrzyli na ten element plażowej garderoby niechętnym okiem, gdyż jachtklub z założenia był miejscem spotkań całych rodzin.

- I to podwójne. Jeden mikroskopijny kwadracik materiału z tyłu, a drugi z przodu. A sznureczki po bokach. Podać ci kawę czy najpierw zjesz śniadanie?

- Bardzo ci dziękuję, ale właśnie wychodzę. - Uśmiechnęła się z przymusem. - Jestem umówiona.

- Jasne, zapomniałam, że dziś sobota i masz wolne. Już się chyba wszyscy przyzwyczailiśmy, że ciągle siedzisz tu po godzinach.

- Nie przesadzaj. Czasami to, że tu jestem, wcale nie znaczy, że pracuję. Często zostaję tylko po to, żeby spotkać się z Benem i Amber - tłumaczyła Beth.

W pewnej chwili zorientowała się, że Keith ją zauważył. Mimo to pozostał z Amandą.

- Miłego dnia! - powiedziała kelnerka.

- Co takiego?

- Miłego dnia!

- Dziękuję, nawzajem.

Tak się spieszyła do samochodu, że prawie biegła,



lecz gdy wreszcie usiadła za kierownicą, nie mogła się zmusić do odjazdu. Długo siedziała nieruchomo wpatrzona w przednią szybę.

Co on tu robi, do cholery? Raczej wątpliwe, by spotkał Amandę przypadkiem. Wczoraj powiedział, że ma jakieś plany na rano. Czyżby chodziło o Amandę? Jeśli tak, to po co w ogóle zadawał sobie trud, żeby do niej przyjść?

Zgrzytnęła zębami. Kto wie, może jednak się pomyliła z tą chemią pomiędzy nimi, podobnie jak z głębokim przekonaniem, że Keith jest człowiekiem honoru. Tak naprawdę w ogóle go nie знаła. I nie może mieć do niego żadnych pretensji, bo przecież nie narzucił jej się ani nie ciągnął siłą do łóżka. Jeśli się tam z nim znalazła, to wyłącznie na własne życzenie.

Zła na siebie, w końcu odjechała z parkingu. W radiu leciała poranna audycja jednej z lokalnych stacji. Prowadzący bawił się ze słuchaczami w zabawę „Randka na telefon”. Mieli dzwonić do radia, żeby sprawdzić, jak bardzo „gorąca” jest kobieta zaproszona do studia. Jeden z mężczyzn zadzwonił z pytaniem o jej seksualne doświadczenie. Uwodzicielskim głosem odpowiedziała, że ma je całkiem spore, i że jeśli facet jest fajny, a kolacja smaczna, to nie ma nic przeciwko temu, żeby pójść z nim do łóżka już po pierwszej randce.

Beth była pewna, że telefony do studia będą się urywały. Zaczęła się zastanawiać, czy seks naprawdę stał się dla wszystkich czynnością tak powszednią jak oddychanie. Czy właśnie tak podchodzi o tego Amanda i chce spróbować, jak to będzie z Keithem?

Czy może inicjatywa wyszła od niego?

A ona, jak ta pierwsza naiwna, wymyśliła sobie jakąś chemię i pokrewieństwo dusz?

208

Matt się przebudził. Był sam. Usiadł na łóżku, ale natychmiast poczuł, że głowa pęka mu z bólu, a żołądek niebezpiecznie podchodzi do gardła.

- Amanda?

Cisza. Wstał, ale nim zrobił krok, zachwiał się i złapał za głowę. Słodki Jezu. Czy to możliwe, by aż tyle wypił? Po przyjsciu na łódź napili się whisky. Amanda nie odstępowała go na krok. Była prowokacyjna, podniecająca, najbardziej zmysłowa ze wszystkich jego dotychczasowych partnerek. Zdecydowanym ruchem pchnęła go na sofę i po chwili już na nim siedziała...

- Amanda?

Z wysiłkiem dowlóknął się do kambuza. Zostawiła mu świeżo zaparzoną kawę, ale żadnego listu. Wyjął z szafki proszki przeciwbólowe i połknął kilka naraz. Oparł się o szafkę, by przeczekać straszne zawroty głowy, od których robiło mu się niedobrze.

Czuł, że musi napić się kawy, zjeść jakąś bułkę. Nawet nie zadał sobie trudu, by ją wrzucić do tosterka. Pożarł ją łapczywie, wyjętą prosto z lodówki. Po kilku minutach jego obolały mózg wreszcie zaskoczył.

Zaklął cicho i wyszedł na pokład. Tu już pełnym głosem wyraził w grubych słowach to, co o tym wszystkim myśli.

Zabrała ponton. Skoczył jak oparzony i zbiegł do kajuty, by sprawdzić, czy nic nie zginęło. Na szczęście wszystko było na swoim miejscu.

Przebrał się w spodenki kąpielowe i wrócił na pokład. Chwilę stał, i oceniając odległość od lądu, kłął w duchu siebie i tę przebiegłą zmiję. Wykorzystała go.

Wskoczył do wody i zaczął płynąć, dziękując w duchu opatrności, że morze jest tego dnia wyjątkowo spokojne. Im dłużej był w wodzie, tym lepiej się czuł.

Fizycznie, bo psychicznie nadal był zmaltrretowany.

Jak tortura dręczyła go jedna myśl. Co on teraz powie kolegom?

- Bardzo się cieszę, że zatęskniliście za cywilizacją. Chociaż - Amanda uśmiechnęła się domyślnie - nie mogę powiedzieć, że bym była zaskoczona waszą wizytą.

- Spodziewałaś się nas? - Keith odwzajemnił uśmiech.

Nawet nie musiał pochylać się w jej stronę, bo sama zadbała o to, by dzielący ich dystans był jak najmniejszy. Niby siedziała przy stole, ale niewiele brakowało, a położyłaby się na nim. Nie dało się ukryć, że ma w sobie potężną dawkę wrodzonego i niemal pierwotnego seksapilu. Mężczyzna w jej towarzystwie czuł się tak, jakby nagle otoczyła go gęsta chmura żeńskich feromonów. Oczywiście Amanda ma pieniądze i czas, by dopracować swój wizerunek niegrzecznej dziewczynki, która robi, co chce.

Tak bardzo różni się od Beth, która również jest bardzo kobieca i zmysłowa, ale ma przy tym ogromną klasę. Porusza się z wdziękiem i gracją łani; ma piękny, podniecający tembr głosu i niezwykle oczy, w których odbija się jej żywa inteligencja i absolutna, ujmująca szczerłość...

Zacisnął zęby. To nie jest odpowiedni moment, by układać peany na cześć Beth. Ani tym bardziej wspominać, jak na niego patrzyła, gdy się kochali.

- Sam powiedz, jak długo tacy przystojni, heteroseksualni mężczyźni mogliby wysiedzieć na maleńkiej wyspie? - gruchała tymczasem Amanda. - Ile czasu można łowić ryby i nurkować? Przecież w końcu

220

musieliście zatęsknić za jakimś... urozmaiceniem. - Jej wypielegnowana dłoń przesunęła się pieszczotliwie po jego ramieniu.

Na wszelki wypadek nieco się odsunął.

- Byliśmy ciekawi, jak wygląda miejsce, o którym tyle od was słyszeliśmy - wyjaśnił. - No i jesteśmy. Powiedz, przychodzisz tu codziennie?

- Nie, ale bardzo często. Kocham łodzie. A już najbardziej wtedy, gdy się kołyszą. Nawet stojąc na przystani.

Przy jednym ze stolików usiadł starszy mężczyzna, Kubańczyk, którego Keith poznał zeszłego wieczoru. Amanda również go zauważyła, ale potraktowała to obojętnie.

Manny, przypomniał sobie Keith. To właśnie on zgłosił na policję zaginięcie swoich przyjaciół. Keith miał już pewność, że Ted i Molly nie popłynęli w wymarzony rejs dookoła świata. Wiedział nawet, jak i dlaczego zginęli. W łamigłówce brakowało tylko jednego elementu. Przeczucie podpowiadało mu, że Ted Monoco posiadał informacje bezpośrednio związane z tym, co jest przedmiotem ich obecnych poszukiwań u wybrzeży wyspy. Wiele wskazuje na to, że nic nie jest tak proste, na jakie wygląda.

Ocknął się z zamyślenia i spojrzał na Amandę, która kleiła się do niego bezwstydnie, nie zważając na to, że są w publicznym miejscu.

- Nie oglądałeś jeszcze jachtu Hanka. Jest prawie tak fajny jak łódź twojego kolegi.

- A tak swoją drogą, gdzie jest Hank i reszta twojej rodziny?

- Hank i tata załatwiają jakieś interesy. A Gerald wpada tu rzadko. Tak czy owak, wrócą nieprędko. Keith nie miał wątpliwości, iż jest to jawna zachęta.

- Poopowiadaj mi o łowieniu ryb. O tej adrenalinie, którą czujesz, kiedy trafi ci się fajna sztuka - poprosiła.

Wcale nie chodziło jej o ryby. Aluzja była aż nadto czytelna.

- Chciałabym też posłuchać o nurkowaniu. O tym, jak to jest, gdy zatapiasz się w innym, magicznym świecie i co chwilę dokonujesz jakichś fantastycznych odkryć.

Jej słowa znowu miały erotyczny podtekst, lecz tym razem wyczuł też inne intencje. Amanda chce mu o czymś powiedzieć. I w zamian oczekuje tego samego.

Spojrzał na zegarek i zrobił minę, która miała pokazać, że jest rozczarowany.

- Bardzo bym chciał obejrzeć z tobą łódź Hanka, ale w tej chwili nie mogę. Umówiłem się z kimś w sprawie jachtu.

Amanda wydeła usta i delikatnie pogłaskała go po ramieniu.

- Nie możesz tego odwołać? - zapytała przymilnie.

- Niestety, nie mogę. Muszę już iść, ale jeszcze tu wrócę. Na razie.

Zanim wyszedł, obejrzał się i zauważył, że Manny Ortega wstał od stolika i dosiadł się do Amandy. Od razu zaczęli o czymś rozmawiać; najwyraźniej nie chcieli, by ich słyszano, usiedli bardzo blisko siebie, niemal z głową przy głowie, a mówiąc, zniżali głos.

Keith już miał wyjść, gdy przy stoliku w rogu sali spostrzegł Marię Lopez.

Ona też obserwowała Manny'ego i Amandę.

Beth wiedziała, gdzie szukać Ashely. Tak jak się spodziewała, koleżanka usiadła na zewnątrz, nad samą wodą. Przed nią, na stoliku, leżał szkicownik.

Tego ranka w tawernie U Nicka było wyjątkowo

222

pusto i spokojnie. Na przystani kręciło się parę osób, głównie przy łodziach. Znajomi gadali ze znajomymi, śmiali się, opowiadali o czymś z przejęciem. Na końcu długiego pomostu siedział rybak i sprawiał poranny połów.

W samej tawernie oprócz niej i Ashley był jeszcze stary żeglarz, stały bywalec, który jak zwykle kurzył fajkę i czytał gazetę. Przy jednym ze stolików zdesperowana matka próbowała nakarmić dwójkę maluchów, które uparły się, by oddać całe swoje śniadanie mewom. Przy innym siedziała jakaś smętna para. Oboje mieli na nosach ciemne okulary i wyglądali tak, jakby męczył ich spory kac, pamiątka po szalonej nocy. Beth zerknęła na nich przelotnie, gdyż z jakiegoś powodu wydali jej się znajomi.

- Siema! - powitała ją Ashley. - Stało się coś? Jakoś marnie wyglądasz.

- Nie, wszystko w porządku - odparła, siadając naprzeciw niej.

- Przestań, przecież widzę, że coś cię gryzie. Ale nie chcesz, nie mów. Powiesz, jak będziesz chciała.

- Zamiast wypytywać mnie o samopoczucie, lepiej powiedz, co jest grane. A przede wszystkim, dlaczego myślisz, że Sandy. i Brad mają coś wspólnego ze sprawą Monoców?

Ashley podsunęła jej pod nos szkicownik; na rysunku widniały dwa niedopracowane portrety pamięciowe.

- Poznajesz?

- No co ty, żartujesz?

- Przyjrzyj się oczom - poradziła Ashley.

- Czyja wiem? To mogą być oni... - powiedziała bez przekonania.

Ashley była wyraźnie rozczarowana.

- Skąd wzięłaś ich rysopis? - zapytała ją Beth.

- Zaczęłam od rysunków kolegi z zakładu kryminalistyki w Wirginii. Potem zadzwoniłam do małżonków, na których napadli piraci, i wyciągnęłam od nich więcej szczegółów. Domyślałam się, że nie będziesz mogła mi pomóc, ale postanowiłam spróbować.
  - Ashley, ja nie mówię, że to nie są oni, ale przysiąc bym nie mogła. Te portrety są bardzo uproszczone
  - odparła ostrożnie. - Błagam, powiedz, dlaczego policja zaczęła podejrzewać właśnie ich. Pamiętam, jak mówiłaś, że ktoś wyłowił tabliczkę z nazwą jachtu państwa Monoców. Skąd przypuszczenie, że to akurat Sandy i Brad? Przecież w okolicy Calliope kręci się mnóstwo ludzi.
  - Ktoś widział, jak wrzucali coś do morza właśnie w tym rejonie.
  - I nie mogłaś mi tego powiedzieć przez telefon? A tak w ogóle, to kto ich widział?
  - Jacyś żeglarze.
  - Ciekawe. Po naszym wyjeździe z Calliope zostali tam tylko Keith Henson, Matt Albright i Lee Gomez.
  - Sandy i Brad to nie są ich prawdziwe imiona
  - odparła Ashley wykrętnie. Beth zauważyła, że jest spięta.
  - Twierdzisz, że są piratami - zauważyła po chwili.
  - Jakoś nie chce mi się w to wierzyć, bo widziałam, czym pływali. Uwierz mi, że to była stara odrapana skorupa.
  - A niby czym mieliby pływać? Przecież jak ktoś żyje z porywania drogich łodzi, nie będzie pływał na trefnym towarze. - Ashley chwilę pomyślała, a potem sięgnęła po szkicownik i poprosiła: - Opisz mi, jak wyglądali. Najpierw jedno, potem drugie. Zaczynaj od niego.
  - Dobrze, spróbuję. - Beth zastanowiła się, a potem opisała Brada najdokładniej, jak umiała.
- 224
- Dobrze, więc mówisz, że on wygląda mniej więcej tak? - Ashley po kilku poprawkach pokazała jej gotowy portret.
  - No. Jest podobny jak cholera.

- Fajnie, bierzmy się za Sandy.

Po paru minutach również drugi portret był gotowy.

- Dziwne... - zamyśliła się Beth. - Nie można powiedzieć, żeby byli mało atrakcyjni. W sumie jednak pod względem urody obydwójce byli przeciętni. Ale wiesz, co mnie uderzyło, kiedy spojrzałam na te portrety?

- Co?

- To, że i ona, i on są mało charakterystyczni. Zupełnie nie rzucają się w oczy. On nie jest przystojniakiem, którego zapamiętałabyś do końca życia, a jej nie można nazwać pięknoscią. Jest... ani ładna, ani brzydka. Taka zwyczajna. Myślę, że to najwłaściwsze określenie. Oni są jacyś tacy...

- Nijacy - podsunęła Ashley.

- Właśnie. Dzięki temu z łatwością mogą wtopić się w tłum i zniknąć.

- Co zresztą zrobili. Diabli wiedzą, gdzie ich teraz szukać.

- Jak się domyślam, masz informacje z pewnego źródła, że opuścili wyspę? - zauważyła Beth z przekąsem.

- Faktycznie, z tego, co wiem, już ich tam nie ma. I nie było w chwili, gdy znaleziono tabliczkę i gdy wyspę przeszukiwała straż przybrzeżna.

- Ciekawe, jak daleko mogli odpłynąć tą swoją skorupą?

Ashley bezradnie wzruszyła ramionami.

- A może trafił im się kolejny łup, więc pozbyli się tego złomu - zastanawiała się głośno Beth.



- Możliwe, ale mało prawdopodobne. Szczerze wątpię, że odważyli się pływać kradzionym jachtem.
- Cholera, to niby co robią z tymi łodziami? - zdenerwowała się Beth.
- Odstawiają je do dziupli, czyli nielegalnych stocznii jachtowych, gdzie najpierw są przerabiane, a potem wystawiane na sprzedaż. Tak samo jak kradzione samochody - tłumaczyła Ashley - które od nas trafiają do krajów Ameryki Południowej.
- Kobieto, przecież luksusowy jacht to nie to samo, co jakiś ford czy Chevrolet. Trudniej go przemyścić.
- Ryzyko jest rzeczywiście spore, a przerobienie jachtu to też niełatwa sprawa. Ale zysk jest na tyle duży, że warto się trudzić.
- Jasne. - Beth zauważyła, że Ashley od jakiegoś czasu wpatruje się w coś za jej plecami i kręci się nerwowo. - Co się stało?
- Nic.

Beth wydała z siebie pomruk niezadowolenia i odwróciła się. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Keith Henson ma niewątpliwy talent do wyrastania tam, gdzie go nie posieją. O tyle dobrze, że przynajmniej nie jest już z Amandą, pomyślała Beth, lecz mimo wysiłków nie potrafiła uwolnić się od pytania, czy to możliwe, by poszło im... aż tak szybko? I czy Amandzie udało się zaciągnąć go na jacht ojca albo kuzyna?

I gdy w bezsilnej złości zgrzytała zębami, Keith spokojnie stał na pomoście i gawędził z rybakiem. A nieco dalej za nimi Lee Gomez z rozbawieniem opowiadał coś właścicielom zgrabnego katamaranu. Beth powróciła spojrzeniem do Keitha i nagle doznała olśnienia.

- Ashley, ty go znasz! - zawołała, gdyż uświado-

216

miła sobie, że gdyby nie dziwne zachowanie koleżanki, nawet by nie wiedziała, że Keith tu jest.

- Kogo? - Ashley udawała zaskoczoną.
- Keitha Hensona, na którego od paru chwil **się** gapisz. Nie udawaj niewiniątka, tylko przyznaj **się**, że go znasz!
- Naprawdę nie mam pojęcia, o czym mówisz. Beth spojrzała jej prosto w oczy. Była przekonana, że z jakiegoś powodu, zapewne związanego z policyjnym śledztwem, przyjaciółka nie jest z nią szczerą.
- Widziałaś list gończym z jego zdjęciem, tak?
- Nie!
- Ashley...
- Nie znam tego człowieka, ale skoro to twój przyjaciel, to nie mam nic przeciwko temu, żebyś go zaprosiła do naszego stolika.
- Kłamiesz!
- Beth, jeśli chcesz porozmawiać z nim na osobności, proszę bardzo. Nie pogniewam się.
- Wiesz, czego chcę? Chcę się wreszcie dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.
- Już ci mówiłam, że ja nic nie wiem.
- Jesteś bardzo utalentowaną aktorką, ale kłamać nie potrafisz - powiedziała, starając się panować nad emocjami. - Czy on jest gliniarzem?
- Kto?
- Słuchaj, dość tej zabawy w kotka i myszkę. Pytam, czy jest gliniarzem?
- Nic mi o tym nie wiadomo.
- Aha. Czyli znasz go z listu gończego.
- Beth, proszę cię, przestań we wszystkim doszukiwać się sensacji. Przyglądałam mu się, bo jest cholernie przystojny. Fajnie by było namalować jego portret.
- Ależ ty kłamiesz!

- A ty nie możesz wyjść ze zdumienia, że go tu widzisz. Więc idź i z nim porozmawiaj.
  - Żebyś wiedziała, że pójdę! - powiedziała i wstawszy od stolika, dziarsko ruszyła w stronę pomostu.
  - Dzień dobry.
  - A dobry, dobry - odparł rybak, który myślał, że to z nim się wita. Widząc jednak jej pytające spojrzenie wymierzone w Keitha, zapytał domyślnie: - Znajoma?
  - Tak, Beth Anderson. Beth, to jest Barney, który zawsze pierwszy wypływa w morze i pierwszy zawija do portu - odparł Keith.
  - Tak samo jak ty? - zapytała, uśmiechając się słodko, ale z takim przymusem, że aż zaboląły ją mięśnie twarzy.
  - Proszę, proszę! Słyszę, bracie, że z ciebie też ranny ptaszek - wtrącił Barney.
  - Jeszcze jaki! Nasz przyjaciel Keith ma tak napięty grafik, że znika bladym świtem. Sam pan rozumie, tyle spraw do załatwienia, z tyloma osobami trzeba się spotkać - ironizowała Beth.
  - Ty, chłopie, to masz fajne życie. Tylko pozazdrościć - podsumował Barney.
- Keith nie dał się sprowokować. Skryty za ciemnymi okularami, słuchał komentarzy Beth z przyjaznym uśmiechem na ustach.
- Zgadzam się z panem. Aż trudno wyobrazić sobie lepsze - odparła. - Ale przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkadzam?
  - Nie, tak sobie gadamy o łódkach - odpowiedział Barney. - Przyglądamy się, podziwiamy, bo niektóre z nich to prawdziwe ślicznotki. Nie to, co moja *Sheba*. Trochę mi się staruszka posypała, ale ważne, że jeszcze
- 218
- da się wypłynąć nią na ryby. - Rozpromienił się w bezzębnym uśmiechu. - A to, co złowię, kupuje ode mnie ten poczciwy Nick.
- Świetnie. Nick bardzo dba, żeby jego goście spożywali tylko świeże owoce morza. Keith, może masz ochotę skosztować jakiegoś specjału? - zapytała.

- Chętnie, ale nie dziś. Już jadłem.
- A tak, widziałam, jak sobie dogadzałeś. Wybrałeś najsmaczniejszy kąsek.
- Wiem.
- W takim razie nie będę panom przeszkadzała -wycedziła. - Miłego dnia.

Odwróciła się na pięcie i odeszła, nie czekając na ich reakcję. Była tak bardzo zła na Keitha i na siebie, że kompletnie zapomniała o Ashley. Niewiele myśląc, wsiadła do samochodu i odjechała.

Keith patrzył na nią. Domyślił się, że choć stara się mówić i zachowywać normalnie, w środku aż gotuje się ze złości. Było mu przykro, że wszystko tak się potoczyło.

Gdy się w końcu odwrócił, spostrzegł Ashley, która ze swego miejsca przy stoliku również obserwowała odchodzącą Beth. Przy okazji zwrócił uwagę na parę, która dotąd siedziała w cienistym zakątku pod ścianą tawerny. Kobieta, długowłosa brunetka, i towarzyszący jej łysy mężczyzna również wstali i podobnie jak Beth poszli na parking.

Zaintrygowany, ściągnął brwi. Nigdy w życiu nie widział tych ludzi, a jednak w ich sylwetkach, a zwłaszcza w sposobie, w jaki się poruszali, dostrzegł coś dziwnie znajomego. Choć bardzo się starał, nie był w stanie przypomnieć sobie, skąd ich może znać. Po chwili wahania podjął decyzję. Czuł, że Lee będzie

wściekły, że zniknął bez uprzedzenia, ale trudno, tak już musi być.

Pożegnał się z Barneyem i poszedł do samochodu.

Beth wyjechała z parkingu i ruszyła przed siebie, nie bardzo wiedząc, dokąd ma jechać. Być może zadziałało przyzwyczajenie, w każdym razie parę minut później zatrzymała się przed wjazdem do jachtklubu. Nie miała pojęcia, co będzie robiła w pracy w sobotnie popołudnie, ale skoro już pomachała strażnikowi, a ten podniósł szlaban, wjechała na swoje miejsce.

Żałowała, że bez słowa wyjaśnienia wyszła z tawerny i zastawiła Ashely samą, ale tłumaczyła sobie, że ta nie była z nią szczerą i nie chciała wytłumaczyć, o co chodzi w tym całym zamieszaniu. Była także pewna, że Ashley zna Keitha. A jeśli nawet nie zna go osobiście, to wie, kim on jest. Ale nie chce powiedzieć.

Postanowiła pójść prosto do biura, lecz po drodze usłyszała, że ktoś ją woła.

- Dzień dobry, moja piękna pani! - Manny powitał ją serdecznym uśmiechem. - Czyżby pani dziś pracowała?

- Właściwie nie, ale... do naszej letniej imprezy zostało tak niewiele czasu, że chciałabym jak najszybciej dopiąć wszystko na ostatni guzik. Komandor zażyczył sobie, żeby to było coś wyjątkowego, więc sam pan rozumie...

- Jadła już pani śniadanie?

- Szczerze mówiąc, nie jestem głodna.

- Ma pani jakieś zmartwienia?

- Nie... po prostu muszę przemyśleć parę spraw.

- Skoro tak, powinna pani oderwać się na jeden dzień od biurka i wypłynąć na pełne morze - zasugerował.

220

- Jakoś nie zauważyłam, żeby żeglowanie pomagało rozwiązywać problemy - odparła ze śmiechem.

- Zareczam pani, że pomaga. Wystarczy parę godzin na łódce i świat od razu wydaje mi się lepszy. Palę sobie cygara, sączę brandy, obserwuję morze i sunące po niebie obłoki. Niech pani sama powie, czy może być coś lepszego? Człowiek przestaje się dusić, wreszcie czuje wokół siebie przestrzeń i dzięki temu nabiera dystansu.

- Pewnie ma pan rację.

- Więc niech się pani wybierze ze mną na krótki rej s. Obiecuję, że od razu poprawi się pani samopoczucie.

- Dobrze, umowa stoi. Tylko proszę pamiętać, że ja pracuję.

- Nie widzę problemu. Wystarczy, że któregoś dnia pani wcześniej zacznie i wcześniej skończy. Moglibyśmy wypłynąć o szesnastej, najpóźniej szesnastej trzydzieści.

- Świetnie.

- Tylko proszę z tym nie zwlekać.

- Obiecuję, że niedługo się umówimy - powiedziała i pożegnawszy się, poszła do biura.

Idąc po schodach, pytała samą siebie, czy przypadkiem nie postradała zmysłów, że tu dobrowolnie przychodzi. Lecz gdy tylko stanęła pod drzwiami gabinetu, od razu poczuła się jak w domu. Wyjęła z torebki klucz, otworzyła drzwi i weszła do środka. Swoim zwyczajem rzuciła torebkę na krzesło, zapaliła światło i podeszła do biurka.

Wtedy ją zobaczyła.

Serce jej struchlało.

Na samym środku biurka leżała...

Czaszka.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Keith postanowił wykorzystać fakt, że strażnik siedzący w budce przy wjeździe już go kiedyś widział. Pomachał mu więc przyjaźnie jak dobremu znajomemu i spróbował wjechać na teren jachtklubu.

Niestety, facet okazał się służbistą.

- Pan do kogo?

- Dzień dobry, już się dziś widzieliśmy, pamięta pan? - zagadnął go.

- Pan do kogo? - powtórzył tamten bez cienia uśmiechu.

- Do państwa Masonów. Jestem ich gościem.

- Pana nazwisko?

- Keith Henson.

- Proszę chwilę poczekać, zadzwonię do recepcji i poproszę, żeby zawołali kogoś z państwa Masonów.

Strażnik nie miał imponującej postury ani nie był uzbrojony. Dlatego Keith, gdyby tylko chciał, mógłby wcisnąć gaz do dechy i wjechać bez kontroli.

Nie zamierzał jednak robić nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

232

- Bardzo proszę, niech pan dzwoni. Pani Amanda chyba jeszcze nie wyszła, prawda?

- Rzeczywiście, panna Mason jeszcze jest. - Strażnik przyjrzał mu się uważnie. - Niech pan jedzie.

Widocznie Amanda często zapraszała tu mężczyzn. A on najwyraźniej był w typie jej wcześniejszych gości.

Nie był pewien, czy go to cieszy.

Zresztą mało go to w tej chwili obchodziło. Zostawił samochód na parkingu i szybko poszedł w stronę głównego budynku. Wychodząc od Nicka, trochę się spóźnił i nie zdążył zobaczyć, jakim samochodem odjechała dziwna para. Nie wiedział więc, czy pojechali za Beth. Sam przyjechał tu w ciemno, bo nie miał żadnej pewności, że ona tu jest.

Szybko jednak przekonał się, że intuicja go nie zawiodła. Beth była bowiem pierwszą osobą, którą spotkał. Ledwie wszedł do środka, zbiegła ze schodów prosto na niego.

- Znowu ty! - zawołała i cofnęła się tak gwałtownie, jakby nagle zobaczyła wilkołaka.

- O co ci chodzi? - zapytał zdumiony.

- Henry! - zawołała do kelnera, który zorientował się, że coś się dzieje, i zajrzał do holu.

- Stało się coś, Beth?

- Dzwon po policję. Natychmiast!!!

Keith zamarł. Czego się o nim dowiedziała? A raczej, o co tym razem zaczęła go podejrzewać?

- Beth, czy możesz powiedzieć mi, co cię napadło?

- Ty mi lepiej sam powiedz, czy to nie dziwne, że znów znajduję czaszkę i kto się zjawia po chwili?

Henry! Zrób, o co cię proszę. Wezwij policję.

- Już się robi, Beth!

- Czaszkę? - powtórzył Keith, przesywając ją

223



twardym spojrzeniem. Potem bez słowa ją wyminął i zaczął wchodzić na górę.

- A ty dokąd? - wrzasnęła. - Nie waż się niczego dotykać! Zaraz tu będzie policja.

Zignorował ją, choć biegła za nim po schodach, trzymając się tak blisko, że prawie deptała mu po piętach. On zaś bez słowa szedł w stronę jej pokoju.

- Gdzie ją widziałas? - zapytał, gdy stanęli w drzwiach.

- Koło komputera.

Wszedł do środka i zbliżył się do biurka. Nie było na nim nic prócz zwykłych biurowych rzeczy.

- Gdzie? - rzucił niecierpliwie.

- To niemożliwe! - jęknęła. - Przysięgam, że przed chwilą tu była.

W tym samym momencie z ulicy dobiegł sygnał policyjnej syreny, i niemal jednocześnie na schodach zadudniły kroki.

- Co się dzieje? - zapytał zdenerwowany Ben, który jako pierwszy wpadł do środka. Tuż za nim wbiegło kilku mężczyzn.

Gdy spostrzegł Keitha, obrzucił go podejrzliwym spojrzeniem, nic jednak nie powiedział, tylko pospieszył do Beth.

- Stało się coś? - pytał niecierpliwie.

- Znalazłam czaszkę na biurku.

- Co takiego?

- To, co słyszysz. Na moim biurku leżała czaszka. Keith patrzył, jak na jego oczach Ben Anderson przeżywa burzę emocji. Na jego twarzy odmalowały się kolejno: przerażenie, lęk, wzburzenie, które jednak szybko ustąpiły miejsca irytacji.

- Błagam cię, tylko nie to! Nie zaczynajmy tego od początku - jęknął.

224

- Do jasnej cholery, odbiło ci?! - natarła na niego Beth. - Czy masz jakiegokolwiek podstawy, żeby traktować mnie jak paranoiczkę, która boi się własnego cienia i ma skłonności do konfabulacji?

- A ty co tutaj robisz? - Ben zniecacka zainteresował się obecnością Keitha. W jego głosie była pretensja, jakby obwiniął go o całe zamieszanie.

- Jestem gościem Masonów - odparł Keith uprzejmie.

- Proszę o spokój. Co się tu dzieje?

Tym razem pytanie padło z ust policjanta w cywilu, który, odsunawszy na bok gapiów, energicznie wkroczył do pokoju. Stróż prawa wyglądał na pięćdziesiąt lat, miał lekką nadwagę i bystre zielone oczy, którymi szybko ogarnął sytuację.

- Co państwa tak zaniepokoiło? Słucham! - powiedział władczym tonem.

- Na moim biurku leżała czaszka.

- Czaszka?

- Tak, panie władzo. Czaszka. Ludzka czaszka

- odparła Beth matowym głosem.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem. Nie ma jej. Zniknęła.

- Jasne...

- Przysięgam, że parę minut temu jeszcze tu była.

- Proszę państwa, proszę się rozejść. Wracajcie do swoich zajęć. Ja i ta miła pani musimy porozmawiać. Sami.

- Jestem bratem tej pani - wtrącił szybko Ben. -Może będę mógł w czymś pomóc?

- Dobra, brat może zostać. A reszta do widzenia

- rzucił policjant, nie bawiąc się w subtelności. - Chyba że jest wśród was ktoś, kto też widział czaszkę?

Nikt się nie zgłosił. Po chwili ludzie zaczęli się

rozchodzić, komentując z ożywieniem całe zajście. Z korytarza dobiegały fragmenty ich rozmów:

- Ktoś zrobił sobie głupi żart.
- Przecież do Halloween jeszcze mnóstwo czasu.
- Słuchajcie, w zeszłym roku kupowaliśmy różne halloweenowe gadzety. Jakieś maski, kościotrupy, czaszki... Pamiętacie?
- A pan kim jest? - zapytał policjant, widząc, że Keith nie szykuje się do wyjścia.
- Nazywam się Keith Henson.
- Dobrze, ale kim pan jest? Też bratem? A może mężem tej pani albo narzeczonym? - indagował policjant.
- Bliskim znajomym.
- Proszę posłuchać. - Beth ostro weszła im w słowo. - Na moim biurku leżała czaszka. Czy byłby pan łaskaw zdjąć odciski palców, pobrać próbki do badań DNA czy coś w tym rodzaju? - pytała z tłumioną furją.
- Ależ droga pani... - obruszył się policjant - moim zdaniem mamy tu do czynienia ze zwykłym głupim dowcipem.
- Chce pan powiedzieć, że nie zamierzacie nic z tym zrobić? - syknęła.
- A czego się pani spodziewa? - zapytał. - Podobno widziała pani czaszkę, która zaraz potem zniknęła bez śladu. Ja uważam, że pani koledzy mają rację, mówiąc, że ktoś postanowił zabawić się pani kosztem. Teraz patrzy na to całe zamieszanie i zwija się ze śmiechu. Zapewniam panią, że z wielką radością przymknąłbym go za coś takiego. Problem jednak w tym, że nie wiemy, kto jest autorem tego mało wybrednego żartu, a ja mam na głowie o wiele poważniejsze sprawy niż poszukiwanie jakiegoś kawalarza.

- Na moim biurku była czaszka! - Beth podniosła głos.

- Ale już jej nie ma - odparł spokojnie policjant.

- To wszystko, co pan ma do powiedzenia?

- Beth, bądź rozsądna - odezwał się pojednawczo Ben. - Co chcesz zrobić?

Rozsierdzona, spojrzała najpierw na niego, a potem na policjanta. Keith miał wrażenie, że o nim zupełnie zapomniała albo wolała nie pamiętać, że tu jest.

- Chcę złożyć doniesienie o popełnieniu przestępstwa - oświadczyła. - Chcę, żeby ktoś coś z tym zrobił. Drzwi do mojego biura były zamknięte na klucz. Po prostu nie mieści mi się w głowie, że nie chcecie zająć się tą sprawą.

Keith nie mógł oprzeć się refleksji, że nie jest to pierwsze dziwaczne wezwanie w zawodowej karierze posterunkowego Gartha (takie nazwisko widniało na jego odznace). Mimo to starał się robić, co do niego należało, więc podszedł do biurka i obejrzał je ze wszystkich stron.

- Nic tu nie ma - orzekł z przekonaniem. - Żadnych śladów. A co do drzwi, to założę się, że macie tu klucz uniwersalny?

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, do pokoju wszedł wysoki, siwowłosy mężczyzna.

- Co to znowu za afera z jakąś czaszką? - zapytał od progu.

- Panie komandorze, Beth mówi, że na jej biurku leżała czaszka - wyjaśnił Ben.

- Posterunkowy Garth - przedstawił się policjant. - Z kim mam przyjemność?

- Komandor Berry, obecny szef jachtklubu - odparł zapytany. - Beth, czy możesz mi wyjaśnić, skąd to całe zamieszanie?

Po raz kolejny opowiedziała swoją wersję zdarzeń.

- I niby gdzie teraz jest ta czaszka? - zapytał przytomnie komandor.

- Nie ma jej - przyznała.

- Cóż, ze swej strony mogę pana zapewnić, że nigdy nie zauważyłem, aby panna Anderson miała skłonność do fantazjowania - oznajmił komandor, zwracając się do policjanta.

- Beth, proszę cię, bądź rozsądna - szeptał jej do ucha Ben. - Przecież to bardzo prawdopodobne, że ktoś zrobił ci głupi kawał. Wielu członków klubu, łącznie ze mną, do dziś ma czaszki z zeszłorocznego balu Halloween. Pamiętasz je? Stały na stołach. A klucz uniwersalny może wziąć każdy, bo wisi w pomieszczeniu służbowym.

- Przepraszam, czy ja dobrze zrozumiałem, że dekorowaliście stoły czaszkami? - wtrącił posterunkowy Garth.

- To było Halloween - przypomniał mu Ben.

- Beth, zastanów się, czy to możliwe, żeby ta czaszka była plastikowa? - zapytał spokojnie komandor.

- Chyba tak... - odparła niepewnie. - Jak ją zobaczyłam, wpadłam w panikę i... zbiegłam na dół, żeby wezwać policję.

- Dlaczego nie zadzwoniła pani z biura? - zapytał Garth.

Spojrzała na niego, a potem uniosła do góry ręce, by po chwili bezradnie je opuścić.

- Pewnie dlatego, że na biurku leżała czaszka. A ja naprawdę nie przypuszczałam, że nagle dostanie nóg i gdzieś sobie pójdzie.

- Czy na to piętro prowadzą tylko jedne schody? - Policjant postanowił wykazać większe zainteresowanie.

228

- Nie. W sumie są tu aż cztery klatki schodowe

- wyjaśniła.

- Obawiam się, panno Anderson, że ktoś chciał panią nastraszyć plastikową czaszką z ubiegłorocznego Halloween. Dowcipniś nie przewidział tylko, że tak szybko zadzwoni pani na policję. Kiedy zobaczył, że biegnie pani na dół, wrócił tu i zabrał czaszkę.

- Posterunkowy Garth był wyraźnie rad, że znalazł szybkie i proste rozwiązanie. - Bo to z pewnością była atrapa - dodał z przekonaniem.

- Nieważne, czy czaszka była sztuczna, czy prawdziwa. Żądam, żeby potraktowano mnie poważnie - powiedziała cicho.

Policjant ciężko westchnął.

- Wobec tego wypisujemy zgłoszenie - oświadczył z rezygnacją. - Można skorzystać z biurka?

- Beth - mruknął Ben - ty naprawdę chcesz złożyć to zgłoszenie? Z powodu plastikowej czaszki?

- Wyobraź sobie, że tak!

Kiedy policjant zabrał się do pisania, Keith uznał, że jego dalsza obecność w tym miejscu jest zbędna. Nie mówiąc nikomu ani słowa, wyszedł na korytarz i postanowił obejrzeć wszystkie klatki schodowe, o których wspomniała Beth. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że na pierwsze piętro można wejść z tak wielu kierunków. Uznał to za karygodne niedopatrzenie ze swojej strony. Aby jak najszybciej je naprawić, metodycznie obszedł całe piętro. Zajrzał wszędzie, łącznie z męską toaletą. I doszedł do mało budującego wniosku, że ten, kto zakradł się do pokoju Beth, miał gdzie się schować i którądy uciec.

Gdy tak chodził od schodów do schodów, powróciło do niego pytanie, czy Beth naprawdę znalazła na Calliope ludzką czaszkę. A jeśli tak, to czy możliwe, że

ktoś się o tym dowiedział i postanowił sobie z niej zażartować albo ją przestraszyć, podrzucając na biurko plastikową atrapę?

Zamyślony zszedł po paru schodkach prowadzących z korytarza na duży balkon, z którego widać było część parkingu oraz rozciągający się tuż obok miejski park. Każdy, kto chciałby niezauważenie wśliznąć się na teren jacht klubu, mógł to z łatwością zrobić; wystarczyło przedrzeć się przez krzewy rosnące na granicy klubu i parku.

Patrząc na naturalny zielony mur, zastanawiał się, na ile prawdopodobna jest hipoteza, że ludzie, których widział w tawernie, rzeczywiście pojechali za Beth, a potem weszli na teren klubu od strony parku i jakimś cudem włamali się do jej pokoju.

Im dłużej rozważał taki scenariusz, tym mniej wydawał mu się on prawdopodobny.

Wrócił na korytarz i innymi schodami zszedł do jadalni. Nie dostrzegł w niej nikogo znajomego prócz Rogera Masona, który jadł lunch w towarzystwie mężczyzny w czapce kapitana.

Z jadalni przeszedł na taras, gdzie przy jednym ze stolików siedziała Amanda i spod szerokiego ronda śnieżnobiałego kapelusza spoglądała leniwie na jachty. Niedaleko niej Hank Mason sączył piwo w męskim gronie. A jeszcze dalej Manny Ortega żywo dyskutował o czymś z Marią Lopez.

Keith żałował, że nie ma sposobu, by dyskretnie podsłuchać, o czym rozmawiają. Wiedział jednak, że nie może pozwolić sobie na żaden ruch, który mógłby go zdekonspirować.

Spojrząwszy w stronę basenu, spostrzegł Amber i Kim pluskające się w wodzie. Zaciekawilo go, czy już wiedzą, co się stało.

230

- Keith! Tutaj! - zawołała go Amanda.

Gdy do niej podszedł, zapytała z szelmowskim uśmieszkiem:

- Co to za afery tam na górze? Czyżby nasza droga panna Anderson do reszty sfiksowała?

- Słucham?

- Daj spokój! Cały klub aż się trzęsie od plotek. Wszyscy widzieli radiowóz na sygnale - mówiła, machnąwszy ręką w stronę jadalni. - Tata próbuje teraz pocieszyć komandora, bo biedak jest pewnie załamany. Policja w jachtklubie to dla niego straszne upokorzenie. Nigdy wcześniej nie mieliśmy tu policji. Nigdy!

- Kiedy go widziałem na górze parę minut temu, nie wyglądał na upokorzonego. Odniosłem wrażenie, że martwi się o Beth. Nie uważasz, że to nic przyjemnego znaleźć czaszkę na biurku?

- Właśnie. Słyszałam, że znów miała halucynacje - roześmiała się Amanda.

- Ja bym tego tak nie nazwał. Choć faktem jest, że czaszka rzeczywiście zniknęła.

Amanda prychnęła zniecierpliwiona.

- Nie bądź śmieszny! Ta kobieta ma kompleksy na punkcie swojej pozycji.

- Co takiego?

- My jesteśmy członkami klubu, a ona szeregową pracownicą. Nie może się z tym pogodzić, więc staje na głowie, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Keith miał ochotę powiedzieć jej coś bardzo nieprzyjemnego, opamiętał się jednak i obojętnie spojrział w bok.

- Wydaje mi się, Amando, że jesteś jedyną osobą, która tak myśli. O ile mi wiadomo, ojciec Beth był, a brat jest takim samym członkiem klubu jak ty i twoja



rodzina. Jestem pewien, że Beth nie musi tu pracować. Gdyby tylko chciała, bez problemu znalazłaby inną pracę.

Amanda roześmiała się sztucznie i sięgnęła po oszronionego drinka, który stał przed nią na stoliku.

- Więc jednak z nią sypiasz. Tak myślałam. Szkoda. Z was trzech właśnie ty podobasz mi się najbardziej.

- Miło mi to słyszeć, choć nie ma to nic do rzeczy

- odparł gładko. - Chcę tylko zwrócić twoją uwagę na fakt, że żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku i podział na klasę wyższą i niższą od dawna nie istnieje.

- Wierzysz jej, tak?

- Wierzę, że coś zobaczyła. Zwłaszcza że nie sprawia wrażenia osoby, która wymyśla niestworzone historie.

- Błagam, nie rozśmieszaj mnie! Czaszka? Prawdziwa ludzka czaszka? Tutaj?

- Wiele wskazuje na to, że tak. Nie wiem, czy była prawdziwa czy sztuczna, ale skoro Beth twierdzi, że ją widziała, to ja jej wierzę. Słuchaj, czy któryś z członków albo pracowników klubu ma zwyczaj robić bliźnim kawały?

- Czyja wiem? - Amanda niedbale machnęła ręką.

- Ludzie, którzy tu przychodzą, lubią się czasem zabawić. Może ktoś rzeczywiście chciał się z niej pona-bijać. To nawet mógł być jej rodzony brat.

- Jest to pewien pomysł - przyznał Keith, lecz osobiście raczej odrzucał taką hipotezę.

Im dłużej analizował sytuację, tym większą miał pewność, że czaszka nie pojawiła się przypadkiem. Ten, kto ją podrzucił, musiał być z nimi na wyspie.

- Słyszałam, że Ben trzymał plastikową czaszkę w swojej szafce w szatni - podsunęła Amanda.

232

- Nie wydaje ci się, że gdyby naprawdę to zrobił, na pewno by się przyznał?

- Wątpię. W chwili, gdy jego siostra wciągnęła w to policję, sprawa stała się poważna - stwierdziła. Nagle zmrużyła oczy i wyciągnawszy rękę w stronę basenu, powiedziała: - Może powinieneś porozmawiać z tymi dwoma słodkimi panienkami? Amber i Kim są teraz w bardzo głupim wieku, a Beth pozwala im myszkować po swoim biurze.
- Dzięki za radę. Faktycznie nie zaszkodzi z nimi pogadać - powiedział, wstając.
- Tylko wróć do mnie! - zawołała za nim. Dziewczyny wyszły już z wody i opalały się na leżance. Amber musiała wyczuć, że ktoś nadchodzi, bo uniosła głowę i otworzyła oczy.
- Cześć! - Uśmiechnęła się do niego.
- Cześć! - odpowiedział, siadając na skraju leżanki. - Podobno ze sobą mailowaliście? Obie dziewczyny zaczerwieniły się po same uszy. Keith postanowił od razu przejść do sedna.
- Czy to wy podrzuciłyście czaszkę na biurko twojej ciotki? - zapytał Amber bez ogródek.
- Nie!
- Obiecuję, że o niczym nie powiem policji ani twojemu ojcu. Ale muszę wiedzieć, jak było naprawdę. Przestraszona Amber gwałtownie pokręciła głową.
- Przysięgam, że to nie my! Nigdy w życiu nie zrobiłybyśmy czegoś takiego!
- Naprawdę, Keith! - poparła ją Kim. Wiedział, że nie kłamia.
- A może macie pomysł, kto mógł to zrobić?
- Amanda - odparła Amber bez wahania.
- Panna Bogata Szmata. - Kim nie przebierała w słowach.

Schylił głowę, żeby ukryć uśmiech.

- Nie wydaje wam się, że trochę przesadzacie? Chyba jesteście do niej uprzedzone?

Kim uciekła wzrokiem w bok, za to Amber mężnie podjęła wyzwanie.

- Tak uważasz? - zapytała powątpiewająco. - I może jeszcze powiesz, że to nieprawda, że jak Amanda się na coś uprze, idzie do celu po trupach?

- No, no! - mruknął.

- Dobrze powiedziane! - pochwaliła ją Kim.

- Już raz zrobiłyście ciotce głupi kawał i próbowałyście ją nastraszyć - przypomniał, wracając do tematu.

- Wcale nie! - oburzyła się Amber.

- Daj spokój! Przecież dopiero co przyznałaś się, że grzebałyście w jej komputerze.

- Bo to prawda. Wcale się nie wypieram, że wysłałyśmy do ciebie maila. Ale nie miałyśmy zamiaru nikogo straszyć.

- Amber... - zaczął, marszcząc srogo brwi, lecz w tym momencie zadzwoniła jego komórka. - Przepraszam was na chwilę - powiedział, odchodząc na bok.

Na wyświetlaczu pojawił się numer Lee. Keith odebrał połączenie i długo w skupieniu słuchał głosu kumpla. W skroniach czuł rytmiczne pulsowanie krwi; serce o mało nie wyskoczyło mu z piersi.

- Pogadamy później. Teraz muszę iść - powiedział dziewczynom, gdy się rozłączył, i natychmiast ruszył na parking.

Kiedy posterunkowy Garth skończył wypisywanie formularza i udał się do swych pilnych obowiązków, Beth została w pokoju sama z bratem. Komandor

234

wyszedł już wcześniej. Beth była mu głęboko wdzięczna za to, iż mimo wyraźnych wątpliwości dał wiarę jej słowom.

Ben nic nie mówił; siedział przy biurku z pochyloną głową i wzrokiem wbitym w podłogę.

- Beth - odezwał się w końcu, lecz cichy i spokojny ton jego głosu tylko ją rozzłościł.
- Opuść sobie! Jeszcze nie zwariowałam - warknęła.
- Po prostu nie chce mi się wierzyć, że to była prawdziwa czaszka.
- Myślę, że ty w ogóle nie dopuszczasz do siebie tej myśli.
- Dziwi cię to? Nie chcę żyć ze świadomością, że mnie albo komuś z moich bliskich grozi niebezpieczeństwo.
- Trzeba zacząć od tego, że cała ta historia, a więc i potencjalne zagrożenie, nie dotyczy ciebie, tylko mnie - zauważyła.
- A co, przestaliśmy być rodziną? Uśmiechnęła się, i pochyliwszy się w jego stronę, lekko dotknęła jego ramienia.
- Ja naprawdę nie oszalałam - powiedziała łagodnie.
- W porządku - odparł bez przekonania, a potem wstał i ruszył do drzwi.
- Ben? - Zaskoczona poszła za nim.
- Posłuchaj, muszę coś sprawdzić, a ty nie możesz pójść tam, dokąd idę.
- Ale dlaczego?
- Dlatego, że idę do męskiej przebieralni.
- Po co?
- Już ci mówiłem. Żeby coś sprawdzić.
- Coś, to znaczy co?

- Przestań! A swoją drogą, co robisz w pracy w sobotę? Wracaj do domu, odpocznij. Obejrzyj jakiś film. Po prostu zrób coś ze sobą.
  - Do jasnej cholery, Ben! Jeśli zaraz mi nie powiesz...
  - Niech ci będzie! Kiedy ostatnio przebierałem się w szatni, odniosłem dziwne wrażenie, że ktoś grzebał w moich rzeczach i zabrał z szafki czaszkę z zeszłorocznego Halloween. Chcę sprawdzić, czy rzeczywiście jej tam nie ma.
  - A więc mi wierzysz?
  - Nie wiem, natomiast co do jednego nie mam wątpliwości: twoja szalona historia o czaszce na wyspie rozniosła się i ktoś postanowił zabawić się twoim kosztem. Beth, ja ci dobrze radzę, przestań zachowywać się tak, jakbyś grała w kryminalnym serialu.
  - Ja się tak zachowuję?! Tyś chyba oszalał!
  - Możliwe. Tak czy owak idę zajrzeć do szafki.
  - Ale wrócisz tu i powiesz mi, czy czaszka leży na swoim miejscu?
  - Tak, ale pod warunkiem, że zaraz po tym pójdziesz do domu, dobrze? Ja zresztą też będę się zbierał. Miałem zamiar umyć jacht, ale pał go diabli. Zabieram dziewczynki i jadę do domu albo do kina. Chcesz się z nami wybrać?
  - Chcę się dowiedzieć, co z tą twoją czaszką.
  - Dobra, niech ci będzie.
- Zeszli razem na dół i skierowali się w stronę basenu. Gdy przechodzili przez jadalnię, Beth poczerwieniała ze wstydu, okazało się bowiem, że Wszyscy się na nią gapią. Nikt nie odezwał się do niej słowem, za to ścigały ją ciekawskie spojrzenia. Jedynie Manny i Maria pomachali, gdy ich mijała, lecz nawet oni mieli dziwne miny.

236

- Dobrze się czujesz, ciociu? - zapytała niespokojnie Amber, która na jej widok zerwała się na równe nogi.

- Oczywiście, że dobrze!
- Podobno znów znalazłaś czaszkę, tym razem na biurku.
- To prawda.

Amber spojrzała porozumiewawczo na swoją przyjaciółkę. Kim potraktowała to jak sygnał do ataku.

- Ona to zrobiła - syknęła.
- Pewnie że tak! - podchwyciła Amber.
- Co za ona? - zapytała zaskoczona Beth.
- Ta zmija Amanda. Jest wściekła, że nie może poderwać Keitha, bo on interesuje się tobą. Zżera ją zazdrość i dlatego robi wszystko, żebyś wyszła na idiotkę.
- Amber, litości! - jęknęła Beth, choć w myślach zadała sobie pytanie, czy bratanica nie ma przypadkiem racji.

Choć z drugiej strony Amanda nie musi uciekać się do takich środków, bo przecież Keith nie odmawia jej swego towarzystwa.

- Ciociu - westchnęła Amber z politowaniem - tylko nie mów mi, że dorośli ludzie nie robią takich niemądrych rzeczy.

Beth nie mogła powstrzymać uśmiechu. Podobnie jak refleksji, że jej bratanica jest ponad wiek dojrzała.

- Naprawdę nie mamy podstaw, żeby podejrzewać Amandę - rzekła pojednawczo.

W odpowiedzi dziewczyny wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Mam do was ogromną prośbę. Skoro nie potraficie być dla niej miłe, omijajcie ją z daleka, dobrze? Zgodnie kiwnęły głowami.

Beth spojrzała w stronę patio i spostrzegła Man-ny'ego i Marię, którzy przenieśli się tam z jadalni i usiadłszy pod parasolem, znów o czymś szeptali, niemal stykając się głowami. Beth pomyślała, że być może w jesieni życia niespodziewanie dosięgła ich strzała amora. Jeśli tak, życzyła im jak najlepiej, gdyż tworzyli wyjątkowo sympatyczną parę.

- Poszła sobie. - Głos Amber wyrwał ją z zamyślenia.

- Kto?

- Amanda. Wyniosła się zaraz po tym, jak Keith przyszedł z nami porozmawiać - dodała Kim konspiracyjnym szeptem.

- Tylko że zaraz ktoś do niego zadzwonił i wtedy powiedział, że musi iść. Myślisz, że to ona do niego dzwoniła? - zapytała Amber, mrużąc podejrzliwie oczy.

- Nie wasza sprawa, kto do niego dzwonił - burknęła. Znów odżyło w niej dręczące pytanie, jaką grę prowadzi ten człowiek?

Jej rozmyślania przerwał powrót Bena, który wyglądał na zdenerwowanego.

- Mam zamiar porozmawiać z komandorem i członkami zarządu - oznajmił. - W szafce nie ma czaszki, a to znaczy, że ktoś ci zrobił głupi kawał.

- A widzisz! - zawołała triumfalnie.

- Widzę, ale nadal uważam, że niepotrzebnie wmieszaliśmy w to policję.

- Zapomniałeś już, że jesteś prawnikiem i że nie tak dawno temu twierdziłeś, że należy im zgłaszać każde niepokojące zdarzenie.

- Chodźcie, dziewczyny. Jedziemy do kina - powiedział, westchnąwszy przedtem ciężko.

- Spokojnie, musimy się jeszcze przebrać - przypomniała mu Amber.

238

- Racja, ale się pospieszcie. Beth, jedziesz z nami?

- Nie, wracam do domu. Skarbie, miałam ciężki dzień i naprawdę jestem zmęczona - dodała, podchwyciwszy zawiedzione spojrzenie bratanicy. - No dobra, jakoś wytrzymam. Jadę z wami. Tylko bardzo was proszę, żadnych horrorów, dobrze?
  - Jak chcesz, możemy jechać moim samochodem, a po kinie podwiozę cię tu po twój - zaproponował Ben.
  - Dzięki, ale wolę od razu jechać swoim. Przynajmniej oboje będziemy mogli wrócić z kina prosto do domu.
- Kiedy dziewczyny pobiegły się przebrać, poszła na chwilę do biura, by zadzwonić.
- Cześć, Ashley, mówi Beth.
  - Proszę, proszę. Czyżbyś wreszcie znalazła dla mnie czas? Dowiem się, co się stało, że wyszłaś bez słowa?
  - Nie gniewaj się. Po prostu... wściekłam się jak cholera.
  - I co, dzwonisz, żeby się na mnie wyżyć?
  - Przestań się zgrywać. Naprawdę strasznie mi głupio, że tak cię zostawiłam. Zachowałam się jak ostatnia świnka.
  - Dobrze, że chociaż jesteś tego świadoma - skwitowała Ashley.
  - Słuchaj, potrzebuję twojej rady.
  - W jakiej sprawie? - zapytała Ashley ostrożnie.
  - Znowu znalazłam czaszkę.
  - Co takiego?
- Beth kolejny raz cierpliwie zrelacjonowała zdarzenie.
- To mi wygląda na głupi kawał - stwierdziła Ashley z przekonaniem.



- Możliwe. Tylko tak się jakoś dziwnie złożyło, że w budynku był akurat Keith Henson, którego rzekomo w nigdy w życiu nie widziałaś na oczy.

- Pewnie za tobą pojechał.

- Ashley, proszę cię, powiedz mi...

- Słuchaj, muszę lecieć, mała płacze.

- Ashley!

- Beth, najlepiej sama z nim porozmawiaj. Słyszysz? Porozmawiaj z nim. Pa! Naprawdę nie mogę dłużej gadać.

Gdy zeszła na dół, dziewczyny były już gotowe. Tak jak ustalili, dwoma samochodami pojechali do centrum handlowego, w którym znajdowało się kino. Parę minut spierali się, na jaki film pójda, by ostatecznie zdecydować się na komedię romantyczną. Po filmie zjedli kolację w małej restauracji i postanowili wracać do domu.

- Słuchaj, może przenocujesz dziś u nas? - zaproponował Ben, gdy stali przy samochodach.

- No co ty? Nie przesadzaj! Ale dziękuję - powiedziała.

Naraz Amber mocno się do niej przytuliła.

- Ciociu, ja nigdy nie sprawiłabym ci żadnej przykrości. Przysięgam! - szepnęła.

- Wiem - odparła, zaskoczona tym nagłym wyznaniem.

- I nigdy nie próbowałam cię nastraszyć. Naprawdę!

Beth ściągnęła brwi. Przypomniała sobie historię z komputerem i mailami do Keitha. Amber przyznała się, że była ich autorką.

- Córeczko, jedziesz z nami czy zostajesz z ciocią? - Ben chciał już wracać do domu. - A ty, Beth, jesteś pewna, że nie chcesz do nas jechać?

240

- Tak, jestem pewna. Nigdzie tak nie odpocznę jak u siebie.

- Niepotrzebnie się upierasz.

- Potrzebnie. Mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Skoro tak się o mnie martwisz, możesz mnie eskortować do samego domu.

Tak też zrobił. Jadąc, cały czas widziała go we wstecznym lusterku. Trochę żałowała, że już nie są w kinie. Tam przynajmniej na chwilę zapomniała o niemiłej przygodzie, choć gdzieś z tyłu głowy wciąż czaiło się wspomnienie paraliżującego lęku. Teraz, gdy siedziała sama w samochodzie, powróciły pytania i niepokoje.

Zastanawiała się, czy gdyby musiała zeznawać w sądzie pod przysięgą, mogłaby z całą pewnością powiedzieć, że na Calliope widziała prawdziwą ludzką czaszkę, a nie halloweenową zabawkę, identyczną jak ta, której dziś tak bardzo się przestraszyła? Chciałaby móc odpowiedzieć twierdząco, jednak...

Jeszcze bardziej niż autentyczność czaszki intrygowała ją rola, jaką w tej tajemniczej historii odgrywa Keith. Momentami był wobec niej tak szczery, że gotowa była ręczyć za niego głową. Lecz wystarczyła chwila...

Zatrzymała się przed domem. Ben zrównał się z nią i przyhamował, by dziewczyny mogły jej pomachać na do widzenia. Posłała im buziaka, po czym wysiadła i podeszła do furtki. I wtedy niczym grom z jasnego nieba spadła na nią świadomość, że on znów tu jest.

Cień powrócił.

To na pewno nie było przywidzenie. Drzewo... Cień rzucany przed potężny pień i jakaś postać wynurzająca się z tego cienia. Ktoś ją obserwuje.

Czeka na nią.

Lecz to nie on ma ją dopaść. Pokazał się po to, by odwrócić jej uwagę.

Szybko przekręciła klucz w zamku, cały czas zerkając kątem oka w stronę dębu.

Napastnik zaatakował ją od tyłu.

Poczuła gwałtowny ruch powietrza, i zaraz potem dłoń w rękawiczce zatkała jej usta.

I dopiero wtedy tajemniczy cień się poruszył.

## **ROZDZIAŁ TRZYNASTY**

Tym razem Keith mógł odetchnąć; nie znał mężczyzny, którego zwłoki leżały na sterylnym metalowym stole w prosektorium. Nie znosił tu przychodzić. Nawet często przeprowadzane dezynfekcje nie były w stanie usunąć wypełniającego pomieszczenie mdłego zapachu śmierci.

- Victor Thompson, lat dwadzieścia siedem. Przygodę z nurkowaniem zaczął jako piętnastolatek. Urodzony w Marathon. Od dziecka żeglował. Rafę znał jak własną kieszeń - relacjonował Mike Burlington beznamiętnym głosem. - Żył z nurkowania. Organizował podwodne wyprawy dla turystów z Islamorady.

- Utonął? - Keith skierował spojrzenie w stronę patologa, Jamesa Fleminga.

- Tak - odparł doktor Fleming, który ze swym budzącym zaufanie wyglądem z pewnością zrobiłby karierę jako lekarz domowy. - Miał wodę w płucach.

- A w butlach zapas mieszanki na dobrych piętnaście minut - dodał Mike.

Mike Burlington wzbudzał respekt już samym wyglądem. Ten wysoki, szczupły i żyłasty czterdziestolatek

o twarzy ascety od dziecka wiedział, czego chce. Urodzony w porządnej, lecz niezbyt zamożnej rodzinie, zaraz po szkole wstąpił do armii, i dosłużywszy się wysokiego stopnia, zajął się pracą wywiadowczą. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest twardy, zarówno psychicznie, jak i fizycznie, lecz nikt, kto go znał, nie miał wątpliwości, iż nigdy nie zapominał, że pierwszym celem jego misji jest ochrona ludzkiego życia.

- Czy na ciele są jakieś rany, sińce albo inne obrażenia? - dopytywał Keith.

Doktor Fleming pokręcił głową.

- Zapraszam - powiedział cicho.

Keith włożył lateksowe rękawiczki i dokładnie obejrzał ciało. Najwięcej uwagi poświęcił plamom opadowym. Miał wrażenie, że... Jeszcze raz dokładnie się im przyjrzał, a potem spojrzał pytająco na patologa.

- Owszem, ja też uważam, że denat po utonięciu został wyciągnięty z wody i ponownie do niej wrzucony.-Doktor Fleming potwierdził jego przypuszczenia. - Plamy opadowe na przedniej części korpusu świadczą o tym, że ciało było transportowane w pozycji leżącej, twarzą w dół, i po kilku godzinach znów rzucone do wody. Wypłynęło w okolicy Marathonu.

- A jego łódź? - Keith spojrzał na Mike'a.

- Nic specjalnego, żaden luksus. Porządny jacht, ale nie umywa się do tych, które ostatnio ginęły.

- Odnalazł się?

- Jeszcze nie.

- O ile dobrze zrozumiałem, facet wypłynął sam? Mike skinął głową.

- Nie wspominał znajomym, że wybiera się na Calliope Key? - ciągnął Keith.

- Policja z Monroe County przeszłuchała parę osób. Wygląda na to, że on i jego najbliżsi znajomi inter-

243

resowali się zatopionymi statkami i wrakami leżącymi przy wybrzeżu Florydy. Dam ci listę nazwisk. Czy ktoś wie, że tu jesteś? - spytał Mike.

- Nie.

- To dobrze. I niech tak zostanie. Dopóki nie dowiemy się, co jest grane, chcę być na bieżąco informowany o wszystkim.

Keith chciał zaprotestować, ale w porę zrozumiał, że to bezcelowe. Mike był z natury nieufny. Za długo siedzi w tym biznesie. Nieraz widział świadectwa najwspanialszych ludzkich cnót, takich jak lojalność czy odwaga, ale był też świadkiem niejednej zdrady.

- Powiem ci, że dookoła tego wszystkiego jest tyle gówna, iż zaczynam podejrzewać, że ktoś za tym stoi.

- Możesz jaśniej? - poprosił Mike.

- Panowie? Czy pozwolicie, żeby ten młody człowiek zaznał wreszcie wiecznego spokoju? - zapytał doktor.

- Tak, ale proszę jeszcze nie wydawać ciała rodzinie - polecił Mike.

- Nie jestem pewny, co na to miejscowe władze...

- Zajmę się tym - oznajmił, po czym zwrócił się do Keitha: - Chodźmy do mnie. Tam mi wszystko opowiesz - rzucił krótko i wyszedł z sali.

Gdy znaleźli się w jego gabinecie, Keith przekazał mu zdobyte informacje oraz wspomniał o swoich podejrzeniach i przypuszczeniach. Mike wysłuchał go uważnie i na koniec stwierdził:

- Gdzieś musi być przeciek.

- Niekoniecznie - zaproponował Keith. - Zbyt mało osób wie o operacji.

- Za to zbyt wiele ginie w niejasnych okolicznościach - zauważył trzeźwo Mike. - Może te osoby wiedziały o czymś, o czym nie powinny.

- Ale to jeszcze nie znaczy, że mamy przeciek.
  - Keith upierał się przy swojej wersji. - Przecież nie działałam zupełnie incognito. Parę osób wie, kim jestem
  - przypomniał.
  - Miej na oku swoich partnerów, tylko tyle mogę ci powiedzieć.
  - Jasne - odparł. Pewnie, że będzie im się przyglądał. Zresztą robi to do samego początku. I chyba dlatego nie chciało mu się wierzyć, że Matt albo Lee mogli być zamieszani w jakieś brudne sprawy. Dłuższą chwilę siedział zamyślony, ze wzrokiem utkwionym w odległy punkt.
  - Niewykluczone, że coś spieprzyliśmy - mruknął w końcu, wracając spojrzeniem do Mike'a. - Jeśli tak, mamy jeszcze czas, żeby zmienić procedurę. Przecież możemy nagłośnić sprawę, przestrzec ludzi, żeby trzymali się z dala od pewnych miejsc.
  - Super! Leć z tym do gazet - zadrwił Mike. - Tylko najpierw powiedz, czy zastanowiłeś się, co będzie potem? Tak po prostu zapomnimy o tych, którzy już zginęli?
  - Obawiam się, że milcząc i dalej po cichu robiąc swoje, też nie powstrzymamy rozlewu krwi - odparł Keith znużonym głosem.
  - Do diabła, jesteśmy już tak blisko! - Mike nerwowo zerwał się zza biurka. Blisko? Czy oby na tyle, by wreszcie przerwać serię niepotrzebnych śmierci?
  - Znasz rozkazy - rzucił sucho Mike.
  - Znam.
- Wychodził z budynku, gdy zadzwoniła komórka. Był pewny, że to Lee albo Matt, więc nawet nie spojrzął, kto dzwoni, tylko od razu odebrał.
- Zaskoczony stwierdził, że to żaden z kolegów.

256

- Pan Henson? - zapytał uprzejmy męski głos z wyczuwalnym, choć lekkim hiszpańskim akcentem.
- Z kim rozmawiam? I skąd pan ma mój numer?

- Każdy lubi czasem zabawić się w detektywa, panie Henson. Rozmawiam z panem dzięki uprzejmości osoby, którą obaj znamy.
  - Rozumiem. Można wiedzieć, jak pan się nazywa?
  - Manny Ortega. Pamięta mnie pan?
  - Oczywiście. Dlaczego pan do mnie dzwoni?
  - Muszę z panem pilnie porozmawiać. W cztery oczy. Jestem przekonany, że możemy sobie nawzajem pomóc. I że pan mi uwierzy.
- Keith zerknął na zegarek. Czasu miał niewiele, lecz ciekawość okazała się silniejsza.
- Możemy się spotkać, ale nie na długo - uprzedził. - Jednak najpierw chciałbym się dowiedzieć, od kogo dostał pan mój numer.
- Mężczyzna podał nazwisko, którego zupełnie nie spodziewał się usłyszeć. Sytuacja stawała się coraz bardziej intrygująca.
- W takim razie kiedy? I gdzie?
  - Na dwudziestej siódmej ulicy jest duży sklep żeglarski otwarty do późna. Odpowiada panu to miejsce? - zapytał Manny.
  - Tak. Proszę dać mi godzinę.
  - Oczywiście. Obiecuję, że nie zajmę panu dużo czasu.
  - Dobrze. Muszę jeszcze coś załatwić i najdalej za godzinę będę w umówionym miejscu.
- Beth nawet nie próbowała się odwrócić.
- Na gardle czuła nóż. I nie miała ani cienia wątpliwości, że nie jest to atrapa. I że napastnik nie zawaha się go użyć.

Pomyślała o pojemniku z gazem pieprzowym, który leżał na dnie torebki. Kompletnie bezużyteczny. Sytuacja była patowa, więc nie pozostawało jej nic innego, jak stać spokojnie i modlić się o ocalenie. Nawet gdyby jakimś cudem zdołała wyrwać się człowiekowi, który ją sterroryzował, potem musiałaby jeszcze uporać się z „cieniem”, który odważniej wychynął zza drzewa. O ile byłoby jakieś „potem”.

Raczej nie, gdyż „cień” miał broń. Lufa wycelowana prosto w głowę skutecznie studziła chęć ucieczki. Beth czuła dzikie pulsowanie krwi w skroniach i słabość w całym ciele. Próbowwała dojrzeć twarz „cienia”, lecz ten trzymał się z dala. Nie potrafiła nawet powiedzieć, czy jest mężczyzną, czy kobietą. Tak samo zresztą jak napastnik, który przyłożył jej nóż do gardła. Chociaż nie, to akurat musiał być mężczyzna. Nigdy by nie uwierzyła, że jakakolwiek kobieta, nawet najbardziej umięśniona i silna, byłaby w stanie chwycić kogoś tak mocno i ścisnąć tak boleśnie. Pocięszała się, że skoro żaden ze zbirów nie chce pokazać twarzy, nie mają zamiaru jej zabić. W śmiertelnym niebezpieczeństwie byłyby dopiero wtedy, gdyby któregoś z nich zobaczyła.

Na szczęście nie miała na to szans.

Obmierzły szept, który niespodziewanie zaczął sączyć się do jej ucha, również nie pomógł w identyfikacji.

- Potraktuj to jak ostrzeżenie. Odpuść sobie. Zapomnij o Calliope Key i o tym, że kiedykolwiek słyszałaś nazwisko Monoco. Jak nie, następnym razem zdechniesz. Nie radzę lecieć na policję. Jak się z nimi skontaktujesz, podpiszesz na siebie wyrok. Zresztą nie tylko na siebie. Nie zapominaj, że masz bratanicę. Zanim zdechniesz, zobaczysz jak ta słodka, śliczna

258

lalunia kona na twoich oczach. Uprzedzam, że nie żartuję. Będziesz miała jej krew na rękach. Dotarło? Czy dotarło? Nie była pewna. Strach zupełnie ją obezwładnił. Miała wrażenie, że zmienia się w bryłę lodu. Już wcześniej była przerażona, lecz gdy napastnik wspomniał o Amber, zupełnie straciła głowę.



Nagle mrok pustej ulicy rozjaśniły światła. Jakiś samochód podjechał pod jej dom i zatrzymał się z piskiem opon.

Poczuła mocne pchnięcie. Poleciała do przodu, a potem upadła na kolana i na brzuch. Gdzieś za nią zadudniły kroki. Napastnik rzucił się do ucieczki.

„Cień” też.

- Beth! - Od razu rozpoznała głos Keitha. W ułamku sekundy był przy niej. - Nic ci nie jest?

- Nic.

Kroki uciekających milkły w mroku.

Nawet nie próbowała się podnieść. Nieruchomo leżała na chodniku, czekając, aż uspokoi się oszalały rytm serca. Starła się głęboko oddychać. Powietrze nigdy dotąd nie wydało jej się bardziej wonne i słodkie. Pierwszą trzeźwą myślą, która zaświtała jej w głowie, była nagła świadomość tego, że żyje.

Drugą zaś, że strasznie potłukła sobie kolana.

Dźwignęła się niezdarnie, usiadła i dopiero po chwili wstała i pokuśtykała do drzwi. Nim zdążyła je otworzyć, usłyszała, że ktoś nadbiega. Krzyk przerażenia uwiązał jej gardle, lecz mężnie odwróciła się, by odeprzeć atak.

Na szczęście nie było to konieczne. Keith nie miał wobec niej żadnych złych zamiarów.

- Wezwij policję! - wysapał.

- Nie! - Odepchnęła go i szarpnąwszy drzwi, wpadła do domu. Wiedziała, że wszedł za nią, ale

zignorowała go i poszła prosto do kuchni, gdzie od razu nalała sobie kieliszek brandy. Potem oparła się ciężko o blat szafki, bo kolana bolały ją tak bardzo, że ledwie stała.

Keith podszedł do niej i położywszy ręce na jej ramionach, lekko nią potrząsnął.

- Beth, musisz zawiadomić policję!

- Nie!

- Zostałaś napadnięta, a te gnoje zdołały uciec. Sam nie przeszukam całej okolicy.

- Nie!

- Wobec tego ja zadzwonię.

Chciał sięgnąć po słuchawkę, ale złapała go za rękę.

- Nie, błagam, nie rób tego!

- Jeśli ci grozili...

- Ze mnie, to nieważne. Oni grozili Amber. Zawahał się.

- Bez względu na to, komu grozili, musisz zawiadomić policję - powtórzył, siłąc się na spokój.

- Nie ma mowy! Za nic w świecie nie narażę jej na niebezpieczeństwo. Uprzedzam, że jeśli po nich zadzwonisz, powiem, że mnie napastujesz!

- Nie zrobisz tego!

- Właśnie że zrobię. Keith, ja nie żartuję! Zaklął i odwrócił się do niej plecami. Wykorzystała to, żeby nalać sobie drugi kieliszek brandy. Mimo gniewu i niedawnej złości na niego cieszyła się, że z nią jest. Przy nim czuła się o wiele pewniej.

- Rozumiem, że skoro każesz mi dzwonić na policję, sam nie jesteś gliną? - powiedziała po chwili.

Odwrócił się gwałtownie.

- Nie jestem. Ale i bez tego wiem, że nie można nikomu bezkarnie grozić.

Sięgnęła po słuchawkę. Bynajmniej nie zmieniła

zdania; nadal nie zamierzała zawiadamić policji, ale czuła, że musi natychmiast porozmawiać z gliną. Z Ashley. Nie, lepiej jej w to nie mieszać. Przecież telefon może być na podsłuchu. Wątpiła, by napastnicy posunęli się tak daleko, ale wołała nie ryzykować.

Grozili, że zrobią krzywdę Amber. Koszmar!

Czy ma prawo ją narażać? Co za paskudny dzień! Najpierw znalazła na biurku czaszkę, więc jak pan Bóg przykazał, zadzwoniła po policję. I jaki był tego efekt? Taki, że wszyscy w jachtklubie uznali ją za nieszkodliwą wariatkę. Znając swoje szczęście, mogła śmiało zakładać, że znów trafi na posterunkowego Gartha. Wyobrażała sobie, jak przebiegłaby ich rozmowa.

- Jak wiesz, dziś już raz dzwoniłam na policję - przypomniała Keithowi. - I po tym doświadczeniu domyślam się, co mnie czeka, jeśli zrobię to jeszcze raz. „Jest pani pewna, że ktoś za panią stał? A może tylko się pani wydawało? Może tak naprawdę napastnik stał przed panią? Dlaczego pani nie wie, jak wyglądał? To na pewno był jakiś głupi żart”. Ja bym wtedy powiedziała: „Niech pan spojrzy na moje rozbite kolana”. A on mi na to: „Pewnie przestraszyła się pani jakiegoś krzaka, panno Anderson. Zaczęła pani uciekać, potknęła się pani o coś i upadła”.

- Beth, tym razem masz świadka. Mnie. Przecież ja też ich widziałem.

- Nawet ich goniłeś. Ale ci uciekli.

- Ta cholerna okolica to jedna wielka dżungla! Jak ktoś chce, bez trudu znajdzie sobie kryjówkę i szukaj wiatru w polu. Swoją drogą fakt, że uciekli, też wiele o nich mówi. Są tchórzliwi i łatwo ich spłoszyć.

- Wiem, nie jestem idiotką. Nie zapominaj, że tu chodzi o zdrowie i życie Amber.

Znów wziął ją za ramiona.

- Beth... Odsunęła się.
  - Gliniarze nic tu nie pomogą. Mam dość ludzi, którzy traktują mnie jak paranoiczkę i nie wierzą w ani jedno moje słowo. Dla mnie ważne jest tylko to, że Amber jest w niebezpieczeństwie.
  - Ty też, Beth. I to od dnia, w którym znalazłyście czaszkę, a dziewczyny wygadały się o tym przy ognisku.
  - Chcesz powiedzieć, że ktoś, kto był z nami na Calliope, jest zamieszany w morderstwo i dlatego ukrył czaszkę?
  - O ile ona w ogóle tam była.
  - No nie! Tylko nie ty!
  - Beth, wtedy na wyspie zorientowałem się, że próbujesz coś ukryć. Wróciłem na polanę i dokładnie ją przeszukałem.
  - A skąd wiedziałeś, czego szukać?
  - Nie wiedziałem. Ale gdyby była tam ludzka czaszka, na pewno bym jej nie przeoczył.
- Spojrzała mu twardo w oczy i wyczekująco uniosła brwi. Westchnął z rezygnacją.
- Okej, przyznaję, nie miałem wtedy dużo czasu. Ledwie zacząłem szukać, przyplątali się Masonowie. Ale zapamiętałem, gdzie stałyście, kiedy was zobaczyłem. Szukałem dokładnie w tym miejscu i na pewno coś bym znalazł. - Znowu ta nieszczęsna sugestia. „Gdyby coś tam było”. Nerwowo pokręcił głową, bardziej zły na siebie za to, że w nią wątpi, niż na nią, że upiera się przy swoim. - Beth, tamtej nocy ktoś urządził sobie podchody. Spodziewałem się tego, a raczej nawet na to czekałem. Wiem, że coś się tam wtedy działo. Ale...
  - Dzwonię do Ashley - oznajmiła zdecydowanym

251

tonem. - To moja przyjaciółka. Zna mnie od lat i wie, że nie jestem stukniętą panikarą. Zawahała się, a potem naląła sobie trzeci kieliszek brandy i szybkim ruchem podniosła do ust. Panikarą nie jest, ale akurat teraz potrzebuje czegoś dla kurażu.

Przełknęła alkohol, rozkoszując się jego ostrym palącym smakiem. Niestety, nadal nie wiedziała, co robić. Dylemat, w obliczu którego stanęła, zdawał się ją przerastać. Dotąd była święcie przekonana, że nie wolno dać się zastraszyć ani tym bardziej zaszantażować bandycie. Jednak...

Tu stawką jest życie Amber.

Sięgnęła po butelkę i naląła sobie kolejny kieliszek. Keith podszedł do niej i delikatnie próbował wyjąć go z jej dłoni. Obróciła się gwałtownie i przeszła go wściekłym spojrzeniem.

- To nie rozwiąże twoich problemów - zauważył cicho.

- Doprawdy? A co, jeśli można wiedzieć?

- Kontakt z policją.

- Pozwól, że sama zdecyduję, co robić.

- Beth, proszę cię, posłuchaj...

- Ani mi się śni. A tak w ogóle, to co ty tu jeszcze robisz? Nie masz żadnych pilnych spraw do załatwienia? Żadnych tajemniczych spotkań?

Najchętniej zaczęłaby go błagać, by nie odchodził i ją ochronił. Ale ona ma swoje życie, a on swoje.

Przecież nie może oczekiwać, że zostanie jej osobistym ochroniarzem. A nawet jeśli, to przecież nie byłby w stanie chronić jednocześnie jej i Amber. Nagle poczuła się jak zwierzę w pułapce. Wściekłe, zdezorientowane i przerażone.

- Nie mogę zostać. - Powiedział to w taki sposób, iż odniosła wrażenie, że jest zły na samego siebie.

Jego słowa podziały na nią jak kubek zimnej wody. Od razu przypomniała sobie, że nie powinna mu ufać, gdyż jest zawodnikiem, który prowadzi dziwne i tajemnicze gry.

- Przepraszam, ale jakoś sobie nie przypominam, że bym cię o to prosiła - wycodziła lodowatym tonem.

Spojrzał jej prosto w oczy, a potem sięgnął po telefon. Chwyliła go za rękę, lecz tym razem nie pozwolił odebrać sobie słuchawki.

- Nie bój się, nie dzwonię na policję - burknął.

- A do kogo? Odetchnął głęboko.

- Do Jake'a Dilessio.

Od razu go puściła i zrobiła kilka niepewnych kroków w tył.

- Ty znasz Jake'a i Ashley?

- Tak.

Nawet na nią nie spojrzał, tylko szybko wybrał numer.

- Cześć, Jake. Mówi Keith. Przepraszam, że proszę cię o to bez uprzedzenia, ale czy mógłbyś natychmiast przyjechać do Beth?

Spojrzała na niego spod zmrużonych powiek. Jake musi być jego dobrym znajomym. Czyżby zdradzili ją nawet wypróbowani przyjaciele?

Kiedy się rozłączył, zwarli się twardymi spojrzeniami.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytała.

- Mówiłem ci już, że jestem zawodowym nurkiem. Parę razy pracowałem w Miami.

- Dla policji?

- Też.

- To wszystko, co mi powiesz?

- Obawiam się, że tak.

- Przypłynąłeś na Calliope, żeby odnaleźć ciało?

- Nie.

- Więc po co?

- Jak tylko przyjedzie Jake, będę musiał wyjść, ale niedługo wrócę.

Odwróciła się do niego i poszła w stronę schodów.

- Nie fatyguj się. Znam Jake'a parę ładnych lat, w końcu to mąż mojej przyjaciółki. Ufam mu i wiem, że nie odmówi pomocy - powiedziała i nie obejrzawszy się ani razu, poszła na górę.

Jeśli Beth bała się, że pod jej dom zajedzie radiowóz na sygnale i wszystko się wyda, jej obawy się nie sprawdziły. Keith musiał przyznać, że on również odczuł ulgę, gdy niezawodna Ashely podwiozła męża rodzinnym samochodem z fotelikami dla dzieci na tylnym siedzeniu.

Szybko wprowadził kolegę w szczegóły.

- Stary, pogięło cię? Dzwonisz do mnie, zamiast kazać jej natychmiast wezwać policję? - zdenerwował się Jake.

- Słyszałem, że panna Anderson jest twoją dobrą znajomą, więc może sam spróbujesz ją do tego namówić. Życzę powodzenia.

- Zaraz z nią pogadam - zapewnił wojowniczo Jake.

Keith odetchnął. Skoro Jake Dilessio przejmuje ster, może spokojnie wrócić do swoich spraw. Miał cichą nadzieję, że kolega przemówi Beth do rozsądku.

- Postaram się wrócić najszybciej, jak się da - zapewnił.

Kiedy Jake zamknął za nim drzwi, nie poszedł prosto do samochodu, tylko ruszył w obchód po okolicy. Nie dawało mu spokoju, że napastnicy dosłownie

zapadli się pod ziemię. Owszem, stracił parę minut, sprawdzając, czy nic nie stało się Beth, ale mimo to nie powinni byli zniknąć bez śladu.

Czas naglił, bo zależało mu na spotkaniu z Mannym Ortega, ale nie zaznałby spokoju, gdyby przedtem nie sprawdził, gdzie mogli zniknąć bandyci.

Przeszedłszy parę kroków, skręcił w najbliższą ulicę. Po obu stronach ciągnęły się szeregowce, takie same jak ten, w którym mieszkała Beth. Pośród zwartej zabudowy wyróżniał się tylko jeden dom, znacznie starszy i większy od pozostałych, cofnięty w głąb ulicy i otoczony sporym ogrodem. Keith postanowił przyjrzeć mu się z bliska. Uzbrojony w kieszonkową latarkę, dokładnie obejrzał trawnik, jednak nie zauważył żadnych śladów. Chodząc w tę i z powrotem, rozglądał się bacznie, próbując zapamiętać jak najwięcej szczegółów.

Parę minut później spojrzął na zegarek. Późno. Pospiesznie wrócił do samochodu i pojechał spotkać się z Mannym.

- Wiesz, chłopie, dlaczego jeszcze niczego nie znaleźliśmy? - Lee oderwał wzrok od ekranu komputera i skupił się na leżących przed nim mapach.

- Bo szukamy tego gówna nie tam, gdzie trzeba? Matt nie czuł się na siłach rozwiązywać żadnych zagadek. Zniechęcony leżał na sofie pośród stosu poduszek, o które wsparł udręczoną głowę.

Poczucie winy dopadło go ze zdwojoną siłą w chwili, gdy Lee wrócił z nocnej eskapady. Co prawda twierdził, że nie zdobył żadnych cennych informacji, ale przynajmniej zwiedził najlepsze nocne kluby Miami. A on co?

Czul, że nadchodzi chwila prawdy. Przecież wcześniej czy później musi im o wszystkim powiedzieć.

266  
„Jeszcze nigdy nie przeżyłem takiej jazdy. Sorry, chłopaki. Sam nie mogę uwierzyć, że mnie podpuściła i wykorzystała jak naiwnego małolata”.

- On tu jest! Ja to wiem! - mówił tymczasem Lee. - Pewnie rozleciał się na kawałki i zarósł koralowcami.



- To dlaczego nie możemy go namierzyć? - zapytał Matt.

- Też bym chciał wiedzieć.

Matta znów dopadły wyrzuty sumienia. Mimo to nie odezwał się słowem.

- Jasna cholera! - zaklął niespodziewanie Lee.

- Co jest?

W telewizji nadawano właśnie wiadomości. Lee sięgnął po pilota i nastawił głośniej; nie chciał, by umknął mu jakikolwiek szczegół informacji o utonięciu nurka.

- Jeszcze jeden... - mruknął.

- Przecież nie było mowy o tym, że utopił się w rejonie Calliope Key - zauważył przytomnie Matt.

- Pora ruszyć tyłki i wracać na tę cholerną wyspę - stwierdził Lee. - Jeśli Keith myśli, że w jachtklubie dowiemy się czegoś ciekawego, to chyba kompletnie zgłupiał. Powinniśmy być tam, a nie tutaj. To przecież oczywiste! Musimy obserwować, węszyć. Niech to wszystko jasny szlag! A tak w ogóle, to gdzie ten czubek znowu polazł?

Gdy Keith wrócił pod dom Beth, w jej oknach nie paliło się żadne światło. Rzadko odczuwał lęk, tym bardziej więc denerwowało go, że wbrew swej naturze zaczyna panikować. Zadzwoił do niej, ale nie odebrała. Gdzie ona jest, do cholery? I gdzie jest Jake? Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, zdesperowany zaczął mówić, choć czuł się przy tym jak idiota:

256

- Jake, do jasnej cholery, odbierz telefon. Beth? Nie musisz mnie wypuszczać do domu, jeśli nie chcesz mnie widzieć, ale odbierz. Widzę twój samochód, więc wiem, że tam jesteś. Jeśli zaraz nie odbierzesz, wezwę policję.

- Słucham.

- No nareszcie! - odetchnął z ulgą.

- Czego chcesz? - Przymiotniki „chłodny” i „niechętny” były zbyt słabe, by opisać jej ton.

- Wszystko w porządku?

- Tak. A jak miałoby być, skoro jest ze mną Jake?

- Nie odbieraliście telefonu - powiedział z wyrzutem.

- Jake poszedł do łazienki, a ja nie mam ochoty z tobą rozmawiać. Zwłaszcza o tej porze.

- Beth, przykro mi, że tak wyszło. Musiałem załatwić ważną sprawę, ale wiedziałem, że z Jakiem będziesz bezpieczna. Rozumiem, jest późno, ty jesteś zmęczona, ale naprawdę musimy porozmawiać.

- Nie zgłoszę niczego na policję. A ty... nie masz mnie za co przepraszać. Pomogłeś mi, przegoniłeś tych zbirów. Teraz jest ze mną przyjaciel, więc nie ma powodu, żebyś czuł się nie w porządku. Wszyscy mamy swoje sprawy, prawda? W tej chwili nie chcę cię widzieć ani z tobą gadać.

- Beth... - Zawiesił głos. Żałował, że nie może niczego jej wyjaśnić. - To był dziwny dzień...

- Posłuchaj, chcę zostać sama. Z Jakiem nic mi nie grozi - powiedziała i rozłączyła się.

Przez kilka sekund siedział z telefonem w dłoni, myśląc o tym, jak chłodno go potraktowała. A czego się spodziewał, do cholery?

W tej chwili było to najmniej ważne. Nie mógł się zmusić do odjazdu. Dręczyła go świadomość, że żaden

268

problem nie został rozwiązany. Jake ma pracę i rodzinę, więc nie może rzucić wszystkiego, żeby jej pilnować.

Z zamyślenia wyrwał go dzwonek komórki. Odebrał od razu, myśląc, że to Jake.

- Co z tobą, do cholery? - burknął rozzłoszczony Lee.
  - Jestem zajęty. Co jest?
  - Pętla się zaciska. Przed chwilą podali w wiadomościach, że znaleźli kolejnego martwego nurka. Musimy wracać - powiedział cicho.
  - Wiem, że musimy, ale na razie nie mogę. Potrzebuję jeszcze trochę czasu.
- Lee długo nic nie mówił.
- Jakiś czas temu powiedziałem ci, że musimy skupić się na jednym. Mamy kontrakt i tylko to się liczy.
  - Przyjadę, jak tylko będę mógł.
  - Keith, czy rozumiesz, co mówię? Musimy natychmiast wracać na rafę.
  - I wrócimy. Jak tylko uda mi się rozwiązać pewien problem.
  - Słuchaj, stary, musimy poważnie pogadać. - Ton, jakim zostały wypowiedziane te słowa, zdradzał, że Lee jest wściekły. - Mamy robotę i w tej chwili tylko ona powinna cię obchodzić, a nie rozwiązywanie problemów tego świata. Jutro rano musimy być z powrotem na rafie.
  - Gdzie jesteście?
  - Cały czas w tym samym miejscu. Czekamy.
  - Niedługo wrócę.
  - Pospiesz się.

Keith rozłączył się i zaczął analizować sytuację. Po chwili znów zadzwonił do Beth. Czekając, aż odbierze,

jeszcze raz przypominał sobie najważniejsze fakty. Ktoś ją zaatakował, a przedtem ktoś podrzucił czaszkę na jej biurko. To nie mógł być przypadek.

Cholera, dlaczego nie potrafi znaleźć ogniwa, które łączy te zdarzenia? Przymknął oczy. Jeśli nie wiadomo, o co chodzi, na pewno chodzi o pieniądze. W tym przypadku ogromne. Może rację miał Mike, kiedy mówił, że tam, gdzie są pieniądze, zwykle jest też korupcja.

Beth nie odbierała, a on chciał, wbrew obowiązującej go tajemnicy służbowej, co nieco jej wyjaśnić. Miał gdzieś ewentualne konsekwencje. Znow włączyła się automatyczna sekretarka.

- Wiem, że jesteś na mnie zła. Rozumiem, masz do tego prawo. Chcę jednak, żebyś wiedziała, że bardzo się o ciebie martwię. Oboje wiemy, że Jake nie może z tobą siedzieć w nieskończoność. Jestem pewny, że ktoś cię dzisiaj śledził. Kiedy wyszłaś od Nicka, zaraz za tobą poszło dwoje ludzi.

Widziałem to i dlatego za tobą pojechałem. Beth, to była para. Kobieta i mężczyzna. Niewykluczone, że to Sandy i Brad w przebraniu. Jeśli oni naprawdę są piratami, mogą być bardzo niebezpieczni. - Zrobił pauzę. - Mają na swoim koncie morderstwo. Jake prędzej czy później musi wrócić do domu. Nie możesz zostać tu sama.

- O co ci chodzi? - zapytała, niespodziewanie podnosząc słuchawkę. - Skoro tak się o mnie martwisz, to dlaczego gdzieś sobie poszedłeś? A teraz wracasz i odgrywasz mojego anioła stróża?

- Miałem spotkanie, z którego nie mogłem zrezygnować. Poza tym od razu ci powiedziałem, że wrócę. Posłuchaj, skoro masz się ze mną kłócić, oddaj słuchawkę Jake'owi, bo szkoda naszego czasu. Proszę cię...

270

Przysięgam, że gdybym wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, powiedziałbym ci.

W odpowiedzi usłyszał odgłos zniecierpliwienia.

- Beth, jak tylko będę mógł, wszystko ci wyjaśnię. A na razie... bardzo cię proszę, spakuj parę rzeczy i jedź do Ashley i Jake'a. Nie odjadę stąd, dopóki nie zobaczę, jak wsiadasz z nim do samochodu - dodał po chwili milczenia.

- W porządku. - Od razu się rozłączyła. Jednak po chwili zadzwoniła.
- Beth?
- Nie, Jake. Chcę ci tylko powiedzieć, że dała się przekonać. Jedziemy do mnie.
- Dzięki.
- Nie udało mi się jej namówić, żeby zawiadomiła policję. Próbowałem wszystkiego z wyjątkiem siły
- westchnął.
- Pilnuj jej, okej?
- Masz to jak w banku.

Keith przygotował się na długie czekanie, tymczasem nie minęło dziesięć minut, gdy Beth i Jake wyszli z domu i wsiedli do samochodu. Jake machnął do niego, za to Beth zupełnie go zignorowała. Ruszył za nimi, a gdy miał pewność, że kierują się w stronę nabrzeża, zadzwonił do Lee.

- Będę za dziesięć minut. Weź ponton i przyłyń po mnie. Będę czekał na pomoście obok tawerny Nicka.

- Super. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że już ci starczy rozrywki na dziś - zadrwił Lee.

Keith rozłączył się bez słowa.

Zaczekał, aż Beth zaparkuje i wyjmie swoje rzeczy z bagażnika. Wsiadł dopiero, gdy zobaczył, że idzie z Jakim w stronę zaplecza. W tawernie był tłum, jak

zawsze w sobotni wieczór. Pośród tak wielu ludzi nie może spotkać jej nic złego. Boże, błagam, spraw, żeby nic się nie stało, westchnął w duchu.

Ze swego miejsca widział, jak Ashley z młodszym dzieckiem na rękach przeciska się do nich między stolikami. Gdy się spotkali, ruszył w stronę pomostu. Po chwili usłyszał charakterystyczny warkot silnika. Tak jak się umówili, Lee przyплыł po niego pontonem.

- Żadnych przygód, tak? - mruknął pogardliwie, przybiwszy do pomostu. Nawet gdyby nie odezwał się słowem, jego spojrzenie powiedziałooby wszystko. -Dobre sobie! Przyплыliśmy tu po informacje, a nie żebyś miał rozrywkę.

- Odsuść sobie. Zbierajmy się.

- Patrzcie, i kto to mówi? Ty się lepiej skup na nagrodzie, koleś.

- Spadaj, koleś. I pierdol się. Nagroda się zmieniła.

Beth nie miała wątpliwości, że ma za sobą najdłuższy i najbardziej zwariowany dzień swojego życia. Kiedy wreszcie znalazła się w mieszkaniu przyjaciół, czuła się tak zmęczona i sfrustrowana, że miała ochotę krzyczeć. Nie wiedziała tylko na kogo najpierw.

- Okłamałaś mnie! - warknęła oskarżycielsko w stronę Ashley.

- Nie zrobiłam tego celowo...

- Próbowałem jej to wyjaśnić - powiedział Jake, zwracając się do żony. - Tłumaczyłem na setki sposobów. I nic.

- Przestań! Przecież znacie mnie nie od dziś i wiecie, że gdybyście mi kazali siedzieć cicho, nie pisnęłabym słówka. - Beth nie zamierzała ukrywać, że zabolął ją brak zaufania z ich strony. - Powiecie mi w końcu,

272

co tu jest grane? Wiem, że nie zakumplowalibyście się z żadnym kryminalistą, a Keith twierdzi, że nie jest gliniarzem. Więc kim jest, do jasnej cholery? - zapytała, nieświadomie podnosząc głos.

- Ciii! Obudzisz dzieci! - syknęła Ashley.

- Przepraszam, naprawdę nie chcę sprawiać wam kłopotu, ale...
- Skrzywiła się. Tu chodzi o bezpieczeństwo Amber. Najgorsze, że Keith potwierdził jej podejrzenia. Ona też zwróciła uwagę na dziwną parę, która wyszła za nią od Nicka. Niestety, nie zorientowała się, że ją śledzą. Pewnie siedzieli jej na ogonie przez cały dzień i stąd wiedzieli, gdzie mieszka. Modliła się, by się nie okazało, że tutaj też ją odnajdą. Nagle zdała sobie sprawę z powagi sytuacji, i spojrzawszy na Jake'a, powiedziała cicho:
- Chciałabym, żeby ktoś po cywilnemu pilnował mojej bratanicy. Od zaraz. Zgodziłam się tu przyjechać tylko dlatego, że nikt prócz was nie może mi pomóc. A ja muszę zrobić wszystko, żeby zapewnić Amber bezpieczeństwo.
- Amber?
- Tak. Jake, masz tylu kumpli, poproś któregoś, żeby miał ją na oku. Pokryję wszystkie koszty. Jest tylko jeden warunek. Ben nie może się o tym dowiedzieć. Boję się, że narobi głupstw.
- Czy ktoś mógłby mi wreszcie powiedzieć, co tu się dzieje? - zapytała zirytowana Ashley.
- Beth została napadnięta - wyjaśnił Jake.
- Raczej nastraszona.
- Na szczęście Keith zjawił się w porę i wypłoszył łobuzów.
- Nie zgłosiłaś tego na policję? - Ashley nie mogła wyjść ze zdumienia.

- A daj spokój! - jęknął zrezygnowany Jake. - Ja ją prosiłem, prosił Keith. I nic.
- Zagrozili, że zrobią krzywdę Amber - powiedziała Beth zdławionym głosem. - Więc nawet nie próbujcie mnie namawiać, żebym włączyła w to policję. Proszę was, pomóżcie mi.
- Beth, czy możesz po kolei opowiedzieć nam o wszystkim, co się dziś wydarzyło? - poprosił Jake. Zrobiła to, starając się nie pominąć żadnego szczegółu. Kiedy zaczęła mówić o tym, jak znalazła czaszkę w swoim biurze i kazała wezwać policję, znów dała się ponieść emocjom.
- Ten cholerny gliniarz kompletnie mnie zlekceważył, potraktował jak jakąś idiotkę. Dlatego wybaczenie, ale nie zamierzam więcej rozmawiać z żadnym gliną, w każdym razie oficjalnie. A ty, Ashley, mnie okłamałaś! - powtórzyła, coraz bardziej rozgoryczona. - Pytałam, czy znasz Keitha, a ty zaprzeczyłaś.

Ashley spuściła wzrok.

- Beth, nam naprawdę nie wolno... - zaczął Jake, ale Ashley nie pozwoliła mu dokończyć.
- Starczy tych zagadek - rzekła znużonym głosem. - Sam pomyśl, co Beth może zrobić z tymi informacjami? Umieścić je w Internecie? - szydziła.
- Keith rzeczywiście nie jest policjantem. Tak naprawdę jest...
- Tylko mi nie mów, że instruktorem nurkowania!
- ostrzegła ją Beth.
- Ależ on jest instruktorem! - obruszył się Jake. Zanim Beth zdążyła wrzasnąć z bezsilnej złości, Ashley, widząc, co się święci, pospieszyła z wyjaśnieniami:
- Keith pracuje w firmie, która specjalizuje się

274

w podwodnych akcjach ratunkowych i poszukiwawczych, a także eksploracji wraków i wyławianiu cennych przedmiotów z zatopionych jednostek.

Beth spojrzała na nią w taki sposób, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

- I nie mogłaś mi tego powiedzieć wcześniej? - zapytała z niedowierzaniem.



- Nie - rzucił zniecierpliwiony Jake. - Choć znamy Keitha od dawna, nie wiemy o nim wszystkiego. Teraz też nie mamy pojęcia, jakie ma zadanie. Jego firma często dostaje zlecenia od rządu. Możliwe, że obecnie robią coś dla agencji federalnych albo państwowych. Nigdy go o nic nie pytam, bo wiem, że obowiązuje go tajemnica służbowa. Tak naprawdę mało kto wie, kim on naprawdę jest. To ważne, gdyż często działa incognito i nie może dopuścić, żeby ktoś go zdekonspirował. Dlatego jeśli sam nic nie mówi, ja to szanuję i nie pytam. Za nic nie chciałbym narazić na szwank jego pracy, a tym bardziej życia.

- Ale dlaczego sam mi o tym nie powiedział?

- Beth kręciła głową z niedowierzaniem. - Dlaczego mi nie zaufała?

- Beth, jeśli ktoś wykonuje tajne zadanie, nie może o tym chlapać na prawo i lewo. Nie wolno mu powiedzieć o tym nikomu. Może się tylko modlić, żeby przypadkiem nie natknąć się na ludzi, którzy go znają. A jak ma pecha i ich spotka, to się modli, żeby go nie sypnęli.

- A niby komu miałabym zdradzić jego sekrety?

- zirytowała się Beth.

- Nie mówię, że zrobiłabyś to celowo - zastrzegł Jake. - Ale coś mogłoby ci się wyrwać przypadkiem, choćby w rozmowie z Benem. Przecież widzisz, że to nie żarty. Te gnoje zaczęły grozić Amber.

- Jake, błagam, znajdź kogoś, kto będzie jej pilnował - poprosiła Beth.

- Jasne. Już się robi.

Kiedy wyszedł, by się tym zająć, Beth postanowiła porozmawiać z Ashley, na którą wciąż była zła.

- Powinnaś była mnie uprzedzić - powiedziała z pretensją w głosie.

- Beth, policjant nie może myśleć w taki sposób. Tajemnica służbowa to tajemnica. Trzeba nauczyć się trzymać gębę na kłódkę. I tyle.

- W porządku. Stało się. Teraz posłuchaj, co ja ci powiem na temat Brada i Sandy, choć wątpię, żeby to były ich prawdziwe imiona. Otóż oni kradną jachty i mordują ludzi. Wiele wskazuje na to, że zmienili wygląd i przyплыnęli do Miami, żeby upatrzeć sobie nową ofiarę. Chyba zaczęli podejrzewać, że jakimś cudem ich rozszyfrowałam, więc na mnie napadli. Niestety, uciekli i gdzieś się ukryli, ale Keith, o ile naprawdę ma tak na imię, pojechał, żeby spotkać się z kimś, kto może pomóc ich złapać. Zastrzegam, że to tylko moje przypuszczenia, bo nie mam pojęcia, dokąd pojechał i z kim się widział.

- Mówiłam ci przecież, że rozesłano za nimi list gończy.

- I co z tego? Jakoś się tyrnnieprzejęli, skoro tu są. A na Calliope naprawdę widziałam czaszkę. Keith przyznał się, że po naszym pierwszym spotkaniu przeszukał miejsce, w którym ją znalazłam. Może wiesz, czy to on ją stamtąd zabrał? Albo schował gdzie indziej? I czy to były szczątki Teda albo Molly?

- Nie mam pojęcia. - Ashley bezradnie pokręciła głową.

- Za to ja mam zadatki na świetnego detektywa - stwierdziła Beth z gorzką ironią. - Wydedukowałam, 265

że w sprawę ich zaginięcia musi być zamieszany Eduardo Shea, albo ktoś, kto zarabia na szkołach tańca. A najlepiej, żeby winną okazała się Amanda. Taka wersja chyba najbardziej by mi odpowiadała.

Nagle umilkła. Czy możliwe, by Keith rozpracowywał Amandę, a ona, nieświadoma, kim naprawdę jest, źle odczytała jego intencje i posądziła go o flirt?

- Sprawa załatwiona. Amber jest już bezpieczna. Ręczę, że włos nie spadnie jej z głowy - oznajmił Jake, wróciwszy do pokoju.
- Jake, zapłacę każdą sumę, ale muszę być pewna, że tym ludziom można ufać.
- Skontaktowałem się z kolegami, którym bez wahania powierzyłbym życie swoje i rodziny. Zgodzili się wyświadczyć mi przysługę, więc o nic nie musisz się martwić.
- Łatwo ci powiedzieć. Wiem jedno: dopóki Sandy i Brad nie trafią za kratki, Amber musi mieć ochronę.

Nagle ogarnęło ją ogromne znużenie. Po silnych emocjach, które dopiero co przeżyła, energia uszła z niej jak powietrze z przekłutego balonika.

- Dobrze się czujesz? - zaniepokoiła się Ashley. - Strasznie zbladłaś.

Beth obojętnie wzruszyła ramionami.

- Dobrze, że przynajmniej nie jest żadnym kryminalistą - odparła trochę bez związku.

- Keith? - domyśliła się Ashley. - Ręczę, że pod tym względem jest czysty jak kryształ.

- A sytuacja jest naprawdę pod kontrolą-pocieszał ją Jake. - FBI, miejscowa policja, straż przybrzeżna, wszyscy szukają Sandy i Brada. I prędzej czy później na pewno ich złapią.

Beth zmusiła się do uśmiechu. Jasne, że złapią. Tylko kiedy?

Ashley i Jake położyli się spać, ale ona wciąż była zbyt wzburzona, by zasnąć. Dla zabicia czasu weszła do Internetu i zaczęła wyszukiwać informacje o Calliope. Zaskoczyło ją, jak wiele napisano o tej wyspie. Okazało się, że wcale nie jest to tak odludne i mało znane miejsce, jak sądziła. Na wyspie lądowali wszyscy wielcy żeglarze, poczynając od Krzysztofa Kolumba. W ciągu wieków ten kawałek lądu, niczym cenne trofeum, przechodził z rąk do rąk. Najpierw rościli sobie do niego prawa Hiszpanie, potem Anglicy, wreszcie Amerykanie.

Znamienna była również nazwa wyspy, którą otrzymała na cześć pięknej Kaliope, jednej z muz. Widocznie urokliwy skrawek lądu, ocieniony pióropuszcami palm, wśród których szumiał wiatr, wabił żeglarzy niczym syreni śpiew. Płynąc ku zielonym brzegom, biedacy nie mieli pojęcia o tym, że wyruszyli na spotkanie śmierci.

Trudno byłoby policzyć wszystkie wraki spoczywające po dziś dzień na morskim dnie wokół wyspy. Czytając o nich, Beth natknęła się na interesujący fragment dotyczący bitwy pomiędzy dwoma statkami, angielskim *Sea Star* i hiszpańską *La Doña*. Pierwszym dowodził kapitan Pierce, drugim kapitan Alonzo Jimenez. Nikt nie przeżył krwawej potyczki. Zginęli nawet Bogu ducha winni podróżni, którzy płynęli do hiszpańskich portów w Ameryce Środkowej i Południowej.

Beth długo wpatrywała się w ekran.

Opowieść o duchach, którą Keith uraczył ich pierwszego wieczoru, była oparta na faktach.

Nagle dotarło do niej, iż Keith opowiedział ją w jakimś celu. Tylko w jakim? Poszukiwacze skarbów z upodobaniem przeczesywali dno morskie u wybrze-

278

ży Florydy, gdyż wiadomo było o licznych statkach, które tu zatoneły i dotąd ich nie odnaleziono.

Czarna legenda Trójkąta Bermudzkiego też zrobiła swoje.

Po chwili wróciła do artykułu i przeczytała go ponownie, tym razem bardzo dokładnie. Oba statki poszły na dno wraz ze złotem oraz cennymi ładunkami, które wiozły. Dziś trudno byłoby oszacować dokładną wartość skarbu, lecz na pewno sięgałaby ona milionów dolarów.

Za taką sumę warto zginąć. A nawet zabić.

Stali na kotwicy w zatoce.

- W porządku. Sandy i Brad to rozbójnicy - podsumował Matt, krążąc po kajucie. - Napadają na ludzi, kradną im jachty, żeby potem odholować je do dziupli i tam przemałować i zmienić papiery.

Wszystkie możliwe służby depczą im już po piętach i pewnie niebawem ich dorwą. Więc w czym problem? Chyba możemy już wytoczyć najcięższe działa i zacząć używać profesjonalnego sprzętu do podmorskich poszukiwań?

- Rano będziemy z powrotem na rafie. Tym razem musimy go znaleźć - powiedział Lee z naciskiem. - W głowie się nie mieści, że dotąd nam się nie udało!

- A może mamy złe współrzędne? - podsunął Matt.

- Niemożliwe! - odparł stanowczo Keith. Wiedział, co mówi, bo ostatecznie nie kto inny tylko on dokładnie przestudiował wszystkie wzmianki dotyczące wraku i na ich podstawie wyliczył jego przypuszczalne położenie. Wziął przy tym pod uwagę wszystkie większe sztormy, które nawiedziły ten rejon. Nie pominął ani jednego przypływu czy odpływu. W swoich wyliczeniach uwzględnił również nowe dane, które rząd amerykański otrzymał od Niemców.

268

- Jak myślicie, dlaczego Sandy i Brad nie próbowali ukraść tego jachtu? - zapytał kolegów.
- Bo ryzyko jest zbyt duże. Po pierwsze to kawał łodzi, po drugie jest nas trzech, a wokół mnóstwo ludzi, czyli potencjalnych świadków - wyliczał Lee.
- No tak, a ich tylko dwoje, biedaczków - rzucił szyderczo Keith. - Widocznie potrafią zgrywać twar-dzieli, jak są uzbrojeni i trafią na emerytów albo pojedynczego nurka...
- Ale długo się koło nas kręcili - przypomniał im Matt.
- Może czekali na dobrą okazję - podsunął Lee. - Liczyli, że w końcu odkryją nasz słaby punkt.
- Więcej się tu nie pokażą - stwierdził Matt z przekonaniem. - Pewnie już wiedzą, że mają gliny na karku.
- Kto ich tam wie... - westchnął Keith.
- Cholera, ja po prostu nie mogę pojąć, dlaczego wciąż drepczemy w miejscu? - zirytował się Matt.
- Dlatego, że pracujemy dla firmy, która realizuje rządowy kontrakt, więc nie mamy pełnej swobody działania - wyjaśnił cierpliwie Keith. - Poza tym kolejny nurek stracił życie.
- I co z tego? Przecież gość wcale nie musiał nurkować w tym rejonie - zauważył Matt. - Mało to dupków zakłada akwalungi i udaje chojraków?
- Akurat ten facet miał spore doświadczenie - przypomniał mu Keith.
- Ale nie miał wypasionego jachtu.
- Nieszczęścia chodzą po ludziach. Wypadki się zdarzają - zauważył Lee filozoficznie. Keith powstrzymał się od komentarza. On dziś widział zwłoki. Żaden nieszczęśliwy wypadek nie wchodził tu w grę.

280

W niedzielnej gazecie pojawiło się doniesienie o odnalezieniu ciała nurka, który utonął w rejonie Keys.

Beth nie mogła oderwać się od tej krótkiej wzmianki. Przeczytała ją setki razy, a gdy tylko Ashley otworzyła oczy, podsunęła jej gazetę pod nos.

- Beth... - jęknęła zaspana - nie wszystkie tragedie na tym świecie mają jakiś związek z zaginionym małżeństwem i porywaniem jachtów. Przecież ci zbroje nie mogą być w kilku miejscach naraz.
- Ale zjawili się w Miami, choć to z ich strony czysty idiotyzm.
- Niekoniecznie. Miasto jest przecież olbrzymie, luksusowych jachtów w bród. Poza tym pod latarnią zawsze jest najciemniej - przypomniała. - Z tego, co tu piszą, ten nurek nie miał atrakcyjnej łodzi. Poza tym... ludzie są strasznie ograniczeni. Byliśmy kiedyś z Jakiem na nurkowaniu, razem z grupą schodziliśmy na wrak *Duane*. Jeden z uczestników był w kiepskiej kondycji i nie powinien schodzić tak głęboko. Ale zszedł. Źle się poczuł, spanikował i wyskoczył na powierzchnię. No i po człowieku. Zdarza się.
- Wiem.
- Co zamierzasz dziś robić? - zapytała Ashley, żeby zmienić temat.
- Poza tym, że będę umierała ze strachu o Amber?
- odparła Beth w przyływie czarnego humoru.
- Przestań! Po pierwsze już ci mówiliśmy, że niedługo ich złapią, a po drugie Amber jest pod świetną opieką. A tak w ogóle to masz prawo się bać. I złościć.
- Jestem zła między innymi dlatego, że się boję
- wyznała Beth. - I to akurat teraz, kiedy mam mnóstwo pracy przed imprezą.
- Jeśli chcesz, poprosimy któregoś z naszych

kumpli, żeby dyskretnie zainstalował się w jachtklubie

- zaproponowała Ashley.

- Ashley, nie mogę pozwolić, żebyście z mojego powodu nadużywali uprzejmości swoich kolegów. Czułabym się lepiej, gdybym mogła im zapłacić.

Ashley wzruszyła ramionami.

- Gdybyś się zgodziła zawiadomić policję...

- Nie! Nie będę ryzykowała życia Amber.

- Beth, posłuchaj...

- Powiedziałam nie! Wystarczy, że zawiadomiłam ich o czaszce na biurku. I jak na tym wyszłam?

- Ale tu chodzi o coś zupełnie innego.

- Nie szkodzi. Miejmy nadzieję, że niedługo ich złapią. - W głosie Beth nie było wielkiej nadziei.

- Przepraszam cię na chwilę - powiedziała, wstając, gdyż zadzwoniła jej komórka.

- Gdzie ty jesteś, do cholery? - warknął na nią Ben.

- U Ashley.

- Nie mogłaś dać znać, że się do niej wybierasz? I co tam robisz tyle czasu? Pilnujesz dzieci?

- Coś w tym rodzaju. - Przez chwilę miała ochotę powiedzieć mu prawdę. Nie znosiła kłamać, zwłaszcza rodzonemu bratu. Jednak chwilowo... - Co tam u was? Stało się coś, że dzwonicz?

- Amber się o ciebie martwi - odparł, nie kryjąc irytacji. - Nie mam pojęcia, z jakiego powodu, bo nie chce mi nic powiedzieć. Postanowiłem wymyć kadłub jachtu, więc zabieram ją na cały dzień do klubu. Przyjedziesz?

- Zaczekaj chwilę. Ashley, zjesz ze mną lunch w klubie?

- Jasne. Pod warunkiem, że znajdę opiekunkę.

- Przyjadę - obiecała Benowi, choć tak naprawdę wcale nie miała na to ochoty. Najchętniej zamknęłaby



się w domu i zagłębiła w swoich lękach i obsesjach. Na szczęście zdawała sobie sprawę, że to najgłupsze, co może zrobić. Rozsądek podpowiadał, że musi zaufać przyjaciołom i cierpliwie czekać, aż Sandy i Brad wpadną w ręce policji.

Ashley bez wątpienia miała rację, mówiąc, że pod latarnią jest najciemniej. Dlatego złodziejska para na pewno nie zaszyje się na odludziu, tylko będzie próbowała wmieszać się w tłum. I na pewno przyjdzie tam, gdzie można spotkać żeglarzy. I obejrzeć jachty.

Keith słyszał monotonny szum własnego oddechu. Był na głębokości stu trzydziestu metrów i przemieszczał się wzdłuż rafy, która z niewielkimi przerwami ciągnęła się na odcinku półtora kilometra.

Towarzyszył mu Matt; Lee został na jachcie.

Płynęli równo, oddaleni od siebie o sześćdziesiąt metrów, i skrupulatnie badali wytypowany obszar. Keith cały czas bacznie się rozglądał, ale myślami był gdzie indziej. Odtwarzał w pamięci szczegóły rozmowy z Mannym Ortega, który czekał na niego w dziale wędkarskim dużego sklepu żeglarskiego.

- Dostał pan mój numer od Teda Monoco? - Keith nie posiadał się ze zdumienia. To, co usłyszał, wydało mu się nie tylko zaskakujące, ale i podejrzane.

Manny Ortega wzruszył ramionami.

- Pan nigdy nie słyszał o Tedzie, ale on o panu tak. Cztery lata temu brał pan udział w akcji ratunkowej na bagnach Everglades. Rozbiła się tam awionetka, którą lecieli jego przyjaciele. Razem ze swymi ludźmi uratował pan ich córkę - wyjaśnił Manny. - Podczas naszego ostatniego spotkania Ted dał mi numer do pana biura w Wirginii, ale kiedy zadzwoniłem, powiedzieli mi, że wykonuje pan zlecenie i nie wiadomo,

kiedy pan wróci. W tej sytuacji zdecydowałem się powiadomić policję o zniknięciu Teda i Molly, jednak nasi stróże prawa zbyli mnie, mówiąc, że w naszym demokratycznym kraju dorosły obywatel ma prawo zniknąć, jeśli taka jego wola.

Urwał, wyraźnie poruszony, lecz szybko się opanował i podjął wątek:

- Jak już wspomniałem, Ted dał mi pana numer podczas naszej ostatniej rozmowy. Twierdził, że wpadł na ciekawy trop. Nie przypominam sobie, żeby mówił, że się czegoś boi. Za to pamiętam, że był niezwykle przejęty. Szybko zapomniałem o tamtej rozmowie, lecz kiedy Ted wbrew swym zwyczajom długo nie dawał znaku życia, zacząłem się denerwować. Właśnie wtedy próbowałem się z panem skontaktować. W końcu dałem za wygraną i wytłumaczyłem sobie, że nic więcej nie mogę zrobić. I wtedy niespodziewanie pana spotkałem.

- A jak pan zdobył numer mojej komórki?

- Nie było to wcale trudne. Dał go pan Laurie Green, tej dziewczynie, którą pan wtedy uratował.

Zadzwoń do niej i poproszę, żeby mi go podała.

- Rozumiem. W czym mogę panu pomóc?

- Proszę odnaleźć Teda i Molly. Żywych lub martwych. Nie ukrywam, że moim zdaniem to drugie jest bardziej prawdopodobne.

Wystraszona płaszczka poderwała się dna i umknęła, wzbijając chmurę piasku i mułu. Widoczność w promieniu kilku metrów została w ten sposób znacznie ograniczona. Zaskoczony Keith ocknął się z zamyślenia i na nowo skupił na tym, co robi. Ponieważ woda wciąż była mętna, postanowił przenieść się w inne miejsce.

273

Już miał odpłynąć, gdy kątem oka dostrzegł coś, co przykuło jego uwagę. Coś czarnego, co z całą pewnością nie było fragmentem rafy.

Powoli zawrócił i czekał, aż muł i piasek opadną. Wtedy ostrożnie, z wyuczoną cierpliwością, która w jego fachu była niezbędna, zbadał dłońmi wybrane miejsce.

Tym razem wysiłek nie poszedł na marne, gdyż szybko namacał jakiś przedmiot. Delikatnie opłukał go z piasku i podniósł do oczu.

To, co zobaczył, wyglądało jak pokryty skorupą, duży czarny guzik. Lecz z pewnością nim nie było. Keithowi zabiło mocniej serce. Żeby mieć stuprocentową pewność, musi zabrać swoje znalezisko na jacht, jednak podświadomie już teraz wiedział, co ściska w dłoni.

Spojrzał w stronę Matta, który już się zorientował, że coś znalazł. Przez chwilę kusiło go, żeby rzucić to coś z powrotem w piach i przecząco pokręcić głową.

Mógłby wrócić po to później, sam. Przez cały czas miał w pamięci ostrzeżenia Mike'a, który był przekonany, że ktoś ich rozpracowuje od środka...

Manny Ortega przeczuwał, że Ted i Molly nie żyją. Keith podzielał jego obawy, tyle że nie wierzył, by zginęli z powodu swojego jachtu. Był raczej skłonny uwierzyć, że musieli umrzeć, gdyż odkryli coś w pobliżu Calliope Key.

Za długo zwlekał.

Matt podpłynął do niego, pokazał mu więc, co znalazł. Matt najpierw długo przyglądał się przedmiotowi, a potem skinął głową i zaczął metodycznie przeszukiwać miejsce, które mu wskazał.

Keith ostrożnie włożył swoje znalezisko do specjalnej kieszeni i zaczął pomagać koledze.

Tym razem są naprawdę blisko. Bardzo blisko.

Zastanawiał się, czy ktoś inny zdołał dotrzeć tu przed nimi. A jeśli tak, to czy miał pełną świadomość, czego tak naprawdę szuka?

## **ROZDZIAŁ CZTERNASTY**

- Uważam, że powinnaś powiedzieć Benowi - rzekła Ashley, gdy jechały do jachtklubu.

- O tym, że mnie napadli?

- Tak. Dałaś się zaszantażować i ze strachu o Amber nie chcesz zawiadomić policji. Uważam, że Ben powinien o tym wiedzieć.

- Już go sobie wyobrażam! Będzie naciskał, żebym złożyła doniesienie. A jak spanikuje, może narobić głupstw.

- Powinnaś zawiadomić policję - powtórzyła Ashley z naciskiem i wymownym gestem uciszyła jej protesty. - Moim zdaniem ta cała Sandy i jej kumpel Brad to podli tchórze, mocni tylko w gębie. Nie boją się atakować słabszych, ale kiedy do akcji wkroczą organa ścigania, podkulą pod siebie ogon. To, że przyszli do tawerny, świadczy o ich kosmicznej głupocie. Przecież wszyscy wiedzą, że knajpa mojego wuja to ulubione miejsce spotkań gliniarzy. Dlatego myślę, że te gnoje wcale nie są tak dobrze poinformowane o tym, co robisz. I raczej nie będą mieli już czasu, żeby cię śledzić. Chcieli cię tylko przestraszyć. To wszystko. Nie pozwól, żeby im się udało.

Beth potrzebowała paru chwil, by przetrwać słowa przyjaciółki.

- Skoro raz już zabili, dlaczego w moim przypadku ograniczyli się tylko do gróźb? - zapytała w końcu.

- Przecież nadal nie wiadomo, czy zabili Monoców. Tę parę z Wirginii oszczędzili - przypomniała Ashley.

- Jestem pewna, że Monocowie nie żyją - rzekła Beth.

- Może Sandy i Brad uznali, że nie opłaca im się ciebie zabijać, bo to zbyt ryzykowne. Naprawdę nie wiem, co nimi kieruje. Ale będę się upierała, żebyś zawiadomiła policję. Skoro oni nastraszyli ciebie, zrewanżuj się tym samym. I tak są już ścigani, więc co ci szkodzi złożyć to cholerne zawiadomienie?! Po przyjeździe do klubu bez trudu znalazły Bena i Amber, którzy już czekali na nie w restauracji. Beth od razu zauważyła niespokojne i niepewne spojrzenie bratanicy, podeszła więc do niej i przytuliła ją do siebie.

Jak zwykle w niedzielę restauracja przygotowała dla gości wystawny bufet. Patrząc na roześmianych klubowiczów, którym dopisywały apetyty i humory, Beth zatęskniła za niezbyt odległymi dniami, gdy sama spędzała tu bez troskie niedzielne popołudnia.

Po lunchu Ben od razu zabrał się do mycia jachtu, a ona z Amber i Ashley przeniosła się nad basen.

- Gdzie Kim? - zagadnęła bratanicę, gdy usiadły na leżakach.

- Nie mam pojęcia. Powiedziała, że nie może przyjść - odparła Amber. Potem się zawahała. - Ciociu...

- zaczęła nieśmiało. - Przepraszam cię za tamto.

- Przepraszaj, bo jest za co!

- Ja tylko... chcę, żebyś była szczęśliwa.

276

- Pozwól, że sama zatroszczę się o swoje szczęście, dobrze? A teraz obiecaj, że już nigdy nie będziesz się wtrącała do moich prywatnych spraw.

- Obiecuję!

- I że nigdy więcej nie będziesz próbowała mnie nastraszyć! - drażyła.

- Ciociu, no co ty? Przecież ja nigdy cię nie straszylam!

- Tak? Myślisz, że już zapomniałam, co napisałaś? Najpierw na ekranie pojawiła się czaszka, a potem napis: „Niedługo się spotkamy. W ciemności. Zupełnie sami”.

- Ja niczego takiego nie napisałam! - obruszyła się Amber.

Beth zmarszczyła brwi, czując na plecach zimny dreszcz.

- Skoro nie ty, to pewnie Kim.

- Nie! My tylko odpisałyśmy na maila Keitha.

- Beth, żarty się skończyły. Musisz zawiadomić policję - powiedziała z powagą Ashley.

- Ciociu, naprawdę doniesiesz policji na mnie i Kim? - przeraziła się Amber.

- Ależ skąd, skarbie! - odparła Beth słabym głosem. - Tu nie chodzi o was - szepnęła.

Ogarnięta niepokojem, dyskretnie rozejrzała się dookoła. Na szczęście w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby podsłuchać ich rozmowę. Nieopodal dzieci grały w piłkę, a panie z organizacji charytatywnej z ożywieniem planowały kolejną zbiórkę pieniędzy.

W przeciwległym krańcu basenu spostrzegła Marię Lopez, szalenie elegancką w jednocześnie czarnym kostiumie i słomkowym kapeluszu. Nie było szans, by z tej odległości tancerka mogła cokolwiek usłyszeć.

Następnie spojrzała w kierunku opustoszałego pomostu. Większość jachtów wyszła już w morze. Wśród nielicznych, które zostały na przystani, była łódź jej brata. Ben miał się za chwilę zabrać do czyszczenia kadłuba i właśnie wkładał sprzęt nurkowy. Gdy zarzucał butle na plecy, z jednego z jachtów zeskoczyła na pomost drobna blondynka.

Amanda. A niech ją jasna cholera! Czy naprawdę nie ma już dokąd pójść w niedzielę? Ostatnio z rzadkiego gościa klubu zmieniła się w stałą bywalczynię. Bardzo niemile widzianą przez Beth. Skręcając się ze złości, obserwowała, jak Amanda podchodzi do Bena i delikatnie dotyka jego ramienia. Obejrzał się i uśmiechnął do niej.

Beth natychmiast odwróciła głowę, ale Amber zdążyła pójść za jej wzrokiem.

- Nie można nic zrobić, żeby ją przymknęli? - jęknęła.

- Flirtowanie nie jest zabronione - zauważyła Ashley.

- Nie szkodzi. Powinni ją zamknąć za samo to, że jest - odparła zjadliwie Beth.

- Oj, przestań. A wracając do ważniejszych spraw... - Ashley wymownie zawiesiła głos.

- Dobrze, już dobrze - burknęła Beth na od-czepnego. - Zaczekajmy z tym do wieczora. Niech Ben wyczyści wreszcie ten cholerny kadłub. Zresztą nie ma się co spieszyć, bo i tak nikt nie kiwnie palcem.

Wieczorem Ashley zabrała Amber do tawerny, a Beth pojechała z Benem i Jakiem na posterunek, żeby złożyć oficjalne doniesienie o popełnieniu przestępstwa. Tak jak się spodziewała, jej brat był jednym

290

kłębkiem nerwów. Nawet nie próbował ukryć, jak bardzo jest na nią wściekły.

- Teraz masz do mnie pretensje - ciskała się, rozdrażniona jego wymówkami. - A kto mi ciągle powtarzał, że cierpię na paranoję?

- Ludzie, opamiętajcie się. Nie róbcie przedstawienia - mitygował ich Jake. Zarówno on, jak i komisarz Gorsky, który prowadził sprawę kradzieży jachtów, starali się być wyrozumiali, jednak ciągle niesnaski utrudniały im pracę.

Z posterunku wyszli zdenerwowani i spięci, ale przynajmniej mieli to już za sobą. Policjanci, którym przydzielono ich sprawę, obiecali, że dom Bena będzie obserwowany przez całą dobę.

- Byłoby najlepiej, gdyby na pewien czas przeniosła się pani do brata - zasugerowali Beth.

Co za świetny pomysł, pomyślała cierpko. Ben prawie się do niej nie odzywał.

- Dobrze, skoro muszę... - zgodziła się niechętnie, lecz sama czuła, iż jest to najlepsze wyjście z sytuacji. Gdyby policjanci mieli pilnować przez cały dzień każdego z ich trójki z osobna, musieliby zaangażować do tego wszystkich pracowników posterunku.

Pierwsza noc pod wspólnym dachem okazała się całkowitą katastrofą.

- Możecie mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi? - pytała zdeorientowana Amber.

- O to, żebyś mi się nie ważyła nigdzie chodzić sama! - nakazał jej surowo Ben.

- Ciociu...? - Wystraszona, szukała ratunku u Beth.

- Tata ma rację, myszko. Musisz być teraz bardzo ostrożna, ale wszystko będzie dobrze - zapewniła, próbując dodać bratanicy otuchy.

W poniedziałek rano odwiozła ją do szkoły. Za



każdym razem, gdy patrzyła we wsteczne lusterko, czuła ulgę: jadący za nimi policjant miał je cały czas na oku. Nie pojechał jednak za nią do klubu, tylko został pod szkołą. Kiedy dotarła do pracy, od razu zauważyła, że ochrona została wzmocniona.

W połowie dnia przyszedł do niej komandor Berry.

- Była u mnie policja - oznajmił zasepiony, siadając ciężko w fotelu. - Uprzedzili, że zostawiają u nas jednego ze swoich ludzi. Podobno ma obserwować, co dzieje się w budynku i na terenie. Nawet się z tego cieszę, bo ludzie mówią, że w naszym rejonie grasują piraci.

Początkowo martwiła się, że komandor ma do niej żal, iż naraziła na szwank dobre imię klubu, szybko jednak zorientowała się, że zupełnie nie wiąże jej z tą sprawą. Najwyraźniej uznał, że luksusowe jachty członków klubu mogą stać się potencjalnym celem piratów, i stąd zainteresowanie policji.

Reszta dnia minęła jej spokojnie. Poświęciła ją na załatwianie spraw związanych z letnią imprezą.

Najpierw telefonicznie omówiła szczegóły z dostawcami i kwiaciarnią, a potem spotkała się z szefem kuchni i pracownikami. Na koniec zadzwoniła do Eduarda Shea.

- Ach, witam, droga panno Anderson! Oczywiście, że o pani nie zapomniałem! - zapewnił. - Pod koniec tygodnia wpadnę do pani z Mauricem i Marią.

Po południu do jej biura zapukał policyjny technik, który przyszedł sprawdzić komputer.

- Zejdę do kawiarni, żeby panu nie przeszkadzać - powiedziała, zostawiając go samego.

Klub wydał jej się dziwnie cichy; Masonowie jakby zapadli się pod ziemię.

Gdy po półgodzinie wróciła na górę, technik, czło-

292

wiek sympatyczny i fachowy, pokręcił głową i powiedział:

- Na pewno nie było żadnego ataku z zewnątrz. Daję pani słowo, że nie zrobił tego żaden haker, tylko ktoś stąd.

Ta informacja dosłownie ją zmroziła; ten, kto napisał złowrogie ostrzeżenie, siedział przy jej biurku, na jej krześle.

Wyszła z pracy trochę wcześniej i pojechała po Amber. Potem, w asyście policjanta, wróciła z nią do domu.

- Proszę tu poczekać. Zanim panie wejdą, muszę sprawdzić dom - oświadczył funkcjonariusz. -  
Wszystko w porządku - oznajmił parę minut później. - Tylko niech pani nie zapomni zamknąć drzwi na klucz.

Wieczorem ćwiczyła z Amber rolę, którą bratanica miała zagrać w przedstawieniu szkolnego kółka teatralnego.

Przez cały wieczór Ben trzymał się od niej z dala. A ona była coraz bardziej na niego zła i rozgoryczona. Nie rozumiała, dlaczego brat zachowuje się tak, jakby winił ją za całe zamieszanie. Ona w każdym razie nie czuła się niczemu winna.

Wtorek nie różnił się wiele od poniedziałku. Tyle tylko, że ona była bardziej sfrustrowana.

W środę trochę odżyła. Gdy w południe zeszła na lunch, w restauracji spotkała Eduarda Shea.

- Pan Shea! - ucieszyła się. - Jak miło pana widzieć!

- Przecież obiecałem pani, że przyjdę! Impreza jest już w piątek, więc zostały nam raptem dwa dni.

- Rzeczywiście, czas nas goni.

- Proszę być dobrej myśli. A póki co, przedstawiam pani Mauricia.

Wysoki zielonooki brunet jakby czekał na te słowa. Z wdziękiem wysunął się naprzód i powitał ją lekkim ukłonem. Po chwili dołączyła do nich Maria Lopez, ubrana w efektowną, idealnie dopasowaną króciutką sukienkę wyszywaną cekinami.

- Gdzie będziemy tańczyli? - zapytał Eduardo.

- Na patiu. W piątek rano ułożymy tam parkiet

- odparła Beth.

- Dopiero wpiątek? Hm, to niedobrze - zmartwił się.

- Dlaczego?

- Tancerze nie zdążą się przygotować.

- Przykro mi, ale naprawdę nie możemy zamknąć patia wcześniej - tłumaczyła stropiona.

- Eduardo, nie przesadzaj. Damy radę - zapewniła Maria. - Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy teraz poćwiczyć? - zapytała.

- Oczywiście. Zapraszam do sali konferencyjnej

- powiedziała Beth i ruszyła przodem.

Eduardo nie był zachwycony tym pomysłem, ale dał za wygraną.

- Czy mogę z wami zostać i chwilę popatrzeć?

- zapytała nieśmiało.

- Zapraszamy - odparł wielkodusznie. Początkowo z zachwytem obserwowała wyczyny tancerzy. Nie pojmowała, jakim cudem Maria może poruszać tak szybko biodrami. Gdy tancerka wychodziła na parkiet, od razu ubywało jej lat. Jej piękna twarz jaśniała, w każdym ruchu była niezwykła gracia.

- Niewiarygodne - szepnęła zauroczona Beth.

- Proszę spróbować. Nauczę panią - zachęcał ją Eduardo.

- O nie! - opierała się, lecz po chwili dała się namówić.

- Najważniejsze, żeby wyczuła pani rytm - in-

struował ją, gdy stremowana stanęła obok Mauricia, który miał być jej partnerem. Maria ustawiła się tuż za nią, by nauczyć ją prawidłowego ruchu bioder.

Początkowo Beth czuła się bardzo skrepowana, lecz gdy po paru taktach złapała właściwy rytm, taniec zaczął sprawiać jej taką przyjemność, że na moment zapomniała o swojej niewesołej sytuacji. A także o tym, że wymyśliła pokaz i lekcję salsy wyłącznie po to, by nawiązać kontakt z Eduardem, którego podejrzewała o to, że maczał palce w zniknięciu państwa Monoców. Im dłużej jednak tańczyła, tym większa przepełniała ją radość. Bawiła się doskonale.

Dopóki nie przyszła Amanda.

- Witajcie, kochani! - zawołała i demonstracyjnie wycalowała Eduarda i tancerzy.

Beth nie zamierzała na to patrzeć.

- Dziękuję za lekcję, była wspaniała, ale obowiązki wzywają - wymówiła się i poszła do biura.

Zdziwiła się bardzo, gdy doszedłszy do drzwi, zorientowała się, że ktoś idzie za nią.

Amanda, bo to ona deptała jej po piętach, zatrzymała się naprzeciw niej i przyjęła wojowniczą pozę. Z wysoko uniesioną brodą i rękami na biodrach wyglądała na wyższą niż w rzeczywistości.

- Dlaczego ciągle mi to robisz? - zapytała z wyrzutem, patrząc Beth wyzywająco w oczy.

- Co takiego? - zapytała zdumiona.

- Jak tylko gdzieś się zjawię, ty od razu wychodzisz.

Beth osłupiała. Szybko jednak ochłonęła i postanowiła odpłacić szczerością za szczerość.

- Zastanówmy się, dlaczego tak się dzieje - powiedziała z udawanym namysłem. - Może dlatego, że traktujesz mnie jak służącą albo istotę niższego rzędu?

- Wcale nie! - oburzyła się Amanda.
- Niestety, tak!
- Nawet jeśli, to wyłącznie dlatego, że ty wcale nie traktujesz mnie lepiej.
- Co ty opowiadasz?
- Zastanówmy się... - Amanda udanie naśladowała jej ton. - Niby nie robisz nic szczególnego. Ale mnie wystarczy, że zadrzesz do góry ten swój nos i spojrzysz na mnie w taki sposób, jakbym była... śmieciem.

Beth nie wierzyła własnym uszom.

- Amando... - Bezradnie pokręciła głową, niepewna, co powiedzieć. - Może to dlatego, że tak się zachowujesz...
- Tak, czyli jak?
- Sama nie wiem. Jakbyś była pępkiem świata, a mężczyźni istnieli wyłącznie po to, żebyś mogła się nimi bawić. Nie robi ci różnicy, że są żonaci, zaręczeni albo po prostu zajęci.
- Ty jesteś zazdrosna!
- Mylisz się, Amando. Nie jestem.

Spodziewała się wybuchu wściekłości lub przynajmniej ciętej riposty. Tymczasem Amanda długo milczała.

- Naprawdę jestem aż tak beznadziejna? - zapytała wreszcie, patrząc jej prosto w oczy.
- Nie wiem - odparła z ciężkim westchnieniem. - Być może to ja mam jakiś problem. Nie umiem odpowiedzieć na twoje pytanie.

To, co usłyszała w odpowiedzi, kompletnie zbiło ją z tropu.

- Cóż, skoro tak - Amanda ściągnęła brwi - postaram się... poprawić.

Kiedy odeszła, Beth z ulgą zamknęła za sobą drzwi

296

i powoli usiadła przy biurku. Już dawno nikt jej tak nie zaskoczył.

Keith czekał w małym sklepie spożywczym w Palm Beach. Laurie Green przyszła punktualnie o dziesiątej, tak jak obiecała. Poznała go od razu!

- Keith! - Podbiegła do niego i rzuciła mu się na szyję. Uściskała ją mocno, a potem delikatnie od siebie odsunął, by móc się jej przyjrzeć.

Jasnowłosa młoda kobieta o zdrowej cerze w niczym nie przypominała na wpół martwej zjawy, którą wyciągnął z bagien Everglades. Jej rodzice nie mieli niestety tyle szczęścia.

- Jak życie? W porządku? - zapytał.

- Tak. Wiosną kończę studia.

- Świetnie.

Podniosła do góry lewą dłoń i z dumą pokazała pierścionek z brylantem.

- A jesienią wychodzę za mąż!

- Wspaniale. Gratuluję!

- Ale chyba nie po to chciałeś się ze mną spotkać? - zapytała z humorem.

- Rzeczywiście, nie po to.

- O co więc chodzi? Wiesz, że chętnie ci pomogę, o ile będę mogła.

- Wiem i z góry dziękuję. Laurie, czy pamiętasz Teda i Molly Monoców? Twój rodzice podobno się z nimi przyjaźnili.

Z jej twarzy zniknął pogodny uśmiech.

- Odnaleźli się?

- Niestety, nie. Więc to prawda, że twoi rodzice ich znali?

- Tak. O ile wiem, chodzili na lekcje tańca do ich szkoły i przy okazji się z nimi zaprzyjaźnili. To byli

przemili ludzie. Chciałam powiedzieć, są. W każdym razie mam taką nadzieję.

- A czy kiedykolwiek spotkałaś człowieka, który nazywa się Manny Ortega? - zapytał, przechodząc do sedna.

Laurie się zaczerwieniła.

- Poprosił mnie o twój numer, więc mu go dałam

- przyznała. - Mam nadzieję, że nie masz do mnie o to pretensji?

- Nie, jasne, że nie.

- Na pewno?

- Na pewno. Czyli znasz go, tak?

- Tak. Poznałam go na jednej z imprez tanecznych, na które zabierali mnie rodzice. Był muzykiem w zespole. Zapamiętałam go jako przemiłego pana, ale przez całe lata nie miałam z nim kontaktu. Aż któregoś dnia niespodziewanie do mnie zadzwonił. Powiedział mi, że Ted zaginął bez wieści i że kiedyś mówił mu o tobie. Przepraszam, powinnam była najpierw cię spytać, czy mogę dać mu twój numer.

- Laurie, naprawdę nic się nie stało. Pytam cię o to, bo chciałem sprawdzić wersję, którą mi przedstawił. Wszystko się zgadza. A teraz opowiedz mi o swoim przyszłym mężu.

Gdy pół godziny później, pożegnawszy Laurie, wsiadał do samochodu, miał jasno wytyczony cel. W zależności od sytuacji na drodze, powinien tam dotrzeć w nieco ponad dwie godziny. Zanim wyruszył, zadzwonił do Mike'a.

- Potwierdziły się informacje Manny'ego Ortegi

- powiedział.

- Znaleźliście coś jeszcze?

- Nie. W każdym razie jak wyjeżdżałem dziś rano, nie mieliśmy nic nowego. Zapewniam cię, że robimy,

co w naszej mocy, ale obawiam się, że tym razem nie obejdzie się bez ciężkiego sprzętu.

- Musicie cały czas tam być - powiedział Mike z naciskiem. - Niedługo złapią tę parę piratów.

Sprawdzają wszystko: drogi, dworce, lotniska, jachty.

- Stary, masz pojęcie, ile setek kilometrów wybrzeża tu mamy? - zapytał ponuro Keith.

- Mam pojęcie.

- Obawiam się, że to, że ich przymkną, nie załatwi sprawy - powiedział, dzieląc się z Mikiem swoimi obawami..

- Możliwe.

- Przecież oni nie robią tego we dwójkę. Muszą mieć jakichś wspólników.

- Nie uważasz, że jak trafią za kratki, zaczną sypać?

- Może tak, może nie. Mike, ludzie, którzy prowadzą tę sprawę, powinni dokładnie rozpracować wątek finansowy. Ktoś, kto działa w tej części wybrzeża, musi dawać zlecenia na kradzież jachtów, a potem organizować cały proceder polegający na ich przerabianiu.

- Zapewniam cię, że mamy na oku wszystkie firmy i sklepy z południowej Florydy, które handlują łodziami.

- Lepiej zaczynajcie przyglądać się ludziom.

- Potrafisz podać jakieś nazwiska? Wymienił je.

- Na jakiej podstawie twierdzisz, że któraś z tych osób może być zamieszana w tę sprawę? - Mike jak zwykle wymagał konkretów.

- Jestem pewny, że na Calliope Key leżała ludzka czaszka. I że ktoś, kto spędzał tam weekend, zdołał ją stamtąd zabrać i gdzieś ukryć.



Mike chwilę milczał.

- Chyba nie muszę ci przypominać, że łapanie piratów to nie nasze zmartwienie - zauważył rzeczowo.
- Od tego są inni. My mamy odnaleźć wrak *La Doñii*.
- Przysięgam, że jedno z drugim jakoś się łączy.
- Zdajesz sobie sprawę, że rzucasz podejrzenia na swoich kolegów? - zapytał spokojnie Mike.
- No, sam mi mówiłeś, żeby nikomu nie ufać - przypomniał mu Keith. - Nie mam uprawnień ani możliwości, żeby wykryć, kto inwestuje w biznes z kradzionymi jachtami. Ale ty dysponujesz wszystkimi niezbędnymi środkami, żeby się tego dowiedzieć.
- Chyba nie masz mnie za idiotę, co? Dawno już poinformowałem o sprawie FBI. Agenci zaczęli sprawdzać, kto pompuje w to swoje pieniądze. Problem w tym, że ludzie z reguły nie wspominają w zeznaniach podatkowych o swoich lewych dochodach.
- Prędzej czy później musi znaleźć się trop, który doprowadzi do jakiegoś sklepu z jachtami.
- Ktoś już nad tym pracuje. Lepiej powiedz, jaki masz teraz plan?
- Po pierwsze, chciałbym, żebyś mi podesłał listy uczniów oraz udziałowców szkół Teda Monoco.
- Nie ma problemu. Będziesz je miał.
- Za chwilę jadę do Islamorady. Chcę się przejść po barach, znaleźć ludzi, którzy znali Victora Thompsona i dowiedzieć się czegoś więcej o tym, czym się zajmował.
- Policja przesłuchała już w tej sprawie co najmniej pięćdziesiąt osób.
- Policja nie może usiąść sobie w barze i przy piwie pogadać z ludźmi. A ja mogę - rzekł Keith z uśmiechem.

288

Chwilę później skończyli rozmowę. Miał ochotę zadzwonić do Beth, ale zrezygnował z tego pomysłu. Pewnie i tak by nie odebrała, a gdyby nawet, nie chciałaby z nim rozmawiać. Dlatego uznał, że zrobi lepiej, dzwoniąc do Ashley do pracy.

- Co u was? Wszystko w porządku?

- Tak. Zupełny spokój - zapewniła. - Amber jest w szkole, Beth w pracy. Kiedy cię zobaczymy?
- Niedługo. A co z Bradem i Sandy?
- Na razie nic. Jeszcze ich nie złapali.
- Jesteś pewna, że Beth jest bezpieczna?
- Tak. W klubie przez cały dzień jest policjant.
- Dzięki. Wkrótce się odezwę.

Maria Lopez weszła do pustej sali i rozejrzała się dokoła. Natychmiast ogarnęło ją uczucie głębokiej nostalgii.

W jej wspomnieniach wciąż żyły stare dobre czasy.

Co prawda nadal potrafiła zakasować niejedną młodą tancerkę, lecz nie miała złudzeń, że dni sławy i chwały minęły bezpowrotnie. Jeszcze nikt nie wygrał ze starością, choćby nie wiadomo jak uparcie z nią walczył.

Tylko Ted zupełnie się nie przejmował upływem czasu. On jeden czekał na emeryturę jak na zbawienie.

- Ciesz się ze swoich sukcesów i czerp z życia pełnymi garściami - powtarzał Marii.

Cieszyła się więc i czerpała. Jednak dla kariery poświęciła zbyt wiele. Miłość, trwałe związki. Kiedy była młoda, całkowicie pochłaniał ją taniec. Przez lata z determinacją walczyła o to, by nikt nie odebrał jej tytułu królowej salsy. Chciała zejść z parkietu niepokonana, i dopięła swego. Jednak cena, jaką przyszło jej zapłacić za sukces, była wygórowana. Nie

miała dzieci, nikogo bliskiego. Została sama. Aby wypełnić pustkę, zaczęła podróżować. Gdy po którymś ze swych licznych wojaży wróciła do Miami, wstąpiła do jachtklubu, żeby zobaczyć się z Mannym. A on...

Ech, ten Manny! Nie chciał siedzieć cicho i bez przerwy gadał o zaginięciu Teda i Molly.

Nagle zmarszczyła brwi; zdawało jej się, że w biurze ktoś mówi podniesionym głosem.

Zaintrygowana poszła sprawdzić, co się dzieje. W szkole nie było już nikogo. Nawet młoda recepcjonistka zeszła z posterunku.

Po cichu podeszła do drzwi. Zaczęła słuchać i z każdą chwilą szerzej otwierała piękne oczy.

Przyszła tu, by porozmawiać z Eduardem o letniej imprezie. W jednej chwili przestała mieć na to ochotę. Z trudem przełknęła ślinę. Najpierw ogarnął ją lęk. Wystarczyło jednak, że pomyślała o Tedzie i Molly, o ich dobroci i o przyjaźni, jaką przez lata jej okazywali, i miejsce strachu zajął gniew. Keith bez przeszkód dotarł do Islamorady i szybko odnalazł marinę, w której Victor Thompson trzymał jacht i z której wypływał z grupami na nurkowanie. Facet musiał być lubiany, bo w miejscu, gdzie cumował łódź, ktoś ustawił krzyż i położył kwiaty. Keith zatrzymał się tam, lecz długo nie pobył sam; zaraz podszedł do niego jakiś mężczyzna.

- Jesteś kumplem Victora? - zagadnął.

- Tak, nurkowaliśmy razem - odpowiedział bez chwili wahania. - A ty? Też przyjaciel?

- To ja go nauczyłem nurkować - odparł potężny pięćdziesięciolatek. Jego opalone ramiona pokrywały tatuaże, w uchu dyndał złoty kolczyk w kształcie trupiej czaszki. - I zawsze mu powtarzałem, że nigdy, przenigdy nie wolno schodzić pod wodę samemu.

302

- Nic z tego nie rozumiem - stwierdził Keith, kręcąc głową. - Przecież Victor nie był amatorem. Wiesz, gdzie nurkował, kiedy stało się to nieszczęście?

- Pojęcia nie mam, bo nie widziałem się z nim tamtego ranka. Nie pojmuję, jak to się mogło stać

- wyznał mężczyzna, a wskazując w stronę pobliskiego baru, dodał: - Z tego, co wiem, nikomu nic nie powiedział. Jak chcesz, to do nas dołącz. Siedzimy sobie w gronie przyjaciół i pijemy za spokój duszy Vica. Możesz nam postawić kolejkę.

- Dzięki za zaproszenie. Chętnie skorzystam - odparł Keith.

- Jestem John Elmer - przedstawił się mężczyzna.

- Powiedz, że przychodzisz ode mnie. I kup mi jednego, bo Bóg mi świadkiem, że odkąd wydarzyła się ta tragedia, nie mogę sobie znaleźć miejsca. Zaraz przyjdę.

Keith domyślił się, że spora grupa przy jednym ze stolików to przyjaciele Victora. Nie podszedł jednak od razu, tylko usiadł w pobliżu i zaczekał, aż podejdzie kelnerka.

- Jeśli ci ludzie tutaj to znajomi Victora, to chciałbym postawić im piwo - powiedział.

- Znałeś go? - zainteresowała się dziewczyna. - To był kochany chłopak. Nie możemy go odżalować...

Gdy chwilę później podeszła do stolika z tacą pełną piw, wszyscy z grupy odwrócili się i spojrzeli na Keitha. Jeden z mężczyzn uniósł do góry butelkę i zawołał:

- Dzięki, stary. Przysiądziesz się?

Keith wziął swoje piwo i po kolei przywitał się z całą szóstką; przedstawili się jako Joe, Shelley, Jose, Bill, Junior i Melanie.

- Taki dobry kumpel. Szkoda go - westchnął Joe.

To on zaprosił Keitha do stolika.

- Zawsze można było na niego liczyć. Dlatego tu jesteśmy - wyjaśniła Melanie.

- Śmiał się kiedyś, że nie chce mieć tradycyjnego pogrzebu. Ani mi się wazcie ubrać na czarno i łkać nad trumną. Tak mówił - westchnął Jose.

- Prawda. Vic chciał, żeby ludzie wspominali go z radością. Żeby się śmiali, przypominali sobie fajne zdarzenia. Postanowiliśmy, że jego ciało poddamy kremacji, a prochy rozsypiemy na rafach, które tak kochał - dodał Joe.

- Pewnie byłby z tego zadowolony - odparł Keith.

- A swoją drogą, to naprawdę dziwne, że człowiek, który znał rafy na wylot...

- My też tego nie pojmujemy - rzekła cicho Shelley. Choć zebrali się, żeby śmiać się i wspominać dobre chwile, ona jedna była naprawdę przygnębiona. Keithowi ścisnęło się serce, gdy patrzył na jej spuchnięte od płaczu oczy.

Pokierował rozmowę w taki sposób, by delikatnie wybadać, czy wiedzą, dokąd popłynął Victor tamtego tragicznego dnia. Niestety, nie potrafili powiedzieć nic konkretnego i sami gubili się w domysłach.

- Na dzień przed śmiercią mówił, że chce sprawdzić jakieś nowe miejsce do nurkowania ze swoimi grupami - przypomniał sobie Joe. - Ale nie wymienił żadnej nazwy.

- Wiem, że chciał urozmaicić program wycieczek i połączyć nurkowanie z biwakowaniem na wyspie

- dorzuciła Melanie. - W rejonie Middle Keys jest mnóstwo fajnych miejsc.

- To prawda - zgodził się Keith. Ot, choćby Calliope Key, pomyślał.

292

- Wydaje mi się, że Vic popłynął na południe, **ale** pewny nie jestem - zastrzegł Joe.

- Hej, a pamiętacie, jak rozwalił Johnowi motor w łódce? - ożywiła się Melanie.

- Albo jak się zakochał w kubańskiej tancerce z Miami i wszyscy musieliśmy chodzić na lekcje tańca?

- dodał Bill ze śmiechem. - Aleśmy wtedy dali ciała!

- Victor brał lekcje tańca? - zdumiał się Keith.
- Wszyscy braliśmy. Prosił, żebyśmy mu pomogli. Nie chciał, żeby dziewczyna się zorientowała, że przychodzi tam tylko dla niej - wyjaśniła Melanie.
- A ty, Bill, mów za siebie. Mnie szło bardzo dobrze.
- A gdzie się uczyliście tańczyć?
- W jakiejś szkole blisko plaży - odparł Bill. -Pamiętam, że właśnie zmieniał się jej właściciel. Chryste, wyżarło mi szare komórki, czy co? Chwila... Wiem! Monoco! Szkoła tańca Monoców. Słuchajcie, to chyba byli ci ludzie, co zaginęli?
- Tak. Jeszcze jedna smutna historia - westchnęła Melanie. - Pan Monoco był super! Ale wiecie co? Podobno widziano gdzieś ich jacht.
- Kto ci o tym mówił? - zapytał Keith.
- Jacyś ludzie, którzy tu byli parę dni temu. Keith posiedział z nimi jeszcze trochę, postawił następną kolejkę, a potem się pożegnał. W drodze powrotnej znów zadzwonił do Mike'a. Było już ciemno, gdy przyplłynął pontonem na jacht. Matt i Lee, którzy spędzili tu cały dzień, nie wyglądali na ucieszonych z jego powrotu. Nie podobało im się to, że w ogóle wyjechał, ale nie mogli nic powiedzieć, bo wezwał go sam Mike. Kazał mu przywieźć monetę i złożyć oficjalny raport.
- Dowiedziałeś się czegoś? Pokręcił głową.

- A wy? Znaleźliście coś? - zapytał.
- Nic. Cały czas walimy głową w mur - burknął Lee.
- Miałeś jakieś wieści od twojego starego kumpla Hanka?
- Nie. A ty od swoich starych kumpelek... Beth Anderson albo Amandy Mason? - zrewanżował się Lee.

Mart parsknął. Obaj spojrzeli na niego pytająco.

- Sorry, zakrztusiłem się - wydukał i szybko się odwrócił.

Po chwili Lee zrobił to samo.

Nie ufali sobie. Nastąpił między nimi wyraźny rozłam. Lee zszedł do kajuty. Keith został sam na pokładzie i zamyślony spoglądał na morze. Z zadumy wyrwał go dzwonek komórki. Gdy spojrzął, kto dzwoni, ucieszył się, że koledzy zostawili go samego.

Manny. Słuchał go w milczeniu, ważąc sens jego słów. W końcu odpowiedział:

- Chcę, żeby brała w tym udział Beth.
- Tylko jak ją przekonać?
- Mamy wspólnych znajomych. Porozmawiam z nimi. A Beth na pewno się zgodzi, jeśli namówi pan jej brata i bratanicę.

Gdy skończyli rozmowę, wykonał jeszcze jeden telefon. Zdawał sobie sprawę, że nadstawia karku, ale uznał, że nie można dłużej zwlekać. Tym razem rozmowa nie trwała długo. Kiedy się rozłączył, jeszcze chwilę stał w ciemności i zastanawiał się, czy kolegom nie przyszło czasem do głowy, żeby go podsłuchać.

Czuł się tak, jakby poza nim nie było nikogo. Tylko on i noc. I nieprzebyty bezmiar oceanu.

Tej nocy spał wyjątkowo czujnie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

W czwartek Beth z zadowoleniem stwierdziła, że zdąży ze wszystkim na czas. Przygotowania do letniej imprezy wkroczyły w ostatnią fazę. Wszystkie zamówienia zostały złożone, terminy potwierdzone, a Eduardo, Maria i Mauricio ćwiczyli taneczne układy przed próbą generalną, która miała się odbyć następnego dnia po południu, już na świeżo ułożonym parkiecie.

Po lunchu usiadła przy biurku, by jeszcze raz dokładnie sprawdzić, czy o niczym nie zapomniała. Jednak zamiast przeglądać rachunki i umowy, zaczęła spisywać w chronologicznym porządku wszystko, co wydarzyło się od pamiętnego weekendu na Calliope. Starła się nie pominąć ani jednego faktu. Notowała nawet zasłyszane informacje i plotki.

Myślała tak intensywnie, że aż rozboleła ją głowa. Przycisnęła więc palce do skroni i siedząc nieruchomo, bezradnie pytała samą siebie, czy w tej lawinie nieprawdopodobnych zdarzeń jest w ogóle jakiś sens i logika?

Najbardziej denerwowało ją, że nie może przestać myśleć o Keisie. Była na niego taka zła...



I wciąż bardzo nieufna. Poza tym miała do niego żal, bo z jego winy czuła się dezorientowana, rozdrażniona, wewnętrznie rozbita. Zaczęła go nawet podejrzewać, że zbliżył się do niej wyłącznie po to, by sprawdzić, co wie. Albo żeby się zorientować, jaki proces niechcący uruchomiła.

Nie mogła dłużej udawać, że nie jest zazdrosna. Zazdrosna to mało powiedziane: była dosłownie chora z zazdrości. I jednocześnie zbyt dumna, by o pewne rzeczy zapytać wprost. Zresztą może to wcale nie była duma, tylko lęk przed odpowiedzią, której wolałaby nigdy nie usłyszeć. W efekcie zadreślała się pytaniem, czy Keith przespał się z Amandą. A jeśli tak, to czy zrobił to, by wyciągnąć od niej jakieś informacje?

Żałowała, że wściekłość i rozgoryczenie odbierają jej zdrowy rozsądek i nie pozwalają normalnie z nim porozmawiać. Zwłaszcza że ignorując go i odpychając, czuła się tak, jakby własnoręcznie pozbawiała się części samej siebie. Zdesperowana, zaczęła się w końcu modlić o odrobinę godności. Jednak modlitwa ani jej nie pomogła, ani nie przyniosła ulgi.

Jedynie, czego pragnęła, to znowu być z Keithem.

- Cześć!

Uniosła głowę. Niewiele brakowało, a krzyknęłaby ze zdumienia. W drzwiach stał Ben. Odruchowo spojrzała na zegarek. Była pierwsza po południu. W jego przypadku zdecydowanie za wcześnie, żeby kończyć pracę.

- Co ty tu robisz?

- Skrócone lekcje - odparł lakonicznie.

- Znowu? Przecież dopiero co zwolnili ich wcześniej?

- No, nie do mnie te pretensje, tylko do wydziału edukacji miasta Miami - zauważył sarkastycznie.

296

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Odebrałabym Amber ze szkoły.

- Wiem. Postanowiłem, że sam ją zabiorę. I ciebie też.

- Mnie? A niby dokąd?

- Na nurkowanie.
- Nurkowanie? Człowieku, ja mam tu huk roboty!
- Komandor zgodził się, żebyś wyszła wcześniej. Jest bardzo zadowolony z programu imprezy i stanu przygotowań. Sam stwierdził, że powinnaś trochę odpocząć. Płyniesz z nami.
- Z wami, czyli z kim konkretnie?
- Ze mną i Amber, z Masonami, Mannym i jeszcze kilkoma osobami. Prawdę mówiąc, to Manny wpadł na pomysł, żeby spędzić południe w szerszym gronie.
- Powinnam pójść na dół i zobaczyć, jak przebiega próba.
- Spóźniłaś się. Próba już się skończyła. Zresztą Maria też z nami płynie.
- Poważnie?
- Uhm. Razem z Mannym.
- Ben, wydaje mu się, że w obecnej sytuacji lepiej...
- Ashley i Jake też będą.
- No co ty?
- Beth, nie jestem kretynem. Zdaję sobie sprawę, że sytuacja jest poważna, ale przecież nie możemy dać się zastraszyć. Będziemy w dużej grupie. Pojmujesz? W dużej grupie! Nikt nie odważy się nas zaatakować. Poza tym Amber bardzo chce popłynąć jachtem Masonów. Przecież nie będę trzymał jej pod kluczem!
- Wiem, że nie jesteś idiotą - odparła i pierwszy raz od kilku dni uśmiechnęła się do niego. - Dokąd popłyniemy?

- Na nurkowanie. Manny zaprasza cię na swoją łódź.
- Miło z jego strony, ale nie skorzystam. Skoro Amber płynie z Masonami, to ja też. A oprócz mnie Ashley i Jake.

Krótki rejs na rafy był bardzo przyjemny, bo też mieli idealne warunki do żeglowania; płynęli przy bezchmurnym niebie i lekkim wietrze. Na dodatek Amanda sprawdziła się w roli gospodyni. Beth była nawet skłonna uwierzyć w jej szczerą intencję, gdy wyraźnie przejęta zapytała ją, czy już ujęto dowcipnisią, który podrzucił czaszkę na jej biurko.

- Niestety, nadal nie wiadomo, kto to zrobił - przyznała.
  - Wiesz, co ja myślę? - zapytała ją Amanda. - Że to naprawdę był głupi żart. Ten, kto to zrobił, pewnie sam by się przyznał, ale jak zobaczył policję, to się przestraszył i postanowił siedzieć cicho. Pewnie ktoś mu powiedział, co się wydarzyło na wyspie, chciał błysnąć dowcipem.
  - Niedługo się przekonamy, czy to faktycznie był idiotyczny kawał, czy coś o wiele poważniejszego - wtrącił Jake.
  - Mówisz serio? - zdziwiła się Amanda. - Myślałam, że policjanci z wydziału zabójstw nie zajmują się takimi błahostkami?
  - To ty nie wiesz, że rozesłano list gończy za dwojgiem ludzi, którzy byli z wami na wyspie i posługiwali się imionami Sandy i Brad? - zapytał. - Są podejrzani o kradzieże jachtów. Co ciekawsze, niedawno widziano ich w Miami.
- Sądząc po zszokowanych minach, ani Amanda, ani jej ojciec i kuzyn nie mieli pojęcia o tej sprawie.
- No ładnie! - Hank aż się wzdrygnął. - I pomyśleć, że spaliśmy namiot z piratami.

298

- Oby szybko ich złapali! - dodał Roger.
  - Złapią, złapią, bez obawy. - W głosie Jake'a nie było cienia wątpliwości.
- Zapadła niezręczna cisza. Amanda pierwsza odzyskała rezon i zmieniając temat, zapytała:
- Nurkowaliście już w tym miejscu? Bo ja nie. Od tej chwili rozmowa zeszła na temat nurkowania.

Beth nie brała w niej udziału. Przez cały czas dyskretnie obserwowała Amber i coraz bardziej się niepokoiła. Dotarłszy na miejsce, zaczęli dobierać się w pary.

- Ja zostaję na łodzi - zaofiarował się Hank.

- Będziesz moim partnerem? - Amanda wyraźnie zagięła parol na Bena.

- A ty moją partnerką, Amber? - zapytał Jake, patrząc porozumiewawczo na Beth. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wiedziała, że z nim Amber będzie bezpieczna. - Skoro tak, Ashley i Beth trzymają się razem - zarządził. - Do roboty, moi mili. Zakładamy sprzęt.

Jacht Hanka był świetnie wyposażony i pod względem jakości oraz ilości sprzętu nurkowego przewyższał niejednego statek zawodowego instruktora. Beth była zaskoczona, że Hank, sam zapalony nurek, zdecydował się zostać na górze. Widocznie uznał, że dla odmiany spróbuje tego dnia swych sił w roli kierownika wycieczki.

Miejsce, które wybrali, cieszyło się sporą popularnością. Oprócz ich jednostki w pobliżu kotwiczyły statki zorganizowanych grup z Miami, Keys i Palm Beach. Nie brakowało też prywatnych jachtów.

Wrak statku, do którego mieli schodzić, był ogólnie znany i łatwo dostępny, stąd tak duża frekwencja amatorów podwodnej przygody.

Beth była zadowolona, że zdecydowała się na tę

wyprawę. Nurkując z Ashley jako partnerką, czuła się spokojna i odprężona. Dokoła pływało wiele osób, więc ryzyko, że ktoś ją zaatakuje, było minimalne. A podglądanie kolorowego podwodnego świata nie tylko sprawiało jej przyjemność, lecz także pozwalało zapomnieć o troskach.

Po kilku minutach pod wodą Ashley spojrzała na kompas i dała jej znak, by płynęła za nią.

Oddaliły się od wraku i skierowały w stronę rafy. Po chwili znalazły się obok sporego koralowca; u jego podnóża leżało trochę białego piasku i rosła trawa morska. I właśnie tam, na piaskowej wydmie, siedział nurek.

Wyglądał, jakby na kogoś czekał.

Ludzie w maskach i aparatach wyglądają niemal identycznie, więc Beth musiała dobrze się przyjrzeć, żeby go rozpoznać. I rozpoznała bezbłędnie.

Keith.

Gwałtownie odwróciła się w stronę Ashley. Była na nią zła i nie zamierzała tego kryć. Lecz jeszcze bardziej wściekła się na Keitha, któremu przecież wyraźnie powiedziała, że nie chce go widzieć, dopóki nie usłyszy od niego wyjaśnień. W mig pojęła, że padła ofiarą spisku, bo przecież spotkanie w takim miejscu nie może być dziełem przypadku.

Ich grupa była niedaleko, więc w każdej chwili mogłaby tam wrócić. Miała ochotę zignorować Keitha i Ashley i spokojnie odpłynąć, lecz w myśl obowiązujących reguł nurkowi pod żadnym pozorem nie wolno zostawić swojego partnera. Zdezorientowana, spoglądała to jedno, to na drugie. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego Keith czekał na nią sześćdziesiąt metrów pod wodą. I nawet nie mogła go o to zapytać.

Keith podpłynął do góry i pokazał im znak, który

300

wjęzyku nurków oznacza wynurzenie. Ashley kiwnęła głową, a potem spojrzała na nią pytająco. Po chwili wahania ona również podniosła do góry rękę. W porządku. Wypływamy.

Wynurzyli się obok jakiejś łodzi. Beth nie posiadała się ze zdumienia, gdy rozpoznała w niej jacht Manny'ego Ortegi. To też nie mógł być przypadek; Manny i Maria czekali na nich na pokładzie. Keith chwycił się drabinki i lekko podciągnął się do góry. Potem wychylił się, i pomógł wyjść z wody najpierw jej, a potem Ashley. Manny stał obok, gotowy do pomocy.

- Witaj, moja piękna! - zawołał. - Chodź, pomogę ci ściągnąć butle.

- Nie, proszę zaczekać. Butle muszą wrócić na tę samą łódź, z której je wzięłam - rzuciła, przyglądając się kolejno całej czwórce.

Choć dobrze ich znała, miała wrażenie, że widzi ich pierwszy raz w życiu. Ostatnie, pełne wyrzutu spojrzenie skierowała ku Ashley.

- Proszę się nie martwić. Zaraz połączę się z Han-kiem i uprzedzę, że są panie moimi gośćmi. Zdejmujemy to żelastwo i zejdziemy do kajuty.

Wahała się. Spojrzała na morze. Na fali kołysały się jachty i statki, wokół których widać było liczne kolorowe flagi wskazujące miejsca, w których są nurkowie. Choć od jachtu Hanka dzieliła ich spora odległość, widziała, że na pokładzie nie ma nikogo. Pewnie nie wrócili jeszcze z wraku.

Zrezygnowana, pozwoliła Manny'emu ściągnąć ciężkie butle.

- Zapraszam na dół. Zaparzyliśmy kawę i herbatę. Ale najpierw się wytrzyjcie, bo w kajucie jest klimatyzacja - mówiła Maria, podając im ręczniki.

Jacht Manny'ego nie był przesadnie duży, ale ładnie utrzymany i wygodny. Pod pokładem było miejsce do spania dla dwóch osób, a także mały kambuz i niewielki salonik. W ograniczonej przestrzeni trudno było zachować dystans, jednak Beth robiła, co mogła, by trzymać się jak najdalej od Keitha.

Jednocześnie bez przerwy na niego popatrywała i klęła w duchu samą siebie. Po co się modliła, by go znów zobaczyć? I dlaczego teraz najchętniej rzuciłaby mu się na szyję? Oczywiście nie miała zamiaru tego robić. Zbyt dobrze pamiętała, że ma do czynienia z człowiekiem wyjątkowo zajęтым, pochłoniętym załatwianiem ważnych i tajemniczych spraw. Do których należą spotkania z Amandą. Keith zorientował się, że mu się przygląda, i otwarcie popatrzył jej w oczy. Nie wyglądał na skruszonego.

- Może usiądziesz? - zaproponował.

- Nie wiedziałam, że państwo tak dobrze się znają

- zauważyła z przekąsem, patrząc kolejno na Man-ny'ego i Marię, a potem znów na niego.

- Prawdę mówiąc, znamy się od niedawna - sprostował.

- Ciekawe... - mruknęła.

- Ja nic nie powiedziałem Manny'emu - zastrzegł.

- On wiedział, kim jestem - wyjaśnił.

- A czyja wreszcie też się czegoś dowiem? - zapytała, z trudem zachowując neutralny ton. Była bardzo ciekawa, czy w końcu padną słowa prawdy.

- Pracuję dla firmy „Rescue”. Naszym głównym zleceniodawcą jest wojsko - tłumaczył. - Nikt nie ma prawa wiedzieć, kim jesteśmy ani czym się zajmujemy.

- No proszę... - rzuciła szyderczo, patrząc po obecnych. Uderzyło ją, że nawet Maria została we

314

wszystko wtajemniczona, podczas gdy ona dostępuje tego zaszczytu dopiero teraz.

- Beth, niech pani mu uwierzy. Ja naprawdę wiedziałem, kim on jest. - Manny wziął na siebie rolę adwokata.
- Jak rozumiem, pani Maria też wiedziała, tylko mnie nie należała się żadna informacja, tak? - rzuciła z goryczą.
- Beth, proszę, zapomnijmy na chwilę o wzajemnych pretensjach - poprosił Keith z naciskiem.
- Czemu nie! Zapomnijmy! - Prychnęła gniewnie. - Najpierw jednak chciałabym się dowiedzieć, co to wszystko ma do cholery znaczyć? - zapytała lodowato, czyniąc ręką szeroki gest.
- Manny chrząknął.
- Ja zaaranżowałem to spotkanie - wyznał. - Bardzo zależało mi na tym, żeby zobaczyła się pani z Keithem.
- Niby dlaczego? - zapytała podejrzliwie. Miała nadzieję, że nie dlatego, iż swym zachowaniem zdradzała, że desperacko pragnie go zobaczyć.
- Odpowiedź nie była ani tą, której się spodziewała, ani na którą liczyła.
- Muszę być na jutrzejszym przyjęciu - oznajmił Keith.
- W ostatniej chwili powstrzymała się, by się nie roześmiać. Z własnej naiwności.
- A do czego ja ci jestem potrzebna? - zapytała, kręcąc ze zdziwieniem głową. - Przecież kilka razy wchodziłeś do klubu. Widocznie w twoim przypadku członkostwo nie jest wymogiem. Gdybyś mimo wszystko miał jakieś trudności, możesz powołać się na Manny'ego albo Marię. Nie wspominając o Amandzie, która z radością zaprosi cię na wszystko. Więc nie mieszaj mnie do tych spraw.



- Nie ma wyjścia - westchnął Manny. - Musi pan opowiedzieć Beth o wszystkim, co pan wie.
- Bardzo proszę, niech pani usiądzie, napije się herbaty - odezwała się łagodnie Maria i uśmiechnąwszy się przepraszająco, dodała: - W pewnym sensie to ja ponoszę winę za to, że pani tu jest.
- Nie rozumiem?
- Usiądź, Beth. Wszystko ci wyjaśnię - powiedział Keith, a gdy to zrobiła, zajął miejsce naprzeciwko niej.
- To, że Manny, Ashley i Jake znają mnie i wiedzą, kim jestem, jest bezpośrednio związane z moimi poprzednimi zadaniami, które realizowałem w Miami - zaczął, patrząc jej prosto w oczy.
- A ja dowiedziałam się o nim od Manny'ego, do którego zwróciłam się z prośbą o pomoc - wyjaśniła Maria.
- Świetnie - mruknęła Beth, nadal nic nie rozumiejąc. - Więc nie przyplynałeś na wyspę, żeby szukać Monoców? - zapytała, próbując zweryfikować własne domysły.
- Nie.
- Szukałeś statku?
- Jakiego statku? - zainteresowała się Maria.
- *La Doñii* - odparła bez zastanowienia.

Keith spojrział na nią w taki sposób, że natychmiast pożałowała swoich słów. Najwyraźniej nikt z obecnych nie orientował się, jaki jest cel jego obecnej misji. A on najwyraźniej nie chciał ich w to wtajemniczać.

- Nieważne - rzuciła szybko, odwróciwszy się na moment ku Marii. - Mów dalej.
- Rzecz w tym, że muszę być jutro na tej waszej imprezie. Po to, żeby obserwować, co się dzieje. I nie chcę, żeby ktokolwiek wiedział, że tam jestem. Poza tym zależy mi, żeby mieć dostęp do twojego gabinetu.

316

Jednym słowem, muszę dostać się za kulisy. Matt i Lee już zostali zaproszeni.

- Przez Masonów? - domyśliła się.
- Tak. Amanda zaprosiła nas telefonicznie.
- Tym bardziej nie rozumiem, czego ode mnie chcesz. Przecież możesz to sobie zorganizować beze mnie.
- Rzecz w tym, że nie mogę.
- Ale dlaczego? Musisz mieć moje błogosławieństwo, czy co?
- Już ci mówiłem, że muszę mieć swobodny dostęp do różnych miejsc. Na tej imprezie spotkają się wszyscy, którzy byli wtedy na wyspie.
- Chyba jednak nie wszyscy. Sandy i Brad nie zostali zaproszeni - zauważyła z ironicznym uśmiechem.
- Obawiam się, że zjawią się bez zaproszenia.
- Chyba żartujesz? Nie odważą się!
- Myślę, że jednak się odważą. Są pewni, że potrafią tak radykalnie zmienić wygląd, że nikt ich nie rozpozna. I dlatego zaryzykują.
- Skoro tak, trzeba zawiadomić policję.
- Już jest zawiadomiona.
- Wobec tego aresztują ich, jak tylko się pokażą.
- Tu nie chodzi tylko o nich - odparł Keith. - Jesteśmy pewni, że nie działają sami. I że tak naprawdę wcale nie chodzi im o ciebie. Oni domagają się zapłaty.
- Zapłaty?!
- Tego wieczoru, kiedy na ciebie napadli, pobiegłem za nimi, ale oni dosłownie zapadli się pod ziemię. Zaskoczyło mnie to, więc dokładnie przyjrzałem się domom stojącym w najbliższym sąsiedztwie twojej ulicy. Czy wiesz, kto jest właścicielem większości budynków?
- Nie mam pojęcia.

- Eduardo Shea.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Chcesz powiedzieć, że Eduardo jest zamieszany w kradzieże jachtów? Nic z tego nie rozumiem.

- Udało mi się ustalić, że pośród licznych interesów, w które inwestuje pan Shea, są małe stocznie jachtowe rozsiane po wybrzeżu Ameryki Południowej - wyjaśnił. - Wiemy, że ten, kto kradnie luksusowe jednostki, musi je gdzieś ukrywać i przerabiać. Policja dokładnie sprawdziła lokalne firmy i nie znalazła niczego podejrzanego. Zresztą to logiczne, że złodzieje wywożą łodzie poza granice kraju, w którym zostały zarejestrowane.

- Teraz to już kompletnie nic nie rozumiem - przyznała bezradnie. - Jeśli jest, jak mówisz, po co Sandy i Brad mieliby ryzykować wizytę w klubie?

- Kilka dni temu przypadkiem podsłuchałam ich rozmowę z Eduardem. Teraz wiem, że to oni do niego dzwoniли - powiedziała Maria.

Beth spojrzała na nią pytająco.

- Eduardo był bardzo zdenerwowany, mówił podniesionym głosem - wyjaśniła. - Straszyl ich. A potem powiedział, żeby przyszli do jacht klubu. Opowiedziałam o tym Manny'emu, a on od razu powiedział, że trzeba skontaktować się z Keithem.

- Ale... Nie, ja nie wierzę, że oni są aż takimi kretynami, żeby sami wleźli w ręce policji! - powiedziała.

Keith tylko się uśmiechnął.

- Przecież oni nie wiedzą, że w klubie będzie policja. Ani nie mają pojęcia, że finanse Eduarda zostały prześwietlone.

- Nieważne. Przychodząc do klubu, i tak ogromnie ryzykują.

318

- Pod latarnią jest najciemniej - przypomniała Ashley, która do tej pory w milczeniu przysłuchiwała się rozmowie.

- Przepraszam. Nadal nic z tego nie rozumiem
- oznajmiła Beth, patrząc wyczekująco na Keitha.
- Jaki masz związek z tą sprawą? O ile pamiętam, mówiłeś, że nie przyplynałeś na Calliope po to, żeby łapać piratów.

Odchyliła się na krześle.

- Interesuję się tym z powodów osobistych. Jestem pewny, że kiedy Sandy i Brad zostaną ujęci, będą mogli odpowiedzieć na wiele pytań.

- Ale do czego ja ci jestem potrzebna? I dlaczego nie chcesz, żeby ktoś cię zobaczył na imprezie?
- Schylił głowę, lecz po chwili znów na nią spojrział.

- Poza tą sprawą istnieje jeszcze kilka wątków, które śledzę. Proszę cię, a raczej błagam, żebyś mi zaufała. I żebyś nie zadawała pytań, na które nie mogę ci w tej chwili odpowiedzieć. Miałem nadzieję, że po dzisiejszym spotkaniu zaczniesz mi choć trochę ufać.

- Niestety, wciąż nie mogę powiedzieć, żebym ci ufała - przyznała szczerze. - Niemniej zapraszam cię na imprezę. Bądź moim gościem. Możesz korzystać z mojego biura i wchodzić wszędzie, gdzie chcesz
- powiedziała, a spojrzawszy na Ashley, dodała: - Im więcej gliniarzy, tym weselej. Czy komandor wie, że w klubie będzie policja? I czy zarząd został o wszystkim powiadomiony?

Keith skinął głową.

- Wobec tego moja zgoda nie jest ci do niczego potrzebna - stwierdziła sucho.
- Jest - rzekł z naciskiem, patrząc jej w oczy. Atmosfera stała się nieprzyjemna. Manny i Maria nie odzywali się słowem.

Beth nie wiedziała, co Keith miał na myśli, mówiąc, że potrzebuje jej zgody. Nie potrafiła też rozstrzygnąć, czy nawiązał z nią romans, bo tego wymagała jego misja, czy zrobił to z pobudek osobistych. Nie miała siły rozstrzygać tych dylematów. Chciała uciec jak najdalej stąd.

- Ashley, musimy wracać - powiedziała stanowczo. - Nasi na pewno są już na jachcie.

Keith wstał.

- Ja też pójdę. Do jutra, tak?

- Do jutra - odpowiedziała wyniośle.

Kiedy wraz z Mannym wyszedł z kajuty, jego miejsce za stołem zajęła Ashley.

- Musisz zrozumieć, w jakiej jestem sytuacji. Beth, proszę cię... - odezwała się cicho. - Zaufaj mi!

- Ja tobie ufam - odparła.

Ashley w mig pojęła aluzję i lekko się zarumieniła.

- Herbata naprawdę dobrze pani robi. - Maria podsunęła jej filiżankę.

- Dobrze to by mi zrobił drink.

Beth nie mogła spać. Co było dziwne, bo zwykle po nurkowaniu zasypiała na stojąco.

Dziś jednak stało się inaczej.

Ashley i Jake spali już od dawna. A ją kusiło, żeby zejść do tawerny i pobyć trochę z ludźmi.

Wśród których z pewnością jest wielu policjantów.

Jeśli coś ją powstrzymywało, to świadomość, że Sandy i Brad też upatrzyli sobie knajpkę Nicka. Po chwili namysłu podeszła na okna i wyjrzała na zewnątrz. Na pomoście i na patiu przed tawerną wciąż siedziało sporo osób.

Zmęczona bezsennością ubrała się i zszedłszy na dół, usiadła przy wolnym stoliku na dworze. Miała 320

nadzieję, że piwo podziała na nią jak środek nasenny. Bóg świadkiem, że bardzo potrzebowała snu.

Goście tawerny byli przyjaźnie nastawieni do świata. Parę osób powiedziało jej cześć, ktoś zapytał, czy ma ochotę zagrać w rzutki, ale podziękowała.

Po pewnym czasie towarzystwo zaczęło się rozchodzić. Gdy przy stolach zostało zaledwie paru najbardziej wytrwałych gości, postanowiła wracać.

Wychodząc, usłyszała szuranie odsuwanego krzesła. Drgnęła i odwróciła się nerwowo. Ależ ze mnie tchórzliwa baba, pomyślała zdegustowana.

Mimo to nie mogła pozbyć się wrażenia, że ktoś ją śledzi. Przyspieszyła kroku i jeszcze raz zerknęła przez ramię. Spostrzegła jakąś postać.

Pocieszała się, że jak zacznie krzyczeć, ludzie zbiegną się ze wszystkich stron. Na szczęście nie musiała tego robić; do mężczyzny, który tak ją przestraszył, dołączyła młoda kobieta, po czym wzięli się za ręce i poszli na pomost. Beth odetchnęła i odwróciła się, by pójść dalej.

Nagle zamarła. W pobliżu zamajaczył kolejny cień. Pojawił się na drodze prowadzącej na parking. A przecież nie powinno go tam być! Przyjrzała mu się, żeby upewnić się, czy nie jest to przypadkiem duży krzew hibiskusa. Nie. Cień wyraźnie się powiększał; szedł w jej stronę.

Nie tracąc czasu na zastanawianie się, od razu zawróciła do tawerny. Okazało się jednak, że nie ma tam już ani jednego gościa. Niezrażona tym faktem, przyspieszyła kroku. Kelnerzy i barmani na pewno jeszcze nie wyszli, a nawet jeśli tak, to gdzieś w pobliżu musi być Nick. Spostrzegła kelnerkę wchodzącą do środka i prawie biegiem ruszyła za nią. Niestety,

spóźniła się. Gwałtownie szarpnęła kłamkę, ale drzwi były już zamknięte.

Dopiero wtedy spanikowała.

Już podniosła rękę, by zacząć się dobijać, gdy niespodziewanie usłyszała, że ktoś ją woła.

Keith. Zaskoczona, wydała stłumiony okrzyk.

- Co tu robisz? Dlaczego włóczysz się sama po nocy? - zapytał surowo.

- Poszłam na piwo. A ty dlaczego włóczysz się po nocy? - odpowiedziała pytaniem na pytanie.

- Szedłem na piwo, ale widzę, że już zamknęli. Przyjrzała mu się nieufnie. Jak zwykle, gdy o niego chodziło, targały nią sprzeczne uczucia.

I dręczyły pragnienia, za które gardziła samą sobą.

- Beth... Cofnęła się.

- Wciąż nic o tobie nie wiem. Nie znam cię.

- Nieprawda. Znasz mnie tak samo dobrze, jak ja ciebie.

Pochylił głowę, a wtedy światło padło na jego rozjaśnione przez słońce włosy. Wydał jej się nagle bardzo wysoki, dominujący. Może dlatego niespodziewanie zapragnęła, by ją przytulił i by choć na chwilę mogła zapomnieć, że na własne życzenie zmieniła swoje życie w żalosną katastrofę.

Chciała uwierzyć, że to, co ich łączy, jest trwałe i prawdziwe...

- Odprowadzę cię. Wzruszyła ramionami.

- Powiedz, co ty w ogóle o mnie wiesz? - poprosiła.

- Wiem, że mi na tobie zależy - odparł po chwili wahania. - I że chcę być blisko, zapewnić ci bezpieczeństwo.

310

Delikatnie odwrócił ją w swoją stronę. Sprawiał wrażenie zmieszanego.

- Spróbuj mnie zrozumieć - powiedział cicho.

- Pewne rzeczy jestem w stanie zrozumieć, a pewnych nie.

- Możesz jaśniej?

Pokręciła głową i nie mówiąc ani słowa, poszła w stronę mieszkania przyjaciół. Po drodze zerknęła ukradkiem w stronę parkingu. Nieszczęsny hibiskus naprawdę ją przestraszył. Tylko czy to rzeczywiście był cień drzewa, a nie człowieka?

- Ashley i Jake mają piwo - rzuciła przez ramię, wiedząc, że Keith za nią idzie.

- Zapraszasz mnie?

- Masz takie samo prawo do korzystania z ich gościnności jak ja. - Weszła do środka, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Po kilku krokach przystanąła, przeczuwając, iż Keith za chwilę położy dłonie na jej ramionach, rozgarnie włosy i pocałuje ją w szyję. Nie zawiódł jej.

Za to niesamowicie ją zaskoczył.

- Zakochałem się w tobie.

Drzwi zamknęły się z cichym trzaskiem. A ona, jakby tylko na to czekała, obróciła się i zarzuciła mu ręce na szyję. Od pierwszego pocałunku zaszumiało jej w głowie, a każdy następny był jeszcze gorętszy.

- Pokój... gościnny - szepnęła w pewnej chwili drżącym głosem. - Przecież oni mają...

- Dzieci. Pokój gościnny - wymamrotała.

Wziął ją na ręce i po cichu wsunął się do pokoju, w którym spała. Beth poddała się nastrojowi chwili i całkowicie wyłączyła myślenie. Zapomniała o swoich wątpliwościach, o nurtujących ją pytaniach i jego niechęci do udzielania jasnych odpowiedzi. Otoczona



przyjazną ciemnością, potrafiła już tylko odczuwać. Nie obchodziło jej nic poza dotykiem jego nagiej skóry, pieszczotami rąk, dzikim tańcem języka, który niemal parzył jej usta.

Bóg widocznie wysłuchał jej modlitw i zdarzył się cud. Keith znów jest przy niej. Jak najbardziej realny, gorący niczym płomień, pełen życia. Nie miała złudzeń, że z nią zostanie. Zniknie, zanim wstanie dzień.

W tej chwili nie pragnęła niczego więcej ponad to, by spędzić z nim tę noc.

Ostrożnie wysunął się z cienia rzucanego przez dom. Już nie musi się kryć. Długo wpatrywał się w drzwi, które dopiero co się za nimi zamknęły. Przedtem z ukrycia obserwował, jak wchodzi razem do środka...

Ogarnęła go wściekłość.

Był już tak blisko, dosłownie o krok...

Co teraz? Czy powinien mimo wszystko zrealizować swój plan i nie oglądając się na nic, uderzyć?

Nie, to nie ma sensu.

Rozprostował palce, by po chwili znów zacisnąć je w pięść. Ryzykował do granic rozsądku, ale nie był w stanie oprzeć się pokusie! Wypił piwo u Nicka. Ktoś mógł go zobaczyć. I co z tego?

I właśnie wtedy, gdy już widział, że ona się boi cieni i lękliwie rozgląda na boki; gdy miał pewność, że po plecach liże ją strach; gdy patrząc na jej nerwowe ruchy, czuł przyjemny dreszcz podniecenia...

Napatoczył się Keith Henson.

Zaklął cicho, ale siarczyście.

I rozplynął się w gęstym mroku.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Klub prezentował się wspaniale. Jako pierwsi, bladym świtem, stawili się pracownicy kwiaciarni. Mniej więcej o tej samej porze przystąpiła do pracy obsługa restauracji, a zaraz po niej elektrycy zaczęli rozwieszać specjalną iluminację; wszystko po to, by wieczorna gala nosząca tytuł „Żar tropików” otrzymała odpowiednią oprawę wizualną.

Beth przyjechała do klubu o dziesiątej. Nie miała motywacji, by wstawać z samego rana, bo i tak wiedziała, że miejsce obok niej będzie puste. Wychodząc z domu, odruchowo zerknęła w stronę krzewu hibiskusa. Miała ochotę poprosić Ashley, żeby go wycięła.

Mimo wczesnej pory w tawernie Nicka panował ruch.

- Cześć, Beth! Jak się spało? - wołali kelnerzy, uwijając się między stolikami.

- Dzięki. Nie najgorzej!

Machinalnie odpowiadała na ich powitania, lecz myślami była zupełnie gdzie indziej. Wspomnienia minionej nocy nie dawały jej spokoju, a im dłużej

o nich myślała, tym bardziej była na siebie zła. Głównie za to, że uległa huśtawce nastrojów. Najpierw o mało nie umarła ze strachu, bo zobaczyła jakiś cień, a potem ze szczęścia, bo Keith powiedział, że się w niej zakochał.

A przecież nie ma się z czego cieszyć, bo podczas ich wspólnej nocy nie padło zbyt wiele słów. Keith nadal pozostaje dla niej zagadką. Dlatego obiecała sobie, że przy następnym spotkaniu będzie o wiele mniej wylewna, za to bardziej konkretna.

Gorączkowa atmosfera panująca w klubie udzieliła się jej od razu. Zostawiła więc sprawy prywatne za progiem i wpadła w wir przygotowań. Osobiście sprawdzała, czy kwiaty są dobrze dobrane, wina dokładnie takie, jakie zamówiła, szampan odpowiednio schłodzony, a podium dla komandora ustawione we właściwym miejscu.

Była trzecia po południu, gdy uznała, że zasłużyła na krótką przerwę. Idąc na górę, wyobrażała sobie, jak za chwilę zamknie za sobą drzwi i z ulgą klapnie w fotelu. Jakież było jej zdziwienie, gdy wszedłszy do biura, zobaczyła Keitha.

- Nie zamknęłaś drzwi na klucz - rzekł z wyrzutem, odpowiadając na jej oskarżycielskie spojrzenie.

- Nigdy tego nie robię w ciągu dnia, ale widzę, że muszę zmienić nawyki.

Puścił mimo uszu jej kąśliwą uwagę.

- Na pewno zrobisz to dziś wieczorem. I dasz mi klucz.

- Widzę, że już się rozgościłeś. - Spojrzała wymownie na pokrowiec na ubrania, wiszący na wieszaku obok jej torby. - Mam rozumieć, że zostaniesz tu do przyjęcia?

314

- Tak.

- Mam do ciebie jedno pytanie.

- Mianowicie?

- Dlaczego mój brat nie został wtajemniczony w tę sprawę?

- Dlatego, że nie dotyczy go bezpośrednio. Każdy powinien wiedzieć tylko tyle, ile musi. I nic ponadto
- wyjaśnił, patrząc jej prosto w oczy.
- Jasne. Maria Lopez może wiedzieć o tobie wszystko, ale mój brat już nie?

Westchnął z rezygnacją.

- Beth, przecież ja jej o sobie nie opowiadałem. O wszystkim dowiedziała się od Manny'ego.
- Więc fakt, że oboje już wcześniej wiedzieli, kim jesteś, automatycznie uwalnia ich od podejrzeń?
- Nikt nie jest wolny od podejrzeń - odparł niechętnie. - Beth...

Cofnęła się.

- Zostawmy to - rzuciła sucho. - To nie jest odpowiednia pora na poważne dyskusje.
- Masz rację. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że o nic nie oskarżam twojego brata. Po prostu nie widzę powodu, żeby dokładać mu problemów. Bo chyba przyznasz, że i bez tego ma ich niemało.
- Po co te wybiegi? - zirytowała się. - I tak wiem, że myślisz, że mojemu bratu nie można ufać.
- Czy naprawdę musimy drażnić ten temat?
- Przypominam, że sam się tu wprosiłeś - burknęła. Jego oczy nabrały twardego wyrazu.
- Dasz mi klucz? - zapytał.
- Jest w górnej szufladzie, po lewej stronie. W kosmetyczce.
- Interesujący schowek.
- Do tej pory wystarczał.

327

Ochota, by usiąść w fotelu i odpocząć, przeszła jej jak ręką odjął. Zostawiła go więc samego i wróciła na dół. Tam poszła prosto do kuchni, żeby coś szybko przekąsić.

- Niech pani spróbuje mojej zupy z czarnej fasoli

- zachęcał kucharz.

- Hm, rzeczywiście j est pyszna! - mruknęła z uznaniem, choć z emocji przełknęła zaledwie kilka łyżek.

Gdy pół godziny później wróciła do biura, Keitha już tam nie było. Korzystając z tego, że wreszcie jest sama, sięgnęła po telefon i zadzwoniła do Ashley.

- Cześć, jak tam? Zameldował się policjant, który dziś pilnuje Amber? - zapytała.

- Tak. Nie martw się, wszystko jest pod kontrolą

- zapewniła ją koleżanka. - Amber zaraz wychodzi ze szkoły, a potem razem z Benem przyjedzie do klubu.

W tej sytuacji nie pozostało jej nic innego jak przebrać się w sukienkę, którą wybrała na ten wieczór. Wzięła więc torbę z rzeczami i poszła do szatni.

Po drodze obserwowała gorączkową krzątaninę kelnerów biegających pomiędzy restauracją a bufetami ustawionymi na powietrzu. Kelnerów było sporo, gdyż oprócz stałych pracowników zatrudniono dodatkowe osoby do pomocy. Swoich ludzi miała także firma cateringowa. Wszyscy bez wyjątku, tak mężczyźni jak i kobiety, mieli na sobie smokingi.

Beth wypatrzyła wśród nich Henry'ego i kiwnęła do niego głową. Trochę się zdziwiła, widząc, że ma wyjątkowo masywnego i niezdarnego pomocnika. Mężczyzna chyba wyczuł, że mu się przygląda, bo podszedł do niej i przedstawił się, zniżając głos:

- Inspektor Greg Masters. Chcę pani tylko powiedzieć, że jesteśmy. Wtapiamy się w tłum.

- Dzięki - mruknęła.

328

Wtapiają się? Jakoś mało skutecznie, pomyślała zgryźliwie, ale co tam. Najważniejsze, że w ogóle są.

W szatni nie było żywej duszy. A ona mimo to, czy może właśnie dlatego, nie czuła się swobodnie. Zanim się przebrała, zajrzała najpierw w każdy kąt, do każdej kabiny prysznicowej. I choć miała pewność, że poza nią nie ma tu nikogo, w żaden sposób nie mogła pozbyć się nieprzyjemnego wrażenia, że jest obserwowana. Zastanawiało ją, skąd to zdenerwowanie? Przecież w klubie jest policja. I Keith. Swoją drogą ciekawe, gdzie zniknął i co teraz robi? I dlaczego tak mu zależało, żeby zjawić się dużo wcześniej.

Dręczona setką podobnych pytań, przebrała się i poszła zerknąć na kuchnię, jadalnię i bar. Pierwszą osobą, którą spotkała po drodze, był Eduardo Shea, który właśnie przyjechał razem z zespołem muzycznym i zaaferowany biegał po klubie w efektownym biało-czarnym stroju do salsy z charakterystycznymi falbaniastymi rękawami.

Beth od razu do niego podeszła, lecz musiała się pilnować, by swym zachowaniem nie zdradzić, że **O** coś go podejrzewa. Starła się być naturalna, lecz nie przychodziło jej to łatwo.

- Maria już przyjechała? - zapytał wyraźnie przejęty Eduardo.

- Jeszcze nie. Chciałabym, żeby pan poznał naszego komandora, a potem pokażę panu stolik, który dla pana wyznaczaliśmy. Podium dla muzyków jest już gotowe. Starliśmy się przygotować wszystko zgodnie z pańskimi wskazówkami - relacjonowała, biorąc go pod rękę.

Komandor Berry, który w swym białym mundurze i kapitańskiej czapce prezentował się elegancko i efektownie, na widok Beth od razu się rozpromienił.

- Czy wiesz, że będziemy mieli gości z klubu Belle Haven? Słyszeli, że nasza gala ma być wyjątkowym wydarzeniem i postanowili przyjść, żeby osobiście się o tym przekonać - mówił uradowany.

Naraz pochylił się, jakby chciał jej coś szepnąć do ucha, lecz spostrzegłszy Eduarda, zmienił zdanie.

- Dobry wieczór panu. Witamy w naszym klubie. Beth poczuła się pewniej. Pomyślała, że skoro jej szef, który przecież wie, że w klubie jest policja, potrafi odegrać swą rolę z taką swobodą, ona też podoła zadaniu.

Niebawem przyjechali Ashley i Jake, a zaraz po nich Ben z Amber.

- Wszystko w porządku? - zapytała ją Ashley bez wstępów.

- Spotkałaś rano Keitha - domyśliła się.

- Tak... - Ashley trochę się spieszyła. - Ale nie o niego pytam, tylko o przygotowania. A jeśli chodzi o niego, to... jest zawsze mile widziany w naszym domu. Natomiast co do dzisiejszego wieczoru...

- To najważniejsze, żebyś przez cały czas miała na oku Amber - Beth weszła jej w słowo. - Mną się nie przejmuj. Poradzę sobie.

- Obiecuję, że nie odstąpię jej na krok. Mam nadzieję, że zdajesz sobie sprawę... - Ashley spojrzała na nią z niepokojem - że dziś może się nic nie wydarzyć. Nikt nie będzie tu robił afery, jeśli nie będzie ku temu wyraźnych powodów.

Beth skinęła głową.

- Wiem, że to głupie, ale podświadomie liczę na to, że jednak coś się stanie. Chcę, żeby to się raz na zawsze skończyło - rzekła z naciskiem. - Może wreszcie przestanę się czuć tak, jakbym siedziała na rozżarzonych węglach.

330

- Wszystko będzie dobrze. - Ashley delikatnie ścisnęła ją za rękę. - A tak swoją drogą, odwaliłaś tu kawał świetnej roboty. Wszystko wygląda rewelacyjnie - pochwaliła.

- Dzięki. Chryste! Popatrz! Przyszła Maria! Tancerka była już przebrana do występu. Miała na

sobie krótką sukienkę wyszywaną cekinami i czerwoną różę za uchem.

- Goście też zaczynają się schodzić - zauważyła Ashley, gdy Beth wymieniała z Marią powitalny ukłon.

- Pora wcielić się w rolę gospodyni wieczoru - westchnęła Beth.

- Widziałaś Keitha? - zainteresowała się Ashley.

- Przed kilkoma godzinami. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Przepraszam cię, muszę już iść.

Przez następną godzinę nie miała chwili wytchnienia. Pochłonięta obowiązkami organizacyjnymi zapominała, że tegoroczna gala nie jest zwykłym pożegnaniem lata. Mimo nawału zajęć co chwila spoglądała w stronę Amber i sprawdzała, czy dziewczyna nie jest przypadkiem sama. Mogła być jednak spokojna, gdyż Ashley dotrzymała słowa i cały czas była w pobliżu Amber oraz Kim, które puszyły się w swych wieczorowych sukienkach i całkiem dorosłych szpilkach.

Kilka razy podchwyciła spojrzenie Bena. Z wyrazu jego oczu wyczytała, że wciąż ma do niej żal.

Przez całe życie mieli dobre relacje i zawsze byli ze sobą blisko, a teraz on traktował ją tak, jakby go zawiodła albo zdradziła. Jego zachowanie bolało ją tym bardziej, iż zupełnie nie czuła się winna.

Najchętniej podeszłaby do niego i wszystko wyjaśniła, wiedziała jednak, że nie wolno jej tego zrobić. Jeszcze nie.

Do Marii i Eduarda dołączyli pozostali tancerze,



między innymi Mauricio, który zajął miejsce u boku swej partnerki. Przybyli również Masonowie i przyłączyli się do tancerzy, tworząc z nimi barwną, roześmianą grupę. Pośród gości Beth wypatrzyła Marta i Lee, który właśnie częstował się szampanem.

Trochę się zdziwiła, że nigdzie nie widać Keitha. Widocznie nie żartował, gdy uprzedzał ją, że zamierza pozostać niewidoczny.

Właśnie witała kolejnych gości, gdy komandor dyskretnie odwołał ją na bok.

- Beth, to niesamowite! - szepnął podniecony. - Jeszcze na dobre nie zaczęliśmy, a ludzie już mówią, że jest świetnie. Wiem, że dookoła roi się od policjantów. Tylko powiedz mi, jak w tym tłumie rozpoznać, kto jest swój, a kto nie? - zapytał bezradnie.

Słuszne spostrzeżenie, przyznała w myślach. Nagle poczuła, jak ze strachu uginają się pod nią kolana.

- Przepraszam na sekundę, komandorze - szepnęła słabym głosem i zaczęła przedzierać się nerwowo przez tłum.

Po chwili odetchnęła. Ashley stała obok Amber, wierna jak cień.

- Drodzy państwo, serdecznie zapraszamy do stołów. Proszę zajmować miejsca - zachęcał tymczasem komandor, korzystając z przerwy, którą zrobili sobie muzycy.

Wokół stolików od razu zrobił się ruch. Obok Beth przeszedł wysoki, dobrze zbudowany starszy pan z gęstą siwą czupryną, brodą i wąsami. Mijając ją, posłał jej ciepłe spojrzenie i miło się uśmiechnął.

Miał niezwykle, intensywnie zielone oczy o niespotykanym odcieniu. Beth odwzajemniła uśmiech, choć zupełnie go nie знаła. Pewnie jest członkiem bratniego klubu, pomyślała, obserwując ludzi, którzy zajmowali miejs-

332

ca za stołami. Tancerze usiedli razem z Eduardem i Mannym, Masonowie z Mattem i Lee.

Nawet jeśli Sandy i Brad gdzieś tu są, ona ich nie dostrzegła.

Kiedy komandor zaczął wygłaszać mowę powitalną, mogła wreszcie dołączyć do swoich bliskich.

Miała nadzieję, że przy nich zdoła się odprężyć i może nawet przełknąć parę kęsów.

Nieznajomy siwowłosy pan musiał być gościem komandora, gdyż zajął honorowe miejsce tuż obok mównicy. Tymczasem komandor Berry zbliżał się do końca swego wystąpienia.

- Mam nadzieję, że przygotowania do imprezy nie zakłóciły normalnej pracy klubu i nie sprawiły państwu kłopotu. W tym miejscu chciałbym z całego serca podziękować wszystkim, którzy mocno się napracowali, by dzisiejszy wieczór stał się wyjątkowym wydarzeniem. Szczególne podziękowania należą się pani Beth Anderson, naszej szefowej PR i jednocześnie głównej pomysłodawczyni dzisiejszego wieczoru. Beth, proszę nam się pokazać, żebyśmy mogli nagrodzić panią brawami! - zawołał.

Wstała, lecz słysząc gromki aplauz, poczuła się nieswojo. Ben też klaskał, lecz jego mina nie pozostawiała złudzeń, że robi to wyłącznie dlatego, że tak wypada. Beth zaczęła się martwić, czy kiedykolwiek uda jej się odzyskać jego zaufanie i odbudować dawne ciepłe relacje.

Szef kuchni stanął na wysokości zadania i przygotował wyśmienite menu. Atmosfera była wspaniała. Roześmiani ludzie wędrowali pomiędzy stolikami, dosiadając się do znajomych i przyjaciół. Do nich podeszła Amanda, i pochwaliwszy Amber i Kim za stroje, zaczęła bezwstydnie flirtować z Benem.

W pewnej chwili ktoś delikatnie poklepał Beth w ramię. Przestraszona drgnęła i szybko odwróciła głowę.

- Cześć. Jak się bawisz? - zagadnął ją Matt.

- Świetnie. Fajnie, że przyszedłeś.

- Widziałaś może Keitha? Miał tu z nami być.

- Nie, jeszcze go nie widziałam - odparła zgodnie z prawdą.

- Utrapienie z tym facetem. - Westchnął zirytowany. - Słyszałem, że atrakcją wieczoru mają być pokazy i lekcje salsy. Zarezerwuj dla mnie jeden taniec, dobrze?

- Oczywiście. Choć może byłoby lepiej, gdybyś zatańczył z profesjonalistką - zasugerowała, wskazując stolik tancerzy.

- Coś mi mówi, że lepszej partnerki niż ty nie znajdę - odparł z uśmiechem.

- Miło mi. Obyś się nie rozczarował!

Gdy do stolika podszedł Roger Mason i zaczął witać się z Benem, Amber wstała.

- A ty dokąd idziesz? - zapytała ją ostro. Dziewczyna, zaskoczona jej tonem, spojrzała na nią pytająco.

- Do łazienki. Chyba mogę?

- Pójdę z tobą.

- Ciociu, przecież znam drogę. Nie zgubię się.

- Wiem, wiem, ale... też muszę iść.

- Wobec tego i ja do was dołączę - powiedziała ochoczo Ashley. - A ty, Kim? Idziesz z nami?

- Nie. Jeszcze nie muszę - odparła Kim, zdziwiona tym nagłym pospolitym ruszeniem.

- Lepiej chodź teraz, żebyś nie musiała lecieć, jak się złączą pokazy tańca - namawiała ją Beth.

Czuła, że zachowuje się śmiesznie, ale nie chciała

tracić dziewczyn z oczu nawet na chwilę. Była najszcześniejsza, gdy znajdowały się pod opiekuńczymi skrzydłami Ashley i Jake'a. Zwłaszcza Ashley, która, wesoła i rozluźniona, cały czas je rozśmieszała. Beth nie pierwszy raz pomyślała z wdzięcznością, że taka przyjaciółka to prawdziwy skarb. Nie dość, że policjantka, to jeszcze żona policjanta.

Gdy parę chwil później wróciły do stolika, z przyjemnością napiła się szampana. Liczyła, że odrobina alkoholu pomoże jej się rozluźnić. Bardzo tego potrzebowała, bo z każdą godziną czuła się coraz bardziej zestresowana. Wiedziała, że jeśli w porę nad tym nie zapanuje, zacznie krzyczeć albo zrobi coś, co tylko utwierdzi wszystkich w przekonaniu, że mają do czynienia z osobą niepoczytalną.

Po deserze, na który podano płonący suflet, komandor zapowiedział występy.

Mauricio i Maria wyszli na ułożony na patiu parkiet i ustawili się w odpowiedniej pozie.

Muzycy zaczęli grać salsę.

Wystarczyło parę minut, by Beth zapomniała o bożym świecie. Tak jak reszta widzów, z zachwytem i niedowierzaniem obserwowała popis tanecznej pary. I jak w czasie pierwszej próby, tak i teraz nie pojmowała, jakim cudem można tak szybko kręcić biodrami i poruszać się tak zmysłowo, a jednocześnie z wdziękiem i elegancją.

Melodia gwałtownie się urwała; Maria i Mauricio zastygli w dramatycznej pozie. Zachwycona publiczność zamarła. Magiczna chwila nie trwała jednak długo. Muzycy znów zaczęli grać, a tancerze wykonali kolejny taniec.

Gdy występ dobiegł końca, publiczność nagrodziła ich owacją na stojąco. Słyszając gromkie brawa,

Beth

323

poczuła się tak, jakby nagle wyrwano ją ze snu. Mrugając oczami, spojrzała na Eduarda, który wyszedł na parkiet, by podziękować Marii i Mauryciowi.

- Szanowni państwo pozwolą, że przedstawię moich pozostałych tancerzy, którzy za chwilę udzielą państwu lekcji najprawdziwszej salsy - oznajmił.

Beth słuchała go z roztargnieniem, gdyż zaintrygowało ją, dlaczego wszedł na parkiet z przeciwnej strony, niżby wskazywało ustawienie stolika. Prawdopodobnie więc na czas występu dokądś poszedł. Serce zabiło jej szybciej, choć nie miała żadnej pewności, że to odkrycie o czymkolwiek świadczy. Dyskretnie rozejrzała się dokoła. Zwalisty policjant, z którym wcześniej rozmawiała, stał przy jednym z bufetów i patrzył na parkiet. Jak zresztą wszyscy. Ciekawe, czy ktoś w ogóle zauważył, dokąd wymknął się Eduardo?

- Panna Elizabeth Anderson.

Drgnęła i rozejrzała się niepewnie, jak dziecko przyłapanie na gorącym uczynku.

- Zapraszam! - zachęcał tymczasem Eduardo. Znów rozległy się gromkie brawa. Eduardo czekał, wyciągając ręce w jej stronę.

- Ciociu, no idź! - ponaglała ją Amber.

- Ale gdzie? I po co? - zapytała półprzytomnie.

- Eduardo chce na twoim przykładzie pokazać, jak szybko można opanować kroki - wyjaśniła jej Kim.

- Co takiego? - jęknęła ze zgrozą. - Ja mam po Marii wyjść na parkiet?! To chyba jakiś żart!

- No dalej, siostrzyczko! - Ben próbował się do niej uśmiechnąć. - W końcu to był twój pomysł, żeby go tu zaprosić.

Nawet nie wiesz, jak bliski jesteś prawdy, pomyślała ponuro. Rzeczywiście, przecież to jej zachciało się

bawić w detektywa, przez co naraziła na śmiertelne niebezpieczeństwo jego jedyną córkę. Oczywiście wiedziała, że brat nadal ją kocha, lecz intuicyjnie wyczuwała, iż akurat teraz życzy jej, by zaplątała się we własne nogi.

Nie miała wyjścia. Wstała i z wymuszonym uśmiechem podeszła do Eduarda. Po drodze gorączkowo przypominała sobie wskazówki, których on i Maria udzielili jej podczas zaimprovizowanej lekcji. Mężnie wytrzymała jego spojrzenie. Jednocześnie modliła się, by wyrazem oczu lub mową ciała nie zdradzić, iż wie o nim więcej, niżby sobie życzył. Tymczasem on wyszedł jej naprzeciw. Podała mu więc rękę i oplotła palce wokół jego dłoni. Muzycy zaczęli grać.

Rzeczywiście nie mogła równać się z Marią Lopez, lecz Eduardo Shea niewątpliwie był świetnym tancerzem. I wspaniale prowadził. Beth nie posiadała się ze zdumienia, jak szybko złapała rytm. I nie wypadła z niego nawet podczas skomplikowanych obrotów i przejść.

- Drodzy państwo, zapraszamy wszystkich na parkiet! - zawołał Mauricio po paru chwilach i pierwszy poprosił do tańca panią komandorową, Maria zaś podeszła do komandora. Pozostali nauczyciele ruszyli do stolików i zaczęli zachęcać gości do wspólnej zabawy.

Okazało się, że wiele osób ma jako takie pojęcie o salsie. W mgnieniu oka na parkiecie zrobiło się tak tłoczno, że część osób przeniosła się na trawniki.

Oficjalna część wieczoru dobiegła końca. Od tej chwili impreza zaczęła rozkręcać się na dobre.

Beth z trudem łapała oddech, gdy Eduardo przystanął i skłoniwszy się z galanterią, rzekł:

- Dziękuję, że zgodziła się pani być jakże uroczą ochotniczką! Najchętniej przetańczyłbym z panią całą noc, ale muszę dać szansę innym.
  - Można? - odezwał się ktoś za jej plecami. Zaskoczona, spojrzała za siebie. I nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, wpadła w ramiona Hanka.
  - Super impreza! - pochwalił, przekrzykując muzykę.
  - Fajnie, że dobrze się bawisz!
  - A ty? Wszystko w porządku?
  - Też pytanie?! Oczywiście, że tak!
  - Naprawdę? Wydawało mi się, że jesteś zdenerwowana. Słyszałem, że ktoś ci zrobił ponury dowcip z czaszką. A tak swoją drogą, jak byliśmy na wyspie, naprawdę znalazłaś ludzką głowę? Zaprzeczyła.
  - Co ty, niepotrzebnie spanikowałam - mówiła, celowo bagatelizując sprawę. - Ben miał rację, że to była wyjątkowo duża muszla.
  - Tak? Nie wiem, ale wydaje mi się, że cały czas jesteś strasznie spięta? - Hank uśmiechnął się ze współczuciem.
  - Wiesz, ile miałam ostatnio roboty? - Odruchowo spojrzała ponad jego ramieniem na tańczących i z przerażeniem spostrzegła, jak Eduardo zabiera Amber z parkietu. - Przepraszam cię, Hank. Zwinnie wysunęła się z jego objęć i zaczęła lawirować wśród tańczących. Na szczęście po paru krokach mogła sobie odpuścić. Jake cały czas trzymał rękę na pulsie.
  - Beth? - Roger Mason położył dłoń na jej ramieniu. - Sprawisz, żeby stary człowiek znów poczuł się dumny?
- Nim się zorientowała, już ją porwał do tańca.

326

O dziwo, umiał tańczyć salsę, i to całkiem nieźle. Wirując z nim w takt muzyki, próbowała dojrzeć Amber, ale jak na złość i ona, i cała reszta znikli jej z oczu.

Zespół niespodziewanie zaczął grać rumbę.

- Przepraszam. Pozwoli pani?

Beth nie od razu zorientowała się, kto wyłuskał ją z ramion Rogera. Zdziwiła się jednak bardzo, gdy okazało się, że jej nowym partnerem jest siwowłosy znajomy komandora.

Jak na człowieka już niemłodego, zadziwiająco dobrze radził sobie w tańcu. Beth знаła podstawowe kroki, więc jakoś jej szło, lecz tak bardzo martwiła się o Amber, że najchętniej uciekłaby z parkietu.

- Sytuacja jest pod kontrolą. Po Kim przyjechali rodzice, więc Amber poszła ją odprowadzić do bramy. Oczywiście nie sama. Jest z nią Ashley.

Beth w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie krzyknąć. Nigdy w życiu by go nie rozpoznała. Z tego szoku o mały włos go nie zdekonspirowała; już miała głośno wypowiedzieć jego imię, ale w ostatniej chwili się opamiętała.

- Zamknij buzię, bo dziwnie wyglądasz. I nie bądź taka sztywna, jakbyś kij połknęła! Przecież tańczymy rumbę, więc trochę się wyluzuj!

Nie mogła oderwać od niego oczu. Najbardziej intrygowało ją, gdzie się tak świetnie nauczył sztuki kamuflażu. Siwe włosy, broda i wąsy wyglądały jak prawdziwe. I jeszcze te zielone szkła kontaktowe!

- Rodzona matka by cię nie poznała - szepnęła z uznaniem.

- I o to chodzi!

- Matt i Lee też nie wiedzą, kim naprawdę jesteś?

- Nie - odparł po chwili milczenia.



- Nadal uważasz, że coś się dziś wydarzy? Wzruszył ramionami.
- Kiedy zaczął się pokaz tańca, zauważyłem, że Shea dokądś idzie, więc ruszyłem za nim. A on poszedł po piwo. - Zdegustowany pokręcił głową. - Oby się tylko nie okazało, że pomyliłem się w ocenie sytuacji. Wątpię, żeby stróże prawa chcieli mnie jeszcze kiedyś słuchać, jeśli okaże się, że wpuściłem ich w maliny. Potrafią być bardzo pamiętliwi. Tak samo zresztą jak jedna ze znanych mi osób.
- Doprawdy? Spójrzmy na to z innej perspektywy. Nie mam pojęcia, do czego tak naprawdę zmierzasz, teraz i w ogóle. I nagle widzę, że jeśli chcesz, potrafisz być takim samym kameleonem jak pierwszy lepszy kryminalista. Wydawało mi, że już cię trochę znam. Teraz znów jestem w kropce.
- Proszę cię o odrobinę zaufania.
- Nie wiem, do czego jesteś zdolny, kiedy chcesz osiągnąć swoje cele - wyznała. Nie zdążyła powiedzieć nic więcej, gdyż przerwało jej dzwonienie komórki. - Przepraszam, nie chcę cię ograniczać. Z pewnością jest tu parę osób, z którymi chciałbyś zatańczyć - powiedziała, wysuwając się z jego objęć. Omijając tańczących, szybko przemieściła się na skraj parkietu i sprawdziła, kto dzwoni. Natychmiast odebrała.
- Ciociu?
- Amber, co się dzieje? Gdzie jesteś? Usłyszała coś, co przypominało zdławiony szloch.
- Ciociu, proszę, chodź do mnie. Jesteś mi bardzo potrzebna!

## **ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY**

Keith patrzył na odchodzącą Beth, czując niemal fizyczny ból serca. Nie wybaczyła mu, choć spędzili ze sobą cudowną noc. Na domiar złego miał coraz poważniejsze obawy, że zrobił z siebie idiotę. Przez cały dzień kręcił się po jachtklubie w różnych przebraniach, i udając to elektryka, to znów kelnera, podsłuchiwał, o czym rozmawiają Masonowie, tancerze, a nawet Matt i Lee. I nic. Absolutnie nic interesującego. A kiedy wreszcie się doczekał i już był prawie pewny, że wpadnie na jakiś trop, musiał obejść się smakiem; Eduardo, którego dyskretnie śledził, poszedł do kelnera po piwo. Niezrażony niepowodzeniami, uważnie obserwował gości, lecz nie dostrzegł między nimi ani Brada, ani Sandy.

- Dobry wieczór, przystojniaku! - Odwróciwszy się, ujrzał niemłoda, ale wciąż atrakcyjną kobietę w pięknej błękitnej sukni, która miała we włosach identycznego koloru pasemka. - Zatańczymy? Chciał jej uprzejmie podziękować, lecz ujrawszy na parkiecie Matta i Amandę, zmienił zdanie.

- Z największą przyjemnością. Pani pozwoli? -Uklonił się szarmancko i podał jej ramię.
  - Jest pan członkiem bratniego klubu? - zapytała, gdy zaczęli tańczyć.
  - Tak - odparł, prowadząc ją tak, by cały czas byli jak najbliżej Matta i Amandy. - Nazywam się Jim Smithson i jestem starym znajomym komandora.
- Kobieta była niezłą tancerką, ale straszliwą gadułą. Buzia nie zamykała jej się ani na chwilę, przez co Keith nie mógł usłyszeć, o czym dokładnie rozmawiają Mart i Amanda. Docierały do niego urywki zdań.
- ... i zniknęłaś bez słowa - mówił Matt z wyrzutem.
  - Było mi z tobą wspaniale. Powiedziałaś mi przecież, że lubię jachty - tłumaczyła się, robiąc do niego słodkie oczy.
  - Zauważyłem.
  - A pan, panie Smithson?
- Keith z roztargnieniem spojrział na swoją partnerkę. Nie miał pojęcia, o co go pyta.
- Ja też - odparł bez zastanowienia, modląc się, by wreszcie przestała trajkotać.
  - Chodziło o jacht, a nie o mnie? - Matt był wyraźnie rozżalony.
  - Byłam umówiona. Dasz się przeprosić?
  - A za co tu przeproszać? - burknął. - Zabrałaś ponton i tyle cię widzieli! A ja zostałem jak ten dureń. Amanda zachichotała.
  - Przepraszam, że tak cię zostawiłam, ale naprawdę musiałam wracać. Miałam się spotkać...
  - Tak się cieszę, panie Smithson! Mam nadzieję, że spodoba się panu mój dom - zawołała radośnie błękit-nowłosa dama. Keith zorientował się, że przygląda mu się wyczekująco.
- 342
- Przepraszam, nie usłyszałem, co pani mówiła. Ta muzyka jest strasznie głośna.
  - Powiedziałaś, że bardzo się cieszę, że ma pan takie samo podejście do seksu między ludźmi w naszym wieku jak ja.

- Co takiego?

Matt i Amanda zniknęli w tłumie tańczących.

- Cóż, skoro jesteśmy zgodni, że osoby tak dojrzałe jak my mają prawo cieszyć się seksem, proponuję, żebyśmy wymknęli się stąd zaraz.

- Obawiam się, że to niemożliwe, droga pani. Mam pewne zobowiązania. A teraz proszę mi wybaczyć, ale naprawdę muszę iść. Dziękuję za wspólny taniec. -Uklonił się i nim zdążyła otworzyć usta, czym prędzej się oddalił.

Zatrzymał się na skraju parkietu i przez chwilę obserwował tłum. Wypatrzył w nim znajomego policjanta i kiwnął do niego głową. Tamten odpowiedział mu tym samym, lecz musiał pomóc starszej pani, która bezradnie szukała miejsca do odstawienia pustego kieliszka. Keith przestraszył się, że kobieta zaraz do niego podejdzie, więc od razu wziął nogi za pas. Postanowił poszukać Matta. Odnalazł go na pomoście, stojącego samotnie i zapatrzonego w mrok. Podeszedł więc i stanął obok.

- Dobry wieczór - burknął Matt, lecz wyraz jego twarzy mówił wyraźnie, że nie jest spragniony towarzystwa.

Do diabła z konspiracją! - zdecydował Keith.

- Można wiedzieć, co nawywijałeś? - natarł na Matta.

Ten zaś spojrzał na niego jak na szaleńca, szeroko otwierając oczy. Szok nie trwał jednak długo.

- A niech cię jasny szlag... - zaklął pod nosem.

331

- A coś ty się tak wystroił jak stróż w Boże Ciało? Na cholere ci to cudaczne przebranie?

- Żeby móc spokojnie obserwować. - Keith posłał mu znaczące spojrzenie. - I słuchać.

Matt poczerwieniał, po czym się skrzywił.

- Głupia sprawa... - bąknął. - Powinienem być ci od razu powiedzieć. - Skulił się w sobie. - Lee z Geraldem zrobili sobie rajd po barach, a ja... zostałem sam z Amandą.

- Zabrałeś ją na łódź?

Matt zwiesił głowę i kiwnął głową. Keith długo wpatrywał się w wodę.

- Przynajmniej czegoś się dowiedziałeś? - zapytał.

- Tego, że ta cholerna baba umie dosypać jakiegoś świństwa do drinka.

- Nieźle. Myślisz, że cię uspiła i zaczęła myszkować?

- Chryste, mam nadzieję, że nie! Cholera, pewnie tak! - Przygnębiony Matt z niedowierzaniem pokręcił głową.

Keith widział, co się z nim dzieje, więc odczekał chwilę, zanim spytał:

- Powiedziałeś o tym Lee?

- Nie. Było mi tak głupio, że wolałem siedzieć cicho.

- I niech tak zostanie, przynajmniej na razie - zdecydował Keith.

- Uważam, że skoro ty już wiesz, to Lee też powinien. Chcę to z siebie wywalić i mieć spokój.

- Na razie się wstrzymaj. Najpierw zobaczmy, jak się sprawy rozwiną, dobra?

- Ty tu jesteś szefem.

Keith spojrział na niego w zamyśleniu.

344

Beth z każdą chwilą była bardziej zdenerwowana. Szukała Amber wszędzie: przed budynkiem, na podjeździe, przy bramie. I nic. Ani śladu. Co gorsza, Amber nie odbierała też telefonu; za każdym razem włączała się poczta. Kiedy Beth była już bliska hysterii, zadzwoniła Ashley.

- Ashley, mów, gdzie jesteś?

- Jestem z Amber. Rozładowała się jej bateria, ale koniecznie chce z tobą porozmawiać.
- Co się dzieje? Gdzie ty jesteś? Wszystko w porządku? - Zdenerwowana Beth nie pozwoliła Amber dojść do słowa.
- Jestem z Ashley.
- Ale nic ci się nie stało? Ani tobie, ani ojcu?
- Nie, nic.
- Więc o co chodzi?
- Nie uwierzysz, jak ci powiem!
- Mów!
- Kim ze mną zerwała.

Przez kilka sekund osłupiała Beth wpatrywała się w telefon, który z wrażenia aż odsunęła od ucha.

- Słucham? - powiedziała po chwili, chcąc się upewnić, czy przypadkiem się nie przesłyszała. - Co zrobiła Kim?
- Ciociu, to się po prostu w głowie nie mieści. Tak się fajnie bawiłyśmy! Kim miała już wychodzić i nagle powiedziała, że musi mi coś wyznać. Odprowadziłam ją do bramy. Po drodze normalnie gadałyśmy, Ashley i Jake słyszeli. I wtedy ni z tego, ni z owego Kim mi mówi, że to nie moja wina, tylko jej. I że musi ze mną zerwać.

Beth nie wiedziała, jak zareagować. Cała ta rozmowa wydała jej się kuriozalna. Miała ochotę wrzasnąć na Amber, żeby nie zawracała jej i sobie głowy

głupotami, bo mają w tej chwili o wiele poważniejsze problemy. Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego zrobić.

- Słuchaj..., czy jest coś, o czym nie wiem? To znaczy, czy wasza znajomość miała inny charakter, niż mi się zdawało? - zapytała, dobierając starannie słowa.

- Ciociu, no co ty! - Amber roześmiała się histerycznie. - I właśnie to jest w tym wszystkim najbardziej beznadziejne. Nigdy nie słyszałam, żeby koleżanka zrywała z koleżanką. Na dodatek w taki sposób. No wiesz, „nie odzywaj się do mnie nawet na przerwie”. W pierwszej chwili myślałam, że się ze mnie nabija, i nawet zaczęłam się śmiać. Ale ona mówiła to poważnie! Powiedziałam o tym Ashley i ona też uważa, że to jakaś kosmiczna historia - mówiła Amber przez łzy.

- Gdzie tata? - zapytała ją Beth.

- Nie mam pojęcia. Ciociu, ja wiem, że to przyjęcie jest dla ciebie bardzo ważne, ale czy mogłabyś tu przyjść i zabrać mnie do siebie do domu?

- Od paru dni mieszkam u Ashley.

- Mogę z tobą do niej jechać?

- Jeśli się zgodzi.

- Nie chcę wracać z tatą. Nie czuję się na siłach, żeby mu tłumaczyć, co się stało. Ciociu, to chyba jakiś koszmarny sen. Normalnie jestem załamana.

- Skarbie, głowa do góry! Zaraz do ciebie przyjdę, tylko powiedz mi, gdzie jesteś?

- Na lewo od namiotu.

- A ja jestem dokładnie po drugiej stronie. Już do ciebie idę. Znajdziemy twojego tatę... Ostatnio trochę się na mnie gniewa, ale poproszę Jake'a, żeby z nim porozmawiał. Nie wiem, czy będzie chciał cię puścić do Ashley, więc lepiej ją poprosz, żeby spróbowała go przekonać - mówiła, idąc.

346

Gdy po chwili zobaczyła Amber, była tak wzruszona, że bała się, iż się rozplacze. Wyrzucała sobie, że zachowuje się jak histeryczka, niepotrzebnie panikuje i widzi demony nawet tam, gdzie ich nie ma.

Przebiegła ostatnie metry dzielące ją od ławki, na której siedziały Amber i Ashley. Jej przyjaciółka miała taką minę, jakby chciała powiedzieć: „Staram się, jak mogę, ale Bóg mi świadkiem, że nie mam pojęcia, co z tym fantem zrobić”. Za to Amber wyglądała na kompletnie rozbitą.

Beth usiadła obok i mocno ją przytuliła.

- Nie martw się. Poradzimy sobie! - szepnęła, całując ją w głowę.

Amber podniosła ku niej zapłakaną buzię i zarzuciła jej ręce na szyję.

- Słyszałaś coś podobnego? - jęknęła.

- Wszystko się jeszcze ułoży - pocieszała ją. - Przecież Kim może zmienić zdanie. Zobaczysz, jutro zadzwoni i powie, żebyście zapomnieli o całej sprawie - mówiła łagodnie, lecz ponad głową bratanicy cały czas czujnie się rozglądała. W końcu są same na opustoszałym podjeździe.

A jednak nie. Kilkanaście metrów dalej zwalisty policjant przypalał sobie papierosa.

- Kim nie zadzwoni, ciociu. Ona nie żartowała. Z nami już koniec.

- Skarbie, bądź rozsądna. Przecież to nie jest twoja dziewczyna, tylko koleżanka. Nie pierwsza i na pewno nie ostatnia. W tej chwili jesteś rozgoryczona, ale tak naprawdę to jeszcze nie koniec świata.

- A właśnie że koniec. Nawet nie wiesz, jakie to było upokarzające.

- Amber, przecież masz inne koleżanki.

- Które też przyjaźnią się z Kim.



Aby dodać jej otuchy, uścisnęła jej ramiona.

- W tej chwili nic nie wymyślimy. Musimy uzbroić się w cierpliwość i czekać, co będzie dalej. Pamiętaj, że bardzo cię kocham. Wszyscy moi znajomi uważają, że jesteś śliczną, zdolną i mądrą dziewczyną. Amber, masz przed sobą całe życie. Zaręczam ci, że wszystko się ułoży. A któregoś dnia sama dojdiesz do wniosku, że dramaty, które przeżywałaś w szkole, nie były warte jednej łzy.

- Beth ma rację - wtrąciła Ashley.

Amber próbowała się uśmiechnąć, lecz nie wyglądała na przekonaną.

- Posłuchaj, muszę wracać do gości. Nie mogę wszystkiego tak zostawić - zaczęła Beth łagodnie.

- Ja wiem, ciociu. Przepraszam, że zepsułam ci zabawę - odparła cicho.

- Niczego nie zepsułaś. Przecież wiesz, że jesteś dla mnie najważniejsza.

- Wiem, ciociu. Ale nie chcę, żebyś przeze mnie zaważyła coś w pracy.

- Nic się nie martw. Na pewno znajdziemy jakieś rozwiązanie.

- Wracaj do klubu. Ja tu z nią posiedzę - zaofiarowała się Ashley. \_

- Dzięki. Postaram się szybko wrócić. Ludzie zaraz zaczną wychodzić, więc pożegnaj się z kilkoma osobami. I pojedziemy do domu.

- Ashley, pójdziesz ze mną do przebieralni? - zapytała Amber. - Pewnie rozmazał mi się makijaż, więc chciałabym doprowadzić się do porządku. - Uśmiechnęła się, próbując być dzielna.

- Jasne, że z tobą pójdę - odparła Ashley. - A ty, Beth, wracaj do klubu. Tam się spotkamy.

348

Tym razem Keithowi dopisało szczęście. Gdy wrócił do jadalni, trafił akurat na moment wymiany. Na jego oczach Eduardo Shea wziął piwo od tego samego kelnera co wcześniej i dał mu coś w zamian. Wyglądało to jak koperta, którą tamten natychmiast wsunął do kieszeni, po czym rozejrzał się czujnie na boki. Z kruczoczarnymi włosami i wąsikami wyglądał jak rodowity Latynos, jednak było w nim coś...

- Hola! - Keith energicznie ruszył w ich stronę. Kelner spojrzał na niego i natychmiast poszedł w przeciwnym kierunku. - Zatrzymajcie go! - zawołał Keith, jednak nikt nie zareagował.

Ludzie patrzyli na niego z zaciekawieniem, trochę jak na nieszkodliwego wariata, ale nikt nie ruszył palcem. Podejrzany kelner wykorzystał chwilę konsternacji i błyskawicznie skrył się za jednym z barów ozdobionych dużą kompozycją z tropikalnych kwiatów. Keith ruszył w pościg i po chwili go dopadł.

Okazało się jednak, że chwycił za kołnierz kogoś innego. Bogu ducha winny kelner bardzo się przestraszył i zaczął wyrzucać z siebie potok hiszpańskich słów.

- Gdzie ten drugi? Ten, który tu przed chwilą był? - huknął na niego Keith.

Mężczyzna bezradnie pokręcił głową.

- Pytam cię o kelnera, który dopiero co tu wszedł? Wystraszony mężczyzna odwrócił się i skinął ręką w stronę patia, po którym kręciło się mnóstwo ludzi w identycznych smokingach.

- Co jest? - wysapał Jake, który właśnie przybiegł z pomocą.

- Shea dał przed chwilą kopertę kelnerowi.

- Któremu?

- Też bym chciał wiedzieć. Niestety, koleś zdążył zwać. - Keith zaklął jak szewc.

- A gdzie Shea?
- Wrócił do środka.
- Chyba pora, żeby odpowiedział nam na parę pytań. - Jake odwrócił się i zaczął torować sobie drogę wśród ludzi. Keith bez słowa ruszył za nim. Obaj widzieli, że Eduardo zmierza w stronę wyjścia. - Panie Shea! - zawołał za nim Jake.
- Eduardo nie zamierzał się zatrzymać. W pierwszej chwili nawet nieco przyspieszył, lecz po paru krokach niespodziewanie stanął i odwrócił się w ich stronę.
- W czym mogę panom pomóc? - zapytał, gdy do niego podeszli.
- Chcielibyśmy chwilę z panem porozmawiać - wyjaśnił Jake.
- Tak? - Eduardo uniósł w górę brwi. - Chętnie z panami rozmawiam, lecz obawiam się, że nie jest to najlepszy moment. Jestem okropnie zmęczony po występie. Przykro mi.
- Mnie również. - Jake sięgnął do kieszeni po legitymację. - Policja, panie Shea. Detektyw Jake Dileccio, wydział zabójstw - wyrecytował.
- Zabójstw? - Eduardo jeszcze bardziej się zdziwił.
- Chyba nasz występ nie był aż tak marny, żeby ludzie z rozpaczy strzelali sobie w łeb? - powiedział, próbując obrócić wszystko w żart.
- Bardzo zabawne - skwitował sarkastycznie Jake.
- Zechce pan wyjść z nami na zewnątrz? - zapytał, widząc, że ludzie zaczynają przysłuchiwać się rozmowie.
- Już panom mówiłem, że właśnie idę do domu.
- Woli pan rozmawiać na posterunku? - zapytał uprzejmie Jake.
- Niby w jakim celu chce mnie pan tam zabrać?
- Eduardo nie tracił rezonu.

- W celu złożenia zeznań. Mam prawo zamknąć pana na dwadzieścia cztery godziny bez stawiania konkretnych zarzutów.

- Jakich znowu zarzutów? - obruszył się.

- O współudział w zbrodni. - Jake wciąż był uprzedzająco miły.

- Dobrze, skoro panowie nalegają, wyjdźmy. I tak wiem, że nic na mnie nie macie. Uprzedzam, że pozwę was za to do sądu - zagroził.

Jake puścił pogrożki mimo uszu.

- Z tym pozwem to może być cienka sprawa, panie Shea - mówił spokojnie, gdy wyprowadzał go za łokieć z jadalni. - Ale jeśli pan chce, zaraz zadzwonię do FBI i zapytam, czy faktycznie mam się czego bać. Panie Shea, ponoć jest pan właścicielem wielu nieruchomości przy Mary Street - dodał, gdy znaleźli się przed klubem. - Czy to prawda?

- Odkąd to posiadanie nieruchomości jest niezgodne z prawem? - zaperzył się Eduardo.

- Ma pan również udziały w kilku stocznicach jachtowych w Ameryce Południowej - ciągnął Jake tym samym przyjaznym tonem.

Eduardo zaczął tracić cierpliwość.

- Doprawdy nie rozumiem, do czego mają prowadzić te pytania, detektywie Dilessio? - Ostanie słowa wypowiedział tak, jakby splunął.

- Już ty dobrze wiesz, dlaczego cię o to pytają!

- Wszyscy trzej obrócili się jak na komendę i zaskoczeni spojrzeli na Marię Lopez, która ku nim szła.

- Zamordowałaś Teda i Molly, ty łajdaku! - zawołała wzburzona, zaciskając palce na szalu, którym okryła ramiona.

- Pani Mario, proszę... - powiedział Keith tonem łagodnej perswazji.

- Myślałeś, że ci się uda, aleja wszystko słyszałam! Wrzeszczałeś do słuchawki, żeby nie byli tchórzami i przyszedli tu dziś wieczorem. Nie chciałeś, żeby nachodzili cię w szkole tańca i dopominali się zapłaty! - cedziła Maria, zniżając głos.

Keith odruchowo spojrział w stronę parkingu. Ujrzał tam mężczyznę w smokingu, który nerwowo rozglądał się na wszystkie strony.

- Cholera! - syknął i zaczął biec w jego stronę. Mężczyzna rzucił się do ucieczki.

Jednak tym razem szczęście go opuściło. W pobliżu nie było ani tłumu gości, ani ogromnego kosza kwiatów, za którymi mógłby się skryć. Keith biegł tuż za nim, krzycząc do strażnika, by odciął mu drogę ucieczki. Fałszywy kelner zorientował się, że jest w potrzasku. Zawahał się, i to go zgubiło.

Wprawdzie zdążył dać nurka w krzaki, ale Keith siedział mu już na plecach.

Obaj runęli na ziemię. W ułamku sekundy Keith obezwładnił go i zaczął szarpać za wąsy, próbując je odkleić. Jakież było jego zdumienie, gdy okazało się, że nie są sztuczne. A mężczyzna, na którym siedzi, to wcale nie był Brad. Przyjrzał mu się uważnie. Tamten też go obserwował. Był tak przerażony, że na wszelki wypadek sam podniósł ręce do góry.

- Co masz w kieszeni? - krzyknął Keith.

Naraz zorientował się, że jego własne wąsy zaczynają się odklejać i wchodzą mu do ust. Ściągnął je więc i cisnął w krzaki. O sztucznej brodzie już nie pomyślał, więc została na miejscu. Widząc jego nagłą metamorfozę, mężczyzna jeszcze szerzej otworzył oczy.

- Kieszeń! - wrzasnął Keith, zrywając się na nogi i ciągnąc go za sobą. Nerwowo obmacał jego marynar-

340

kę z jednej i drugiej strony. Nic. Kieszenie były puste. Na szczęście nie miało to większego znaczenia, bo nieszczęśnik bez słowa wskazał głową Eduarda.

- To jego należy aresztować. Na moich oczach zaatakował niewinnego człowieka - rzekł Eduardo i spojrział oskarżycielsko na Keitha. - Powinien odpowiadać za napaść i pobicie!

- Jedziemy na przesłuchanie, panie Shea. - W tonie Jake'a nie było śladu niedawnej uprzejmości. - Ma pan prawo skontaktować się z adwokatem.

- Mam tu samochód, detektywie - odezwał się jeden z policjantów po cywilnemu.

- Świetnie. Coś mi się zdaje, że ten małomówny dżentelmen też uda się z nami - orzekł Jake. - Niech pan się nim zajmie - poprosił policjanta, wskazując mężczyznę, którego wciąż trzymał Keith.

- Słusznie. Jestem świadkiem, że został pobity -zawołał oburzony Eduardo. - Powinien natychmiast złożyć skargę.

Keith prawie go nie słuchał. Podświadomie czuł, że musi niezwłocznie wracać do budynku klubu.

- Zabieram ich, ale potrzebuję mocnych dowodów - uprzedził go Jake półgłosem.

- Przecież są zeznania Marii.

- Podśluchana rozmowa to słaby dowód. Potrzebuję konkretów. Chyba że uda ci się włączyć w to federalnych - podsunął Jake i ruszył za policjantem, który eskortował Eduarda.

Keith pobiegł do budynku.

Muzycy długo nie składali broni, zdeterminowani, by grać do samego końca. Kilku mocno zmęczonych gości klubu też postanowiło dać z siebie wszystko i walczyć do ostatka. A gdy ten moment wreszcie

nadszedł, Beth miała wrażenie, że z bólu pęknie jej głowa. Stojąc w jadalni u boku komandora, czuła, jak skronie pulsują jej w rytmie salsy.

Ożywiła się, gdy ujrzała Ashley. Samą.

- Gdzie Amber? - zapytała nerwowo.

- Została z ojcem. Posłuchaj, pojedziesz do mnie z obstawą. Masz klucze?

- Co się stało? Złapali ich?

- Nie. Zabrali Eduarda na przesłuchanie. Keith ma się skontaktować ze swoim szefem i poprosić, żeby podesłali jakieś twarde dowody. Muszę jechać na posterunek, ale nie zostawię cię tu samej. Będzie cię pilnował nasz kolega, ten duży facet, który udawał kelnera. Postaram się wrócić do domu jak najszybciej.

- Ashley...

- Beth, powiedziała ci wszystko, co wiem. Jak tylko zdobędę jakieś nowe informacje, od razu ci je przekażę.

Kiedy Ashley pożegnała się z komandorem i wyszła, Beth zaczęła się zastanawiać, czy powiedzieć mu, że ona też już opuszcza klub, bo musi odwieźć bratanicę do domu. Ostatecznie machnęła ręką; on i tak zaraz się dowie, co wydarzyło się podczas imprezy.

Wyszła przed budynek i zaczęła rozglądać się za Benem, nigdzie go jednak nie widziała. Przyjęcie zdecydowanie miało się ku końcowi. Najlepiej świadczył o tym widok kelnera, który sennie krążył wokół patia i zbierał brudne kieliszki.

- Ben? - zawołała. Nie odpowiedział.

Starła się myśleć rozsądnie. W końcu to on jest ojcem Amber, mógł więc zdecydować, że córka wraca z nim do domu. Na wszelki wypadek zadzwoniła na jego komórkę. Nie odbierał. Chciała zadzwonić do

Amber, ale przypomniała sobie, że wysiadła jej bateria. Po chwili znów wybrała numer Bena. I znowu nic.

Nagle spostrzegła Amber. Jej bratanica szła po moście. W pierwszej chwili Beth pomyślała, że spaceruje, czekając na ojca, ale ona chyba coś zauważyła, bo podniosła głowę i przyspieszyła. Ale gdzie się podział Ben?

- Amber!

Dziewczynka jej nie słyszała. Szła coraz szybciej, kierując się w stronę ostatniego pomostu. To, co spostrzegła, musiało ją zaciekawić, bo w pewnej chwili zaczęła biec.

- Amber! - Beth ruszyła za nią szybkim krokiem. Chciała ją dogonić, ale w szpilkach było to nie lada sztuką. Poza tym wyjątkowo długie nogi Amber niosły ją niczym szczydła.

Amber minęła wszystkie żaglówki, motorówki, większe i mniejsze jachty i zatrzymała się dopiero na samym końcu pomostu. Tam też dopadła ją Beth, która biegła tak szybko, że nie mogła wyhamować i o mało jej nie przewróciła.

- Popatrz! - Amber wskazała ręką ostatnią łódkę. - To ich!

Beth przyjrzała się, ale łódź wcale nie wydała jej się znajoma. Była świeżo pomalowana i niezbyt duża, raptem niecałe osiem metrów.

- O czym ty mówisz? - Spojrzała pytająco na bratanicę.

- Ciociu, no co ty? Nie poznajesz? Przecież to łódka tych ludzi, którzy byli z nami na Calliope.

Dobrze, że wreszcie o nią zadbali. Prawda, że fajnie teraz wygląda?

Beth poczuła na plecach lodowaty dreszcz. Amber chyba ma rację. Jeszcze raz przyjrzała się jachtowi.



Faktycznie był taki sam jak ten, którym pływali Sandy i Brad, a jednak jakiś inny. Może dlatego, że odświeżony. Ale wielkość i kształt się zgadzały.

- Amber, musimy stąd natychmiast iść - powiedziała szybko i nie tracąc ani chwili, ruszyła z powrotem.

Zdażyła jednak zrobić parę kroków i... przeraźliwie krzyknęła. Coś zimnego i mokrego złapało ją za kostkę. Sparaliżowana strachem spojrzała w dół i spostrzegła mężczyznę.

To był Brad, a w każdym razie osobnik, którego znała pod takim imieniem. Tym razem łysy, w ociekającym wodą smokingu, bez butów, a za to w zsuniętej na bakier czarnej peruce, którą włożył, by upodobnić się do innych kelnerów. Pewnie zauważył Amber i wskoczył do wody, żeby się przed nią ukryć. Albo żeby ją zaatakować, gdy zbliży się do łódki. Beth nie mogła pozwolić, by zrobił Amber krzywdę. Już otworzyła usta, by wrzasnąć na całe gardło, ale Brad był na to przygotowany.

- Nawet nie próbuj! - W jego dłoni błysnął nóż. W ułamku sekundy znalazł się za nią i przyłożył go jej do gardła.

Spojrzała mu w oczy, ale on tylko się uśmiechnął. Oboje wiedzieli, że nie ma znaczenia, czy będzie krzyczała, czy też nie, bo głośna muzyka i tak wszystko zagłuszy.

- Amber, uciekaj! - wykrztusiła, starając się nie myśleć o lodowatym ostrzu, które niemal kaleczyło jej skórę.

- Nawet o tym nie myśl, skarbie. Jeden ruch i będzie po cioci! - ostrzegł Brad.

- Uciekaj!

- Wskakuj na łódź! Albo poderżnę jej gardło! Czy to jasne?

344

- Nie słuchaj go! Uciekaj! Ja i tak... - Urwała z ochrypłym jękiem, gdy docisnął ostrze do jej krtani.

- Błagam, nie rób jej krzywdy! - Amber zaczęła płakać i posłusznie zeskoczyła na pokład.

Brad znów spojrzał w oczy Beth i uśmiechnął się z satysfakcją.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Keith przebiegł przez lobby i wpadł do jadalni. Domyślał się, że z resztkami sztucznych wąsów i na wpół odklejoną brodą wygląda groteskowo, ale nic go to nie obchodziło. Podbiegł prosto do komandora i nie zważając na fakt, iż pełni on honory gospodarza i żegna wychodzących gości, rzucił:

- Gdzie Beth?!

- Nie wiem, proszę pana, ale nie podoba mi się, co się tu dzieje. Panna Anderson powinna ze mną być. Straszyl mnie pan piratami, a tu proszę, nic się nie wydarzyło...

- Widział pan Bena Andersona i jego córkę? -Keith przerwał mu obcesowo. Każda minuta była zbyt cenna, by poświęcać ją na słuchanie kazań.

- Panie Henson, proszę nie urządzać mi tu przesłuchania. Nie widzi pan, że jestem zajęty? A tak w ogóle, to niech pan na siebie spojrzysz! Wygląda pan żenująco!

Keith zostawił go i zaczął krążyć między stolami. Swym wyglądem musiał rzeczywiście wzbudzać sensację, gdyż jego niedawna błękitnowłosa partnerka,

358

ujrzawszy go, aż krzyknęła i zasłoniła dłonią usta. Pokręcił przecząco głową i ruszył w stronę najbliższych drzwi, które prowadziły na patio. Nie było tam żywej duszy, tym bardziej więc zdziwił się na widok szeroko otwartych drzwi do męskiej przebieralni. Niewiele myśląc, wbiegł do środka. Na podłodze ktoś leżał. Keith usłyszał cichy jęk i podbiegł, by sprawdzić, co się stało. Osłupiał, gdy w człowieku, który właśnie z trudem dźwigał się z ziemi, rozpoznał Bena.

- Co z tobą? - Keith przykląkł i pomógł mu usiąść.

- Byłem tu... - Zdezorientowany Ben rozejrział się na boki. - Nie mam pojęcia, co się stało. Chryste, głowa mi pęka! Zostawiłem zegarek w szafce i chciałem go zabrać. Chyba się o coś potknąłem albo pośliznąłem, sam już nie wiem... Pamiętam, że podszedłem do szafki. Zobacz, jest otwarta. - Nagle spojrział przytomniej i otworzył szeroko oczy. - Amber... miała czekać na mnie przy drzwiach.

Mówiłem jej, żeby się na krok nie ruszała. Nie posłuchała mnie. Gdzieś poszła. Nie zdawała sobie sprawy, że coś jej może grozić. - Spojrzał Keithowi w oczy. - Błagam cię, znajdź ją!

- Widziałeś ostatnio Beth?

- Nie.

- Zaraz sprowadzę pomoc.

Keith wybiegł z szatni i dopadł pierwszego napotkanego kelnera.

- W przebieralni leży człowiek. Jest ranny. Zawołaj kogoś i idźcie mu pomóc. I wezwij policję - wołał, szarpiąc go za klapy marynarki.

Kiedy wystraszony kelner pobiegł do klubu, Keith przeciął trawnik i ruszył w stronę pomostów.

Chwiało się na nich kilku członków klubu, którzy postanowili

346

przenocować na łodziach. Keith sprawdził kolejno każdą z tych wesołych grup. Tak jak sądził, Beth wśród nich nie było.

Nagle na końcu ostatniego pomostu spostrzegł Amber, która właśnie wskakiwała na pokład jakiegoś jachtu. Oprócz niej była tam już jedna osoba, a dwie stały na pomoście. Niestety, z tej odległości nie był w stanie nikogo rozpoznać. Coraz bardziej zdumiony, mocno ściągnął brwi.

Amber знаła większość żeglarzy należących do klubu, mogła więc spotkać kogoś znajomego. Czemu jednak nie zaczekała na ojca, skoro ją o to prosił?

Ojciec Amber leżał nieprzytomny w przebieralni. Ktoś go ogłuszył. Pewnie nie bez powodu.

Keith puścił się biegiem w stronę pomostu. Po drodze zrzucił marynarkę.

- Nie! Nie słuchaj go! Uciekaj! - Beth starała się, by jej głos nie brzmiał histerycznie. Była śmiertelnie przerażona, lecz próbowała zachować spokój. Wiedziała, że nie może dać się zastraszyć. Musi namówić Amber do ucieczki, bo to jedyna szansa na ratunek.

W przeciwnym razie obie zginą.

- Nie wysilaj się, złotko! - szydził Brad. - Nie widzisz, że grzeczna dziewczynka już zrobiła, o co ją prosiłem? Stoi na pokładzie. Amber, kochanie, pomachaj cioci!

W tym momencie z kabiny wyszła Sandy. Ona też miała na sobie strój kelnerki, lecz zdjęła już marynarkę i została w białej koszuli. Jak zwykle starannie się ucharakteryzowała: włożyła rudą perukę i okulary w grubej oprawce, a na nosie i policzkach namalowała sobie piegi.

- Brad, co... Jezu, a co to? - jęknęła.

347

- Wsiadaj! - Brad brutalnie popchnął Beth.

- Amber, błagam cię, wracaj na pomost!

- Ciociu, przecież on cię zabije! - Po policzkach Amber płynęły łzy.

- Jeśli nie uciekniesz, zginiemy obie!

- Nie zginiecie! - odezwała się niespodziewanie Sandy. - Wsiadaj! Proszę cię, Beth, nie stwarzaj kłopotów. Musimy stąd spadać. Brad, nie rób jej krzywdy. - Spojrzała na niego błagalnie. - Wsiadaj, Beth! Tylko szybko. Włos wam nie spadnie z głowy, ale musicie nas słuchać. Brad? - Zrobiła znaczącą pauzę.

- Czego ode mnie chcesz, do cholery? Może mam je tu zostawić, żeby narobiły krzyku i ściągnęły nam gliny na kark? Zbieramy się stąd - rzucił szorstko. - Łap się za cumy, mała - nakazał Amber. - Wiem, że potrafisz. Uwierz mi, że dobry ze mnie chłopak i naprawdę nie chcę zrobić kuku twojej cioci. Ale wpakowałyście nas w kłopoty, więc teraz musisz nam pomóc. Powiedz ciotuni, żeby nie gadała, tylko pakowała swój zgrabny tyłek na łódź, to nic jej nie zrobię!

Beth poczuła ostry, piekący ból. Dociśnięte mocniej ostrze zadrasnęło jej skórę. Odruchowo jęknęła. Widząc to, Amber zwinnie skoczyła do lin i od-cumo wała jacht. Sandy odsunęła się, by zrobić miejsce dla Brada, który znów mocno pchnął Beth, zmuszając ją do wejścia na pokład. Gdy już się tam znaleźli, brutalnie chwycił ją za włosy i zaciągnął do kajuty.

- Jeśli Amber stanie się jakaś krzywda, zabiję cię! Przysięgam! - syknęła, nie mogąc zapanować nad drzeniem głosu. Do tej pory nie uważała się za osobę szczególnie odważną, lecz w krytycznej sytuacji odezwał się w niej głęboko zakorzeniony instynkt macierzyński. Nie przesadzała, mówiąc, że jest zdolna go

zabić. Była gotowa walczyć o Amber do ostatka, a jeśli trzeba, nawet zginąć.

Keith był już na tyle blisko, że wyraźnie widział nóż przyłożony do gardła Beth. Biegając, walczył ze sobą, by emocje nie wzięły góry nad rozsądkiem. Nie mógł podjąć żadnych nieprzemyślanych działań, bo trudno jest przewidzieć, jak się zachowa przyparty do muru Brad. W desperacji mógłby przecież zabić jedną z zakładniczek.

Nie zatrzymując się, sięgnął po komórkę - kieszeń spodni była pusta. Widocznie telefon wysunął mu się podczas szamotaniny z kelnerem. Klnąc na czym świat stoi, zdjął w biegu buty i dotarłszy do końca pomostu, wybił się mocno i skoczył do wody. Wynurzył się parę metrów dalej i szybko ocenił sytuację.

Jacht płynął na motorze z dopuszczalną prędkością, czyli niezbyt szybko. Widocznie ci, którzy na nim są, nie chcą zwracać na siebie uwagi. Punkt dla niego. Nie tracąc ani chwili, ruszył za jachtem szybkim kraulem.

Drugi raz poszczęściło mu się, gdy odkrył, że uciekinierzy w pośpiechu zapomnieli zwinąć cumę. Zdołał chwycić jej koniec chwilę przed tym, jak łódź zaczęła nabierać prędkości. Zirudem podciągnął się bliżej, musiał jednak uważać na śrubę. Gdy rozpędzona łódź zaczęła skakać na grzbietach fal, powoli żegnał się z życiem, ale nie puszczał liny.

- Zwiąż ją! - krzyknął Brad do Sandy.

- Chyba nie masz zamiaru... - Beth urwała w pół słowa. Poczowała znajomy ból kaleczonyj skóry. Z trudem przełknęła ślinę. - Puść ją! Zrobię wszystko, co mi każesz - wykrztusiła.

349

- Sandy, przestań się plątać bez celu. Powiedziałem, żebyś związała małą.

- Nie! - krzyknęła przerażona Amber.

- Zamknij się, gówniaro, albo zadżgam zaraz twoją ciotkę.

Beth nie widziała, co się dzieje, lecz nagle poczuła, że może swobodnie oddychać. Brad z jakiegoś powodu odsunął nóż od jej gardła.

- Bądź grzeczna - syknął jej prosto do ucha. - Nie chcę zrobić krzywdy ani tobie, ani tej małej.
  - Co się stało, że robisz dla nas wyjątek? - zapytała szyderczo.
  - Jaki znowu wyjątek? Ja nikogo nie zabiłem - obruszył się. - Jeszcze!
- Wyczuła, że Brad mówi szczerze. I to ją przeraziło. Przestała się szarpać. Wtedy ją puścił. Słyszała płacz Amber, lecz nie miała odwagi się odwrócić.
- Puść ją - poprosiła. - Pomogę wam w ucieczce. Do kajuty zajrzała Sandy.
  - Związałaś ją? - rzucił Brad ostrym tonem.
  - Tak.
  - Dobra. Wiąż teraz tę.
  - Brad, to, co robisz, jest chore. Po co je w ogóle zabieraliśmy? - Sandy była bardzo zdenerwowana.
  - Odbiło ci, że zadajesz takie kretyńskie pytania? - zapytał rozwścieczony. - Przecież od razu poleciałyby na policję. One o wszystkim wiedzą, Sandy. Ten łobuz nas oszukał.
  - O niczym nie wiem! - krzyknęła Beth, co poniekąd było prawdą.
  - Nie dał ci koperty? - W głosie Sandy słychać było niedowierzenie.
  - Dał, a jakże! Przysięgam, że jak nas złapią, ten gnój Eduardo będzie skończony. Uparł się, że nie da mi

pieniędzy osobiście, tylko przez pośrednika. I dał je jakiemuś durniowi, który zamiast przekazać je mnie, pomylił się i wsadził je do kieszeni ojcu tej małej. Musiałem dać gościowi w łeb, żeby odzyskać kopertę. A teraz będzie najlepsze. Zgadnij, co w niej było? -rzucił w wściekłością. - No, dalej! Chcesz wiedzieć, co dostaliśmy? To idź i zobacz!

Beth w napięciu przysłuchiwała się rozmowie. Nie miała jeszcze skrępowanych rąk ani nóg.

Gorączkowo myślała, co zrobić, by przechwycić nóż.

- Zajrzyj do tej choleryjnej koperty! - ciskał sięBrad. Sandy w końcu to zrobiła. Po chwili w kabinie rozległ się jej wściekły krzyk.

Brad przestał zwracać uwagę na Beth, a ona natychmiast wykorzystała okazję. Obróciła się i z całej siły ugryzła go w rękę. Nóż głucho stuknął o podłogę, a zdezorientowany Brad zawył z bólu. Wtedy kopnęła go kolanem w jądra, a kiedy zgiął się wpół, odwróciła się, żeby biec do Amber. Na swoje nieszczęście zlekceważyła Sandy, ta zaś bez namysłu chwyciła patelnię i z całej siły wyrzuciła ją w głowę.

Lee właśnie podpłynął pontonem do burty, gdy spostrzegł łódź odbijającą od pomostu. Zaintrygowało go to, że niewielka jednostka coś za sobą ciągnie. Nie tracąc ani chwili, zbiegł pod pokład.

- Matt? Jesteś już?

Nagle stanął jak wryty. Matt rzeczywiście już wrócił. Tyle że nie sam.

- A co ty tu robisz, do cholery? - rzucił pod adresem nieproszonego gościa.

Nadludzkim wysiłkiem Keith zdołał wciągnąć się na burzę. Gdy niespodziewanie wychynął z fal i mroku,

351

Amber o mało nie umarła ze strachu. Pewnie zaczęłaby krzyczeć, gdyby, kładąc palec na ustach, nie dał jej znaku, żeby była cicho.

Podkradł się do niej bezszelestnie i sprawnie rozwiązał jej ręce i nogi.

- Gdzie oni są? - zapytał, poruszając bezgłośnie wargami.



- W kajucie.

Keith spojrział za siebie i szybko ocenił odległość od brzegu, który coraz bardziej się oddalał.

- Dasz radę dopłynąć? - wyszeptał do ucha Amber. Skinęła głową.

- A co z ciocią?

- Nie martw się. Będzie mi łatwiej jej pomóc, kiedy nie będzie się o ciebie denerwowała. Masz, włóż kamizelkę ratunkową. Jak dopłyniesz, od razu gnaj po pomoc. Ale tylko do Jake'a albo policjantów, dobrze? Koniecznie znajdź Jake'a i powiedz mu, żeby skontaktował się z Mikiem. On będzie wiedział, o co chodzi. Obiecuję ci, że natychmiast zorganizują pościg. Amber, to poważna sprawa - rzekł z naciskiem. - Zastanów się, czy na pewno dasz radę dopłynąć? Do brzegu jest niecałe siedemset metrów.

- Dopłynę. - Amber ze zdenerwowania szczykała zębami.

- To uciekaj! Szybko! - Podał jej kamizelkę, po czym zerknął w dół, do kajuty. Dostrzegł tam jakiś ruch, i to go zaniepokoiło. - Płyn! - syknął.

Amber spojrzała na niego przez łzy i odwróciła się niepewnie w stronę czarnej jak sadza wody.

- Płyn, maleńka! Dasz radę! W tobie cała nadzieja. Dziewczyna skinęła głową i cicho ześliznęła się po burcie. Keith wychylił się za nią, klnąc w duchu samego siebie za to, że każe dziecku płynąć samemu

365

nocą do odległego brzegu. Nie miał jednak wyjścia. Tylko Amber może teraz sprowadzić pomoc. Był pewien, że podoła zadaniu.

Ostrożnie podpełzł do włazu.

Teraz myślał już tylko o tym, że w kajucie jest Beth.

I że panuje tam złowroga cisza.

Beth ocknęła się, czując pulsujący tępy ból, który od czoła rozchodził się po całej czaszce.

Powoli zaczęła uzmysławiać sobie, co się stało. Na wspomnienie Sandy, która zamachnęła się na nią patelnią, ogarnął ją pusty śmiech. Dopiero po kilku minutach odważyła się otworzyć oczy. Leżała w koi.

Spróbowała się poruszyć. Okazało się, że ma związane ręce. Zaczęła się szamotać, lecz szybko znieruchomiała; na pokładzie coś stuknęło.

- Co to? - z kajuty dobiegł nerwowy krzyk Brada.

- Pewnie ta mała - uspokajała go Sandy.

- Zostań tu i pilnuj steru. Sprawdzę.

Zapadła cisza. Przerazona Beth wsłuchiwała się w nią w napięciu. Nagle z góry dobiegł głuchy łoskot i po chwili do kabiny wpadła Sandy. Błyskawicznie wyciągnęła z szuflady pistolet, dokładnie taki jak ten, który miał Ben, i bez słowa przyłożyła go Beth do głowy.

Beth z trudem przełknęła ślinę. Metal nieprzyjemnie ziębił jej skroń. Wyobraziła sobie, jak kula przeszywa jej mózg.

Amber? Co się z nią dzieje? I co wydarzyło się na pokładzie?

Po paru chwilach Sandy zaczęła się niecierpliwic. Na palcach podeszła do wąskiego korytarzyka i ostrożnie wyjrzała na zewnątrz.

- Brad?

366

Odpowiedziała jej cisza. Sandy wysunęła się dalej, lecz niemal natychmiast zaczęła się cofać. Beth dostrzegła przed nią wysoką sylwetkę. Ktoś był na pokładzie.

Nagle oniemiała ze zdumienia. Tuż za Sandy szedł ociekający wodą Keith i włókł Brada za kołnierz.

- Brad! - pisnęła Sandy.

- Nic mu nie zrobię, ale musisz być rozsądna.

- Keith spojrzał na nią twardo. - Oddaj broń i zawracaj do brzegu.

Beth znów poczuła nieprzyjemny chłód na skroni. Widziała, jak Keith mocno zaciska szczęki. Twarz mu poszarzała, jakby całkiem uciekła z niej krew. Mimo to nie zamierzał się poddać.

- Uprzedzam, że jeśli ją zastrzelisz, skrećę mu kark. Wiesz, że jestem do tego zdolny.

- Mogę najpierw rozwalić ciebie, a dopiero potem ją - zagroziła Sandy.

- Starczy ci odwagi? - zadrwił. - Dla ułatwienia dodam, że Amber pewnie dopływa już do brzegu.

- Mówiąc to, szybko zerknął na Beth.

- Utopi się.

- Wątpię. Po pierwsze świetnie pływa, po drugie ma kamizelkę.

Serce Beth zabiło mocniej. Amber da sobie radę! Jest twarda, łatwo się nie poddaje. Czując gwałtowny skok adrenaliny, z całej siły naprężyła nadgarstki. Więzy trochę się rozluźniły. Zrobiła to jeszcze raz i po chwili zdołała oswobodzić ręce. Przepełniona poczuciem wewnętrznej siły, poderwała się i z całej siły uderzyła Sandy pięścią w szczękę.

Niemal w tej samej chwili rozległ się huk wystrzału.

- Doczekam się jakichś wyjaśnień? - Lee spojrzał

na nich wyczekująco. Płynęli za mniejszym jachtem, ale wolno, tak by zachować dystans. Nie chcieli, by tamci zorientowali się, że są śledzeni.

- My tylko rozmawialiśmy. Naprawdę. - Amanda posiała mu jeden ze swych najśłodszych uśmiechów.

Matt poderwał się z kanapy i zaczął nerwowo krążyć po kajucie.

- Powinniśmy coś zrobić, a nie tylko za nimi płynąć - mruczał pod nosem.

- Pomyślałeś, co będzie, jak się zorientują? Chcesz, żeby skręcili Keithowi kark? A jeśli wzięli zakładników? Będiesz ryzykował życie tych ludzi? - zbeształ go Lee.

Matt w milczeniu pokręcił głową.

- Przykro mi, ale musisz tu z nami zostać - powiedział Lee do Amandy.

- Nic nie szkodzi, przeżyję. - Jej niebieskie oczy błyszczały z podniecenia. - Domyślcie się, dokąd płyną?

- Ja chyba tak. - Matt odwrócił się gwałtownie w stronę Lee. - Na wyspę!

Lee spojrzał na współrzędne.

- To się nazywa cholernie dobra intuicja - warknął.

Kula odbijała się rykoszetem. Najpierw zadzwoniła o mosiężną lampę na suficie, później trafiła w metalową ramę lustra, a potem, zamiast utkwąć w jakiejś desce, uderzyła w nocną lampkę.

W następnej chwili Keith cicho jęknął i łapiąc się za skroń, osunął się na podłogę.

Beth i Sandy zastygły w bezruchu. Zapomniany pistolet z hukiem upadł na deski.

- Boże! - Sandy poderwała się i ku zaskoczeniu Beth, podpełzła na kolanach do Keitha. Półprzytomny  
368

Brad leżał w kącie i jęczał. - Idiotko! Przecież mogłaś go zabić! - wrzasnęła do Beth i zerwawszy z wieszaka ręcznik, przycisnęła go Keithowi do skroni. Beth w mgnieniu oka znalazła się przy niej.

- Odsuń się! - wycedziła i odepchnawszy Sandy na bok, pochyliła się nad Keithem. Na szczęście żył. - Daj mi to! - Wyrwała Sandy ręcznik i sama próbowała zatamować krew.

Keith powoli otworzył oczy. W jednym wciąż miał zieloną soczewkę, drugą gdzieś zgubił. Wyraźnie oszołomiony, obrzucił Beth niewidzącym wzrokiem.

- Co jest, do cholery? - wychrypiał. Na moment przymknął oczy. - Dobra, już pamiętam. Zabłąkana kula.

- Sandy, dasz mi trochę wody? - poprosiła Beth.

Ostrożnie przetarła Keithowi skroń i z ulgą stwierdziła, że rana jest powierzchowna. Rozejrzała się dokoła i po chwili wypatrzyła kulę we framudze drzwi.

- Dasz radę usiąść?

Keith z jękiem dźwignął się z podłogi i uniósłszy głowę, przytomnie spojrzał na coś, co znajdowało się za plecami Beth. Instynktownie podążyła za jego wzrokiem i z cichym okrzykiem przerażenia cofnęła się pod ścianę. Brad, o którym w tym zamieszaniu całkiem zapomnieli, trzymał ich na muszce. Chwilę wcześniej, przez nikogo nie niepokojony, podniósł broń z podłogi.

To jakaś tragikomedialna pomyślana zgnębiona Beth. Przez jej głupotę o mało nie zginął Keith. A Sandy, która pozowała na twardą i gotową na wszystko, nawrzeszczała na nią, że przez nią o mało nie zastrzeliła człowieka, któremu jeszcze przed chwilą groziła. A do tego Brad...

Wyglądał na porządnie wkurzonego.

- Kochanie... - Sandy próbowała go udobruchać.
- Co? - wrzasnął. - Ta jędrza najpierw o mało nie odgryzła mi ręki, a potem chciała pozbawić mnie męskości. A ten pieprzony dupek podbił mi oko i rozwalił łeb. A ty, durna babo, każesz mi być miłym?!
- Oni się boją, że chcemy ich zabić. - Dla Beth zabrzmiało to tak, jakby Sandy była ich sprzymierzeńcem.
- Słusznie - warknął Brad.
- Co zamierzacie z nami zrobić? - Keith otarł rękawem strużkę krwi z policzka.
- Przytrzymamy was, dopóki nie odnajdziemy pieniędzy - powiedziała Sandy.
- A potem zamordujecie nas jak innych? - rzuciła sucho Beth.

Brad dostał furii.

- Nikogo nie zamordowaliśmy! - wrzasnął. - Kradniemy jachty, odstawiamy je do Ameryki Południowej, bierzemy kasę i finito!
  - Ukradliście łódź Teda i Molly Monoców, po których wszelki ślad zginął - dodała oskarżycielsko.
  - Łódź była pusta! - Sandy zaczęła tracić cierpliwość. - Kiedy weszliśmy na pokład, nie było tam żywej duszy. To prawda, zwędziliśmy jacht, ale nikogo nie zabiliśmy!
- Keith przyjrzał jej się uważnie.

- Gdzie jest wasza zapłata?
- Nie mów mu! - nakazał Brad.
- A co za różnica, czy mu powiem, czy nie? Przecież i tak się dowiedzą. Ta szuja Eduardo ciągle nas zwodził. W końcu obiecał, że da nam forszę w Miami. A potem znowu zaczął kręcić, bo ma paranoję, że ktoś go zobaczy i wszystko się wyda. Dzisiaj miał nam dać kasę w kopercie. A wiecie, co tam

370  
było? Informacja, że pieniądze czekają na polanie na tej zasranej wyspie! Już raz tam byliśmy, a ten cholerny złodziej znowu nas tam wysyła! - krzyczała Sandy.

- A więc tego szukaliście! Pieniądzy - szepnęła Beth.

Keith milczał, lecz cały czas uważnie ich obserwował.

- Proszę was, nie walczcie z nami. - W głosie Sandy słychać było znużenie. - Weźmiemy forszę i od razu spadamy. A was puścimy.

- Zwiąż ich. Tylko porządnie! - nakazał jej Brad. Wycelował lufę prosto w czoło Beth, ale to, co powiedział, skierowane było do Keitha.

- Pozwólcie Sandy wykonać robotę. Uprzedzam, że jak będziecie przeszkadzali, to wprawdzie nie zabiję drogiej panny Anderson, ale porządnie porachuję jej kości. To jak, umowa stoi? - rzucił niemal wesoło. - Ty pierwszy. - Machnął pistoletem w stronę Keitha. - Wstawaj i ręce do tyłu.

Keith podniósł się i pozwolił, żeby Sandy pchnęła go w stronę koi.

- Sami powiedzcie, czy to nie słodkie? - Roześmiała się zniechęta. - Za chwilę dzięki nam pójdiesz do łóżka ze swoją dziewczyną.

Wkrótce leżeli obok siebie na materacu z dłońmi i nogami skrępowanymi sznurkiem. Brad osobiście sprawdził, czy węzeł jest mocny, a potem zostawił ich samych w absolutnej ciemności.

Długo nic nie mówili. W końcu Beth westchnęła ciężko i mruknęła:

- Przepraszam.

- Daj spokój! Próbowałam nas ratować.

- I przy okazji o mało cię nie zabiłam! Wiesz, że prawie cię trafiłam?

- Wiem. - Zawiesił głos. - I tak oto skończyła się akcja ratowania kobiety, w której się zakochałem.
- Można wiedzieć, jak rozumiesz słowo „miłość”?
- zapytała po chwili, siląc się na lekki ton.
- No wiesz, to znaczy, że chcę być z tobą do końca życia i takie tam. To tak jak z tą zabłąkaną kulą. Nagle ni z tego, ni z owego trafia cię, i po tobie. Cieszę się, że mam to już za sobą.
- Łzy zaczęły cisnąć się jej do oczu. Niebawem mogą oboje zginąć. A skoro tak, to trzeba jak najwięcej się dowiedzieć.
- A co z twoją pracą? - zapytała.
- Bardzo ją lubię. Zwykle polega na ratowaniu życia - odparł z odrobiną goryczy.
- Ale przyznaj, że pracując nad obecnym zleceniem, byłeś gotowy zrobić wiele, byle tylko wyciągnąć informacje? - sondowała ostrożnie.
- Wyczuła, że się uśmiechnął.
- Chodzi o Amandę? - domyślił się. - Nie spałem z nią. Nawet mi to nie przyszło do głowy. Po prostu kręciłem się przy niej, parę razy z nią rozmawiałem. W końcu razem z rodziną była wtedy na wyspie.
- Beth zaczerpnęła głęboko powietrza.
- Jeśli wyjdziemy z tego cało...
- Będziesz miała wobec mnie dług.
- Myślisz, że oni naprawdę nikogo nie zabili?
- Miejmy nadzieję. Spróbuj przekręcić się na bok
- poprosił niespodziewanie.
- Zrobiła to i po chwili poczuła, że Keith zsuwa się w dół.
- Co ty robisz?
- Niestety, nie jest to gra wstępna. Mam mocne zęby. Spróbuję rozwiązać ci ręce.
- Minuty wlokły się niemiłosiernie. Beth nie miała



pojęcia, czy Keith już ją rozwiązał, czy jeszcze nie, gdy łódź zaczęła zwalniać.

- Chyba jesteśmy na miejscu - szepnęła.

- Połóż się na plecach i nie ruszaj.

Drzwi do kajuty otworzyły się i mroczne pomieszczenie zalało ostre światło. Oboje zmrużyli oczy.

- Wstawać, tylko grzecznie! - zawołała Sandy. - Postanowiliśmy zabrać was na ląd. Jeśli będziecie rozsądni, darujemy wam życie i zostawimy na wyspie. Może nawet mamy dla was nieduży zapas wody.

A teraz szybko, ruszać się! Mamy mało czasu.

Keith udawał, że nie może wstać. Dzięki temu dał Beth czas, by przytrzymała palcami poluzowane więzy. Wstała ostrożnie i zaczekawszy na niego, ustawiła się przed nim.

Sandy wyprowadziła ich na pokład i po chwili wszyscy czworo wsiedli do pontonu. Sandy trzymała ich na muszce, podczas gdy Brad wiosłował. Płynęli w absolutnej ciszy.

- Brad, słyszysz? Chyba płynie tu jakaś łódź... Musi być spora - szepnęła nerwowo Sandy.

- Jak ładna, to bierzemy - wy sapał.

- Zgłupiałeś - warknęła. - Zgarniamy forszę i natychmiast stąd spadamy!

Przybili do plaży i zeszli na brzeg. Brad włączył latarkę, bo noc była ciemna, choć księżycowa.

- Ruszać się! - ponaglał.

- Szybciej. Ta łódź jest coraz bliżej - niecierpliwiła się Sandy.

Zaczęli przemieszczać się w stronę środka wyspy.

- Nie ociągaj się! - Brad z całej siły pchnął Keitha w plecy.

- Eduardo Shea został aresztowany - rzucił Keith przez ramię.

- Dobrze mu, złodziejowi. Mam nadzieję, że zgnije w marmrze - fuknął mściwie Brad.
- Szuka was policja i FBI.
- Spoko, bracie. Ameryka Południowa jest spora. Mamy gdzie się schować - odparł rezolutnie. - A ty idź i nie gadaj!

Parę chwil później stanęli na polanie. Sandy była już tak zdesperowana, że pobiegła przodem i zaczęła chaotycznie kopać leżące na ziemi liście palm.

- Słuchaj, a jeśli ten łajdak znowu nas wykiwał? - krzyknęła histerycznie. - Brad, co tak stoisz? Pomóż mi! Musimy się spieszyć.

Brad zaklął pod nosem i wysunął się na środek polany.

- Przestań się miotać jak ta kura z odrąbaną głową. Trzeba działać metodycznie - pouczył. - Ty zaczniesz od tamtego końca, a ja od tego. Spotkamy się w połowie drogi.

Po chwili oboje byli tak pochłonięci poszukiwaniami, że zapomnieli o zakładnikach. Beth spojrzała na Keitha. Kiwnął potakująco, a potem przechylił głowę w stronę zachodniego krańca wyspy.

Początkowo nie zrozumiała, co chce jej przekazać, lecz za moment wszystko stało się jasne.

Od strony plaży ktoś nadchodził. Sandy i Brad byli tak zaaferowani, że nawet nie usłyszeli ostrzegawczego szelestu listowia.

- Teraz. - Keith bezgłośnie poruszył wargami. Po cichu podkradli się do wylotu ledwie widocznej ścieżki. Tam poderwali się i zaczęli biec.

- Hej! - krzyknęła za nimi Sandy. Niespodziewanie huknął strzał. Kula przeleciała tak blisko jej głowy, że Beth wyraźnie poczuła ruch powietrza. Jednak to nie Brad do nich strzelał. Pocisk 374

nadleciał z przeciwnej strony. Ogarnięta paniką, biegła przed siebie, po omacku rozgarniając gęste zarośla.

- Na ziemię! - zawołał Keith.

Wtedy rozległ się drugi strzał, a potem zapadła cisza przerywana jękiem konającego Brada i oszalałym wyciem Sandy.

- Człowieku, co ty wprawiasz?! - zawołał męski głos.

Czołgając się w ciemnościach, Beth niemal zderzyła się z Keithem. Na szczęście miała wolne ręce, więc natychmiast zaczęła go rozwiązywać. Jednocześnie z bijącym sercem wsłuchiwała się w odgłosy dobiegające z polany.

Keith również nasłuchiwał. Nigdy dotąd nie widziała, by był aż tak spięty. Nagle uświadomiła sobie, że głos, który przed chwilą słyszeli, należy do Matta.

- Gdzie oni są? - krzyknął inny mężczyzna. Sandy wpadła w histerię.

- Żyj! Przysięgam, że nic im nie zrobiliśmy! -zawodziła. - Zabiłeś go! Zabiłeś Brada! Ty morderco!

- Gdzie oni są? - powtórzył Lee.

Niemal w tej samej chwili Sandy wydała z siebie rozdzierający krzyk.

Beth wołała nie myśleć, co mogło jej się stać.

- Lee, opanuj się! - Matt był bardzo wzburzony.

- Porwali Keitha, Beth i dziewczynę!

- Uciekli nam! - wyła Sandy tak, że trudno było rozróżnić słowa. - Uciekli. Ale bez dziewczyny. Keith kazał jej płynąć do brzegu. Nie mam pojęcia, co się z nią stało.

- Kłamiesz!

- Nie kłamię!

- Keith?! - krzyknął Lee na całe gardło. - Gdzie jesteś, do jasnej cholery?

Beth była pewna, że Keith się odezwie, on jednak nie zamierzał wychodzić z ukrycia. Spojrzała na niego pytająco, a on w odpowiedzi pokręcił głową. Następnie dał jej znak, żeby szła za nim.

Podczołgali się do miejsca, z którego mogli bezpiecznie obserwować polanę.

- Lee? - Mart był coraz bardziej zdezorientowany. Jego kolega odwrócił się gwałtownie i wycelował w niego broń.

- Stary, co ty? Odbiło ci? - zawołał Matt.

Lufa przesunęła się w bok i zatrzymała na wysokości czoła Amandy.

- Musiałeś ją ze sobą przywlec na łódź, prawda, Matt? Przez ciebie będę musiał ją zabić. Hank strasznie się wkurzy, więc lepiej, żeby pomyślał, że ty to zrobiłeś.

Beth nie wierzyła własnym uszom.

Nie miała jednak czasu analizować sytuacji, bo Keith bez uprzedzenia poderwał się z ziemi, wyskoczył z zarośli i rzucił się na Lee z takim impetem, że obaj zwalili się na piasek. Pistolet wykonał efektowne salto w powietrzu i upadł parę metrów od nich. Tymczasem oni zaczęli zaciekle walczyć. Tarzali się, wymieniając mordercze ciosy. Po chwili osłupiały Matt ocknął się i podbiegł, by ich rozdzielić.

Beth przemknęła chyłkiem w stronę gęstych krzewów porastających skraj polany. Dotarła tam akurat w chwili, gdy Keith obezwładnił Lee. I gdy zdawało się, że sytuacja jest opanowana, od strony ścieżki padł kolejny strzał i na polanę wbiegli Hank i Roger Masonowie. Ten pierwszy bez zastanowienia wycelował broń w Keitha.

- Wstawaj! - warknął i szybko rozejrzał się dokoła. - Powiedziałem wstawaj!

363

- Na twoim miejscu nie ufałbym temu koledze. - Keith spojrzał na leżącego przed nim Lee. - Chciał zabić Amandę.

- Akurat! - rzucił szyderczo Hank.

- Tato! - Wystraszona Amanda podbiegła do Rogera.

- Co ona tu robi? - zapytał jej ojciec, kompletnie zbity z tropu.

Lee rzucił Keithowi nienawistne spojrzenie.

- Amanda była z Mattem na naszej łodzi - wyjaśnił. - Zareczam ci, że nie miałem zamiaru jej zabijać.

A teraz powiedz mu, żeby mnie puścił.

Hank zupełnie nie przejął się losem kuzynki. Przez cały czas obserwował Keitha, który wolno podniósł się i pozwolił Lee wstać. Ten w rewanżu bez uprzedzenia zadał mu silny cios w brzuch.

- Hej, co ty wyprawiasz! - zawołała Amanda. - Tato, nie powiedziałaś mi, skąd się tu wzięłaś?

- To ja pytam o to ciebie - odparł wzburzony Roger i spojrzawszy na Lee, rzucił krótko: - Słucham!

- Zorientowałem się, że Sandy i Brad mają na pokładzie naszego wspaniałego Jacques'a Cousteau

-oznajmił Lee, ocierając krew z rozciętej wargi. - Pomyślałem, że to idealna okazja, żeby wreszcie się go pozbyć. Cała wina spadłaby na piratów.

- Nic z tego nie rozumiem. - Amanda popatrzyła bezradnie na zebranych.

- Pozwól, że wszystko ci wyjaśnię - odezwał się Keith, który zdążył już dojść do siebie. - Sandy i Brad pracowali dla Eduarda Shea, który rozkręcił nie tylko taneczny biznes. To on naprowadził ich na łódź Teda i Molly Monoców, ale oni ich nie zabili. Podobnie jak nie zamordowali mojego przyjaciela, wspaniałego chłopaka Brandona i jeszcze jednego młodego nurka,

który przypadkiem natrafił na coś w tej okolicy. Brad nie miał nawet pojęcia, dlaczego ci ludzie zginęli. Za to twój ojciec, Lee i Hank wiedzą to doskonale. No, panowie, czy Gerald też należy do gangu?

- Nie twój zasrany biznes. Ty już jesteś trupem. - Lee przystawił mu pięść do twarzy.

- Więc spełnij moją ostatnią wolę i powiedz, jak to jest z tym Geraldem.

- Gerald nie ma z tym nic wspólnego - rzucił Hank od niechcienia. - Jak było trzeba, dawał nam alibi. Amanda wydała z siebie zduszony okrzyk.

- Ty... To ty mnie namówiłeś, żebym przespała się z Mattem i splądrowała ich łódź, bo... - wydukała, patrząc ze zgrozą na ojca.

- Bo jest alfonsiem, Amando - dopowiedział Keifh.

- A ty trupem. - Roger zmierzył go lodowatym spojrzeniem. - Dobra, Hank. Kończymy zabawę. Rozwał go!

- Tato! - Amanda była bliska hysterii.

- Czeka! - Lee powstrzymał go zdecydowanym gestem. - Gdzieś tu jest Beth Anderson. - Zgrzytnął zębami. - Ta suka wlała na czaszkę starego po-cziwiny Teda. Kiedy morze wyrzuciło ciała na brzeg, udało mi się ich pozbyć, ale nie mogłem znaleźć tego cholernego łba. - Odwrócił się~w stronę Keitha.

- To wtedy zacząłeś węszyć, ty zdradziecki psie?!

- Mike od dawna coś podejrzewał. W końcu ten, kto zabił Brandona, musiał wiedzieć, gdzie go szukać. Gdybym miał pewność, że to byłeś ty, pazerny skurwielu... Zabiłeś porządnego chłopaka, żeby dorwać się do skarbu!

Beth, która leżała płasko pośród suchych palmowych liści, z emocji przestała oddychać.

- Na pewno wiesz, gdzie tego szukać? - zaniepo-

378

koił się Roger. - Przecież to on... - Urwał, wskazując Keitha.

- Znalazł monetę. I co z tego? - zirytował się Lee.

- Dokładnie spenetruję to miejsce.

- Akurat! Z niego taki nurek, jak z koziej dupy trąbka! - zadrwił Keith.

Beth zacisnęła powieki - nie chciała patrzeć, jak Lee zadaje Keithowi kolejny potężny cios. Gdy po chwili otworzyła oczy, spostrzegła Matta, który po cichu wycofywał się w stronę lasu. A dokładnie miejsca, w którym się ukryła. Nie minęła minuta, gdy prawie na nią nadepnął. Wiedziała, że nie jest uzbrojony. Poza tym sprawiał wrażenie zagubionego i przytłoczonego biegiem wypadków, w których mimo woli brał udział.

Pistolet, z którego strzelał Lee, leżał parę centymetrów od niej. Wyciągnęła rękę, desperacko próbując go uchwycić.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak zdychasz - wycedził Lee.

- Musimy złapać Beth - przypomniał mu Roger.

- Myślisz, że dobrowolnie nas do niej zaprowadzi?

- zakpił Lee.

Hank ponownie wycelował broń, lecz Keith nie zamierzał tanio sprzedać skóry. Szybki jak błyskawica, znenacka chwycił Lee i zasłonił się nim w chwili, gdy padał strzał.

W zamieszaniu, które po tym nastąpiło, Beth złapała pistolet Lee. Matt dał nura do przodu, chwytając Rogera za nogi, przez co ten chybił celu i strzelił w ziemię. Nie przewrócił się jednak, i jeszcze raz zaczął mierzyć do Beth.

- Tato! Nie! - Amanda złapała go za rękę. Dzięki temu Beth zyskała parę cennych sekund i zdążyła złożyć się do strzału. Jej broń wypaliła

w chwili, gdy Keith z całej siły pchnął martwe ciało Lee na Hanka.

Pistolet był duży i ciężki, a odrzut tak silny, że Beth zatoczyła się i wpadła w krzaki.

Ale udało jej się trafić Hanka w ramię.

Ten zawył z bólu i wypuścił broń. W ułamku sekundy Keith wskoczył na niego i przygwoździł go do ziemi. Było po wszystkim.

Na polanie zapadła śmiertelna cisza. W powietrzu unosił się zapach prochu. Sandy znów zaczęła cicho łkać.

Lee i Brad leżeli martwi, Hank stracił przytomność, a Roger bezradnie siedział na piasku, ogłuszony hukiem wystrzału. Amanda uklękła przy nim. Z jej piersi wyrwał się rozdzierający szloch.

Matt oprzytomniał pierwszy.

- I pomyśleć, że Amanda przyszła mnie przeprosić. I wyznać, że wreszcie jest zakochana. W Benie Andersonie - powiedział cicho, nie wiadomo do kogo.

Niewiarygodne, ale Beth tej samej sekundzie usłyszała głos brata.

- Beth!

Kolana ugięły się pod nią i miękko osunęła się na ziemię, gdy na polanę wbiegli pierwsi funkcjonariusze straży przybrzeżnej. Tuż za nimi gnał jej skrajnie zdenerwowany brat. Gdy ją zobaczył, ukląkł obok i zaczął ją do siebie tulić.

- Co z Amber? - wykrztusiła przez łzy.

- Nie martw się, jest cała i zdrowa - powiedział, głaszcząc ją po głowie. - Wiem, że ty i Keith uratowaliście jej życie.

Przytulił ją do siebie mocno.

- Boże! - jęknął przerażony, rozglądając się dokoła. Jego wzrok zatrzymał się na dłużej przy Amandzie

380

pielegnującej ojca, który wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku.



- Jest niewinna. Pomogła nam - powiedziała cicho Beth. - Czekają ją ciężkie dni. Będzie potrzebowała wiele wsparcia. Ja już mam kogoś, na kim mogę się oprzeć - szepnęła, patrząc mu w oczy.

Ben skinął głową i podszedł do Amandy. Beth uśmiechnęła się, czując na ramieniu silną dłoń. Po chwili otoczyły ją znajome ręce.

- Udało nam się - szepnął jej do ucha Keith.

Południowa Floryda była świadkiem niezliczonej liczby zadziwiających skandali. Słyszała też o niejednej mrocznej tajemnicy, z morderstwem i żądzą pieniędzy w tle. Jednak dramatycznymi wydarzeniami, które rozegrały się na Calliope Key, media żyły przez długie tygodnie. Okazało się bowiem, że sprawa jest o wiele bardziej złożona, niż wydawało się Beth owej pamiętnej nocy, gdy żegnała się z życiem.

Tony hiszpańskiego złota nie stanowiły w tej grze jedynej stawki. Dzięki dokumentom, które niemiecki rząd przekazał rządowi amerykańskiemu, światło dzienne ujrziała inna niewiarygodna historia.

Na Calliope schroniła się załoga niemieckiej łodzi podwodnej, która uległa awarii o wiele bliżej amerykańskiego wybrzeża, niż rząd byłby skłonny przyznać.

Niemiecka jednostka wiozła na pokładzie części do budowy małej bomby atomowej, której z braku czasu nie zdążono złożyć. Z obawy, by materiały nie wpadły w ręce Amerykanów, dowódca łodzi nakazał ukryć je i dopiero potem próbować ucieczki na wody eksterytorialne.

Z niewiadomych przyczyn na wyspie zostało dwóch marynarzy. Gdy już pogodzili się z myślą, że umrą tam,

zapomniani przez towarzyszy, uratował ich angielski statek. Jeden z nich napisał potem raport dla niemieckiego rządu. Dokument ten przez długie lata leżał w jakimś tajnym sejfie i dopiero niedawno został ujawniony.

Rząd amerykański nie wiedział, czy włożyć te rewelacje między bajki, czy też potraktować je poważnie. W końcu misję odkrycia prawdy powierzono firmie „Rescue”.

Świadomość, że człowiek tak bezwzględny i chciwy jak Lee Gomez skumał się z finansistą Rogerem Masonem, by wspólnie zaplanować skok na dużą kasę, była zatrważająca. Nie wiadomo, komu chcieli sprzedać bombę, lecz było pewne, że sprzedaliby ją temu, kto dałby najwięcej.

Tydzień po dramatycznych wydarzeniach Beth i Keith mogli wreszcie pobyć razem. Nim to się stało, ona musiała odpowiedzieć na setki pytań, które podczas przesłuchań zadawali jej funkcjonariusze różnych rządowych agencji, Keith zaś spędzał dni na pisaniu i zdawaniu raportów.

Kiedy się wreszcie spotkali, Beth nie miała ochoty na rozmowy.

- Cześć -- szepnęła, gdy Keith stanął na jej progu, a potem bez słowa wciągnęła go do środka.

Minęło wiele godzin, nim wreszcie znaleźli czas i siły na rozmowę.

- I co teraz? - zapytała. - Świat dowiedział się o *La Dorni* i o jej tajemniczym ładunku, nie mniej cennym niż złoto. I co dalej?

Keith dość długo milczał.

- Zlokalizowałem wrak - przyznał, patrząc jej w oczy.

- Kiedy?

369

- Parę dni przed imprezą w klubie. Od dawna wiedziałem, że któryś z moich kolegów ma dwóch pracodawców. Najpierw szukałem jakichś związków z Eduardem, ale szybko zorientowałem się, że nasz mistrz parkietu to płotka. Masonowie wykorzystywali go jako źródło cennych informacji. O odkryciu wraku od razu poinformowałem mojego szefa i podałem mu dokładne współrzędne. Matt i

Lee wiedzieli, że znalazłem monetę, ale nie mieli pojęcia, że odkryłem, dlaczego nie możemy namierzyć wraku.

- No i dlaczego?

- Pod latarnią jest najciemniej. - Uśmiechnął się. - Szczątki statku stały się rafą. Gdy w końcu na to wpadłem, od razu zobaczyłem drewniane żebra kadłuba i zejście do ładowni. Nie będę już schodził na ten wrak. Ktoś inny przejmie robotę. Wziąłem urlop.

- A ja ciągle nie wiem, czy będę mogła urwać się z pracy.

- To ją rzuć! - Przekreślił się na bok i spojrzał jej w oczy.

- Tak po prostu?

- Skoro nie chcą dać ci urlopu z okazji ślubu i miodowego miesiąca, machnij na nich ręką.

- Dla ciebie? Ależ oczywiście! - rzekła i zaśmiała się radośnie.

- Wiesz co, ciociu? On się chyba w niej naprawdę zakochał. - Amber od dłuższego czasu zmagала się z poważnym dylematem i czuła, że sytuacja zaczyna przerastać.

- Pamiętaj, że nam pomogła. To nie jej wina, że ma ojca kryminalistę.

- Naprawdę staram się choć trochę ją polubić, ale to jest strasznie trudne - westchnęła Amber. - Nie

mogę jej nienawidzić, bo przecież jest bardzo prawdopodobne, że zostanie moją macochą.

- I ty, i ona musicie uzbroić się w cierpliwość. Na szczęście czas goi rany. Najważniejsze, że Amanda naprawdę kocha twojego tatę i jest gotowa się dla niego zmienić. A jak już nie będziesz mogła z nią wytrzymać, zawsze możesz przenieść się na parę dni do mnie i Keitha - pocieszyła ją Beth.

- Zaprosicie mnie na ślub?

- Co za pytanie!

Pobrali się w połowie października, w piękny jesienny dzień. Specjalnie z tej okazji klub utonął w morzu kwiatów. W końcu ślub brała specjalistka od organizowania udanych imprez.

Gdy w czasie ceremonii Beth uzmysłowiła sobie, jak szaleńczo kocha swojego męża, ogarnął ją strach. Wystarczyło jednak, by Keith spojrzął jej w oczy, i od razu poczuła się spokojna. Wiedziała bowiem, że w tym szaleństwie nie jest sama.

Sakramentalne tak wypowiedzieli wczesnym wieczorem, stojąc na tle purpurowej kuli słońca i mając za świadków najwierniejszych przyjaciół i rodzinę.

A kiedy szampan został wypity, toasty wzniesione, a życzenia złożone, ogłosili" że nie pożeglują w stronę zachodzącego słońca. Miesiąc miodowy spędzili na północy kraju, w przepięknym o tej porze roku Vermoncie.